

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR V/LATO 2008



CENA 10 ZŁ*

(W TYM 0% VAT)



ISSN 1897-2365

"PRZYJACIELE"

To ciepłe słowo jest motywem przewodnim tego, letniego w końcu, numeru "Koziego-rynku". Jest na świecie trochę szczęściarzy, którzy mają prawdziwych przyjaciół - jednego lub najwyżej paru (więcej się nie da) - i od cholery takich, którzy prawdziwego przyjaciela nie mają. Bo to zjawisko rzadkie, zanikające i migotliwe. Nie jest łatwo pisać o przyjaźni nie ocierając się o wyświechtane banały i ciepłe kluchy, ale próbować trzeba. Przyjaźń nie jest jednak bynajmniej wyświechtanym banałem ani, tym bardziej, słodkim pierdzeniem. To wyzwanie i ciężka robota aż po grób. Mam teraz przed oczami dwie piękne i straszne końcowe sceny z dwóch pięknych i strasznych filmów o przyjaźni. Sceny prawie - i chyba nieprzypadkowo - identyczne. To "Butch Cassidy i Sundance Kid" oraz "Thelma i Luiza". Polecam.

Miejska Biblioteka Publiczna
w Białej Podlaskiej
**DZIAŁ INFORMACJI, BIBLIOGRAFII
I WIEDZY O REGIONIE**
ul. Warszawska 12a
21-500 Biała Podlaska
tel. (083) 343-61-11

gdzie oni są
gdzie wszyscy moi przyjaciele
zabrakło ich
choć zawsze było ich niewielu

schowali się
po różnych mrocznych instytucjach
pożarła ich
galopująca prostytutka

gdzie są moi przyjaciele
bojownicy z tamtych lat
zawsze było ich niewielu
teraz jestem sam

co to za pan
tak kulturalnie opowiada
jak się stara ładnie siedzieć i wysławiać
ach co za ton co za ukłon
co za miara w każdym zdaniu
i jakie mądre przekonania

gdzie są moi przyjaciele
bojownicy z tamtych lat
zawsze było ich niewielu
teraz jestem sam

oto są oto wszyscy są
przyjaciele moi z wielu stron
co za pochod co za piękny krok
maszerują ramię w ramię wprost
i w bamboszach, w garniturach
z pidżamami pod pachami
z posadami, podatkami i z białymi
chorągwiemi
idą tłumy ich tłumy ich
tłumy ich tłumy ich
tłumy ich tłumy ich
tłumy ich...

Grzegorz Ciechowski

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR V/LATO 2008



FELIETONY

Janusz Korwin-Mikke, Włodzimierz Kowalik, Natalia Julia Nowak,
Joanna Zakrzewska, Artur Ziótek

NA CENZUROWANYM

Anna Buchalska, Ewa Klajman - Gomolińska; Stanisław Rogala, Dariusz
Włodarczyk, wybór sonetów Stanisława Bojarczuka, powieść Gilberta K.
Chestertona, Noc Kultury w Lublinie

ESJE

Marek Chodowski, Tomasz Krzykała, Dominika Leszczyńska, Oskar
Szwabowski, Jan Tomkowski

DRAMAT

Siergiej Kowalow

CHIMERA (WIECZNIE ŻYWA)

Jan Lemański, Józef Ruffer, Leopold Staff, Kazimiera Zawistowska,
Henryk Zbierzchowski

OPOWIADANIA

Marek Brand, Tomasz Drzazgowski, Robert Konca, Jerzy Reuter,
Wojciech Szmigóń, Oskar Szwabowski

REPORTAŻ

Joanna Pociask-Karteczka



POWIEŚĆ

Andrzej Wielecki

MINIATURY

Mariusz Kargul, Krystyna Karwat, Joanna Zakrzewska, Grzegorz Żak

KOZIE ECHA

Robert Konca i Artur Rogalski składają sprawozdanie

PREZENTACJE

Krakowska Galeria "Kocioł Artystyczny", Portal Pisarski, Olsztyn
Wschodni, Mariusz Sokołowski

WIERSZE

Jakub Antolak, Marcin Balicki, Anna Buchalska, Dariusz Dorosz, Marcin Dydyna,
Phillip A. Ellis, Magda Galkowska, Jadwiga Grabarz, Paweł Hajduk, Izabela
Iwańczuk, Szymon Kantorski, Izabela Koczkodaj, Paweł Kosiorek, Maria Kryńska -
Szostak, Przemysław Kuliński, Krzysztof Kwoczko, Tadeusz Lira-Słiwa, Joanna
Małek, Mariola Mikulska, Z. Marek Piechocki, Jan Pioskownik, Marzena
Podkościelna, Magdalena Raczko - Pietraszek, Władysław Ryś, Joanna Rządziejewicz,
Olga Szaltis, Wojciech Szmigóń, Janusz Szpotkański, Kamila Szutowa

ZDJĘCIA

Joanna Bukowska, Radosław Dręzek, Grażyna Hankiewicz, Dariusz Hankiewicz,
Marek Jawoszek, Mirosław Koczkodaj, Robert Konca, Przemysław Krupski,
Krzysztof anin Kuzko, Tomasz Młynarczyk, Lech Pawlak, Joanna Pociask-
Karteczka, Henryk Radej, Artur Rogalski, Paweł Żochowski

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

Redaguje zespół

Mariusz Bober (promocja)
Przemysław Krupski (skład)
Dariusz Magier (proza)
Adam Świć (poezja)

Kontakt

kozirynek@rasil.home.pl
www.kozirynek.pl

Wydawca

Radzyńskie
Stowarzyszenie Inicjatyw
Lokalnych
Konfraternia Kozirynek
ul. Rynek 9
21-300 Radzyń Podlaski
www.rasil.home.pl

Zdjęcia

© Radzyński Klub
Fotograficzny „Klatka”
www.rkf-klatka.art.pl

ISSN 1897-2365

Druk

AWA-DRUK
Tel. (083) 352 25 91

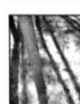
Nakład 500 egz.

Tekstów nie
zamówionych nie
zwracamy. Zastrzegamy
sobie prawo do skrótów
tekstów prozatorskich i
zmian tytułów.



Fot. na okładce
Tomasz Młynarczyk

Miniatura na tylnej okładce:
Otton III na tronie.
Miniatura z X wieku









JANUSZ KORWIN-MIKKE

WOLNOŚĆ DLA KOWALSKIEJ!

Z jednej strony stale czytamy, jak to kobiety w Polsce i innych krajach Cywilizacji Białego Człowieka są maltretowane, molestowane i w ogóle gnębione w sposób niewiarygodny. Z drugiej strony od dziesiątków lat nic tylko czytam w prasie – a, co gorsza, w książkach i podręcznikach (!) – tzw. „informacje” o losie kobiet w krajach muzułmańskich. Wynika z nich „jasno”, że są one bite, gwałcone, tłamszone, pogardzane – a w ogóle to nie tylko nie mają praw wyborczych, ale i nic do powiedzenia. Okropność! W tym zgodnym chórze widzimy katolików, protestantów i ateistów, widzimy konserwatystów i feministki, socjalistów i komunistów – krótko mówiąc: prawie wszystkich!

Parę lat temu jednak oglądałem w TV kawałek reportażu ukazującego okropną dolę kobiet w Iranie. Akurat był to fragment, w którym żona skarżyła u kadięgo na swego męża: że nie przynosi dość pieniędzy, nie dba o nią i o dzieci... Wrzeszczała jak typowa polska przekupka – a biedny, chudy facio stał obok i coś nieśmiało bąkał. W efekcie wyrzuciła go z domu, sąd przyznał jej dzieci i cały – niewielki zresztą – majątek. Hmm... Na miesiąc przed zbombardowaniem Afganistanu przez dzielne USAF talibowie kazali ścinać głowy parunastu mężczyznom – za bezczelne nagabywanie kobiet. W Arabii Saudyjskiej jest większy liberalizm: za podobne przewinienie 55 mężczyzn tylko wychłostano. Jak rozumiem, to też jest „gnębienie kobiet” – bo co to za przyjemność być kobietą, gdy mężczyźni nie zaczepiają na ulicy, nie gwiżdżą z podziwem. Przy tym gwiżdżeniu kobiety rozkwitają – popatrzcie Państwo na Południową Amerykę! No, ale nie wiemy, czy przypadkiem pod tymi czadorami muzułmanki też nie kwitną. Zresztą w tym klimacie... Szanujące się Europejki w tropikach też nosiły kapelusze i woalki – by słońce nie wysuszało cery... W dodatku brzydka mu-

zulmanka dzięki czadorom wie, że jej mąż – poza, być może, inną żoną – nie zna innych kobiet, więc nie może orzec, czy ona jest ładna czy brzydka; dzięki czemu los kobiet brzydkich jest u muzułmanów znacznie lepszy. Taki koraniczny socjalizm... Czytałem też kiedyś w „Playboy”-u reportaż z Pakistanu. Cytuję: „...nawet przymusowy celibat nic nie znaczy w porównaniu z tragedią wielu młodych ludzi. Mój przyjaciel (...) zakochał się w dziewczynie, (...) każdej nocy przychodził pod jej dom. Ona otwiera okno i patrzy na siebie. Całymi godzinami (...). Mój przyjaciel nie wyobraża sobie życia bez niej. W końcu zdecydował się. Poszedł do jej matki i wyznał, że pragnie poślubić jej córkę. Matka zerwała się i zaczęła wrzeszczeć. Rzuciła na niego najgorsze obelgi. (...) Wyrzuciła go z domu, wściekła, czerwona ze złości. (...) Obiecał, że już nigdy nie spotka się z jej córką”.

Jak Państwo widzicie „pogardzana i nie mająca nic do powiedzenia” kobieta zwymyślała mężczyznę od ostatnich. Co najciekawsze – podjęła decyzję w ogóle nie konsultując jej z mężem!!! Czy nadal ktoś twierdzi, że muzułmanki są zahukane i nie mają nic do powiedzenia? Będąc parę lat temu w Arabii Saudyjskiej odwiedziłem dom ministra tamtejszego rządu. Ma trzy żony: Saudyjkę, Szwajcarkę (profesorkę pediatrii; pracuje w szpitalu w Rijadzie) oraz młodszą dziewczynę z Jemenu. Wszystkie one, poubierane w najnowsze paryskie kreacje (burki to nosi się tylko na ulicy) tłumaczyły na wyścigi, jak gnębiona jest kobieta w Europie: musi wstawać o szóstej rano, nakarmić męża i dzieci, poodprowadzać do przedszkoli i żłobków, lecieć do roboty, po pracy robić zakupy, potem obiad... A w Arabii ta żona, która tej nocy jest z mężem, zajmuje się domem i dziećmi – a reszta do psiapsiółek na ploty, do fryzjerki lub kosmetyczki. Oczywiście, mowy nie ma o pracy poza domem – to byłby dla muzułmanki dyshonor. Tylko jakieś ofiary losu –

lub posiadaczki specjalnie prestiżowych zawodów, jak np. lekarka. I to jest szczęście prawdziwej kobiety!

Może raczej pomyślelibyśmy o losie muzułmanów - zwłaszcza kawalerów. Tropik, rozgrzane słońce, rozgrzana krew - i ani-ani przystępu do kobiet. Kobiety bez mężczyzn całkiem nieźle to znoszą - a mężczyźni? Może wreszcie ktoś - akurat „Playboy” to półgębkiem robi - użaliłby się nad losem mężczyzny w krajach islamu? Kawaler nie ma jak się wyżyć (nic dziwnego, że gotów jest pójść na jihad lub ćwiczyć lot poziomy samolotem...), natomiast żonkoś musi harować na nieraz i cztery

żony (i znosić cztery teściowe!). Wszystkie żony musi też traktować równo i po kolei - żadnego faworytyzmu, bo może wkroczyć jeden z czterech teściów - a ci mają tu prawo do obicia niesprawiedliwego małżonka kijem. A co do tego harowania, to musi on naprawdę harować - bo jak nie, to kadi puści go z torbami..

...i słusznie: u nas też, jak kogoś nie stać na opłacenie ubezpieczenia od „jaguara”, „mercedesa”, „renault” i „malucha” - to komornik mu samochody poodbiera. Zaczynając od „jaguara”, oczywiście.





KRZYSZTOF KWOCZKO

pusto jest
w słuchawce bez twojego halo
sygnał krótki
podenerwowany szybki
oddech

miasto masa mniejszości seksualne
mniejszości najmniejsze jednoosobowe
anonimowe kontakty z sublokatorom tramwaju
codzienne parady manifestacje samotnych posiłków
mniejszości najmniejsze eremy wynajętych pokoi

byłem srebrem
byłem złotem
dzis jestem milczeniem prawdziwym
bezwartościowym bezdźwięcznym ruchem warg
drżeniem podbródka pociągnięciem nosem

gioconda tajemniczo błyszcząca uśmiechem
jeruzalem zafoliowane w plastikowej ramce
półki się gną od dźwięków i światła
jak zwodzone mosty sensualnych doznań
i choć mój gust zaciska się w pięść
a sprawa smaku otwiera się w kieszeni
to serce jednak roście czemuś
rogałem na świeżo przyprawionej gębie
widząc giocondę błyszcząca uśmiechem
sklepy za cztery pięćdziesiąt



JOANNA ZAKRZEWSKA

MERITUM, CZYLI RZECZ O PRAWDZIWYM MĘŻCZYŹNIE

Jakby nie zacząć, każdy początek zły i lichy adekwatny do tematu, który ciśnie mi się pod pióro. Pomińmy zatem wszelkie dyrdymały, obalmy kanony pisania felietonów i przejdźmy od razu do meritum.

A meritum siedzi sobie rozparcelowane w przedziale pociągu Kraków - Katowice i impertynencko kołysze nogą, dziabiąc powietrze czubkiem wypolerowanego buta. Meritum ma też przyjemną łysinę, równie przyjemny brzuszek i beczelne oczka, którymi ze znanstwem starego wyjadacza lustruje zgromadzone w przedziale panie i panienki. Mnie też poświęca parę sekund uwagi i, najwyraźniej zdegustowany, przenosi swój wzrok na śmigające po peronie łydy i łydeczki. Jak widać moje rumieńce, lekko rozczochrane włosy i nędzny wrościk w zwykłym podkoszulku i dżinsach, najwyraźniej nie przypadają mu do gustu. Za karę, widać za nieodpowiedni wygląd, sama męcę się z ogromnym plecakiem. Ściągam go z ramion i, wspinając się na palce, usiłuję wrzucić bagaż na półkę. Usiłuję, bo nie pozwala mi na to ani wzrost, ani siła, a raczej jej brak. Męcę się więc z tym plecakiem na potęgę, szlag mnie formalnie trafia, krew zalewa i mało z policzków nie tryśnie, a meritum, prawdziwy mężczyzna ani zamierza dostrzec moich wysiłków, nie mówiąc już o przyjsciu z pomocą.

- Bigus dickus - mruczę pod nosem i, dopingowana złością, wrzucam wreszcie bagaż na półkę, a potem zmęczona opadam na kanapkę obok meritum.

- Otóż mi się objawił prawdziwy mężczyzna - myślę i popatruję na *mana* prowokująco ironicznie.

O tym, jak bardzo się mylę, co do oceny meritum, przekonuję się już za chwilę, gdy do przedziału wkracza ONA - dla niego absolutny powiew kobiecości, dla mnie na pewno nie. Raczej tandeta, wulgarność i bazarowy sposób prezentacji towaru, czyli wszystkie wdzięki na ladę. A zatem dekolt



X Joanna Bukowska

do pasa, brak spódnicy i odziane w kabaletki nogi, których połowę długości stanowią obcasy. Do tego pół kilo tapety, długie blond włosy z czarnym odrościakiem i kilkucentymetrowe paznokcie, obklejone kilkoma warstwami strażackiej czerwieni.

Nawet i niech! Skoro dziewczę już tak musi, to ja absolutnie nie mam nic przeciwko temu. Meritum też nie ma, a nawet jest jak najbardziej za, ponieważ bezustannie połyka zjawiskową zachwyconymi oczami. Po zapewnieniu sobie przyjemnej porcji bodźców wzrokowych, meritum rusza dziewczęciu na pomoc i odbiera z jej delikatnych, *ekhem*, rączyń, niepokążnej wielkości kuferek na kosmetyki i uprzejmie umieszcza go z należytą atencją na półce. A potem siada obok zombiowatej rusałki i dodatkowo usiłuje ją uwieść intelektualnie.

Ano cóż. „Prawdziwy mężczyzna” jest prawdziwym mężczyzną tylko i wyłącznie dla „prawdziwej kobiety”. Jak widać, ja nią nie jestem.

I na całe moje, kurde, szczęście.





MARCIN DYDYNA

nauczeni brać za darmo

idą
wytartymi dzielnicami
pokojowo urodzeni
z węgla i półwiecznej stali

idą
depcząc kwiaty za istnienie
pokojowo nauczeni
być kilofem i kamieniem

idą
ciągnąc gruzy pod butami
pokojowo rozgrzeszeni przez historię chwiejnej flagi

idą
wznosząc w rękach złoty garniec
pokojowo nagrodzeni
za pogardę

o nas bez nas

rozmieniają nas na drobne
parę groszy o tobie
parę groszy o mnie
reszty nikt nie wydaje

samotność

w czerwonym pokoju
ona ja
i lampka wytrawnej nocy

przez lufcik wdziera się słońce potyka się o nas
gaśnie

paraliż II

policyjne syreny pod blokiem biją na alarm
matka wpatrzona w szafkę na buty
wierzy
choć kończy się noc

o północy

chciałem coś powiedzieć
lecz położyła mi na usta palec
chciałem coś powiedzieć
ale



WŁODZIMIERZ KOWALIK

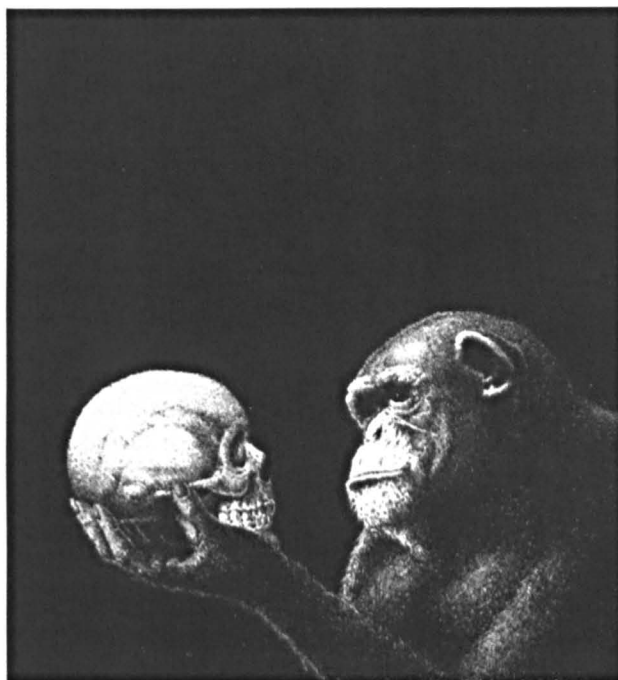
SPOKOJNIE, TO TYLKO TEORIA

CZY CZŁOWIEK
POCHODZI OD MAŁPY?

Ta założycielska kwestia nowoczesności przyjęła obecnie formę opozycji między dwoma nonsensami: NIEWYTŁUMACZALNEJ TAJEMNICY kreacjonistów kontra NATURALISTYCZNEJ OCZYWISTOŚCI darwinizmu, czyli poglądów, które z zasady żadnych dyskusji nie dopuszczają. Chodzi chyba o stworzenie iluzji „walki o prawdę na froncie ideowym” za pomocą wzajemnych oskarżeń o ideologizację nauki, spiski, nieczne zamiary. Obawiam się, że obie strony tego mniemanego sporu są ofiarami własnych poprawności a nie żadnych spisków. Cóż bowiem wynikałoby dla kreacjonistów, gdyby nawet dowiedziono niezbicie, że ewolucja od cząsteczki do człowieka jest faktem. Ano nic. Przecież i teraz jest wiadome, że medyczny opis ciąży niechcianej (przypadkowej) i ciąży planowanej przez rodziców jest jednaki. Mimo to, nikt nie kwestionuje faktu, że ciąża może być planowana. I odwrotnie. Wcześniejsza znajomość zamiarów rodziców nie zmienia poprawnej diagnozy ginekologa. Gdyby zatem na skutek jakiegoś cudu stało się oczywiste, że bezpośrednim sprawcą każdej formy życia jest Bóg, to dla wyjaśnienia samych procesów życiowych, nie miałoby to i tak żadnego znaczenia. Nawet ewentualna znajomość idei w samym Umyśle Bożym, niczego w faktach nie zmienia. Najwyraźniej nie wiedzą o tym kreacjoniści. Kreacjonistyczne posądzenie nauki o „metodologiczny naturalizm” jest tak samo zabawne, jak „ewolucjonistyczne” żądanie, by hipotez nie brać na wiarę.

Darwiniści są nie lepsi. Wierzą, że da się wyhodować życie z materii nieożywionej. Wolno im. Ale twierdzenie, że będzie to stanowić dowód na ewolucyjne pochodzenie życia to już głupota. Jeżeli istota rozumna na skutek zamierzonych przez siebie działań powoła coś do życia w swoim

laboratorium, to stanowić to będzie dowód, że przyczyną tak zaistniałego życia był jej (tej istoty) rozumny zamiar i plan. Trzymajmy ten kurs! Towarzystwo Fizyki Alternatywnej byłoby całkiem na miejscu. Znając ludzką głupotę, jestem pewien, że coś takiego istnieje i działa. W końcu nikt nie przedstawił dowodów prawdziwości praw dynamiki Newtona. Teza: „jeżeli na ciało nie działa żadna siła, lub działające siły równoważą się, to ciało porusza się ruchem jednostajnym po prostej” - którą może pamiętamy z podstawówki - nie ma żadnego dowodu! Są tylko przykłady skutecznych zastosowań (o samym, całkowicie apriorycznym a dowodowo beznadziejnym, założeniu istnienia „siły” nie wspomnę). Po prostu w szkołach nie przedstawiano nam „żadnej alternatywnej propozycji rozumowania”.



Przemysław Krupski



OLGA SZALTIS

Za usta do całowania
za palce do dotykania
za oczy do patrzenia
za zęby do szczerzenia
dziękuję...

za słowa do rzucania
motyle do łapania
za ciało do przesłaniania
za łądy do odkrywania
dziękuję...

za dziury w rozumie
za tabliczkę monżenia, której
wciąż nie umiem
za prawo własności do skrawka świata
za wygnanie z raju...
za to, że mamy dokąd wracać...
dziękuję...

zadzwoń do mnie
z gdziekolwiek
z gdziebądź,
że jesteś
jakikolwiek
kimkolwiek, że
jesteś

odbitym światłem ponoć świecimy
wszystko w nas widać jak na dłoni
przeżyć się można w nas ponoć jak w lustrze
wyblakłe ślady po aureoli
tacy jesteśmy-belka w oku
tacy jesteśmy-kamyk w bucie
ziarenko grochu co leży pod kołdrą
to wszystko w wielkim skrócie...

Kręci się kręci płyta pamięci
od czasu do czasu przeszłego
jabłuszko czerwone i mysi ogonek
są ważne choć nie wiesz dlaczego

kręci się kręci płyta pamięci
z czasem czasem dokonanym
nie wszystko już było
i nie każda miłość odbiera ci lęk
przed nieznanym
kręci się kręci płyta pamięci czasem prostym
pamiętajcie, że trzeba pamiętać
zapomnijcie, że można zapomnieć
i tak
od narodzin do śmierci
od wschodu do zachodu
od nieszczęścia do szczęścia
od ślubu do rozwodu
od pustego do pełna
od płaczu do uśmiechu
od głodu do syta
od świętości do grzechu
kręci się...

moje dwie komory serca
Sodoma Gomora
moje dwie komory serca
pycha i pokora
od jednej do drugiej krew krąży
serce bije się z myślami
czy zdąży
od prawd, które w poprzek
od kłamstw, które wzdłuż
krzyżują się w krzyżu
krzyżują się w biodrach
i już



NATALIA JULIA NOWAK

Najcnotliwsza w klasie

DWA FILMY

Tajemnica niemego filmu

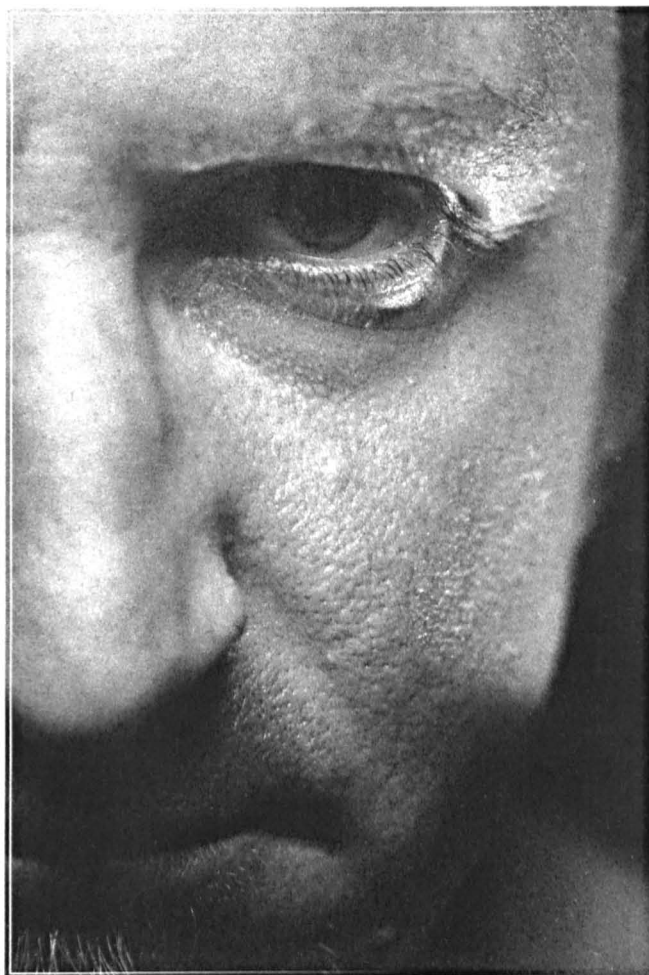
Niewielu ludzi wie, że istnieją dwie wersje filmu *Metropolis*, nakręconego w 1926 roku przez Fritza Langa. Pierwsza wersja to długi, wielowątkowy oryginał, natomiast druga - film skrócony na potrzeby rynku amerykańskiego. Ponieważ niektóre sceny dzieła nie zachowały się do naszych czasów (np. zaszkodziła im druga wojna światowa), wiele wydarzeń zostało zapomnianych przez opinię publiczną. Niedawno zdołano jednak zrekonstruować oryginał filmu. W ten właśnie sposób odnalazł się interesujący wątek, który udowadnia, iż nieme, czarno-białe dzieło science-fiction stanowi „opowieść z kluczem”!

Wynalazca Rotwang miał żonę, Hel, która zostawiła go dla Johhana Fredersena. Niestety, kobieta zmarła przy porodzie swego jedyne go syna - Fredera. Dziwnym trafem Rotwang i Fredersen zaczęli ze sobą współpracować (sprawa robota). Proszę nie myśleć, iż jest to kolejna bezwartościowa opera mydlana! Zaraz wyjaśnię, skąd się wziął ten romantyczny wątek... Thea von Harbou, autorka powieści pt. *Metropolis*, była żoną Rudolfa Klein-Rogge'a: aktora, który zagrał Rotwanga! Jakiś czas później opuściła go dla Fritza Langa - reżysera ekranizacji *Metropolis*. Nie wiadomo, jak doszło do tego, iż obaj mężczyźni zaczęli pracować na planie tego samego filmu. Pozwala to jednak mniemać, że monumentalne widowisko fantastyczno-naukowe posiada jeszcze wiele nie odkrytych tajemnic.

Niemiecki film pt. *Metropolis* został nakręcony w czasach, kiedy socjalizm i komunizm ostro rywalizowały z kapitalizmem. Nie da się ukryć, iż produkcja potępia sortowanie ludzi na „panów” i „robotników”, sprzeciwia się różnicowaniu społecznemu oraz wyzyskowi. Czy nie przyszło Wam do głó-



wy, iż prorokini Maria, narzeczona Fredera, przypomina nieco... Różę Luxemburg?! Nie będę rozwijać tej myśli.



 Mirosław Koczkodaj

Święty Graal w kukulczym gnieździe

Wiele osób uważa, iż *Lot nad kukulczym gniazdem*, podobnie, jak *Opowieści z Narnii* zawiera nawiązania do religii chrześcijańskiej. Nie tylko dlatego, iż podczas elektrostrząsów bohaterowie leżeli w pozycji ukrzyżowanego, a przybity do ściany Ellis polecił Billy'emu Bibbitowi, żeby został „rybitwą mężów i niewiast” (podobne życzenie wyraził Jezus Chrystus w trakcie rozmowy ze świętym Piotrem). W powieści pojawia się motyw Ostatniej Wierzy (niezapomniana popijawa w szpitalu psychiatrycznym), zdrady Judasza (Billy Bibbit wydał McMurphy'ego w ręce Wielkiej Oddziałowej), pozostawienia

Króla na pastwę losu, aż w końcu męczeństwa, śmierci, moralnego zwycięstwa i głoszenia Dobrej Nowiny.

Przyjrzyjmy się niezwykle ważnej scenie, jaką była wyprawa na ryby, zorganizowana przez McMurphy'ego. Główny bohater zabral na nią swoich „dwunastu apostołów”... Jakkolwiek by na to nie spojrzeć, jeden z „uczniów” (Candy) okazał się kobietą!

Nie, nie mam zamiaru tworzyć kolejnej podróbki *Kodu Leonarda da Vinci*, chociaż *Lot...* powstał na długo przed opublikowaniem powieści Dana Browna. Oczywiście, sympatyczna Candy była ulubienicą, wręcz kochanką McMurphy'ego, ale nie oznacza to, iż wpadliśmy na trop Świętego Graala. Bardziej interesuje mnie podobieństwo do pewnego fragmentu Pisma Świętego...

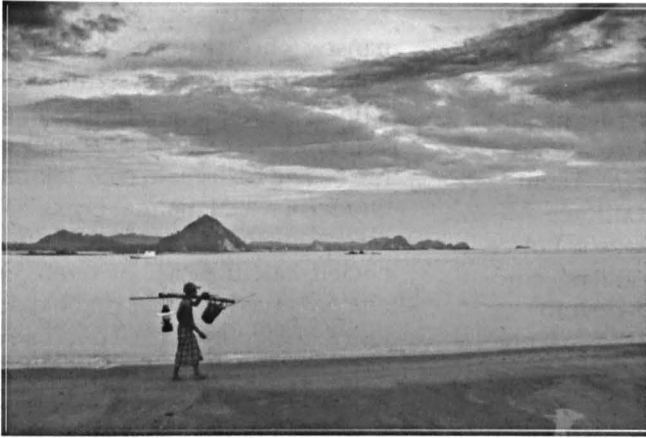
Podczas sztormu apostołowie obawiali się, że nawet obecność Chrystusa nie zdoła ich uratować. Jezus był później bardzo niezadowolony z płytkiej wiary swych uczniów. Natomiast McMurphy śmiał się ze swoich niezdarnych kolegów (i koleżanki!), zmagających się z ogromną rybą i wzywających go na pomoc. Ciekawa scena.

Należy pamiętać, iż ryba stanowi symbol chrześcijaństwa. Jeśli jednak Wielmożni Państwo wolą szukać Świętego Graala w „kukulczym gnieździe”, życzę im powodzenia oraz niezapomnianych wrażeń. Kukulki nie zakładają gniazd.





MAGDALENA RACZKO-PIETRASZEK



Zdjęcie Lecha (1)

Między dniem
A cieniem nocy,
Między zgasłą lampą
A przeznaczeniem,
Człowiek
Samotny wędrowca.

Zdjęcie Lecha (2)

Słabość i siła
Tak samo
Zaciskają palce
Na szorstkim
Pniu drzewa.



Zdjęcie Lecha (3)

I choć powstanie
Tylko jedna fala
Ma moc
Obudzić światło.



ARTUR ZIOŃTEK

ZAKORZENIENIE.

PAMIĘĆ/POLITYKA KULTUROWA I HISTORYCZNA

Obrazek pierwszy - niedziela

W niedzielę 17 sierpnia późnym wieczorem wracałem do domu zmęczony, ale spełniony po siedleckim koncercie Lao Che. Na chwilę przed jego rozpoczęciem brałem udział w radiowej dyskusji o polityce historycznej. Jak jest realizowana w Polsce (jeśli wogóle), a jak w innych krajach europejskich? W jaki sposób odpowiednio (bądź nie) prowadzona jest w stanie wpłynąć na tworzenie aktualnego obrazu danego kraju i czy ma on wpływ na jego pozycję w różnorodnych negocjacjach na arenie międzynarodowej?

Konstatacje były trzy. Po pierwsze primo, że wpływ taki jest oczywisty, po drugie primo, że zmieniająca się wraz z kolejnymi rządami polska polityka historyczna jest bardziej historyczna i przypomina Rejtana drącego szaty, i w końcu po trzecie primo,

że zacząć by trzeba, wzorem innych państw (choćby Rosja, Niemcy, Izrael), od odpowiedzialnego i systematycznego wdrażania jej w nasz system edukacyjny. „Nierozumiejące” społeczeństwo nie będzie rozumiało o co, tak naprawdę, chodzi, a więc i mandat poparcia w tej kwestii nie będzie taki, jak byśmy tego chcieli. Zatem zacząć by trzeba od, z ducha pozytywistycznej, pracy u podstaw. Jeśli jednak następujące po sobie rządy będą, wzorem swoich poprzedników, skupiać się na ideologizacji to staniemy w martwym punkcie. „My - Naród” jesteśmy bowiem podatni na popadanie w skrajności, toteż granice między kulturą a jej brakiem, religią a sektą, patriotyzmem a bojówkarskim nacjonalizmem bywają niestety płynne. Tym bardziej więc poszczególne etapy edukacji humanistycznej winny iść ku wdrażaniu potrzeby poczu-



Radosław Dręzek

cia „zakorzenienia” - kategorii duchowej, którą tak kapitalnie opisała Simone Weil. Niestety, ze względu na brak takiego stanu rzeczy, moja droga na rzeczony koncert Lao Che trwała 23 lata, tyle mniej więcej ile wciąż trwający immanentny proces nauczania.

Obrazek drugi - thriller edukacyjny

Nieistniejący już system edukacyjny polskiego szkolnictwa, kształcił wszechstronnie zahaczając wszystkie, chyba, możliwe dziedziny wiedzy. Kształcił... a właściwie miał kształcić, bo, niestety, ze mną i dużą częścią moich znajomych ta sztuczka się nie udała. Mniejsza o braki w naukach ścisłych, do których nigdy głowy nie miałem. Łapie mnie jednak zakłopotanie, gdy wspomnę - już jako pracownik akademicki - to, co wynikało z przedmiotów humanistycznych. Z tekstów kultury - po szkole podstawowej - zapamiętałem jedynie demoniczne fragmenty *I Dörrgubbens hall* Edwarda Griega (z muzyki do dramatu Ibsena *Peer Gynt*), do których kazano oglądać ponure mazy z podręcznika do plastyki. Z języka polskiego - nic, z historii zaś - nauczyciela, który często nosił przyciemniane okulary (chęcią kamuflażu skutków „gorączki sobotniej nocy”) i zamaszystym ruchem wzywał do odpowiedzi. Można było nie wiedzieć nic, oby podnosić rękę, gdy pytał innych. Można było - więc wzorowo nic nie wiedziałem. Potem już tylko postępowało. Szok nastąpił na studiach. Szok wywołany rodzącą się pasją, chęcią i potrzebą „wiedzenia” a brakiem ogólnego obycia kulturowego i choćby namiastki orientowania się w temacie. „Omnes homines natura scire desiderant” - zapisał Arystoteles na wstępie swej *Metafizyki*. Zdanie to stało się w jakiś sposób dewizą bycia. Nakazało zacząć od początku.

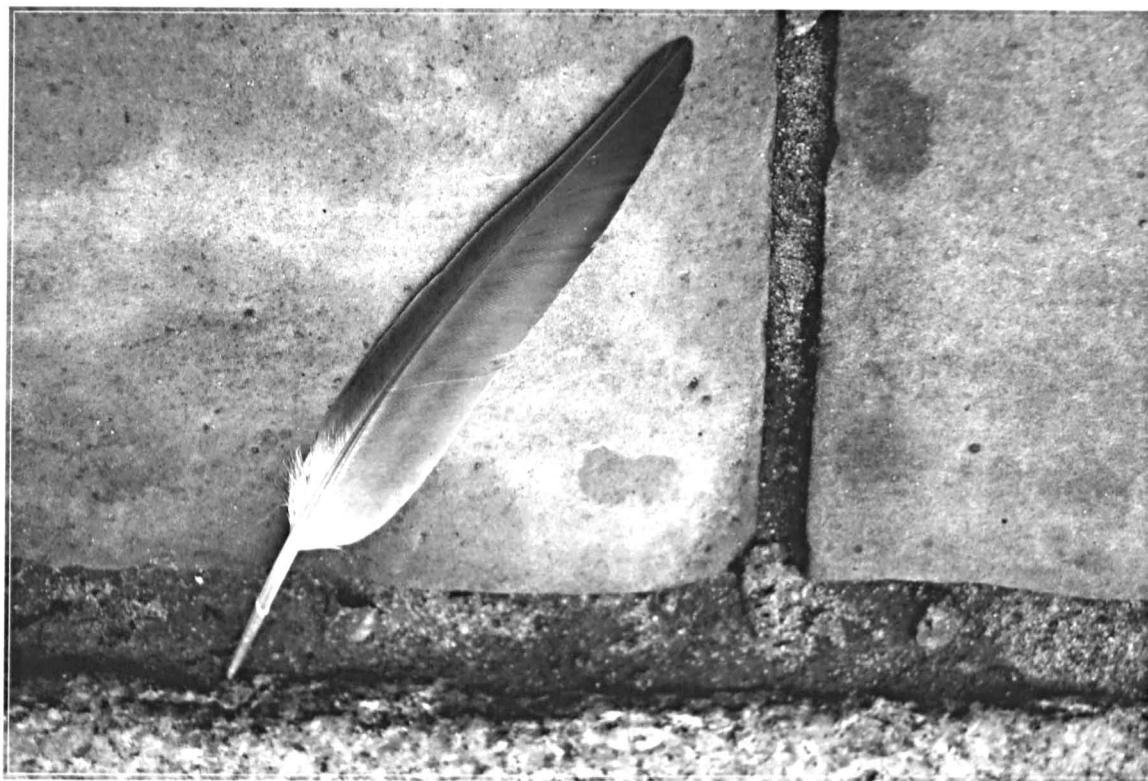
Obrazek trzeci - obchody

Szczerze mówiąc, jeszcze do niedawna, historia Polski po 1939 roku, zwłaszcza zaś same czasy II wojny światowej, jawiły mi się

jako piekielnie nudny temat. Wszak wszystko zostało już łopatologicznie wyłożone i zawsze w ten sam sposób. Dramaty jednostek pomijano kosztem tworzenia - w myśl Wielkiego Statystyka - tabel i różnej maści zestawień. Nie było więc historii ludzi, a bardziej historia ich wyposażenia. Im więcej tabel, tym bardziej naukowo. Przy okazji zaś obchodów Powstania Warszawskiego, dziennikarze, w dużej części przecież stymulujący zachowania swoich odbiorców, spekulowali czy Schroeder przeprosi, czy nie przeprosi. Bo właśnie wokół tego magicznego słowa kręciła się tzw. polityka historyczna poszczególnych państw. Niemcy mieli przeprosić za wojnę, Rosjanie za Katyń, Polacy za Jedwabne i wypędzenia, Żydzi za czynny udział w strukturach bezpieczeństwa pierwszych lat powojennych, a Kościół Katolicki za inkwizycję. Wszyscy chcieli być przeproszeni, nikt nie chciał przepraszać. Ówczesny kanclerz Niemiec wprawdzie przeprosił, ale zarzucano, że to i tak nie to samo, co uczyniony wcześniej gest Willy Brandta, więc się nie liczy. Same przeprosiny niewiele też zmieniły w świadomości narodowej i historycznej Polaków. Zaistniała raczej tylko dziwna radość, że w końcu ktoś nas przeprosił, co wpisywało się w ogólny trend europejski.

Jednak w ramach tychże obchodów wyemitowany został przez TVP również koncert plockiego zespołu Lao Che z Muzeum Powstania Warszawskiego z czerwca 2005 r. Hałas, huk, wrzask, a w tle fragmenty oryginalnych przemówień, emocje, krzyki powstańców i prośba o wodę... Trudno było przełknąć ślinę.

W tym samym mniej więcej czasie trafiłem na popularnie ujęty album stanowiący dopełnienie prac siedleckiego regionalisty dotyczących wojny. Współczesnym zdjęciom kombatanów towarzyszył zwięzły opis ich wojennych zmagañ. I tu coś w gardle rośło. „Tłum” przestał być bezimienny. Odzyskał twarz. Te dwie sytuacje obcowania z dwoma różnymi tekstami kultury wywołały kolejny szok - twarze żywych ludzi zamiast tabel, konkretne jednostki tworzące zbiorowość, a nie zbiorowość sama w sobie, emocje - zamiast sztamowego wywodu zza biurka.



📷 Marek Jawoszek

Obrazek czwarty - Lao Che

Zespół powstał w roku 1999, w trzy lata później ukazała się na rynku muzycznym ich debiutancka płyta *Gusła*. Było to dzieło z konceptem. Teksty i muzyka - wysmakowane i skrupulatnie przemyślane od początku do końca. Słowa poszczególnych utworów w różnoraki sposób odnosiły się do naszych wierzeń ludowych - tyleż samo sięgających podań średniowiecza, co i czwartej księgi *Dziadów* Mickiewicza. Podobnie będzie na trzecim albumie - *Gospel*. Nawiązując do definicji tytułowego słowa, należy zaznaczyć, że muzyka w żaden sposób nie nawiązuje oczywiście do rytualności, czy obrzędowości, ale już warstwa tekstowa, jak najbardziej, opowiada, miejscami personalistycznie analizuje i w tym duchu interpretuje religię chrześcijańską, która znowuż od zarania jest najważniejszym kontekstem polskiej kultury.

Jednak tym, co dla niniejszego wywodu jest najważniejsze to *Powstanie Warszawskie*, płyta wydana w marcu 2005 r. Zabrakło jednak na opakowaniu ostrzeżenia. Tak,

jak na większości wydawnictw hip-hopowych widnieje napis ostrzegający, że wydawnictwo zawiera niecenzuralne słowa, tak, na tym, winno być ostrzeżenie, że nie poleca się go ludziom o słabym sercu. Płyta składa się bowiem z 10 utworów, które miażdżą słuchacza dźwiękami. Nie samą muzyką, nie samymi tekstami, a tym znakomitym połączeniem. Warstwa słowna to fragmenty - jak już było wspomniane - oryginalnych przemówień, inscenizowane okrzyki powstańców i audycji radiowych oraz same teksty utworów, na które w dużej części składają się zaczerpnięcia z oryginalnej poezji powstańczej. I choć słychać w nich czasem brutalne „pozdrowienia” Niemców czy Rosjan, to jednak daleko im do rozsiewania jakiegokolwiek nienawiści (jak było to niekiedy poczytywane). W szale faktycznej wojennej zawieruchy, gdy emocje i adrenalina sięgają zenitu - a oddanie tego było głównym celem płyty - zapewne pojawiały się mniej wysmakowane słowa. Klimatu całości dopełnia książeczka dołączona do płyty, szerzej omawiająca czego dotyczy poszczególne utwory. Ważne to o tyle, że

na przykład w *Przebiegu do Śródmieścia* nie ma miejsca przecież na opowiadanie kim był Andrzej „Morro” Romocki, a jedynie na oddanie tego, co dziać się mogło, gdy jego oddział, udając Niemców, przechodził właśnie obok wojsk nieprzyjacielskich do Śródmieścia, na co znowuż skonsternowane polskie oddziały opowiadały ogniem.

Nie będzie przesada, jeśli padnie tu stwierdzenie, że tą jedną płytą Lao Che w tysiącach ludzi (nie tylko młodzieży) rozbudził świadomość patriotyczną i historyczną na tyle mocno, na ile nie udało się to żadnym systemom edukacyjnym ostatnich dziesięcioleci.

Obrazek piąty - na zakończenie

W czasie, gdy zawirowania wokół szkolnictwa rodziły coraz to nowe inicjatywy Wielkiego Ministra o mundurkach, monitoringu, gettach, czy obozach dla „niegodnych”, powstawały pomysły na *Powstanie Warszawskie* i kilka innych projektów, które zaistniały między innymi za sprawą tych, którzy mogliby się - zdaniem Ministra - kwalifikować do „obozów”.

1 sierpnia dane mi było w Giżycku zaznać innego koncertu. Formacje hip-hopowe Molesta i Sokół & Pono zagrały w ramach popularnego festiwalu tego rodzaju muzyki. Muzyki, która za sprawą „arcydzieła” Sylwestra Latkowskiego *Blokersi* na długo będzie utożsamiana z bandytyzmem i przestępstwami. Obie wymienione formacje pochodzą z Warszawy. W połowie występu Molesty, Włodi poprosił „nie o minutę, ale chociaż pół minuty ciszy za powstańców”. Kolejny duet zaś zagrał w tej samej intencji *Patriotę* (polecam znakomity teledysk). „Nie jeden, nie raz nasz kraj próbował zniszczyć, nie jeden raz powstałiśmy ze zgliszczy. Teraz nasz czas nadszedł korona błyszczy, a ja z dumą na nią patrzę więc wytrzymaj lży - to ważne” - słowa płynące ze sceny skandowały tłumy stojących przed nią ludzi. A wspomnieć tu jeszcze muszę inny projekt upamiętniający toż właśnie powstanie - 1 sierpnia wyśpiewany przez hip-hopowe WWO i starą warszawską Kapelę Czerniakowską.

Obrazek szósty - już naprawdę na koniec

Przed jednymi z ostatnich wyborów parlamentarnych jeden z czołowych polityków - dziś już tylko smętnie błakający się w swym kapeluszu po Krakowie - na pytanie o Polski Instytut Sztuki Filmowej uśmiechnął się z przekąsem i stwierdził, że to mało istotne, ważna jest bowiem gospodarka. Takie przeświadczenie towarzyszy, niestety, wielu włodarzom, którzy traktują kulturę i sztukę jak zło konieczne. Gdyby tym czasem nie rzucać się rejtanowsko, a spojrzeć na to, czym tak naprawdę dysponujemy, można by „ugrać więcej”. No i nie mieć tych siniaków po rzutach...



📷 Krzysztof anin Kuzko



ANNA BUCHALSKA

Z marazmu niewygodnej barwy dnia
 Najzwyklejszej prozy
 Co każdy zna jej smak
 Wyłować można zwycięstwo
 za jeden oddech
 Spoza skorupki jajek wystawić łepiek
 Ugryźć smak którego nieliczni znają
 Nieliczni co czekać muszą na cały świat
 A tym czasem życie
 powinno być w nas

bez oczekiwania

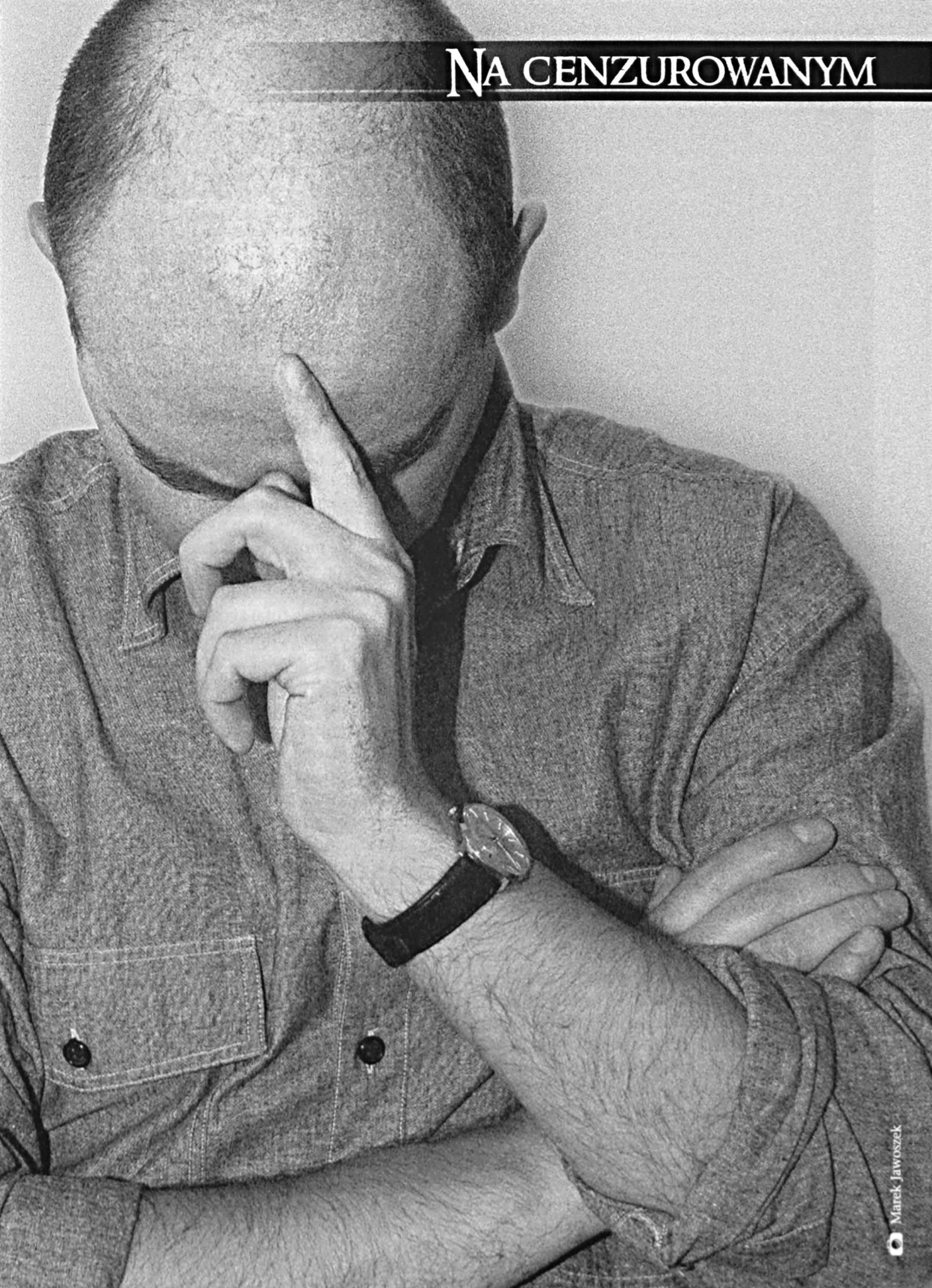
zagotują nas na twardo
 w skorupkach od jajek
 byśmy nigdy już
 nie wystawiali łepka
 prosząc okiem mgły
 o nadzieję
 Łepiek łatwo jest odgryźć
 a później nie wrócić już w azyl

nasza pokusa i lęk

Gwieździsta noc
 powiedział jeden z nich
 Przecież dziś nie widać gwiazd
 - odezwał się drugi
 Filozofia od lat karmi rozważaniami
 jak kto woli
 więc jak kto chce może swobodnie pisać
 wyrażać siebie w tym co istnieje a co nie
 Wszystko opiera się na względności
 Zaufaniu wnętrza aby po prostu
 Przestało się lękać

Kapała krew z nosa
 nie to nie była krew
 serce pękło od zapachu jaśminu
 przesadnie ciepło było
 zakwitło drzewo
 odpoczynek
 skończyła się ścieżka i szpaler drzew
 Była to niebezpieczna podróż
 w rozkwitanie
 Jak na młodego podziela
 Taką serce obrośnie porą roku

NA CENZUROWANYM



ANNA NOGAJ

SŁODKO-GORZKI MELANŻ EWY KLAJMAN-GOMOLIŃSKIEJ

Muszę przyznać, że tytuł zbioru *W samym miąższu pomarańczy* Ewy Klajman-Gomolińskiej na początku mocno mnie zaintrygował. Nie znając dotychczasowej twórczości autorki mogłam właśnie na podstawie strony tytułowej domyslać się (co jak wiadomo nie jest dobrą praktyką), jakiej materii teksty zamieściła w swojej nowej książce. Niestety, moje domniemania tym razem nie sprawdziły się i zostałam wyprowadzona na manowce, myśląc, iż lektura ta pobiegnie innym torem.

Jeżeli miałabym zamknąć recenzję w jednym zdaniu, powiedziałabym tylko tyle, iż smakując poezji, którą zaaplikowano nam w tym tomiku, możemy czuć na podniebieniu niesamowitą błogość, albo też z dezaprobatą wykrzywiać usta. No cóż, w samym miąższu pomarańczy nie zawsze musi być słodko, ale i bywa czasami cierpko. Taki więc słodko-gorzki koktajl przyjdzie wypić tym, którzy zdecydują się udać w podróż traktem wydeptanym stopami Ewy Klajman-Gomolińskiej. A więc ruszajmy.

Pierwsza refleksja nasuwająca się już podczas lektury brzmi - za dużo filozofowania, emfazy i patosu. Bardzo często trudno przedostać się przez wierzchnią warstwę wiersza do tego, co w nim istotne, do jego przekazu. Aby to uczynić należy słowo po słowie, wers po wersie rozkładać go na czynniki pierwsze, a na końcu poukładać raz jeszcze w jedną całość. Oczywiście z taką żmudną pracą nie będziemy mieli do czynienia przy każdym tekście, lub inaczej, nie każdy miał je będzie, ale problemy mogą się pojawić. Wszystko zależy od erudycji czytelnika i stopnia świadomości kulturalno-artystycznej, a już na pewno od inklinacji do tego typu poezji, bardzo surowej i wymagającej, pozbawionej trawiącego ją od środka ognia. Pierwszy wiersz *Biedronka na terakocie* nie zapowiada tego

typu problemów, ba, wręcz przeciwnie, napisany jest lekko i sugestywnie. I wszystko byłoby *in plus*, gdyby nie pointa, niezbyt udana, nie pasująca do całości. Otóż tytułowe stworzonko kończy swój żywot pod męskim kapciem i staje się „etiudą rozsmazanej plamy”. Można by zakończyć nadać równie dramatyczny wydźwięk ubierając je jednak w inną słowną otoczkę.

Dalej autorka niebezpiecznie nurza się w kulturalnych kontekstach, mitologicznych odniesieniach itepe itede, co razi sztucnością i nadaje tekstom niepotrzebnego koturnu. Nie można powiedzieć, że wiersze te napisane są źle, bo tak nie jest, ale coś po formie, gdy wewnątrz ziele pustką i chłodem. Brakuje tutaj życia i wewnętrznej energii oraz odpowiedzi na zasadnicze pytanie - jak boli cię człowiek, jak odczuwasz świat? Toteż mniej wymagającym czytelnikom, szukającym w poezji raczej metafizycznego dreszczyku, trudno będzie się wspiąć na wyżyny poetyckiego Parnasu, aby podłuszczać co też takiego szepta zadumana Cartimandua, która „przypomina o / wielkich przyprawach zadumania”, czy Panny z Awinionu bijące brawa „kolumną o bryłę / formą o materię”. Takie wiersze są potrzebne, owszem, ale w tym zbiorze zdecydowanie przeważają, stanowią epicentrum głównej myśli poetki. Trudno przez to sprecyzować rysunek podmiotu lirycznego, który stoi gdzieś obok i sucho relacjonuje (za)słyszane fakty beznamietnym tonem obserwatora. Dzięki zastosowaniu takiej praktyki poetyckiej przekaz zostaje odarty ze szczerości i intymności, często razi sztucnością. No dobrze. Ale nie można naświetlać jedynie tego, co razi w w(i)ers(z)ach pani Ewy, bo już nawet „Aoidos milknie zażenowaniem” (*Mitologia kubizmu*). Jest tu kilka tekstów wyjątkowo pięknych, do których

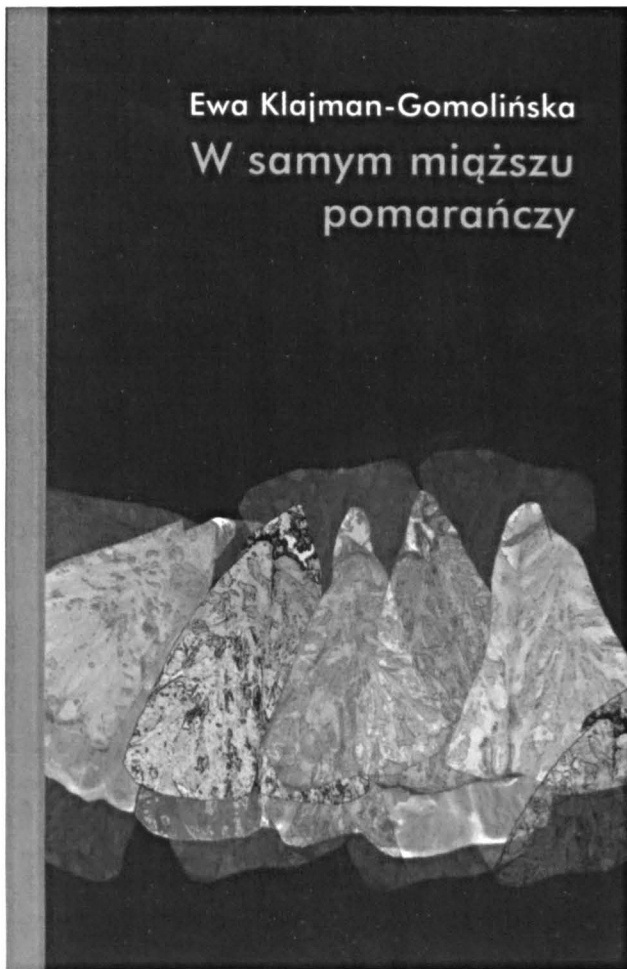
się wraca i wraca, wciąż odkrywając ich głębie i delikatność. W *Bretonskich mogiłach* np. aspekty kulturalne są umiejętnie wplecione i ładnie komponują z całością, podsycając baśniowość tekstu. Dużo tu dobrych słownych zestawień, światła, koloru, co składa się na niezwykle subtelny i wyrazisty obraz.

Kolejny wiersz-perłka to *Ikariada*, krótki, ale brzemienisty semantycznie i frapujący. Można by przypiąć mu etykietkę maksimum treści i minimum słów, dodając - pełnia estetycznej satysfakcji. Natomiast w mistrzowsko skrojonym liryku *Sopot* podmiot liryczny zdecydowanie ukazuje swoją twarz, nie ukrywając się już za słowem. Widzimy go zatopionego w kontemplacji morskiego pejzażu oraz poddającego się głębszej refleksji egzystencjalnej rodzącej się z wyjątkowego spotkania z naturą. „Morze ma futro / Kota perskiego (...) / Chciałoby się zanurzyć / W otchłani puchu / Ale strach / Że jego sól / Poprzeplata się / Z moimi rękami”. Dostrzegamy tu przede wszystkim podziw nad pięknem przyrody, ale i obawę przed chwilowym zjednoczeniem z nią, lęk o swoje małe „ja” wobec jej ogromu i mocy żywiołu.

Erupcję uczuć może wywołać wiersz *Stoję, stoję...*, utkany z materii nad wyraz delikatnej, z wersum prowadzonym spokojnie od początku do końca i rezerwuarem plastycznych obrazów. To uchwycona w kadrze przemieniających się sytuacji jedna z chwil, budząca do głębszych emocji. „Stoję obok ciebie / Rozsypane zielone kamienie tworzą krzyż (...) Tę się, płonę i gasnę”. I ja, zadumana, stoję i płonę zbliżając się w końcu do ognia uczuć bohaterki tegoż zbioru.

Na szczególną uwagę zasługuje wiersz *Baw się ze mną*, którego dramaturgię wyznacza dążenie podmiotu lirycznego do spotkania z drugim człowiekiem, do koincydencji z nim. Odczytamy tu m.in. taki passus: „Otwórz mi drzwi / Wpuść mnie do środka, / Wpuść mnie do siebie”. Chęć wypełnienia w sobie pustki wywołanej samotnością, dotarcia do kogoś, kto szczelnie ukryty przed światem, przed ludźmi, z każdym

Ewa Klajman-Gomolińska W samym mięszu pomarańczy



wersem będzie się pogłębiać. W drugiej zwrotce dramatyczne wołanie za człowiekiem stanie się już niemal błaganiem o możliwość kontaktu. Pointa natomiast jest już (nie)oczekiwanym bardzo mocnym akcentem: „Będziemy rzucać w siebie klockami”(…) / Do pierwszego otarcia naskórka, guza na czołe, zakrwawionego kolana”. Dramatyczna jest ta wizja, ale bardzo trafnie diagnozująca kondycję człowieka żyjącego w XXI wieku.

Kolejne żądanie zwrócenia na siebie uwagi pojawia się w wierszu *Tylko mnie dostrzeż!* Skierowane tym razem do istoty transcendentnej - anioła - staje się w pewnym sensie modlitwą, ale pokorną i cichą. Podmiot przyznaje się tu do swojej małości, ludzkich ograniczeń względem niebiańskiego wysłannika „Tak pięknie śpiewasz / Ale ja wcale cię nie mogę słuchać” - i dalej - „Podążać za tobą się nie da /

Bo tchu z piersi ubywa z wiekiem". Rysuje nieprzekraczalną granicę między sobą a Nim, choć z drugiej strony wyraża pragnienie spotkania, choćby miało ono być tylko przypieczętowane wymianą spojrzeń.

Dla wymienionych powyżej tekstów, oraz kilku innych, jak choćby *Marzyciel getta*, ***(*Moje niebo powstało z płomieni*) czy *** (*Jak powiedzieć tęsknię*) naprawdę warto sięgnąć po ten tomik. Reszta już zdecydowanie nie dla tych, którzy poszukują w poezji spokoju, emocji i pulsującego życia ukrytego pod naskórkiem nie wydumanych środków artystycznych. Tym czytelnikom, którzy zdecydują się wybrać w podróż z Ewą Klajman-Gomolińską grożą

(nie)przypadkowe potknięcia o wyrastające na ich drodze raz po raz znaki zapytania. Rozmowy z Heglem czy z Nietschem po chwili nużą niosąc ze sobą jedynie wartości estetyczne, gubiąc, niestety, po drodze wartości etyczne. A jeśli takowe są, to szczelnie ukryte pod palimpsestową warstwą wersów i trudno je wyłuskać, a tym bardziej poczuć. Jednak zgrabnie je omijając można wejść w krainy „żywych” i zaczerpnąć świeżego lirycznego oddechu. No, chyba, że ktoś woli stoicką *apathei*.

Ewa Klajman-Gomolińska, *W samym miąższu pomarańczy*,
Lublin 2007, s. 64.



DAREK DOROSZ

Los(t)

Programista się nie spisał
Wirusy skaziły program
Nie uzdrowiła Miłość
Zaraza innego systemu
Error !!!
Wiara...
Zły login
Error !!!
Przyjaźń
Szybko rozłączyła się sieć
www
I Escape
W-inny świat

Późnojesienna para

Pośród preferowanych póz
pełnosprawnych piękniśców
Podąża para przygarbionych partnerów
Pogodne profile
Pomimo pięt przejeść
Powolny pochód
Pomimo pędu przechodniów
Parada prawdy
Prawda ?...

Przyjaźń

Poznawszy parę pięknych panien
Poczuwam przekleństwo...
Pęczki posiadanych przywołują pytania:
Przeklnę przyszłe pretendenci przyjaźni ?
Ponownie prawdziwie pokocham ?
Przyjaźń potrzebniejsza ?
Popsuta pikawka po przejściach... ?

MARIUSZ KARGUL

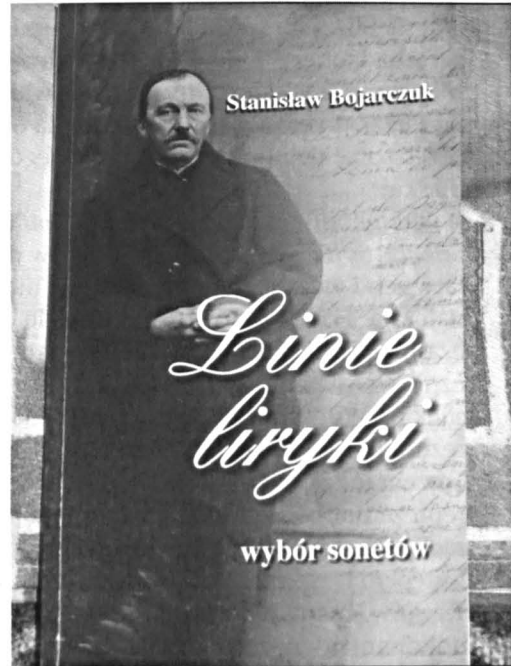
LEPIEJ PÓŹNO NIŻ...

„Stoję na stacji”.
Lokomotywa

Sporadyczne informacje i próbki twórczości Stanisława Bojarczuka zaczęły pojawiać się w prasie lokalnej i regionalnej za sprawą Józefa Nikodema Kłosowskiego i Józefa Czechowicza jeszcze w latach 20. i 30. minionego stulecia. Nie wywołało to jednak żadnego oddźwięku w środowisku literackim, czy też szerszego zainteresowania osobą Petrarkowego epigona. Z jednej strony gniotła go chłopska dola, a z drugiej ciągnęło się za nim, niczym jesienne mgły, odium niebytu artystycznego. Sytuacja owa trwała do końca nie tak znowu poetycznego życia.

Autor *Blasków i dźwięków* oraz *Linii liryki* nie znał zapewne pojęcia autokreacji. Nie było go komu promować, ani tym bardziej czuć nad jakością PR-u. Zaiste trudno wyobrazić sobie Bojarczuka zabiegającego o łaskę i względy jemu współczesnych. To bardziej trąciło stajnię Augiasza niż Olimpem, któremu poświęcił tyle uwagi w swoich sonetach. Nieodrodny syn wieku XIX świadomie wybrał arcytrudną sztukę tworzenia właśnie w tym gatunku literackim. Wyszedł z założenia, że skoro ma zacząć w ogóle pisać, powinien naśladować wzorce pozostawione przez wielkich mistrzów antyku i renesansu. Nie chciał w jakikolwiek sposób „eksperymentować”. A miał przecież wielką szansę zainicjowania na przykład awangardowego lub wręcz futurystycznego kierunku w poezji ludowej. Nie zainteresowała go bliżej jednak żadna z tych opcji.

Być może i za bardzo nie było dla kogo czynić podobnych literackich wolt w ówczesnym nad wyraz „partykularnym” Krasnymstawie? Dzisiaj poeta pokroju autora 500 „syriuszek” (czyli podwójnych sonetów), miałby do udźwignięcia na swych barkach całkiem uzasadnioną misję zwołania okolicznej gawiedzi na miejski rynek - mniejsza o to, że w trakcie jego rewitalizacji, w celu wykonania jakiegoś performance'u. Chociażby rytualnego



pokrojenia własnych wierszy kozikiem, a następnie wrzucenia uzyskanych skrawków do chłopskiego kapelusza, skąd wyciągałaby je nadobna krasula. Dzięki temu z jednego sonetu dałoby się pozyskać surowiec na kilka niezłych haiku. O ile mi wiadomo, Bojarczuk nie stosował tego typu socjotechnik, ale sam pomyślał jak najbardziej nadaje się do praktycznego zastosowania.

Jakieś drobne wyrazy uznania i gratyfikacje, które spłynęły na Bojarczuka tuż przed jego śmiercią, dowiodły tylko po raz kolejny braku wyczucia i rozeznania sytuacji przez czynniki odpowiedzialne za sprawę kultury. Gdyby nie praca wykonana przez Józefa N. Kłosowskiego i Zbigniewa Stepka, zapewne nigdy nie doszłoby do druku pierwszego (i przez 51 lat jedyne!) wyboru sonetów krasnostawskiego samouka. Przez te wszystkie lata należało mieć całkiem uzasadnione przekonanie, że w całej sprawie nie „wypłynie” już na powierzchnię nic nowego.

Owszem, od czasu do czasu, napisano coś o

intrygującym oryginale z zapomnianej przez Boga i krytyków miłośnicy, lecz na tym właściwie poprzestawano. Debiutanckie *Blaski i dźwięki* przeszły niemal bezdźwięcznie przed oczyma potencjalnych czytelników. Dopiero na początku lat 80. XX wieku dr Józef Zięba z Lublina przyjrzał się bliżej spuściźnie po Bojarczuku zgromadzonej w Oddziale Literackim Muzeum Lubelskiego im. J. Czechowicza. Przyjrzał, przejrzał i stwierdził, że ma oto przed sobą klejnot literacki pierwszego blasku!

Praca nad rękopisami autora *Burzy*, *Sielanek*, *Świtu* i setek innych sonetów do łatwych i wdzięcznych bynajmniej nie należała. Trzeba było poświęcić wiele czasu i cierpliwości na ustalenie ostatecznej wersji wielu utworów. Ale cały wysiłek przyniósł nadspodziewanie owocne rezultaty. Doktorowi J. Ziębie udało się „przebrać” z nich około 300 najbardziej reprezentatywnych i wartościowych literacko wierszy. Poprzedził je obszernym wstępem i „egzegezą” najważniejszych wątków, charakteryzujących wyjątkowe dokonania twórcze quasi-dziwaka znad „Wielkiego Dołu”. Po tych zabiegach pozostał jeszcze tylko jeden „drobny” problem - wydanie całego zbioru, zresztą pod tytułem zaproponowanym jeszcze za życia przez samego Bojarczuka, tj. *Linii liryki*.

No i tutaj zaczęła się prawdziwa batalia o doprowadzenie całej historii do szczęśliwego końca. Powszechna inercja, która otoczyła niewidzialnym woalem Bojarczuka, jego sonety i pracę Józefa Zięby, poczęła z czasem przypominać klątwę jakiegoś faraona lub urok rzucony przez ociemniałego aparaczyka. A wystarczyło choćby tylko na chwilę wczytać się w następujące słowa, by przejrzeć nieco na oczy: „Jam mocarny, demonom swą moc przeciwstawię. / Nie mam współzawodnika tu, w Szczeka-rzewstawie, / a ślad mego istnienia w sonetach zostawię” (Świt).

Przez długie lata nie pomagały żadne zabiegi mające na celu uświadomienie lokalnym władzom i opinii publicznej doniosłości danego zagadnienia. Jakoś nikomu nie mogło przyjść do głowy, że na Bojarczuku

można zrobić po prostu „dobry interes” dla miasta i okolicy (parafrazując słowa Andrzeja D. Misiury). W lutym 2007 roku dr J. Zięba złożył swój bezcenny maszynopis w depozycie WBP im. H. Łopacińskiego w Lublinie. Wydawało się, że wszystko zostało stracone i pogrzebane. Znalazła się jednak grupka zapaleńców, którzy nie mogli pogodzić się z takim właśnie obrotem sprawy. Nie dysponując, co prawda, środkami na wydanie obszernej pracy lubelskiego literaturoznawcy, przedstawiciele krasnostawskiej Grupy Literackiej „A4” (P. Grądkowski, M. Jasińska, M. Kargul, D. Włodarczyk) wydali własnym sumptem drugi numer kwartalnika „Poetyckie Łany”. Monografia została poświęcona życiu i twórczości bohatera niniejszej historii. Promocja pisma miała miejsce 8 maja ub. roku w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie. Nakład wyniósł 300 egzemplarzy i do czytelników trafił za darmo, co z pewnością wpłynęło na podniesienie stanu świadomości o tym kim był i co robił tutaj ten nieco dziwny pan od „pasania krów i pisania sonetów”.

Musiałoby jeszcze upłynąć trochę wody w Wieprzu, aby światło dzienne ujrzały w końcu *Linie liryki (wybór sonetów)*. Fakt, że jego autor ma w Krasnymstawie swoją ulicę, ale jak na twórcę tego kalibru, to chyba jednak za mało. Swego czasu na sesji Rady Miasta padł pomysł, aby w rewitalizowanym obecnie Rynku ustawić „ławeczkę Bojarczuka”. Pomysł ze wszech miar godny i chwalebny, lecz w żaden sposób przez lokalnych włodarzy nie podtrzymany. Nałęczów dysponuje „ławeczką Prusa”, a Sanok posiada podobny „mebel” ze starym dobrym wojakiem Szwejkem. Są też w Krasnymstawie dwie biblioteki - jak na razie „beziimienne”, czyli pozostające bez jakiegoś patrona... Już dłużej nie będę głądził i przeciągał, powiem tylko tyle - dość słów, do książki Panowie i Panie!

Stanisław Bojarczuk, *Linie liryki (wybór sonetów)*. Z rękopisów wydobył, opracował i wstępem opatrzył Józef Zięba. Miejska Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie i Wyd. Polihymnia, Krasnostaw-Lublin 2008, ss. 206 (czarno-białe ilustracje).





MAGDA GAŁKOWSKA

Magdalena

prababci

wysłaś jak się wychodzi ten ostatni raz
za oknem ptaki dawały sygnał do odlotu
została jeszcze chwila a telefon milczał

kobieta która kupowała ci gazety marzła
na balkonie nad kawą i pytała wzrokiem
zatrzymał się na mnie jeden długi wdech

zaciągany jak oczko w pończosze potem cisza
aż stało się jasne że wszystkie sukienki
bielizna i chustki nie są już potrzebne

historie opowiadane z kubkiem słabej kawy
szydełko w rękach cienkie nitki żyłek
powiązane w kształty wzorem twoich świętych

mówiłaś szczęściem dziecko będzie to co dasz
innym nigdy nie pozwól zapłakać po sobie
wiesz że to wszystko mamy zapisane

jak listę zakupów jak pierwsze literki
ułożone w opowieść o kocie i mleku
kołysankę śpiewaną z głową na poduszce

teraz tylko ja będę czytać z tablic
twoje imię i zmiatać żółte liście brzozy
w takim miejscu szumią jak te z wierszy

trzydzieści trzy

dziś pan przyszedł do mnie, mówił
więcej nie zatrujesz rzeki, od tego
są zakłady przemysłowe. produkują
plastyczne rurki. sztuczne włosy lalek

nie dają się uczesać. pokręcone w dotyku
jak szklana wata, jak pakuły. mówił
więcej nie zatrujesz powietrza, od tego
są zakłady chemiczne. blade twarze stażystów

łapią powietrze szeroko otwartymi ustami. dziś
pan przyszedł do mnie. nie wyjaśnił słowem
skąd wzięły się tkanki, mutacje. leczę rany
po wybuchu wystawiam na słońce, jak twarz.

BEATA MAGIER

Pisanie książek na tematy religijne w sposób dla czytelnika przystępny, a jednocześnie ciekawy i bez uproszczeń nie jest łatwe. Często literatura taka pełna jest pozycji schematycznych, nudnych, nazbyt „poważnych”, jednostronnych, a jednocześnie trudnych. Są jednak tacy, którym udało się przełamać ten stereotyp. Należy do nich angielski pisarz Gilbert Keith Chesterton (1874-1936), autor powieści, wierszy, nowel, esejów, rozpraw, a nawet sztuk teatralnych. Dzięki nowelom o przygodach księdza Browna obwołano go prezesem Detection Club - Klubu Pisarzy Detektywistycznych, do którego należały także takie sławy jak Agata Christie czy Doroty Sayers. Znany jest jednak głównie jako największy pisarz katolicki XX wieku. Papież Pius XI nazywał go „Obrońcą wiary

PIÓRO I KRZYŻ

katolickiej”. W grudniu 2006 roku rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny.

Co wyróżnia Chestertona z grona innych pisarzy tego nurtu? To on jako pierwszy złamał zasadę, że o religii wypada pisać tylko w sposób poważny. Ten głęboko wierzący człowiek nie był katolikiem z urodzenia. Oficjalnie przeszedł na katolicyzm w roku 1922 (a więc już w wieku dojrzałym), co było największym wydarzeniem religijnym ówczesnej Europy. Wyróżniał się bardzo żywym, przenikliwym umysłem i oryginalnością poglądów. W jego wykonaniu humor stał się narzędziem obrony religii, a nie, jak dotychczas, kpiny. Dzięki temu twórczość Chastertona często zaskakuje i pozwala spojrzeć na świat z innej perspektywy.

„Ja myślę, że Boga nie ma. Uważam, że to nie powinno nikogo obchodzić prócz mnie, no i Boga, jeśli istnieje... Ten młodzieniec z gór szkockich jest natomiast zdania, że to również jego sprawa. Dlatego najpierw wybił łaską szybę w mojej redakcji, a potem tą samą łaską usiłował złoć mi skórę. Oczywiście sprzeciwiłem się temu. Oświadczyłem, że jeśli już musimy się bić, powinniśmy obaj mieć kije w garści. Mój przeciwnik wniósł poprawkę do tego wniosku i zaproponował, żebyśmy obaj mieli w rękę stalowe kije. Policja z charakterystycznym brakiem rozsądku nie zgadza się na żaden z naszych wniosków. Skutek zaś jest taki, że wyslizgując się policji uganiamy po całym kraju (...)” - tak można byłoby ustami jednego z bohaterów książki G. K. Chestertona *Kula i krzyż* pokrótce przedstawić fabułę utworu. Zbiecie szyby i pojedynek stają się pretekstem do towarzyszenia zaciekłym przeciwnikom w ich ucieczce przez cały kraj przed policją, ale przede wszystkim do rozważań na temat istoty Boga i wiary, jak zwykle u Chestertona, napisanych ze zdrowym rozsądkiem, angielskim humorem, przy pełnej zaskakujących zwrotów akcji.

Czytelnik towarzyszy więc zajadłemu ateu-



szowi, redaktorowi „Ateisty”, Jamesowi Turnbullowi, i wychowanemu wśród szkockich gór żarliwemu katolikowi, Evanowi Maclanowi. Obaj chcą udowodnić swoje racje nawet kosztem życia. W tym celu jednoczą siły i ze szpadami w dłoniach szukają miejsca, gdzie w spokoju mogliby stoczyć swój pojedynek. Nie jest to łatwe, bo przeciwko sobie mają nie tylko policję i prasę, dla której historia ich pojedynku stała się tematem ważniejszym nawet niż wojna i umierający ludzie. Ale kiedy tylko stoją naprzeciw siebie, z żelazem w dłoni i mocnym przekonaniem o konieczności pokonania przeciwnika, zawsze wydarza się coś, co staje im na przeszkodzie. Dzięki temu przeżywają mnóstwo przygód, aby w końcu walkę zamienić w sojusz. Odkrywają, że jest coś, czego obaj nienawidzą bardziej niż kiedykolwiek nienawidzili siebie nawzajem.

Kula i krzyż, jak i inne dzieła Chestertona, napisana jest dla ludzi inteligentnych, ale lekko i dowcipnie, tak, że żaden katolik nie powinien mieć trudności z przeczytaniem tej pozycji. Dużym jej atutem, podobnie jak innych dzieł tego autora, jest umiejętność konstruowania zdań w taki

sposób, że brzmią jak aforyzmy. W 1967 roku PRL-owski Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk zablokował wydanie tej książki. W te wakacje ukazała się nakładem wydawnictwa Fronda, inaugurując nową serię wydawniczą „Powieści z krzyżykiem”, w bardzo wygodnej kieszonkowej wersji. Typowo to „frondowe” podejście do ewangelizacji, z możliwości której wydawnictwo nigdy nie rezygnuje, serwowanie ludziom Prawdy językiem, który rozumieją. Redakcja zapowiada rychłe ukazanie się kolejnych pozycji cyklu. W księgarniach wkrótce mają pojawić się najpierw kolejne dzieła Chestertona (*Człowiek, zwany Czwartkiem, Przygody księdza Browna*), a następnie książki innych uznanych pisarzy chrześcijańskich XIX i XX wieku. Chętni do przeczytania wartościowej literatury powinni sięgnąć po tę i inne pozycje z serii „Powieści z krzyżykiem”.

G. K. Chesterton, *Kula i krzyż*, Fronda, Warszawa 2008.



IZABELA KÓCZKODAJ

dzień-sen
sklejany z resztek dnia

wspominam:

znaliśmy się już trochę
byliśmy "przyjaciółmi"

tylko
świat nie zmieścił się do języka

ANNA NOGAJ

KRZYK STANISŁAWA ROGALI

Kolejną odsłoną twórczości prozatorskiej Stanisława Rogali jest książka *Nocny krzyk* zawierająca w sobie aż trzy gatunki literackie - opowiadanie, reportaż i dramat, co może zapowiadać interesującą czytelniczą przygodę. O tym, że tak jest naprawdę, można będzie się przekonać tylko w jeden sposób - sięgając po tę lekturę. Zrobią to ci, którzy śledzą artystyczne poczynania autora *Modlitwy o grzech*, natomiast czyniący to po raz pierwszy z pewnością nie będą żałować swojego wyboru. Ruszajmy więc, aby podejrzeć co też takiego przygotował dla swoich czytelników S. Rogala.

Na początku mamy krótkie opowiadanie *Nocny krzyk*, niespełna 6 stronicowe, ale semantycznie brzemienne i niezwykle frapujące. Do końca nie dowiemy się, w jakiej rzeczywistości przebywa nasz bohater, czy to jest senna wizja, realność a może świat wewnętrzny - pełen niewygasłych emocji, dawnych lęków czy zadomowionych na dobre obsesji. A może przestrzeń tego opowiadania rozpina się między tymi trzema płaszczyznami i płynnie przechodzi z jednej w drugą? Tego się nie dowiemy i fascynujące jest to, że każdy może inaczej odczytywać tę prozę, a nawet za każdym kolejnym czytaniem odkrywać nowe sensory i widzieć świat przedstawiony w odmiennych konfiguracjach i kontekstach.

Z pewnością dużą dawkę emocji przyniesie podglądanie (pod)świadomości bohatera - narratora, piastującego urząd wykładowcy prawdopodobnie polonistyki na jednej z uczelni. Wiemy o nim tyle, ile sam o sobie powiedział w początkowej autoprezentacji, że jest profesorem i od lat przyjeżdża do „czerwonego „ miasta na zajęcia ze studentami. Tutaj czasami nocuje w jednym małym pokoiku przylegającym do budynku uczelni. Właściwie jest to cała wiedza na jego temat. I bardzo dobrze, ponieważ możemy oddać się wzmożonej wyobraźni i kawałek po kawałku sklejać fabularne cząstki, aby po lekturze utwo-

rzył się wykreowany przez nas oczami wyobraźni obraz. S. Rogali nie chodzi o dokładne nakreślenie sylwetki swojego bohatera ale o to, aby przekazać trwającą w nim emocję, dany nastrój. Dlatego też, można powiedzieć, że w opowiadaniu tym występuje pewny ładunek myśli psychologicznej, czego egzemplifikacją może być także dwukrotne wspomnienie o psychoanalizie Freuda - będącej przedmiotem wykładu profesora.

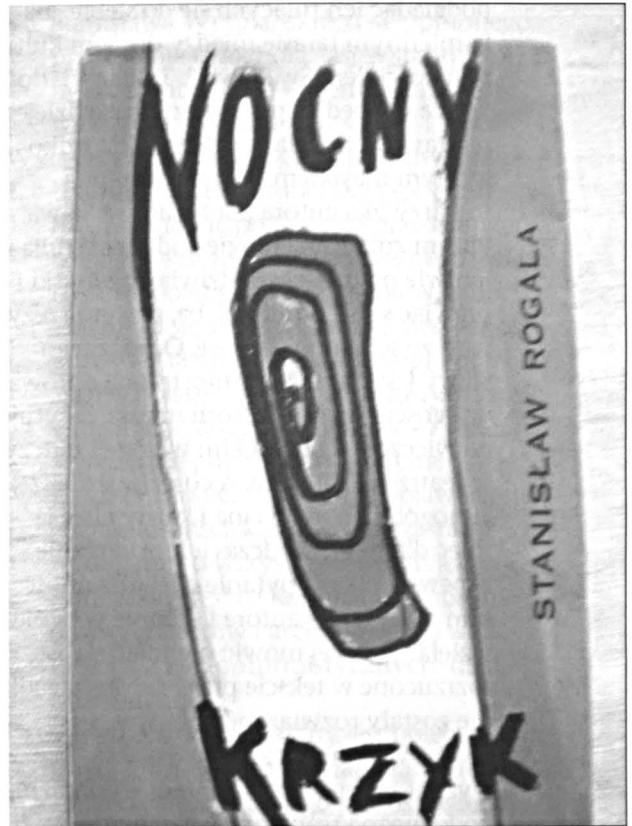
Na tron fabularny *Nocnego krzyku* składa się w zasadzie jedno wydarzenie (wizja), wokół którego koncentrycznie układają się różne sytuacje mające z nim mniejszy lub większy związek. Świat przedstawiony zbudowany jest w sposób punktowy i tak też należy go odczytywać, łącząc jego efemeryczne i zmienne struktury. Wątki od początku do końca będą się rwać i ukazywać w migawkowych obrazach, co raz po raz zbędzie myliło trop naszej interpretacji. Czytelnik będzie się złościł, aby za chwilę z ciekawością powrócić do danego momentu i od nowa śledzić losy profesora i jego pięknej studentki. Tak, studentki IV roku, ciemnookiej szatynki budzącej w naszym bohaterze zmienne uczucia - od zachwyty nad jej pięknnością do ironizowania z pensjonarskiego stylu życia dziewczyny. Widzimy ich razem w tanecznym uścisku podczas jednej ze szkolnych imprez. Profesor próbuje ją coraz bardziej przytulać do siebie, całować, gdy ta nagle wyrывa się i oznajmia, że musi iść, bo jutro ma zaliczenie. W sąsiedztwie tej sceny pojawia się retrospekcyjne ujęcie z dzieciństwa naszego bohatera traktujące o jego pierwszych erotycznych doznaniach mających miejsce podczas podglądania leżącej na sianie Renatki. Wzrastającą temperaturę uniesień chłopca przerywa nagły krzyk - „Ty nicponiu!” Widzimy więc, że pomiędzy tymi dwoma sekwencjami fabularnymi rysują się znaczące asocjacje.

Kolejne relacje między profesorem i Agatą (bo tak ma na imię) zachodzą podczas

egzaminu, którego jej nie zaliczył z powodu, wydawałoby się, dosyć absurdalnego: „Choćby przez to wspomnienie pierzyny nie mogłem uznać jej odpowiedzi podczas pierwszego podejścia”. Pojawia się tu kolejny znak - symbol będący ważną przesłanką interpretacyjną tekstu. Motyw pierzyny występuje w tekście dwukrotnie - podczas wspomnianego wyżej tańca. Bohater porównuje bliskość kobiety, uczucie i ciepło do bufiastej pierzyny, na którą rzucał się kilkakrotnie jako dziecko i wtulał w jej miękkość. Być może poszukuje nieustannie w życiu dorosłym miłości i ciepła ze względu na to, iż doznał tych uczuć zbyt mało? Albo dlatego, że teraz potrzebuje ich tak samo jak wtedy, kiedy był dzieckiem? Rysuje się więc tutaj dramatyczne napięcie między tym co było dawno a tym co jest teraz. To są tylko supozycje i hipotezy, ale jedno jest pewne, że bohater - narrator jest człowiekiem próbującym zapełnić w sobie jakąś wewnętrzną pustkę, tylko jakiej proweniencji?

Bardzo ważny jest także tytuł opowiadania, ponieważ można go interpretować na dwa sposoby. Nie wiadomym jest czy przerażający krzyk dziewczyny budzący pewnej nocy profesora jest realny. Może jest to tylko senny majak albo wewnętrzny głos sumienia bohatera (niewygasłe emocje czy przykre wspomnienia). A więc krzyk z przyszkolnego ogrodu czy krzyk duszy? Takich pytań w tym krótkim opowiadaniu jest więcej, co sprawia, że czytelnik nie popadnie na pewno w nastrój czytelniczej nudy. Z każdym następnym zdaniem coraz bardziej zapętla się w fabułę próbując ująć ją w ryzy jakiejś interpretacji, co okazuje się rzeczą bardzo trudną, a zadowolony z tego faktu autor zaciera ręce i puszcza do nas filuternie oczko. Zakończenie jest jeszcze bardziej nieprzewidywane, ale pozostawmy je zasnutę mgłą tajemnicy.

Zwracając jeszcze uwagę na stronę formalną tekstu, należy powiedzieć, że napisany jest językiem sprawnym i przejrzystym ze sporą domieszką poetyckiego „akompaniamentu”. Narracja rozpięta między inicja-



cją a eksploracją, nieschematyczna, mocno działa na zmysły. I co najważniejsze ścieżek interpretacyjnych jest wiele i czytelnik ma wolną rękę w „rozhermetyzowaniu” głównych sensów tego opowiadania.

Kolejnym utworem zamieszczonym w książce S. Rogali jest reportaż o intrygującym tytule *Spotkałem Sławę*. Ten, kto odpowie na zaproszenie autora będzie mógł wraz z nim i grupą towarzyszących mu przyjaciół pospacerować po urokliwych zakątkach Słowacji. A podróż ta będzie wyjątkowa z tego względu, iż tekst zbudowany jest w oparciu o dwie płaszczyzny; realistyczną i metafizyczną, które raz po raz płynnie w siebie przechodzą myląc przez to szlaki naszego wędrowania. Czytelnik poruszający się więc traktem geograficznym nawet nie zdąży zauważyć jak znajdzie się w innym wymiarze czasowym i przestrzennym, gdzieś na uboczach miasta w małej kawiarence przy boku opowiadacza i towarzyszącej mu tajemniczej kobiety. Siądzie z nimi przy jednym stoliku, napije się wyjątkowej kawy, aby potem

podglądać ich tulących się do siebie „na kamiennym tarasie między domem kultury a kościołem Św. Pawła”. Tak, tak. I do końca nie będzie pewny czy to się dzieje naprawdę czy cała ta sytuacja jest tylko sennym majakiem. A tą nieodstępną towarzyszką autora jest tytułowa Sława. Razem znikają na długie godziny i snują się leniwie po mieście podziwiając zabytki i prawiąc sobie o miłości, ba, nawet przeżywają ze sobą upojne noce. Oprócz tego Sławy jest wszędzie pełno: to ona oprowadza gości, mówi o historii miasta, recytuje na wieczorku poetyckim wiersze i tańczy w teatrze cygańskim. A co najważniejsze, jest ogólnie podziwiana i każdy chce ją mieć dla siebie. Podczas lektury padnie zapewne nie raz pytanie o jej tożsamość: kim ona jest dla autora i skąd się w ogóle wzięła? I więcej mówić nie trzeba, aby rozrzucone w tekście przez autora zagadki nie zostały rozwiązane zbyt wcześnie.

Należy też wspomnieć, iż obok świata wyznaczonego pulsowaniem wyobraźni, poddanego kreacyjnym przemianom znajduje się rzeczywistość realna - również czarująca. Zwięzłym i klarownym językiem, jak na reportaż przystało, autor oddaje klimat Słowacji, a ta do zaoferowania ma bardzo wiele: w migawkowych obrazach będą przesuwac się przed oczami czytelnika: niebanalne krajobrazy, zabytki, sylwetki ludzi. Ruszymy traktem ulic uroczych miasteczek - Ziliny, Bojnic, lipową aleją Hlavną w Koszycach czy popłyniemy Dunajcem obserwując ośnieżone masywy skalne Karpat. Dla zainteresowanych pojawiają się szczegółowe informacje dopełniające obraz - podane w liczbach i procentach informacje dotyczące się czy to go spodarki czy ilości ludzi zamieszkujących poszczególne tereny.

Faktograficzne struktury wycieniowanie są jednak na rzecz ukazania „duszy miasta”, co autor czyni inkrustując tekst lirycznymi wstawkami (np. fragmentami wierszy), a także w celu uwypuklenia swoich przeżyć wewnętrznych. Praktyka stylizacyjna zastosowana przez autora świadczy o jego dużej odpowiedzialności za słowo, ale

również i o wrażliwości. Autor porusza się umiejętnie między powagą a emocją, między realizmem a marzeniem.

Reporterskie penetracje S. Rogali dotyczą więc nie tylko tego co na zewnątrz (czyli opisu walorów krajoznawczych), choć i tę kwestię okrasza często metaforą, ale i tego co zakryte i w różnych odcieniach może być postrzegane, w zależności od punktu jego widzenia.

Uroki Słowacji sledzimy przede wszystkim przez pryzmat wyobraźni pisarza, zaglądając w oko jego obiektywu, w którym przesuwają się jak w kalejdoskopie zamknięte w pojedynczych kadrach migotliwe obrazy. I chociaż zwiedzanie będzie długie i pełne niezwyklej doznań, nie można czuć się zmęczonym, jeśli przy boku będziemy mieć nie tylko dobrego kompana ale i Sławę. To właśnie ją zobaczymy w ostatnim akcencie wędrówki, stojącą na środku drogi ze wzrokiem utkwionym w odjeżdżającym autokarze. Kim ona jest prawdziwą kobietą czy tylko wymysłem autora? A może po prostu „duszą” i opiekunką tego miasta?

Ostatnia część *Nocnego krzyku* S. Rogali stanowi dramat zatytułowany *Dom*. Autor bierze się w nim za bary z tym, co jest bolesne dla naszego narodu i tkwi jak zadra nie tylko w historii, ale przede wszystkim w sercach a często i sumieniach ludzi żyjących w czasach komunistycznego reżimu. Utwór ten przybiera wiec znamiona demaskatorskie, naświetla zło i niehumanitarne postawy „prawych obywateli”, wśród których znajdują się m.in.: Kierownik szkoły (tchórz, kiedy nadarza się okazja ucieka na ciepłą posadę do miasta) i Sołtys. Każdy z nich próbuje się odbraćować kreując na dobrego chłopca i społecznika, a na boku i kosztem inny załatwia swoje interesy. Jest jednak ktoś, kto stoi na straży dawnych ideałów i wartości moralnych, a jeżeli podejmuje się jakimś zadaniem, to tylko z pobudek etycznych, dla tzw. „idei”. Tą osobą jest Gospodarz stawiający potężny dom dla swojej rodziny rozproszonej po całym świecie: dla syna Kazika (partyzanta, który stracił życie w więzieniu), brata

Walentego (pędzącego swój żywot na emigracji) i najmłodszego syna Jacka. I chociaż ten jest przy jego boku, powoli poddaje się namowom partii, aż w końcu postanawia wyjechać do miasta i zostawia osamotnionego ojca. Mimo to, iż los Gospodarza oparty jest na tragicznych konstatacjach, on nie poddaje się i do końca pozostaje idealistą. Nie zaprzestaje budowy: wznosi potężny dom i przeznacza go na tzw. Muzeum Chleba, gdzie gromadzi wszelkie pamiątki związane z kulturą i dziedzictwem chłopskim; (kosy, mundury, dokumenty, proporce, broń, portrety, harfy itp.). Na uroczystym otwarciu w chacie zbiera się mnóstwo ludzi; przyjeżdżają dygnitarze, chłopi, państwo i po krótkim przemówieniu Sołtysa zaczyna się tańcowanie. Mało kto rozumie jednak ideę tej inicjatywy; większość myśli, że organizacji Muzeum przyświecał jedynie cel komercyjny, możliwość szybkiego wzbogacenia się. Jacek nie może wybaczyć ojcu, że z domu zrobił śmietnik i że to wszystko powstało tylko dla idei. A Gospodarz wie co robi i chociaż wydaje się, że wszyscy go opuścili, sam tak naprawdę nie jest. Zaprasza na przyjęcie nie tylko ludzi ale i duchy dawnych działaczy czy bojowników na rzecz ojczyzny, tworząc swoisty teatr cieni. Mamy więc po raz kolejny bronowicką chatę, tańce, zjawy i nawet chochoła, z którym biega Jasiek wpychając go w ramiona przerażonych kobiet, mówiąc:

„chochoł to lustro proszę pani,
w którym wszystko widać, tylko twarzy nie”

Bardzo ważna dla interpretacji tekstu jest właśnie postać Jaska, przez chłopów uważanego za „głupiego”, ale to tylko pozory, bo wcale nie jest takim, jak im się wydaje. To on sypie jak z rękawa celnymi ripostami odpowiadając soczystą przyśpiewką na puste frazesy Sołtysa czy innych chłopów, biega tu i tam podglądając życie mieszkańców i stawiając trafne diagnozy. Jest także właścicielem czapki z wikliny (kolejny symbol) - kolejna asocjacja do *Wesela*

Stanisława Wyspiańskiego - i zrobionego przez siebie Chochoła. Jasiek stanowi więc figurę symboliczną i tajemniczą, wie i widzi więcej od innych.

Wymowa utworu S. Rogali jest uniwersalna. Ukazanie przez autora takiej społeczności może stanowić pretekst do przedstawienia szerszego kontekstu współczesnego świata. Historia powtarza się od wieków i choć zmieniają się system i ludzie, mentalność pozostaje ta sama. Władza mami i obiecuje „nową Polskę”, a wielu idzie za tym głosem, aby po latach się obudzić i zobaczyć, że wszędzie pozostały tylko „cmentarze”, jak pisał Hłasko. Oczywiście pojawiają się jeszcze idealisci, kontestujący zastany porządek mimo wszystko, ale tych jest coraz mniej. Autor staje raz jeszcze w obronie dawnych mitów i archetypów, a z wszelkich postaw konformistycznych delikatnie ironizuje.

Utwór ten na pewno godny jest polecenia nie tylko ze względu na temat jaki podejmuje, ale także na sposób jego przedstawienia. Dramaturgię zdarzeń oddają przekonujące, sprawnie budowane dialogi i dyskretne stopniowanie napięcia do czego dodać należy archaizację języka i przejrzystość stylu.

I na koniec jeszcze takie pytanie. A może i my powinniśmy przejrzeć się w obliczu chochoła słuchając co też takiego wyszepta nam dzisiaj do ucha?

Nocny krzyk gra na uczuciach, raz pobudza do śmiechu innym razem wprowadza w nastrój głębszej zadumy, jednym słowem emocje dławia gardło. Mimo to, że czyta się ją szybko, po lekturze należy uważnie jej się przyjrzeć i na spokojnie rozważyć kwestie, które zostały w niej zawarte.

Można powiedzieć, że te trzy krótkie teksty to pojedyncze etiudy składające się na symfonię treści i formy rozpisaną piórem Stanisława Rogali.

Stanisław Rogala, *Nocny krzyk*, Kielce 2007, s. 166.





MARIOLA MIKULSKA

mój miś
nosi twoje imię
każdej nocy wtulam twarz w ciepły plusz
tak jak każdego dnia wtulałam głowę
w twoje ciepłe ramiona
i stawiałam na palcach

przy tobie byłam małą dziewczynką
moje oczy cieszyły się tobą
ręce zaplatały się na szyi
czoło przywierało do twojego czoła
tak zwyczajnie
bez tłumaczeń
bez zbędnych słów

byłeś moim Piotrusiem Panem
kiedy zniknąłeś
zaczęłam dorastać

zdążyłeś tylko nauczyć mnie robić latawce
z papieru

dmuchawce
zawieszone w niebycie
i mleczne niebo
jak pierwszy widok morza
w brudnej szklance
z odciskami palców oglądam
zimne życie
w linie
z których nie potrafię czytać

jeśli możesz
nie mów do mnie: wróżko
gdybym nią była
umiałabym cię kochać

wiem
uderza cię prostota mojego ciała
nieśmiałe piersi
dwie asymetryczne kreski na brzuchu
wystające biodra
nagie uda
które pieścisz spojrzeniem

przesuwając dłonią od nadgarstka do
ramienia
roztrącasz zapach
napięta drżąca skóra
pachnie czekoladą

pełniesz ustami po ramieniu
i łączysz językiem
małe czarne kropki
tworząc konstelacje

twój ciepły oddech
moje nieme przyzwolenie

powiesz: magia
a to tylko ciało
które pragnie

krwawię
to nie jest słowo wykrzyczane rozpaczą
wypowiadałam je obojętna
do mężczyzny który rozrywa na nowo
zabliźnione rany
rozwija bandaż z zakrzepłą czerwienią
rozcina serce precyzją spojrzenia
w sposób idealny
bo nigdy nie miał dla mnie litości

mój bóg o niebieskich oczach

ŚCIEŻKA PRZEZ SZAROŚĆ

- NOTATNIK POETYCKI ANNY BUCHALSKIEJ

W 2007 roku ukazał się debiutancki tomik wierszy Anny Buchalskiej zatytułowany *Ścieżką przez szarość*. Debiut to ważna chwila dla każdego twórcy. Nie chodzi zresztą o sam fakt zaistnienia wydawnictwa, choć miły dla każdego autora, ale o to, że jak nic innego potrafi on opisać, scharakteryzować go, ba, pozwala odbiorcom „sklasyfikować” poetę, wrzucić do jakiejś tam porządkującej szufladki lub przegródki, słowem - zareagować.

Młoda kutnianka, znana już także czytelnikom „Koziegorynku”, serwuje nam coś, co nazwałbym pamiętnikiem (spozstrzeżnikiem?) poetyckim. Konfrontując wyobrażenia o świecie z prozą życia - tak naturalne dla ludzi wchodzących w dorosłość - notuje swoje konstatacje, spostrzeżenia odczucia w formie wierszy. Czytelnikowi zrazu rzuca się w oczy prosty, oddający sedno rzeczy przekaz tytułów poszczególnych utworów-spostrzeżeń, np. *Lękam się siebie, Droga w dorosłość, Różnice między nami, Lęk przed nieznanym, Brak mi wstydu* czy *Wybacz*. Ten techniczny zabieg doskonale wpisuje się w założenie ideowe tomiku i pod względem „rzemieślniczym” jest nie do przecenienia.

Tematyka utworów jest prozaiczna jak życie. Mamy tu zatem wiersze o codzienności, o błahostkach, uczuciowych wzlotach i upadkach młodego człowieka - nic innego zatem jak ową tytułową ścieżkę przez szarość. Fakt opatrzenia tego przekazu tak trafnym tytułem świadczyć może już o pewnej dojrzałości artystycznej Buchalskiej, która wie co pisze, po co i co chce przekazać czytelnikowi. A przekazać chce przede wszystkim prawdę o sobie. Forma pamiętnika spostrzeżeń narzuciła bowiem autorce konieczność pełnej identyfikacji bohatera tej poezji z jej autorem. Czytelnik nie może mieć w tym względzie żadnych wątpliwości i w tym przypadku możemy

precz odrzucić szkolne przykazanie o nie identyfikowaniu podmiotu lirycznego z autorem wiersza. Buchalska pisze o sobie, swoich nastrojach, charakterze, postępowaniu, stosunkach z osobami z otoczenia. Taki charakter ma przytłaczająca większość tej poezji, by wymienić choćby utwory: *Gadzina, Pragnę być, Być, Poczucie niższości, Brak mi wstydu*.

„Nie jestem
Człowiekiem
Lecz
Uprzywilejowaną
Gadziną
Zmienno-cieplny
Ustrój
Mózgu
Widziany
W gestach
Gorące serce
I zimne zasady
Ot taki
Przeplatany
Warkoczyk
Na głowie
Niewinnej
Dziewczynki”

(*Gadzina*).

W pewnym momencie staje się to nawet nieco nużące, choć zapewne dla wielu życie wewnętrzne młodych poetek okaże się fascynujące. Oto świat Buchalskiej - ona, jej koledzy, znajomi, sympatie, rodzina itd. Opisy kontaktów z innymi są dla autorki jedynie pretekstem do oddawania siebie i rysowania obrazu swoich stanów. Mamy tu zatem istny notatnik nastrojów w stylu: dziś nastrój - dziś wiersz. Jak choćby w utworze *W smutnej tonacji*:

„Wystarczyło
Kilka sekund

Nadciągnęły
Czarne chmury
Bym je w Tobie
Posmakowała
Wolałabym
Zmoknąć
Wraz z Tobą
Niż cierpieć
Pod wysokim
Ciśnieniem”.

Niezaprzeczalnym plusem poezji Anny Buchalskiej jest łatwość artykułowania własnych przemyśleń i prosta forma tego przekazu. Tutaj nie ma wątpliwości, co nurtuje autorkę, co ją martwi i przestrasza, co zaś cieszy i wprawia w dobry nastrój. Jest to jednak droga zdradliwa i trudna, która czasami biegnie bardzo blisko granicy przesadnej, wręcz infantylnej i przesłodzonej, egzaltacji:

„Ten uśmiech
Ach
Pasikonik
Utopiony w nadziei
Ten blask
Ach
Promieniste wschody
Łaskoczące
Do śmiechu
To spojrzenie
Ach
Bławatek
Tańczący
Na wietrze
A ten dotyk
Ach
Piórko
Co wzbija
Ciało
Ku górze”

(Szczęście),

czasem razi przerostem wymuszonego artysty (Wysłuchaj się), ale czasami błysnie genialną wprost frazą, jak ta z wiersza *Jak paczka zapalek*:

„Na pudełku
Wypisano mój życiorys



Za - nadzieja
Pałka - upadek
Najpierw wybuch
Chwila spokoju
I zwęglony odpadek
Kolejna próba
Kolejna ekspresja
Kolejna porażka
Oto ja”.

Niekiedy poezja Buchalskiej tnie „ścieżkę przez szarość” niczym galopujący rumak, lecz autorka potrafi również fałszywym pociągnięciem pióra wytrącić czytelnika z rytmu. Taki dysonans rytmiczny mamy np. w obiecującym na początku wierszu *Łęk przed nieznanym*:

„Powróć do mnie
Chwilo
Co radością mnie karmiłaś
Wróć proszę
Aniele
Którego odtrąciłam
Wróć
Godzino zdradzona
Minuto łzawa
Muzo smutna

Chcę wpiąć się we wspomnienia
W to co znane jest
I bezpieczne”.

Moim absolutnym faworytem jest wiersz
Różnice między nami, w którym mamy
nowatorsko, acz całkowicie przekonująco,
wyartykułowaną przepaść psychiczną
dzielącą kobietę i mężczyznę, pierwiastek
kobiecy i męski w świecie ludzkim. I taką
właśnie Buchalską życzyłbym sobie czytać
w przyszłości: nie tracącej niczego z umie-
jętności prostego przekazywania myśli, a
jednocześnie potrafiącej ubrać tę myśl w
słowa adekwatne do treści i nadać poezji
ową lekkość, która sprawia, że lektura staje
się przyjemnością samą w sobie, a dodat-
kowo pozostawia po sobie drzwi otwarte
dla własnych przemyśleń.

„Widzisz fale
A ja krople łez
Słyszysz krzyk
A ja wołanie
Ubierasz myśli w słowa
Dla potrzeb poezji



KAMILA SZUTOWSKA

★

co mrugnięcie oka
stwarza mnie chwila
czasem o krok za wcześniej
o ruch ręki za późno

obnażyłam nasze zdjęcie z barw

tam mój uśmiech jak ptak
zrywa się do lotu
i twarz moja tobie do twarzy
na odległość rzęsy

za zdjęciu w kolorze sepii
nasza miłość taka bezpieczna

Zaś ja uczucia
Dla wolności ducha
Umiesz mówić kocham
A ja umiem kochać
Ty biegiesz przez życie
Ja stoję i wszystko dostrzegam
Stawiasz duże kroki
Jakbyś chciał ominąć prawdę
Ja poruszam się kroczkami
Badając każdy odgłos
Płynący z wszechświata”

(*Różnice między nami*).

Pod względem edytorskim tomik *Ścieżką przez szarość* wydaje się być trafnie dopasowany do poezji Anny Buchalskiej - to niewątpliwa zasługa redaktorska Anny Garbaczowej i Kazimierza Lindy ze Stowarzyszenia Literackiego „Witryna” w Stalowej Woli, pod patronatem którego również się ukazał. Jego karty wzbogacają grafiki wykonane ręką autorki, które stanowią integralną część przekazu artystycznego książki.

Anna Buchalska, *Ścieżką przez szarość*, Kutno 2008.



Rozmowy

zapalam Ci znicz
sobie papierosa
jedna zapalka wystarczy

★

znajome oparcia kawiarnianych krzeseł
nieznośnie uciskają w plecy

tak jakby życie nie do pary
było nie na miejscu

MARIUSZ KARGUL

NA DROGACH DO ŚWIATA WSPÓŁCZULNEGO

Z Darkiem okrążyliśmy niejedną beczkę soli.

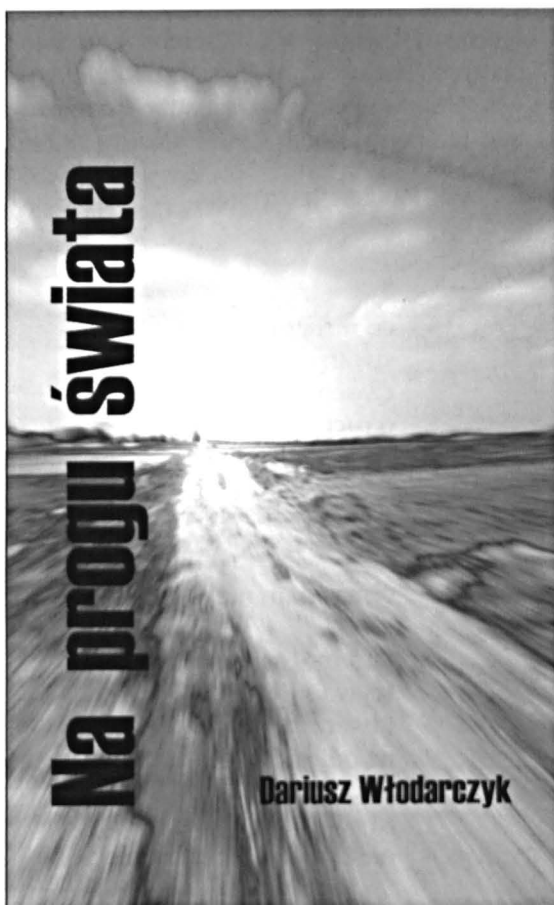
Metafizycznym kopniakiem wyważaliśmy nie raz dawno otwarte przez kogoś na oścież drzwi. Bywało tak, że i kilku spadającym gwiazdom zajrzało się pod ogony. Powiem więcej - my nawet ze sobą spaliliśmy (w sensie regeneracyjnym, nie konsumpcyjnym). To wszystko daje mi pewien asumpt do wypowiedzenia kilku słów na temat osoby szacownego debiutanta i jego twórczości.

W życiu ciężko jest znaleźć kogoś, komu można bezgranicznie zaufać. Zazwyczaj zostawiamy sobie jakiś „limes” intymności, poza obręb którego wpuszczamy zaiste wybranych. W moim przypadku taką osobą jest właśnie Darek Włodarczyk. Przyjaźnimy się kilka dobrych lat, „dłubiemy” coś przy krasnostawskiej Grupie Literackiej „A 4” i „klecimy” w „Nestorze”. Dawniej chadzaliśmy na długie wyprawy, kontemplując uroki krain przybocznych, teraz - zaopatrzeni w szacowne Małżonki - grzejemy kości przy domowym ognisku, rzucając czasem przez sen jakieś niezrozumiałe zdania i okrzyki.

Darek był dla mnie, i pozostaje nadal, ostoją zdrowego rozsądku i swego rodzaju „strefą kontrolowanego zgniotu”. Kiedy w przepływie szalonych wizji wyrwam się z coraz to nowymi pomysłami - on spokojnie je rozważa, odradza to i owo, pochwała lub gani to czy tamto. Czasami ekspulsuję się w duchu: „Stary Pierdoło, namyślaj się szybciej i dawaj mi tu konkretnie znać, co i jak!”. A potem w wielu przypadkach okazuje się, że spokój i opanowanie Darka pozwala mi unikać kompromitacji w sytuacjach literacko-towarzyskich. Gdyby nie był „drogowcem” (pracuje w zamoj-skim Oddziale Generalnej Dyrekcji Dróg i Autostrad), z powodzeniem mógłby kierować ruchem statków kosmicznych. Jeśli kiedykolwiek znajdę się na orbicie okołoziemskiej i stracę w niej rozeznanie, mam nadzieję, że to właśnie stonowany głos pana Włodarczyka sprowadzi mnie z powrotem na właściwe tory, przepraszam

trajektorie.

Jako się rzekło, Darka interesuje poezja, nauki ścisłe, astronomia, życie natury i wszelakie dziwi świata tego dostępne ludzkiej percepcji. On się nad tym wszystkim pochyla, skupia, analizuje i docieka. Jeżeli zdarzają się chwile, w których ucieka się do pomocy „szkiełka i oka”, to nawet wówczas nie jest ono bezduszne i zimne, gdyż nosi je blisko serca. Czytając jego wiersze odnoszę wrażenie poruszania się po wielkim ogrodzie dobrodusznego zielarza. Każdy ma jakieś przypadłości, na które szuka skutecznego antidotum. Mnie zdarza się raz na jakiś czas zajrzeć do „apteki pana Darka”. I jeśli nie znajduję w niej recept na poprawę ludzkiego losu, zaprowadzenie pokoju na świecie, tudzież zwiększenie opadów atmosferycznych w Somalii, za każdym razem splywa na mnie



jakieś ukojenie i dobry nastrój. W kilku przypadkach znam bowiem okoliczności powstania konkretnego utworu lub też wiem, co Autor miał tak naprawdę na myśli, a to już skarb pierwszej wielkości.

Kiedy piszę te słowa, debiutancki tomik poezji Darka Włodarczyka *Na progu świata* (składający się z trzech mini-części: *Na progu świata*, *Sen o wędrówce*, *W gabinecie luster*) przechodzi końcowy etap „obróbki literackiej” w szacownym lubelskim Wydawnictwie „Norbertinum”. Trudno więc powiedzieć, co ukaże się najpierw - niniejszy numer „Koziegorynku” czy anonsowany tutaj debiutancki wybór wierszy. Tak czy inaczej nie zachęcam nachalnie do jego lektury, lecz delikatnie sugeruję sięgnięcie po tę książeczkę w wolnej, albo i bolesnej chwili.

Byłem dyskretnym świadkiem kolejnych etapów jej powstawania i przynajmniej ręczę za jedno: to nie jest tomik „robiony” za wszelką cenę, „na siłę”, aby tylko choć na chwilę zaistnieć w tym jednym wielkim kotle współczesnego życia literackiego. Gdyby Autorem kierowały tego rodzaju pobudki, Darek Włodarczyk miałby do dzisiaj na swym „koncie” co najmniej kilka pozycji wydawniczych. A on tak nie chciał. Przez kilkanaście miesięcy grzebał w swoich notatkach, wybierał to, co w nich najlepsze i jeszcze sam na siebie ciskał gromy, że do końca nie wie czy dany wybór ma prawo ujrzeć światło

dzienne i czy w sposób reprezentatywny oddaje charakter jego twórczości... Tak, jak chociażby widać to na przykładzie poniższego wiersza:

kolekcjonuję
wszystko co zawodne
ślepe drogi
puste słowa
błędne schematy
wyjmuję z siebie
i wkładam do szuflady

to moja podręczna
składnica map

Darek jest systematycznym i „poukładanym” człowiekiem. Potrafi zaprojektować drogę, która nikogo nie wyprowadzi w pole, i zbudować most, który się nie spali i nie runie komuś na głowę. Poza tym, a może właśnie przede wszystkim, nosi ze sobą mały notatnik, w którym zapisuje okruciny myśli, uczuć i zdarzeń. A potem, po wielu katuszach i ciężkiej robocie „na warsztacie” wychodzi z tego małe cudencko w postaci kilku lub - co najwyżej kilkunastu - wersów.

Dariusz Włodarczyk, *Na progu świata*, Wyd. Norbertinum, Lublin 2008.



JADWIGA GRABARZ

Marija

/Marii Pakos, przyjaciółce z lat szkolnych/

nasze przyjaźnie leżały na chodniku jak pięć groszy,
a ona biegła za miasto w smukłą jesień -
spadłe liście dobrały się odcieniem do brwi, do kolczyka
na zmarszczonym łuku - jakby już tam była

pamiętam jeszcze *pekaesy* - wołały za nią *zdrowaś Mario*,
a ona wciąż bawiła się kefiją

nie pamiętam jak wołali na nią chłopcy

HENRYK RADEJ

Zamieszanie wokół imprezy było tak wielkie, że nie wypadało tam nie być. O zdarzeniu donosiły lokalne media, publikując wykazy nazwisk i instytucji, które tej nocy mają wyjść na ulice. Na ulice miały także wylegać tłumy spragnione kultury. A skoro wyległy tłumy, wylegli też artyści. Zarówno ci, których nazwiska kresli się z namaszczeniem, jak i ci, o których mało kto słyszał. Tej nocy oczekiwano w Lublinie, tak jakby podczas niej miało wydarzyć się coś, czego jeszcze nie było.

Pomieszanie pojęciowe nocy i ulicy zazwyczaj kojarzy mi się z... uliczną, która niezbyt gustownie ubrana kusi przechodniów swoimi zużytymi wdziękami. Rozumiem, że aby się sprzedać, ona musi wyjść pod latarnię, ale czy kultura ze swoim bogactwem form i przekazu musi czynić to samo w ciągu jednej nocy, aby później lepiej sprzedawać się przez kolejne miesiące?

Na szczęście, nie wszyscy twórcy dali się namówić na uliczne pokazy swoich możliwości. Spora część galerii, klubów i ośrodków kultury pozostała u siebie, otwierając szeroko swoje bramy dla widzów. Niestety, liczna grupa słuchaczy siłą rzeczy musiała pozostać na ulicy z braku wolnych miejsc wewnątrz. Więc może jednak lepiej byłoby pokazać co trzeba na ulicy, choćby z uszczerbkiem dla poziomu prezentacji? Taka jest jednak cena, jeśli oferuje się ludowi coś podczas akcji jednej nocy, a do czego ma utrudniony dostęp w pozostałe dni i wieczory. Należy jednak zauważyć szlachetność artystów i organizatorów - wszystko było za darmo. Niezupełnie, bo na pewno za cenę snu i nerwów oraz piwa w ulicznych ogródkach i pubach, gdzie też brzdąkali jacyś grajkowie.

Tej nocy lubelska kultura (o ile jest taka!) wyraźnie została podzielona na tę wyższą - zamkniętą dla plebsu - i tę masową dla widza spod piwnego parasola lub zabłąkanego na ulicach i zagubionego w ofercie prawie 200 propozycji ukulturalnienia się

ZGIEŁK JEDNEJ NOCY

do czasu wschodu słońca. Grupy nie-szczęśliwców cierpliwie szturmowały wirydarz zakonu Dominikanów, gdzie znalazł przytulisko ze swoim spektaklem Ośrodek Praktyk Teatralnych „Gardzienice” oraz foyer Teatru im. J. Osterwy wystawiającego „Sarmację”. Podobno kilka dni wcześniej rozprowadzano jakieś wejściówki. Widzowie przyjezdni spoza Lublina kłęli na to niezbyt kulturalnie. Na otarcie łez (i piany - bynajmniej nie po piwie) biegli jeszcze do Ogrodu Saskiego, by - choć z oddalenia - popatrzeć na „Transatlantyk” Gombrowicza w wykonaniu Teatru Provisorium. Smakosze reportażu radiowego i poezji też mieli kłopoty z wejściem do Muzeum Literatury im. J. Czechowicza. Dla tych redakcja „Akcentu” nieopodał serwowała wiersze z beczki. Każdy poeta mógł się wreszcie poczuć wieszczem przemawiającym do tłumu i rozdać trochę swoich wierszy, których na ogół nie chcą do handlu przyjąć księgarnie i nie kupuje zwykły czytelnik.

W zaułkach i na placach Starego Miasta głosy kultury siłą faktu konkurowały ze sobą. Ludowe kapele usiłowały zagłuszyć poetów, ci przekrzykiwali komentarz do pokazów filmowych na pobliskiej ścianie Trybunału Koronnego. Nieco dalej rozbrzmiewały pieśni chóralskie gospel i rockowe produkcje zespołu bez nazwy. A tłum dreptał i patrzył, dreptał i słuchał i wcale się nie dziwował, targany problemem wyboru między kabaretami a koncertem w bazylice. Jeśli organizatorom „Nocy kultury” chodziło o wyciągnięcie ludzi na ulice, to cel osiągnęli. Gorzej z całą resztą. Niektóre produkcje artystyczne nie sprawdziły się w plenerze, a ich wykonanie trąciło chałturą. Sprawdziło się stare powiedzenie: co za dużo, to niezdrowo, albo bardziej nowoczesne: ilość przekłada się na jakość. W rezultacie, niejeden uczestnik przyciśnięty (do ściany!) naturalną potrzebą wybierał miejski szalet przy Placu Litewskim. A tu czekała go nie-

spodzianka w postaci instalacji plastyka Koziary i dopadał kolejny dylemat, czy wypada sikać pod dzieła sztuki? Rozterek takich zapewne nie mieli słuchacze koncertów muzyki pop na błoniach pod zamkiem i salonowcy wystaw w galeriach. Oczywiście z powodu różnych uwarunkowań socjalnych.

Całe szczęście, że na tej jednej nocy kultura się nie kończy ani nie zaczyna. Uświadomili to wszystkim zawiedzionym autorzy wystawy złożonej z plakatów, zaproszeń, katalogów pod nazwą „Remanent Kultury” na ogrodzeniu Teatru w Budowie i Centrum Kultury. Jednym słowem, naocznie przypomniano znaczące imprezy kulturalne w Lublinie, jakie odbyły się w ciągu minionego roku. W perspektywie aspiracji Lublina do Europejskiej Stolicy

Kultury 2016 ważna jest świadomość trwałej i systematycznej działalności kreatywnej środowisk twórczych, a nie tylko jedna noc zabawy urządzonej bardziej na użytek mediów. Dobrze byłoby, aby do tych kulturalnych efektów widowienia miała łatwy i stały dostęp. Co przeszkadza, aby częściej organizować spektakle, koncerty i spotkania w miejscach sprawdzonych już podczas dwóch „nocy kultury”? Zapewne tylko gotowość artystów i organizatorów. Powtórzenie kolejnej „nocy” w takiej samej formule za rok może poskutkować nie tylko strajkiem filharmoników z powodów płacowych, ale też absencją grupy odbiorców, która nie będzie chciała stać w kolejce „po kulturę”.



7/8 CZERWCA 2008 - MANIFESTACJA KULTURY LUBLINA
Europejska Stolica Kultury LUBLIN2016 www.nockultury.pl



PHILLIP A. ELLIS

Wiersze ze zbioru *Travelling North (W podróży na północ)*
napisanym na doroczny konkurs poetycki wydawnictwa Press Press w 2008

Wspomnienia drzew

W przeszłości,
kiedy byłem młodszy,
stawałem wysoko
na moście ponad
pociągami w dole
odjeżdżającymi na północ.

I patrzyłem
przez lornetkę mojego brata
na sodowe światła lamp
zawsze w kierunku północnym
i w wietrzne noce
kiedy się zbliżał listopad,

gałęzie potłukły lornetkę
szkła się rozprysły jak fala na skale.

Mount Improbable

Chociaż zostawiony w tyle
ten kościół w podróży na
północ

i został
w tyle

Skąd pamiętam
ścinający chłód
tak jak pamiętam, moja skóra

pokryta,
coś jakby szronem.

I łamię
rym

kiedy się
staram oddychać.

W podróży na północ

W podróży na północ,
w pociągu. Czytam
graffiti, słowiałe;
tutaj mnie zobaczysz.
Spójrz przez szybę pociągu
jadącego przez miasto Thirroul
i tam jestem śniąc poezję. My
śnimy poezję. My jedziemy
przez miasto Thirroul i ja
tutaj jestem. Spójrz przez szybę
i mnie zobaczysz
czytającego graffiti, słowiałe
w pociągu. Podróżuję
na północ.

Przekład Tomasz Krzykała





JAN TOMKOWSKI

LITERATURA ZAGŁĄDA DO KUCHNI

To już nie te czasy, gdy można było wywołać skandal informując czytelników, że Bolesław Leśmian potrafił gotować, a Ignacy Krasicki uwielbiał pić kawę. Historyk literatury z minionej epoki bywał wrogiem kuchni. Sam nie potrafił usmażyć nawet jajecznicy, więc i innym miał za złe, że rozprawiają, która lepsza: czy ta z pieczarkami, czy z szyneczką czy może z brokułami? W uniwersyteckich stołówkach nie podawano takich specjalów, bo i po co? Wiadomo, że pomniki nie jedzą i nie piją, stronią od garnków czy talerzy, a kochają wyłącznie papier i atrament. Zachowany w pamiętnikach obraz Mickiewicza pałaszującego z apetytem wielkanocną kielbasę to kłamstwo i potwarz (czy nie maczał w tym fałszerstwie swoich delikatnych paluszków odwieczny rywal poety, zawistnik Julek Słowacki?). Na szczęście wraz z końcem chudych PRL-owskich czasów powróciło zainteresowanie dobrą kuchnią. Zapanowała wolność, swoboda wyboru i względny dostatek. Kiedyś - czytając z zapartym tchem pisarzy iberoamerykańskich - musieliśmy wyobrażać sobie, jak smakuje mate i jak jada się tortillę. Dziś wystarczy pojechać do najbliższego supermarketu, by po powrocie oddawać się rozkoszom kuchni chińskiej, meksykańskiej, greckiej, francuskiej. Kto kocha tradycję, może sięgać do staropolskich źródeł bez obawy, że zabraknie masła, jajek, wieprzowiny. Nie liczymy już przydziałowych kilogramów, co najwyżej - liczymy kalorie (wyjątkowo żalosne zajęcie).

Naukowcy mówią, że kuchnia to język, najtrwalszy i najbardziej uniwersalny manifest kultury narodowej, a także system ułatwiający porozumienie między ludźmi. Słowa czasem dzielą, obrażają, oddalają. Potrawy - niemal zawsze łączą, przywracają zgodę i harmonię.

O tym wiedzą doskonale uczeni na całym świecie. Dla pisarzy kuchnia to przebogaty kosmos pełen różnorodnych smaków, aro-

matów, kształtów, kolorów. To prawdziwa sztuka, choć tylko najwybitniejszych kucharzy obdarzamy mianem artystów. Nic więc dziwnego, że o jedzeniu piszą pięknie Francuzi i Anglicy, Czesi i Rosjanie. Niejednego moglibyśmy nauczyć się od Chińczyków, Hindusów, Arabów. Nasi autorzy wcale im nie ustępują. Arcydzieła literatury polskiej pełne są receptur, opisów potraw i rytuałów jedzenia. Do legendy przeszły sylwetki dawnych i współczesnych smakoszy. Kto przeczytał starannie klasyków i pisarzy współczesnych, ten wie, że praktycznie żaden z wybitnych autorów kuchni nie lekceważył. To właśnie dzięki nim - Kochanowskiemu, Kitowiczowi, Krasickiemu, Mickiewiczowi, Prusowi, Reymontowi i wielu ich następcom - powstać mogła opowieść o literackich przygodach polskiej kuchni.



Giuseppe Arcimboldo

Literatura staropolska

Wbrew rozpowszechnianym stereotypom, już kuchnia średniowieczna, zwłaszcza dworska albo klasztorna, bywała niezwykle urozmaicona. Może panował w niej smak trochę inny niż dzisiaj (dominował podobno - według opinii znawców - smak kwaśno-korzenny), może obowiązywała nieco odmienna etykieta regulująca sposoby zachowania przy stole, ale mimo wszystko ludzie tej epoki lubili zjeść smacznie i obficie. Nawet jeśli uduchowiona literatura mówiła częściej o postach i wyrzeczeniach niż radościach stołu, nie oznaczało to jeszcze absolutnego zwycięstwa ascezy. Ceniono mięso i ryby, nie gardzono warzywami. Uwielbiano przyprawy, a ich ilość i jakość świadczyła o stopniu zamożności gospodarza. Podczas gdy jedni zadowalali się czosnkiem, majerankiem i pietruszką, dla innych sprowadzano goździki, gałkę muszkatołową i szafran.

W epoce odrodzenia podróżowano jeszcze częściej, przywożąc z zamorskich krajów mnóstwo kuchennych nowinek. Bogato zastawiony stół cieszył oko domowników i gości, wino wprowadzało w dobry nastrój. Renesansowym ucztom towarzyszyły wiersze łacińskie i utwory pisane już w języku ojczystym: włoskim, francuskim, polskim.

Podobnie jak literatura, kuchnia wydawała się obiecującym miejscem spotkania wszystkich narodów świata, okazją do pokojowej konfrontacji smaków, aromatów, zwyczajów. Kuchnia staropolska, do której najczęściej się odwołujemy, wywodziła się głównie z tradycji szlacheckiej, ziemiańskiej, domowej. Kto chciał dochować jej wierności, ten stronił od modnych, cudzoziemskich produktów i przepisów. Zadowalał się tym, co dawało mu własne, zasobne zwykle gospodarstwo. W kuchni i spiżarni nie wprowadzał żadnych zmian, jadł tak samo jak jego przodkowie.

W obronie kuchennej tradycji celował Mikołaj Rej. Zagraniczne dodatki w rodzaju oliwek uznawał za dziwactwo. Wierzył, że polska kuchnia sprzyja zdrowiu. Że tłusta, że obfi-



Giuseppe Arcimboldo

ta i pełna mięsiwa? No cóż, w czasach Reja nikt nie słyszał jeszcze o surowych dietach, a sylwetka o pełnych kształtach budziła respekt. Zresztą poeta konsekwentnie zachęcał także do konsumpcji warzyw i owoców, które opisywał z wielką czułością. Ach, te Rejowe „ćwiekiełki”, „kapustki”, „koprzyki” świadczące o dobrym apetycie i przyjaznym usposobieniu! A pochwała swojskiego jedzenia wierszem i prozą? A staranny wykaz rozmaitych dań, które przyrządzić można z jabłek? Każda gospodyni przyzna, że Rej, choć o jabłkach pisał może mniej poetycko niż Kochanowski, to jednak był lepszym znawcą domowej kuchni od Jana z Czarnolasu. Widać, że nieraz doglądał służby i sprawdzał osobiście stan domowych zapasów.

Natomiast Kochanowski, siedząc pod lipą nad rękopisem *Fraszek* albo *Pieśni* wołał nie płątać się po kuchni, nie wymądrzać i nie

strofować czarnoleskich kucharek. Co najwyżej uśmiechał się łagodnie na myśl o różnaitości upodobań kulinarnych. I trochę ironicznie na wspomnienie oplakanych skutków towarzyszącego biesiadom staropolskim pijaństwa.

Na stole szlacheckim, nie mówiąc już o magnackim, panował przede wszystkim dostatek. Obfitość potraw i pomysłowość kucharzy w końcu zmęczyć musiała nawet największych smakoszy. Może dlatego i Kochanowski, i Jan Andrzej Morsztyn, którzy próbowali bardzo wykwintnej kuchni i w ojczyźnie, i za granicą, napisali w końcu wiersze zachwalające smak chleba z solą. Po wielkich ucztach u Radziwiłła, po dostatnich obiadkach i śniadankach w szlacheckich dworach nadejść miały czasy prostoty. Pojmowano ją zresztą nieco osobliwe, w sposób trudny do zrozumienia dla dzisiejszych Polaków, zadowolających się nieraz jogurtem, wegetariańską zupką i sałatką. W kuchni staropolskiej wyrzeczenia pojmowano inaczej: ot, schab wieprzowy zamiast bażanta, pieczeń wołowa w miejsce delikatnego pasztetu, kogut zamiast kuropatwy...

Godnym spadkobiercą Reja okazał się z jednej strony Potocki, z drugiej - Pasek. O ile pierwszy zachęcał do umiaru, o tyle drugi z wyraźną niechęcią odnosił się do cudzoziemskich zwyczajów, nawet tych, które dziś wydawać się nam mogą zadziwiająco swojskie. Epoka obfitości oznaczała czas świetności państwa - niestety, trawionego nieuleczalną chorobą i chylącego się ku upadkowi. Srebrny Wiek przyniósł Polakom niejedną klęskę, ale w sferze życia codziennego, mody, kuchni Rzeczpospolita Obojga Narodów ciągle imponowała cudzoziemcom. Niestety, z upływem lat bogactwo zamieniało się w rozrzutność, a szczodrość graniczyła z bezmyślnością.

Wiek XVIII

Jakkolwiek kuchnia staropolska okazała się jednym z najsilniejszych bastionów patriotyzmu, to przecież pod wpływem kontaktów ze sztuką kulinarną innych narodów podlegała też nieuchronnej ewolucji.

Podobnie jak w materii języka mówionego i pisanego, również w sztuce, budownictwie czy kuchni dochodziły do głosu wpływy włoskie, francuskie, niemieckie, ukraińskie, węgierskie, a nawet tureckie. Na cudzoziemskie obyczaje patrzono raz przychylniej, innym razem - bardziej krytycznie, widząc w inwazji zagranicznej mody prawdziwe zagrożenie rodzimej kultury.

W XVIII wieku zarówno kuchnia, jak i moda stały się sprawą polityczną, o czym świadczą liczne utwory literackie i publicystyczne: wiersze, komedie, pamflety, artykuły. Obie dziedziny wzniesają gorące spory, ma swoich zwolenników rodzima tradycja, ale zdecydowanie aktywniejsi są miłośnicy europejskich wzorów. Komu przyznać rację?

Inaczej ujmowali tę kwestię uczestnicy słynnych obiadów czwartkowych skupieni wokół króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, a zupełnie inaczej Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*, występujący przeciwko wpływom francuskim, włoskim, angielskim. Z dzisiejszej perspektywy patrząc, trudno o jednoznaczną ocenę. Żadnej ze stron nie brakowało przecież poważnych argumentów.

Staropolskie ideały, pielęgnowane przez ziemiańskie dworki, to oczywiście fundament tożsamości narodowej. Bez szacunku dla tradycji nie zdołalibyśmy przetrwać stu lat niewoli ani zachować poczucia odrębności. Ale z drugiej strony - staropolszczyzna to także sarmatyzm, brak mądrości politycznej, niechęć do cywilizacyjnego rozwoju, nieufność w stosunku do obcych, anachronizm... Ekspansja zagranicznej mody zbliża nas do Europy, ale niesie także zagładę starego świata. Współistnienie fircyka i sarmaty, żony modnej i gospodyni z zaścianka nie może trwać wiecznie.

W literaturze XVIII wieku poświęconej sprawom kuchni staropolską tradycję symbolizują zjawiska najzupełniej przeciwstawne. Z jednej strony - wystawna do szaleństwa uczta u Radziwiłła. Z drugiej prostota i skromność posiłków w domu Pana Podstolego, bohatera powieści Ignacego Krasińskiego. Patriotyzm i nowoczesność,

zdobycze europejskiej cywilizacji i rodzime wartości starają się godzić przedstawiciele polskiego Oświecenia, popierani przez samego króla. Obiady czwartkowe przeszły do historii jako najslawniejsze w historii literatury polskiej uczty. Ich dokładnego jadłospisu jednak nie znamy - zapewne podawano tam dania wykwintne i starannie dobrane, ale jak na owe czasy chyba dosyć skromne. W każdym razie w magnackich domach jadało się lepiej.

Przykładem szlachetnej skromności wydawały się także posiłki serwowane w Szkole Rycerskiej. Przyszli oficerowie musieli przywyknąć do zwyczajnej żołnierskiej kuchni. Używali cynowych naczyń, spożywali wspólne posiłki w jadalni. Nie rozpieszczano ich, nie kuszone delicjami. starając się za to zacierać różnice majątkowe. Przypomnijmy, że edukację w Szkole Rycerskiej pobierali Niemcewicz, Kościuszko, Sowiński. To było dobre wychowanie...

W wieku XVIII, zarówno w czasach saskich, jak i okresie stanisławowskim, walczą ze sobą różne orientacje, co sztuce kulinarnej tamtych czasów dodaje tylko wdzięku. Trudno się więc dziwić, że właśnie w tej epoce pojawia się jeden z najwybitniejszych znawców polskiej kuchni, wytrawny obserwator i kronikarz życia codziennego Polaków, Jędrzej Kitowicz. Jego *Opis obyczajów za panowania Augusta III* zawiera dwa niezrównane rozdziały dotyczące jedzenia: jeden poświęcony potrawom „staroświeckim”, drugi - „nowomodnym”. Kitowicz nie lamentuje, nie próbuje zwalczać nowinek. Ma świadomość, że zmiany są nieuchronne, choć jego zdaniem zdrowszy był nie tylko miód zamiast cukru, ale i ciasto na zjełczałym maśle zamiast francuskiego tortu! I dziwi się strasznie, że niektórzy zamiast gęsi pieczonej z dodatkiem słomy wyjętej z buta wolą zjadać ostrygi, slimaki i żaby. Ze zdumiewającą przenikliwością odnotowuje przejawy kryzysu i zmierzchu kultury szlacheckiej. Ma świadomość, że opisuje świat, którego już wkrótce nie będzie. W dodatku - robi to z niebywałą perfekcją, ujawniając niepospolity językowy kunszt i

mistrzostwo narracji. Aż trudno dziś uwierzyć, że arcydzieło proboszcza z Rzeczczy przeleżało w rękopisie aż do połowy XIX wieku. A w całości wydano je dopiero w 1951 roku!

Wiek XIX

Na przełomie XVIII i XIX wieku dawny świat się kończył, a pożegnał go najpiękniej Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*. Wbrew pozorom, fragmenty opisujące sztukę kulinarną nie zajmują w poemacie zbyt wiele miejsca. Są za to niebywale sugestywne i od dawna utrwalone w pamięci czytelników. Któż bowiem potrafi zapomnieć chłodnik, bigos myśliwski, rosół, do którego Wojski dodał perłę i kilka monet (zielona pietruszka byłaby może zdrowsza?). No a serwis, którego mimo wielokrotnej lektury wciąż nie możemy sobie wyobrazić, bo przypomina bardziej sen niż dzieło rzemieślniczego kunsztu?

Mimo wszystko - nie ma powrotu do Sopli-cowa. Do dziś jadamy jeszcze rosół i bigos, podczas upalnego lata wraca moda na chłodnik, ale któż (poza specjalistami) opowie nam, jak wyglądały „półmiski kontuszów, arkasów, blemasów”, albo jakie poda-



Giuseppe Arcimboldo



Giuseppe Arcimboldo

wano na Litwie pomuchle i figalele. Słowniki wyjaśniają znaczenie, ale nie przekazują smaku, który pamiętać musiał wygnaniec piszący w Paryżu *Pana Tadeusza*.

Koniec staropolskiego świata oglądany z perspektywy kuchni opisywał także Słowacki. I jemu na emigracji nie dawała spokoju myśl o wielkanocnych domowych wypiekach. Słał więc do matki listy z prośbą o szczegółowe przepisy: baby z szafranem czy bez szafranu, piec gorący czy lekko nagrzązany, kiedy kłaść ciasto, a kiedy wyjmować? Choć pani Salomea dokładnie wszystko spisała, baby jednak się nie udały. Może dlatego, że zapamiętane w dzieciństwie specjały w dojrzałym wieku, zwłaszcza na obczyźnie, już nie cieszą?

Norwid miał dzieciństwo skromniejsze, a lata tułaczę spędził w biedzie. A jednak i w jego liryce znaleźć można przynajmniej jeden fragment godny uwagi. Do tradycji staropolskiej odwołali się w swych utworach poeci krajowi. Wincenty Pol mówił o obfitości polskiej kuchni. Władysław

Syrokomla śladem swych poprzedników piętnował niepohamowane obżarstwo. Po okresie panowania wielkiej poezji romantycznej przyszedł czas powieści. Z zapalem pokazywano salony, mieszczańskie pokoje, wnętrza fabryk i chaty chłopskie. Przy okazji zaglądano i do kuchni, dzięki czemu wiemy, jak w XIX wieku gotowano i jadano. Bohaterowie *Chłopów* Reymonta nie przejmowali się etykietą, choć - zwłaszcza w dni świąteczne - gustowali w potrawach tradycyjnych, smacznych i pożywnych. Autor z powodzeniem przekonywał czytelników, że chłopska kuchnia może być nie mniej ciekawa niż kuchnia mieszczańska czy inteligencka. Inaczej w *Lalce*, która świadczyła, że w pewnych kręgach społeczeństwa etykieta liczy się bardziej od jadłospisu. Prus prowadził nas na salony i do bogatych mieszczańskich domów. Dzięki Wiktorowi Gomułickiemu wiemy dokładnie, jak jadali dziennikarze. Ewa Felińska pozostawiła niezwykle ciekawą relację dotyczącą kuchni zesłańców. Uważny czytelnik XIX-wiecznej powieści dowie się bez trudu, na jakie potrawy mógł pozwolić sobie wtedy rzemieślnik, artysta, literat czy robotnik fabryczny. W kraju będącym spadkobiercą Rzeczypospolitej Obojga Narodów nie mogło być oczywiście jednej kuchni i jednego zestawu potraw, spożywanych we wszystkich regionach. Co innego jadano więc na Mazowszu, co innego w Wielkopolsce, gdzie dochodziły do głosu wpływy niemieckie. Szczególnie urozmaicona bywała kuchnia galicyjska. Zupełnie niepowtarzalne zaś w swym bogactwie i pomysłowości - kuchnie kresowe: wileńska, podolska, lwowska, poleska. Mieszały się tu wpływy polskie, ukraińskie, białoruskie, litewskie, austriackie, węgierskie, rosyjskie, tatarskie... Na ziemiach polskich rozwijała się także przez kilka stuleci kuchnia żydowska - nieco egzotyczna, choć słynnego karpia na słodko, z rodzynkami, próbował chyba niemal każdy. O kulturze kulinarnej polskich Żydów pisała już Maria Konopnicka w należącej do kanonu szkolnych lektur noweli *Mendel Gdański*. W dużej mierze za sprawą żydowskich właścicieli mieszkańcy miast, ale czasem także wsi, coraz częściej

jadają teraz poza domem. Rozwijają się bardzo dynamicznie cukiernie, kawiarnie, winiarnie, restauracje, gospody, szynki. Zaglądają tu bardzo chętnie również pisarze, spragnieni nie tylko dobrej kuchni, ale i towarzystwa kolegów po piórze. A czasem - poszukujący najbardziej zdradliwych impulsów. Jak pamiętamy, już bohaterowie Prusa, nie wyłączając Wokulskiego i pani Latter, sięgali nazbyt często po mocniejsze trunki. Pod tym względem nie dorównywali jednak postaciom Sienkiewicza, zwłaszcza tym opisywanym w Trylogii, żyjącym w czasach, gdy narodowym napojem był jeszcze miód. Później, niestety, Polska utonęła w alkoholach mało wytwornych. Literatura ten proces starannie zarejestrowała. Dużo pija się w utworach Reymonta, Żeromskiego, nawet Wyspiańskiego. Niestety, pod tym względem niewiele zmieniło się od czasów staropolskich.



Giuseppe Arcimboldo

Wiek XX

Kulinarne dzieje państw i narodów wiążą się ściśle z historią polityczną. Może dlatego w polskiej kuchni XX wieku różnorodność góruje nad obfitością. Bieda rzadko czyni ludzi smakoszami, choć wyzwała pomyślność i energię, a często pozwala docenić smak przysłowiowej kromki chleba - niepowtarzalny w warunkach najbardziej ekstremalnych, w czasach głodu.

Kuchnia wojenna to osobny epizod, a właściwie - wiele historii godnych przypomnienia. Kuchnia żołnierska i okupacyjna, kuchnia emigrantka i partyzancka, kuchnia powstańczej Warszawy. Wszystkie bez wyjątku ożywiają wspomnienie kuchni międzywojennej - warszawskiej, krakowskiej, poznańskiej, kresowej.... Ciekawe, że właśnie ludzie pochodzący z Kresów pisali o kuchni bardzo często - tym chętniej, gdy znaleźli się z dala od rodzinnego domu; czasem na innym kontynencie, a czasem gdzieś na Mazowszu, tak odmiennym od kresowego raj. *Szczenięce lata* Melchiora Wańkowicza i *Turyści z bocianich gniazd* Czesława Straszewicza to dwie powieści zastępujące niemal książkę kucharską. O

kresowej kuchni pouczająco rozprawiali Andrzej Kuśniewicz i Leopold Buczkowski. Wracił do niej w swej prozie Tadeusz Konwicki. Sceny smażenia konfitur utkwiły w pamięci samego Stanisława Lema, który galicyjskie dzieciństwo opisał w powieści *Wysoki Zamek*. Natomiast zwyczaj umarłego, odchodzącego w niepamięć świata, pokazywał Julian Strykowski, autor *Głosów w ciemności* i *Austerii*.

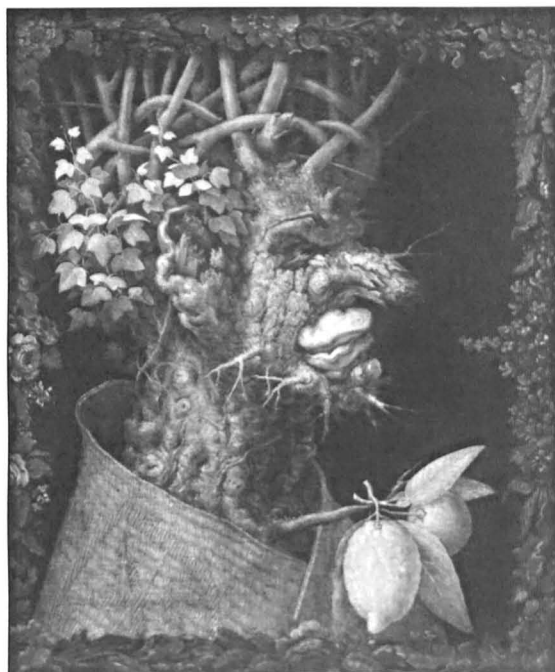
Istniała niepowtarzalna kuchnia domowa i kuchnia tworzona przez zawodowców, prawdziwych mistrzów zatrudnianych w drogich lokalach. Jedna i druga miała rzecz prosta swoje zalety. O tym, jak jadano się w przedwojennej Warszawie, dowiedzieć się możemy z utworów Juliana Tuwima i Antoniego Słonimskiego, bywalców kawiarni i restauracji, odwiedzanych przez wymagające towarzystwo. Światowa dama, Zofia Nałkowska, opisywała zalety kuchni domowej w *Granicy*, zaś uroki przygotowanego fachowo bufetu w *Romansie Teresy Hennert*. Natomiast Kaden Bandrowski podczas wakacyjnych wypraw znajdował podobno w pobliżu Jastarni najprawdziwsze trufle. W ziemi,

nie w luksusowym lokalu oczywiście. Ówczesne poetki, istoty eteryczne i uduchowione, zachwycaly się urodą owoców - jabłek, brzoskwiń, wiśni. O malinach powiedział prawie wszystko Leśmian...

Powojenna rzeczywistość, nieco zgrzebną, a po 1980 roku - „kartkowa”, reglamentująca żywność, nie dawała wielu okazji do kuchennych ekstrawagancji. Artyści współcześni też nie byli ich ciekawi. Pozbywając się rymu i rytmu, sięgając do języka codziennego, poeci poszukiwali z upodobaniem prostoty. Cóż bardziej zwyczajnego niż cebula? I coś bardziej prozaicznego? A jednak cebula z wiersza Wisławy Szymborskiej to nie tylko zwykły dodatek do sosu albo sałatki, ale i prawdziwa tajemnica bytu! Podobnie jak jajecznicą z poematu Stanisława Grochowiaka *Polowanie na cietrzewie*.

W ogóle zresztą cała literatura powojenna wydobywała niezwykłość z rzeczy zwyczajnych, które stawały się nieraz symbolami, tak jak ów nieśmiertelny kabanos z opowiadania Sławomira Mrożka. Komu w czasach PRL brakowało dewiz, ten jeździł za granicę z walizką kabanosów albo konserw. To było całkiem niedawno. A niedługo potem zachwycaliśmy się prozą Edwarda Stachury, którego bohater, odwiedzający w niedzielę wiejską gospodę, zamawiał rosół, golonkę i podwójną porcję ziemniaków. To odświeżne jedzenie stawiało się pod piórem autora najprawdziwszą poezją.

W chudych latach osiemdziesiątych znacznie trudniej byłoby tak podjąć. Przyszedł rok 1989, w sklepach pojawiły się krewetki, bażanty, świeże ananasy, bakłażany i prawie wszystko, czego kulinarna dusza zażądała. Są programy w telewizji, są książki i kursy gotowania. Możemy poprobować kuchni włoskiej i francuskiej, chińskiej i tureckiej, meksykańskiej i hiszpańskiej. W nowej literaturze objawiło się co najmniej kilku pisarzy biegłych w sztuce gotowania. Należy do nich Marek Bieńczyk, znawca win, autor doskonałej powieści *Terminal*, która przekonuje nas, jak poetycką czynnością może być jedzenie jogurtu i kupowanie w supermarkecie nieznanych kiedyś produktów, dzięki którym poczuć



Giuseppe Arcimboldo

możemy smak egzotyki. Należy także Eryk Ostrowski, który w przejmujący sposób umie godzić najczystsza poezję z okrutną prozą życia.

Z dobrym apetytem, choć nie zawsze zasobnym portfelem, wkroczyliśmy niepostrzeżenie w wiek XXI. Co będzie dalej? Co będziemy jadać za kilkanaście lat? Pamiętam, że wszystkie czytane przeze mnie w dzieciństwie książki zapowiadały, że wraz z rozwojem techniki zniknie kuchnia. Będziemy łykać kolorowe tabletki zastępujące pieczeń, ziemniaki i frytki. Nie będzie więcej gotowania, smażenia, zmywania, uciążliwych zakupów.

Na szczęście te ponure prorocтва się nie spełniły. I mam nadzieję, że nigdy nie spełnią, bo coś piękniejszego niż aromat pierwszych poziomek, smak soczystej brzoskwini, delikatna konsystencja tiramisu albo gęsta słodycz kasztanów smażonych w cukrze?





JANUSZ SZPOTAŃSKI

Ballada o cudzie na Woli

*W Warszawie na Woli
ukazał się duch Bieruta
i sprzedawał
kielbasę po 26 zł za kilo.*

Gdy wszystko czerwona zeżarła nam pleśń
i w sklepach zabrakło już soli,
po mieście cudowna rozeszła się wieść:
kielbasę sprzedają na Woli.

Słuchajcie, słuchajcie, co powiem ja wam:
są cuda w epoce Ochaba,
na Woli z kielbasą znajduje się kram,
zwyczajna sprzedaje ją baba.

Już kroczy na Wolę olbrzymi tłum bab
i patrzcie, ach, patrzcie! W oddali
za małym kościółkiem (Sowiński tam padł)
straganu majaczy się zarys.

Ach, skończy się nędza! Ostatni dziś raz
w kołysce dziateczki zakwilą.
Gdy jutro poranny obudzi je brzask,
kielbaski dostaną pół kilo!

A baba wciąż waży kielbasę i wciąż
„Kupujcie, bo tanio”, tak woła.
A może to wcale nie baba, lecz mąż,
lecz mąż opatrności to goła?

Ach, niech was nie myli wydatny ten biust
ni kształty obfite podwiki,
bo oto spod wiejskich zawojów i chust
znajome błyskają wąsiki!

To on jest! On żyje? Nie zabił go Gnom!
I właśnie przybywa z Tirany
nasz ojciec kochany, nasz zbawca! Nasz
wódz,
dla zmyłki za babę przebrany!

Lecz oto wódz wstaje, już ręką dał znak,
że usty przemówi złotymi,
i w ciszy cudowny rozlega się głos:
„Źle dzieje na polskiej się ziemi!

Do władzy zdradziecki dziś dorwał się
Gnom,
wróg ludu i sługus kulaków,
ostatnią złotówkę wyciska z was on
i czyni z was zgraję żebraków.

Cóż z ludu zostało zdobyczy i praw
krom nędzy, krom trosk, krom katuszy,
a Gnom dzisiaj pyszny i próżny jak paw
w szampanie się kąpie po uszy.

W niełasce dziś Berman, w niełasce dziś
Minc.
a Mijał podstępnie wygnany.
Reakcja się śmieje cynicznie: „he, he!”
i dźwięczą Śniecińskich kajdany.

O ludu roboczy, by dodać ci sił
w tej walce nierównej, z Tirany
najświeższej broszury przywożem pięć
ton
zaszytej we flak kielbasiany.

Odpowiedz, dlaczego zdradziecki jest
Gnom
i źle robotniczej jest klasie,
a także uchwały KC KPP
zawarte są w każdej kielbasie.

W ten sposób pod okiem policji i władz
prawdziwy socjalizm się szerzy.
Ja daję wam program, uchwały i plan,
a wy mi złotówki w ofierze.

Lecz pora się rozstać, bo zapiał już kur.
"Niech żyje socjalizm i Stalin!"
Z pieniędzmi z utargu ogromny wziął wór.
I zniknął Prezydent w oddali!



TOMASZ KRZYKAŁA

O ŻONKILACH WILLIAMA WORDSWORTH'A SŁÓW KILKA

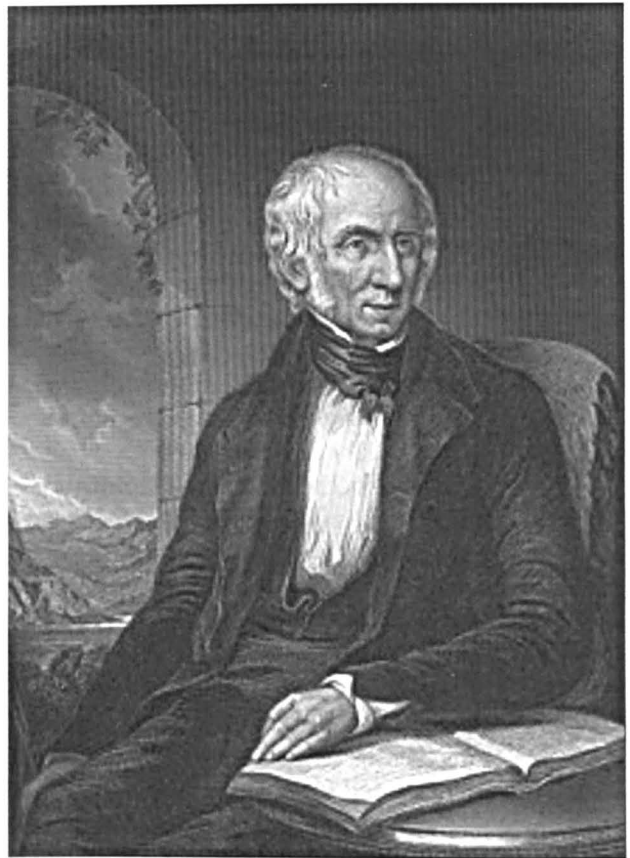
Z podziękowaniem dla pana Andrzeja Millera,
który otworzył mi uszy na *Żonkile*

Jest to jeden z najpiękniejszych i najbardziej znanych wierszy Williama Wordsworth'a i jednocześnie jeden z najbardziej znanych wierszy na świecie. Jego liryzm i konstrukcja poetycka są niezaprzeczalnie pierwszorzędnej jakości – to istotnie arcydzieło literatury. William Wordsworth (1770-1850) był poetą z tzw. „pierwszego pokolenia” romantyków angielskich. Urodził się i mieszkał w miejscach o cudownej urodzie – w angielskiej Krainie Jezior (The Lake District) – obecnie jednym z najbardziej znanych, angielskich parków narodowych. Kraina Jezior jest miejscem o szczególnym znaczeniu zarówno dla walorów przyrodniczo-krajoznawczych, jak i dla światowej literatury i poezji – powiedziałbym też, że zwłaszcza dla polskiej. To bardzo ciekawe, ale po kolei mieszkało w tych rejonach bardzo wielu poetów – tak wielu, że zwykło ich się razem (i trochę nieprecyzyjnie) nazywać „Poetami Jezior”. Jednym z nich był bardzo bliski przyjaciel Wordsworth'a – Samuel Taylor Coleridge. Dzieje tej przyjaźni uważane są za przykład najtrwalszej, głębokiej znajomości w dziejach literatury. Nas jednak tutaj interesuje coś innego – otóż w roku 1797 tych właśnie dwóch panów wpadło na ciekawy pomysł – postanowili wydać razem tomik wierszy. Coleridge miał, z racji swoich upodobań i nieposkromionej fantazji, pisać utwory o nadprzyrodzonej, baśniowej, rzec by można – magicznej tematyce, zaś Wordsworth utwory oparte na życiu codziennym, których zadaniem miało być wydobyć całą magii i uroku „tkwiącego w zwykłej codzienności”. Ci panowie postanowili pisać zwykłym, mówionym językiem angielskim, czyli takim, jaki „można było usłyszeć na ulicy”, postanowili oprzeć się na kulturze ludowej i staroangielskich

sagach i podaniach. Stworzyli tomik „*Ballad lirycznych*” (*Lyrical Ballads*) wydany w 1798 roku. No i namieszało okrutnie w historii powszechnej, ponieważ jednocześnie dokonali przełomu w literaturze skierowanej dotąd wybitnie w stronę klasycyzmu, dokonali przełomu w języku angielskim wymuszając niejako reformę słowników tak, aby obejmowały zwykły mówiony język, ale przede wszystkim zainicjowali gigantyczny prąd intelektualno-artystyczno-społeczny nazywany romantyzmem. Rok 1798 i data wydania *Lyrical Ballads* to początek światowego romantyzmu. Co prawda obaj panowie nie mieszkali w Krainie Jezior w okresie wydania tego tomiku, ale Wordsworth tam się właśnie urodził (dokładnie mówiąc na obrzeżach, w Cockermouth) i obaj przyjaciele osiedlili się w Lake District wkrótce potem. Tak więc udział tego regionu w narodzinach romantyzmu i jego późniejszym rozwoju uważam za bezdyskusyjny! Powiedzieliśmy sobie, że Kraina Jezior miała duże znaczenie dla Polski – tak, dokładnie o tyle, o ile miał takie znaczenie sam romantyzm – dominujący trend w kulturze Europejskiej tamtego czasu eksponował kultury narodowe i dokonywał reform języków narodowych, opierał się na ludowości i wracał do głębokiego średniowiecza szukając tam odpowiedzi na problemy współczesności – dla Polski pozbawionej miejsca na mapie i państwowości oznaczało to powrót do samego rdzenia kultury, powrót do marzeń o niepodległości, zainteresowanie językiem polskim i brak zgody na jego unicestwienie podobnie jak brak zgody na unicestwienie narodu. *Lyrical Ballads* w równym stopniu „zbudowały” dzisiejszą mentalność Europy, jak zbudowały romantyzm, zaś romantyzm polski jest, moim skromnym zda-

niem, nieodłącznie zrośnięty z ideą przywrócenia niepodległego państwa polskiego, podobnie jak, w szerszym kontekście, idea „prawa do istnienia” dla narodu polskiego i każdego innego narodu oraz prawa dla istnienia dla każdej jednostki ludzkiej w ujęciu liberalnych idei rewolucji francuskiej jest nieodłącznie zrośnięta z pojęciem europejskiego romantyzmu i zapewne zgodna z przekonaniami samego Wordsworth'a. To jest głęboko „liberalny” wymiar literatury i sztuki romantycznej, który na gruncie kultury polskiej uległ stopieniu z wymiarem i znaczeniami chrześcijańskimi - z powodu ich niewiarygodnego podobieństwa (zwłaszcza w sytuacji niewoli) do idei liberalnych wyrosłych na gruncie rewolucji społecznych tamtych czasów. Ale to takie szerokie spekulacje – wróćmy do naszych *Żonkili*.

Wiersz opisuje niewątpliwie przecudny widok rodem z Krainy Jezior i głęboko zrośnięty z romantycznym zafascynowaniem przyrodą. Jest tam radość i spontaniczność iście porywająca, dziecinna i niezapomniana. Łąka pełna żonkili rozpościerająca się u brzegu jeziora jest w drugiej zwrotce odniesiona i zjednoczona z ogromnymi, monumentalnymi procesami zachodzącymi we wszechświecie w sposób przepięknie obrazowy - człowiek zaś jest tego wszystkiego ostatecznym beneficjentem w głęboko renesansowym, humanistycznym ujęciu - jedno jego spojrzenie wystarczy by omieść wzrokiem mleczną drogę i jedno tylko spojrzenie wystarczy na uchwycenie dzieśnięciu tysięcy sylwetek tańczących na wietrze kwiatów - istotnie mocarna to istota! Ale ta wysoka, priorytetowa, dominująca pozycja człowieka nie jest czymś narzuconym odgórnie - narrator, który sam siebie nazywa poetą jest tak samo częścią natury, jak widoki, które ma przed oczami, płąsa razem z kwiatami i razem z nimi dzieli oszalałająca radość płynąca z samego faktu istnienia. Do tego jeszcze jest silnie czującą częścią natury, bardzo spontaniczną - narracja oscyluje pomiędzy obiektywnym ujęciem w trzeciej osobie i



bardzo prywatnym opisem w pierwszej osobie, a do tego jeszcze narrator przecież sam siebie nazywa poetą. Słowem wszystko skrzy się nieklamana, spontaniczną radością oprócz pierwszej części pierwszej zwrotki i całej zwrotki czwartej. Cóż tam się zadziało w tych zwrotkach? Ośmielę się powiedzieć, że te miejsca przynoszą jeden z najbardziej subtelnych opisów pracy umysłu i procesów powstawania dzieła sztuki w historii literatury. „Wędrowanie samotnie jak chmura” kojarzy mi się z bujaniem w obłokach. Zaś bujanie w obłokach to kolokwialny termin opisujący stan zamyślenia. Tak więc początek wiersza to może być swoista ikona człowieka zamyślonego, którego myśl w zetknięciu z naturą ożywa dosłownie - zaczyna żyć życiem emocjonalnym, zaczyna być częścią świata, który widzi - narracja zobrazowana pierwszą osobą dialogu wewnętrznego przechodzi w trzecią osobę doznań opisowych i znowu w pierwszą, kiedy pojawiają się niczego nieświadome

emocje. Przypomina mi się tutaj inny wiersz Wordsworth'a *Tęcza* (*The Rainbow*), kiedy mówiąc o perspektywie braku emocjonalnego kontaktu ze światem mówi on – „lepiej niech umrę” („or let me die!”) – brak takiego wymiaru egzystencji jest dla niego istotnie rodzajem śmierci. W *Tęczy* pada jeszcze jedno, sławne Wordsworth'owskie stwierdzenie – „Dziecko jest Ojcem dorosłego Człowieka” („The Child is Father of the Man”), co dobitnie podkreśla stosunek poety do emocji na wiele lat przed Piaget'em. W *Żonkilach* cały czas patrzymy na świat oczami samotnej osoby i ta samotność jest nieustannie podkreślana - dlaczego? Od początkowego przyrównania do ulotnej chmury o rozmytych kształtach cały wiersz jest cyklem obrazów widzianych oczami poety - istotnie jest to monolog wewnętrzny, obraz umysłu, obraz psychiki, a nie opis krajobrazu. Takie założenie znajduje swoje potwierdzenie w ostatniej zwrotce, która jest de facto opisem retrospekcji psychologicznej i opisem powstawania dzieła sztuki. Literatura daje nam dziś kilka takich opisów, ale kto wie czy nie najznakomitszym z najznakomitszych jest cały cykl *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Proust'a z jego częścią opisującą doznania i skojarzenia wynikające z jedzenia magdalenki. Sublimacja procesów świata zewnętrznego i ich przetworzenie w sztukę jest w obu przypadkach podobne - Marcel Proust wskrzesza świat minionej młodości chory na astmę „żyjąc po ciemku jak sowa”, Williamowi Wordsworth'owi przypominają się piękne obrazy w chwilach smutku. Końcowych słów z wielkiego dzieła Proust'a - „bo tylko dzieło sztuki jest w stanie przywrócić stracony czas” - można użyć jako podsumowania obu dzieł. Bo dokładnie tym są przecież sztuki piękne, choć nie tylko tym rzecz jasna

Żonkile

Wędrowałem samotnie niczym chmura
Płynąca ponad dolinami i omiatająca wzgórza,
Kiedy nagle ujrzałem żółty tuman,
Całą łąkę falującą w złotych żonkilach;
Obok jeziora, pod drzewami,
Płającą, trzepoczącą z wiatru powiewami.

Z niesłabnącą siłą błyszczały te kwiaty jak
gwiazdy
Migoczące nocą gdzieś na mlecznej drodze,
Linia bez końca rozciągnięta po horyzont
błady
Wzdłuż brzegu biegnące w dal przy zatoce:
Dziesięć tysięcy od razu widziałem za jednym
spojrzeniem,
Pochylających główki i zajętych swym
tańcem.

Fale poniżej nich też w tańcu płasły, ale
kwiaty
Przewyższały połyskliwe fale swą radością:-
I poeta bez zadumy był szczęśliwy cały
Gdy czas spędzał z tak wesołą i pogodną
kompanią: Patrzyłem wciąż i patrzyłem,
ale nie przeczuwałem
Jakim bogactwem, tak patrząc faktycznie się
napawałem:
Bo często później kiedy byłem w domu
W nastroju przygnębienia, chłodu i obcości,
Znów widziałem tamte kwiaty przyniesione
we wspomnieniu
Które jest błogosławieństwem samotności, I
znów się skrzy moje serce ich radosnymi
płasami,
I znów tańczę z żonkilami.

1807

Przekład Tomasz Krzykała





MARZENA PODKOŚCIELNA

* * *

Zachciało się dziewczynie
wiatru we włosach
a tu cisza taka
snują się po ziemi delikatne przyływy i odpływy
ukojących nocą oddechów
obcych jej oddechów
a wystarczyłby lekki dotyk jego źrenic
muśnięcie
pośród kolan
szuka
błądzi przywołuje
tego który zbudził ją

cisza

* * *

Ten
który wiatrem mi był
unosił mnie
słowem jak oddechem
porywał w żywioły
których nie mogłam poskromić

Ten
który targał w moich włosach
całą rozkosz i niemożliwość
pieścił podmuchami szaleństw

--pognał z pierwszą wiosną

a ja --?

deszcz w grudach ziemi
lka

* * *

drzewa nie są zawstydzone
dojrzały
w czasie liściodajnym
soczystoczułym
figlują zalotnie szczebiotem
zielenią mamią źrenice

nalewasz wino

dojrzałość rocznika
rytmicznie wchodzi w krew

rozchyłasz wargami brzegi nocy
już nie igrasz
już się nie wzbraniam

milkną gałęzie
bezwstydne gapią się
liśćmi przylegając do szyb

zanim zasnę bądź dla mnie

prawdziwy

* * *

nie spotkamy się
dotykem twoją dłoń nie wsunie się
niewstydliwie między moje palce
zapach włosów nie zmruży
oczu
odwracając kluczowe słowa
wypowiedziałeś
opacznie
zakłęcie
za siedmioma górami
za siedmioma rzekami

pozostają bajki



DOMINIKA JESZCZYŃSKA

Moje zainteresowanie przeszłością zaowocowało już „odkryciem” dwóch artystów, których los związał z Radzyniem Podlaskim. Pierwszy z nich to malarz Stanisław Wroński vel Vronski (1840-1898). Na jego temat wiadomo niewiele: zesłaniec syberyjski, współpracownik znanego odkrywcy Benedykta Dybowskiego (wykonywał tablice faunistyczne do jego dzieł, pomagał w obserwacjach ryb Bajkału i gromadzeniu zbiorów ornitologicznych, towarzyszył w wyprawach w góry Chamar-Daban i Sajany). Wroński spędził kilkanaście lat w Irkucku, gdzie pracował m.in. jako nauczyciel technik graficznych w tamtejszej Szkole Technicznej, następnie wyjechał do Saint-Petersburga, by pod koniec życia osiąść w Warszawie. Wciąż nie wiadomo dlaczego pochowany został na cmentarzu parafialnym w Radzynie oraz jakie były jego związki z naszym miastem („Grot”, 1/2007). Druga postać to Zenon Waśniewski (1891-1945), malarz, poeta i pedagog, rodem z Galicji. Tutaj miałam więcej szczęścia: jego spuścizna trafiła w dobre ręce (rodzina żony artysty), doczekała się naukowego opracowania, a prace niejednokrotnie prezentowano na wystawach indywidualnych i zbiorowych. Jest szansa, aby w niedalekiej przyszłości taka ekspozycja zaistniała również w Radzynie.

Zenon Michał Jan Waśniewski przyszedł na świat w Tarnowie 11 grudnia 1891 r. w rodzinie ziemiańskiej h. Bończa, jako syn Kazimierza i Herminy z Właczyńskich ze Złotego Potoku. W wieku czterech lat stracił matkę; ojciec został sam z trójką dzieci, prawdopodobnie pracował wtedy jako ogrodnik miejski. W 1903 r. rodzina Waśniewskich opuściła Tarnów i zamieszkała w Krakowie-Podgórzu. Tam chłopiec zaczął uczęszczać do Szkoły Realnej, a w 1910 r. skończył gimnazjum. Ojciec prowadził w Krakowie „Drogerię pod Gwiazdą”, dzisiaj powiedzielibyśmy – aptekę, w której można było nabyć rozmaite

ZENON WAŚNIEWSKI. PIERWSZA ODSŁONA

medykamenty, przyrządy chirurgiczne, perfumy, mydła kosmetyczne i lecznicze, nalewki, wina, herbatę, wodę mineralną, rozmaite kaszki i mączki dla dzieci, itd. Przez długie lata ów sklep drogerijny był jedynym źródłem utrzymania całej rodziny. Kazimierz Waśniewski przywiązywał dużą wagę do edukacji swoich latrosi, ale nigdy nie rozumiał i nie popierał zainteresowań syna, który pasjonował się rysunkiem i poezją. Jego pierwsze prace ujawniają talent rysownika i duże umiejętności, gdy chodzi o przedstawianie postaci; podobnie jak późniejsze, bardzo dojrzałe autoportrety. Florentyna Radwańska, spokrewniona z żoną artysty, opowiada, że uczniem był przeciętnym, a rysowanie pochłaniało go do tego stopnia, że podczas lekcji szkicował po kryjomu, pod ławką. Ojciec widział jednak dla syna inną przyszłość, pewny kawałek chleba, stąd gdy po ukończeniu gimnazjum chłopak chciał wstąpić na Akademię Sztuk Pięknych, nalegał, by „wpierw skończyć politechnikę, a potem studiować sztukę”. Waśniewski rozpoczął więc studia na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Lwowskiej. Tam uczęszczał na dodatkowe zajęcia rysunku u prof. Sadłowskiego oraz prof. Nalborczyka, traktując rysunek odręczny, szkice z natury i modelowanie z większą powagą aniżeli przedmioty obowiązkowe. We Lwowie poznał Brunona Schulza, który, tak jak on, studiował na Politechnice i tak jak on marzył o studiach plastycznych. W latach 30. prowadzić będą ożywioną wymianę korespondencji. Po zaliczeniu pięciu semestrów Waśniewski przerwał studia. Wybuchła I wojna światowa, został zmobilizowany (1915) i powołany do wojskowej służby pozafrontowej. Jego spadkobiercy przechowują niewielki, kieszonkowy notatnik z tamtego czasu, a w nim ołówkowe portrety żołnierzy, kolegów, często bardzo młodych chłopców. Po zwolnieniu ze służby



zby (październik 1915) artysta otrzymał posadę u Jana Zawiejskiego, architekta a zarazem naczelnika Urzędu Budownictwa Miejskiego w Krakowie. Zawiejski zwrócił uwagę na talent i zainteresowania malarzskie swojego podwładnego, jego prace przedłożył więc kilku známym artystom, w tym malarzowi i akwareliście Julianowi Fałatowi. Obaj namawiali Waśniewskiego do wstąpienia do krakowskiej Akademii. Polecili go również innemu malarzowi, Julianowi Makarewiczowi, dzięki czemu młody Waśniewski wziął udział w pracach konserwatorskich malowideł ściennych na Wawelu (fryz II piętra zamkowego z głowami cesarów) oraz w kościele Św. Krzyża w Krakowie i kościele parafialnym w Bochni. W październiku 1916 r. zdecydował się na wstąpienie do Akademii, nie został jednak przyjęty na wydział malarski, gdyż ówczesny rektor Józef Mehoffer na podstawie przedłożonych mu rysunków i akwarel uznał, że kandydat ma już wypracowaną własną maniërę. „My do akademii potrzebujemy takich, co nic nie umieją” - uzasadniał. Zniechęcony niepowodzeniem Waśniewski na cały rok zarzucił malowa-

nie. Podjął nieciekawą pracę rysownika przy budowie baraków w Oświęcimiu, a w 1917 r. opuścił Kraków. Nasza historia rozpoczyna się w 1919 r., kiedy Zenon Waśniewski przyjeżdża do Radzyna Podlaskiego, na zaproszenie Polskiej Macierzy Szkolnej prowadzącej tu czteroklasowe Gimnazjum Realne. Przez następne dwa lata będzie uczył rysunku odręcznego, kaligrafii i języka niemieckiego. W tym czasie pozna swoją przyszłą żonę, nauczycielkę Michalinę Razińską. Ożywiona korespondencja, jaką prowadził z ukochaną, jest dzisiaj dla nas ciekawym źródłem wiedzy o Radzynie. Między wierszami czytamy o życiu codziennym w małym kresowym miasteczku – w wolnej, ale stojącej wobec wojny 1920 roku Polsce. Chciałabym jednak rozpocząć od innej, nie mniej ciekawej pamiątki: w zbiorach rodziny artysty zachowała się fotografia klasy drugiej gimnazjum i grona pedagogicznego, z roku szkolnego 1920/21. Ponieważ zdjęcie zostało przez Waśniewskiego skrupulatnie opisane, możemy dziś zidentyfikować wszystkie uwiecznione na nim osoby: 1. Jan Wilk (drugi z kolei dyre-

ktor Gimnazjum, z zawodu prawnik, czynny działacz ludowy, członek PSL „Wyzwolenie”; 2. ks. Aleksander Koczkodaj (ur. 1892, święcenia kapłańskie 1917, wikariusz w parafii Św. Trójcy w okresie 12 stycznia 1919 – październik 1920, prowadził archiwum Urzędu Stanu Cywilnego parafii radzyńskiej); 3. Halina Rudnicka (założycielka i dyrektorka Gimnazjum do października 1919, zm. 1925); 4. Marian Rozenblum; 5. Józef Maślak (gospodarz klasy); 6. Zenon Waśniewski; oraz uczniowie: 7. Kuryłowicz Emilia; 8. Wysokińska Helena; 9. Kwasowiec Maria; 10. Śmiecińska Maria; 11. Szczepańska Stanisława; 12. Kantor Ewa; 13. Ślimak Małka (?); 14. Kołodziej Helena; 15. Lichtenstein Michał; 16. Jaszczuk Józef; 17. Oworuszko Bolesław; 18. Bylicka Halina; 19. Wolf Nina; 20. Edelman Nina; 21. Skrodzka Irena; 22. Golcówna

Zofia; 23. Suchowolska Alina (?); 24. Zieliński Stefan; 25. Waszkiewicz Jan; 26. Paszkiewicz Józef; 27. Żurawski Stefan; 28. Goldfarb Aron; 29. Wysokiński Kazimierz; 30. Kołtan Eugeniusz; 31. Komornicki Włodzimierz; 32. Prejzner Henryk; 33. Piec Ludwik; 34. Komoń Józef; 35. Dudkowski Czesław; 36. Koczkodaj Franciszek; 37. Grzeszuk Franciszek; 38. Trochonowicz Franciszek; 39. Gano (?) Władysław; 40. Odrzygóźdź Antoni; 41. Ochnio Józef; 42. Malinowski Edmund; 43. Pachocki Mieczysław.

Autorka dziękuje Państwu Florentynie i Lechowi Radwańskim oraz dyrekcji Muzeum Okręgowego w Chełmie za udostępnienie materiałów źródłowych i opracowań na temat artysty.



JOANNA MAŁEK

Zmartwychwstanie/ Pożegnanie w gniewie

Oprawiał każdą nagą historię w wielką ramę.
Potem kilka wstydliwych lekcji kochania. Z dala od żony.
Obrączki i nocne rozmowy. Czasem słowa, jak pająki wypluwane

na siebie, kończyły się stopniowym wygryzaniem sobie spojówek.
Pożegnanie w gniewie. Pusty dworzec uderzył go, prosto w tętnicę.
Ktoś zadzwonił, krzyczał. Ktoś inny otworzył czaszkę i zaszył.
Spał cicho, jak dziecko, całe trzy dni. I nie zmartwychwstał.

Nowy Dzień

Razem z ostatnim posiłkiem, zwracam ciębie.
Uciekaj, nie będę cię gonić zbyt długo.
Już scena jest pusta, umyli po nas podłogi.

Parkiet, spokojnym knajpowym światłem,
doczeka się jutra, przejdziemy po nim osobno,
szczęśliwi i niczym niezawstyżeni.



OSKAR SZWABOWSKI

KONFORMIZM JAKO BUNT MAS?

Pojęcie masy jest granicą filozofii społecznej i socjologii, stwierdza Jean Baudrillard¹, miejscem niedostępnym, nierozpoznanym, rodzajem czarnej dziury. Wszelka informacja zakrzywia się, mutuje, przechwycona przez masę, zostaje poddana działaniom, których już teoria nie rejestruje, nie jest w stanie ująć w prawa i zasady. Przekaz zostaje pochłonięty, teoria sparodiowana. Masa, stwierdza francuski filozof, jest pustym miejscem, toteż refleksja teoretyczna musi nią zawładnąć, zniszczyć, przerobić: „pochłaniają (...) wszelką energię elektryczną zawartą w sferze społecznej i politycznej, bezpowrotnie ją neutralizując (...) nie promieniują, wręcz przeciwnie, pochłaniają wszelkie promieniowanie z peryferyjnych konstelacji państwa, historii, kultury, sensu. Są inercją, siłą bezwładu, potęgą zerową, potęgą *neutrum*”².

Masy, kontynuuje J. Baudrillard, nie posiadają określenia, nie są ani robotnicze, ani chłopskie, nie są również kobiece. Niedefiniowalna, pozbawiona wszelkiej określoności, niewyraźna, jest milczeniem, obojętnością. Nie są w stanie przełamać jego sondą, badania opinii publicznej - to jedynie pył. Nie są w stanie przełamać jej apele polityczne, manifesty, wezwania do rewolucji czy kontrrewolucji. Masa pojawia się w historii dopiero wtedy, kiedy przestaje być masą. Jest tym, co stawia opór.

Hegel, wielki teoretyk społeczeństwa obywatelskiego, określa masy jako coś bezwładnego, coś nieokreślonego, pierwotnego. Masa nie jest nawet gatunkiem, a tym bardziej populacją, a czymś przedspołecznym, przedludzkim - stanem nierozumności w ogóle. Jest materialem z którym trzeba coś zrobić, uczynić częścią całości, podciągnąć do rozumu. Krótko mówiąc, trzeba uspołecznicić to coś. Z ciała zrobić jednostkę, obywatela.

Uspołecznienie jest procesem ponurym. Przyglądając się powszechnie opisowi danego

procesu zawartego wśród agentów państwa, specjalistów od tworzenia „człowieka”, psychologów, pedagogów, dowiemy się, że uspołecznienie to „postawy patriotyzmu, społecznego zaangażowania, społecznego zdyscyplinowania, poszanowania godności innych ludzi, poszanowania życia i zdrowia człowieka, postawa tolerancji, koleżeństwa, opiekuńczości, współdziałania i lojalności”³. Czytając niniejsze zdanie Michele Foucaultem możemy powiedzieć, że mamy do czynienia z ujednolicieniem polegającym na ujarzmieniu, podporządkowaniu zasadom społecznym, naukom siedzenia w ławkach i zachowania się przy taśmie produkcyjnej. Władza dyscyplinarna i biowładza łączą się w celu wydobycia z masy jak największej energii. *Ja*, jak i społeczeństwo, internalizują arbitralne zasady systemu, stając się nośnikami tego systemu. Nośnikami dobrowolnymi, w pełnym świetle wolności i rozumu.

Uspołecznienie, związane z podziałem pracy, to nauka respektowania hierarchii w pracy i życiu codziennym. Podporządkowania kulturze, która jawi się jako obiektywna, naturalna, podporządkowanie rynkowi, jego boskim prawom, jak i prawom w ogóle, jako przejawom samego rozumu. Jest zjawiskiem ponurym, gdyż nacechowanym pierwotnie przemocą, która pozostaje w tle, przybiera czasem postać wyrozumiałego nauczyciela, uśmiechniętego policjanta, troskliwego pracodawcy.

W tej perspektywie masy mogą się jawić w swojej bierności, bezwładności jako miejsce oporu wobec władzy, jako zniesienie społeczeństwa klasowego, ale też każdego społeczeństwa, które nie jest w stanie obyć się bez produkcji ubocznej wykluczonych, innych, wrogów. Może stanowić, jak ciało u Stirnera, miejsce neutralne, wymykające się filozofom-prawodawcom, wykuwającym podręcznikowe jednostki, nauczające Rozumu. Możliwe, że powinniśmy odrzu-



Tomaz Młynarczyk

cić pogardliwe myślenie o masach, myślenie Hegłowskie, chcące z mas coś zrobić, przekuć ich na komunistów, socjalistów, faszystów czy też anarchistów, bądź dobrych chrześcijan. Porzucić myślenie, które cechuje wszystkich ideologów, od skrajnej prawicy przez liberałów do skrajnej lewicy.

J. Baudrillard genezę powszechnego milczenia mas łączy z historycznym oporem wobec społecznienia, pochodzącego ducha: „Oporu, rzecz jasna, w stosunku do pracy, lecz również oporu w stosunku do medycyny, oporu w stosunku do szkoły, oporu w stosunku do bezpieczeństwa, oporu w stosunku do informacji”⁴. Oporu wzrastającego szybciej, niż proces społecznienia. Była to konfrontacja, często zbrojna, nasączona przemocą. Starcie prawodawców i ich zbrojnego ramienia z ludem cechowało, według francuskiego filozofa, wczesny etap społecznienia, kiedy przemoc była czymś bezpośrednim. Kontrę zaś, kontynuując, nie inicjowały masy, ani też nie one

brały udział w walkach, lecz tradycyjne wspólnoty, o własnych strukturach, wartościach, nie chcące ulec ujednoliciącej maszynie kapitału i państwa. W przypadku mas będziemy mieli do czynienia z zupełnie inną strategią, z oporem bez oporu.

Masy, stwierdza J. Baudrillard, godzą się na wszystko, wszystko przyjmują, jednocześnie unicestwiając, likwidując wszelki sens. Przerabiając wszelką próbę racjonalizacji w irracjonalną grę obrazów bez pedagogicznego wymiaru. Ich hiperkonformizm paradoksalnie wymyka się wszelkiej władzy, stanowi „skrajną postać odmowy uczestnictwa: oto współczesna klęska władzy”⁵. W swoich przejawach łączy się z terroryzmem.

Terroryzm francuski filozof odróżnia od politycznego bandytyzmu, który to, podobnie jak strajk, ma racjonalne cele, jest aktem reprezentującym interesy pewnej grupy, przemawiającym w imieniu tejże grupy. Tymczasem terroryzm wolny jest od

wszelkiego sensu, wszelkiej reprezentacji, celów - jest aktem wyczerpującym się w sobie, nie odsyłającym do nikogo i niczego. „Jest on - pisze J. Baudrillard - jednym aktem, który niczego ani nikogo nie reprezentuje. Właśnie to łączy go z masami, stanowiącymi jedyną nieprzedstawialną rzeczywistość”⁶. Sam atak dla ataku, wymierzony w całość społeczeństwa, w to jakie ono jest, nie w celu ustanowienia innego porządku, konkurencyjnego projektu, jak miało to miejsce między innymi w marksizmie czy obecnie w niektórych odłamach feminizmu, tylko unicestwiający, obracający w próżnię. Jak milczenie mas.

Terroryzm, podobnie jak milczenie, jest klęską projektu rewolucyjnego. Masy nie stanowią nowego podmiotu dziejów, historii. Są ahisteryczne, cielesne, wyrwywają się z zakłętego kręgu. One w ogóle nie są, one nie istnieją. Będąc czarną dziurą, entropią wszelkich systemów.

Czy mamy do czynienia z innym projektem emancypacyjnym? Z projektem sięgającym koncepcji Stirnera? Wydaje się to kuszące, odnaleźć w tym milczeniu, w tym wycofaniu się, w tym zaprzeczeniu racjonalności, edukacji, nową formę oporu. J. Baudrillard daleki jest od takiego ujęcia problemu:

„Egzaltacja mikropragnień, małych różnic, ślepych praktyk, bezmiennych marginalności. Ostatni zryw intelektualistów, by uwznioślić błahość, wypromować bezsens w dziedzinie sensu. I napęlić nim ponownie rozum polityczny. Banalność, bezwład, apolityczność charakteryzowały faszyzm, dziś jednak zyskują właśnie wymiar rewolucyjny - nie zmieniając swego sensu, czyli nie przestając być w jego posiadaniu. Mikrorewolucja banalności, transpolityka pragnienia: kolejna sztuczka *wyzwolicielei*. Zaprzeczenie sensu jest go pozbawione”⁷.

Nie mamy do czynienia z żadnym nowym projektem. Co zatem czynić z masami? Z ich prywatnością nieprzeniknącą, z ich ubóstwieniem sitcomów? Wszak masy stanowiły punkt odniesienia wszelkiej

praktyki politycznej, ideologicznej. Ideologowie apelowali do mas, by idee wcielić w życie, by stali się wyznawcami i orężem. Dziś ulotki nawołujące do protestu traktowane są tak samo jak ulotki reklamujące promocje w supermarketach. Dokładnie nie wiadomo jak, zgniecione na dnie kieszeni przepełnionej kolorowymi papierkami, wirującymi dla wirowania, mieszanymi dla mieszania... Możliwe, że po prostu nie należy mas stawiać jako punktu odniesienia.

Problem milczenia, problem braku zaangażowania, stanowi dla pewnych kręgów problem główny, przy czym teoretyczno-praktyczne uchwycenie tegoż problemu mieści się w modelu filozofa-prawodawcy. Z masami trzeba coś zrobić, trzeba je ucłowieczyć - bo są głupie, bezrozumne, milczące. Pojawia się agresja słowna i fantastyczne projekty dyktatur wolnościowych, lewicowych

Esej J. Baudrillarda jest otwarty, zarysowuje pewne możliwości innej analizy rzeczywistości. Inspiruje do przemyślenia podstawowych spraw na temat sfery społecznej, samego społeczeństwa. My również pozostawiamy nasz tekst, będący myśleniem wokół Baudrillarda, otwartym. Sygnalizując konieczność przemyślenia na nowo stosunku intelektualistów do mas, projektu emancypacyjnego, tak, by wolność nie była interpelacją do posłuszeństwa prawą, czy to pisanym przez klasy posiadające, czy przez komitety rewolucyjne.

Możliwe też, że rozwiązanie problemów postawionych przez francuskiego filozofa wymagać będzie porzucenia jego perspektywy.



¹ J. Baudrillard, *W cieniu milczącej większości, albo kres sfery społecznej*, tłum. Sławomir Królak, Warszawa 2006.

² ibidem, s. 6.

³ W. Wasielewska, *Wpływ pracy grupowej na uspołecznianie dzieci*, <http://kompes.webpark.pl/edukacja.htm>, data otwarcia: 21.05.2008.

⁴ J. Baudrillard, *W cieniu...*, s. 56.

⁵ ibidem, s. 65.

⁶ ibidem, s. 69.

⁷ ibidem, s. 55.



JAKUB ANTOLAK

* * *

Na wsi jest pięknie, choć ja dureń z miasta,
gdzie przed balkonem lśni tylko ogródek,
w którym się sztuczny wciąż uśmiecha krasnal
i czasem naszcza ostrzyżony pudel.

A jeśli naszcza, wtedy się da śpiewać
szlagiery z półki na różowe płyty –
naręcza kwiatów i wilgotna gleba,
pod oknem leży pijak niedomyty.

Umyj się bracie, bo na nic nie starczy,
flaskę i absynt, promile szlag trafi!
„Dziś się nie wraca z tarczą, a na tarczy” –
wiem; pokonany zaś już tylko martwi.

Tam na wsi pięknie, to nie to, co w miastach.
Zarasta w chwasty babciny ogródek
i śmierdzi ledwo położony asfalt.
Pleśnieje wujka ulubiony strudel.

prelekcja

możesz tylko słuchać
liczy się jedynie słuch
umiejętność wylapywania głosek
z oddechu, faktów z bicia serca
to czy masz słuch zależy od ciebie
jesteś wolnym człowiekiem
jak każda małpa
możesz robić z bananami
co ci się podoba

widok z okna

taki widok wynagradza wszystko, zebrane
pasy na jezdni, zbyt małe fale, brak
wesołego miasteczka.

klif mówi językiem fal, obramowany oknem.
trzeba wyjść za ten widok,
objąć go, okiełznać.

notatki plażowe: siłacz

Na niego żaden sposób się nie znajdzie:
na plaży nagość, ciasne wyuzdanie –
skapo ubrany, umięśniony twardziel
zyskuje szybko polor w oczach panien.

W słońcu się mieni jego tors szeroki,
przykład potęgi ludzkiej fizyczności.
Grają mu mięśnie, wielkie jak obłoki.
Struchlały kości – chudych dam kragłości.

Ręce trzepoczą, o pot trzeba prosić.
Siły mu nie brak, zaś zmęczenia braknie.
Przysłania słońce i niebo tarmosi,
kto wie, czy niebo i jego nie łaknie?



MAREK CHODOWSKI

SZTUKA CIAŁA, CZYLI... ROZWAŻANIA O FENOMENIE PANTOMIMOSA

Dla mnie sztuka łączy się z pojęciem piękna, nie mogę tego rozumieć inaczej.

Poza tym, ten materiał, z którego tworzę, to jest ludzkie ciało.

Nie mógłbym z tego ciała chyba nic zrobić gdybym nie był jego pięknem zafascynowany...

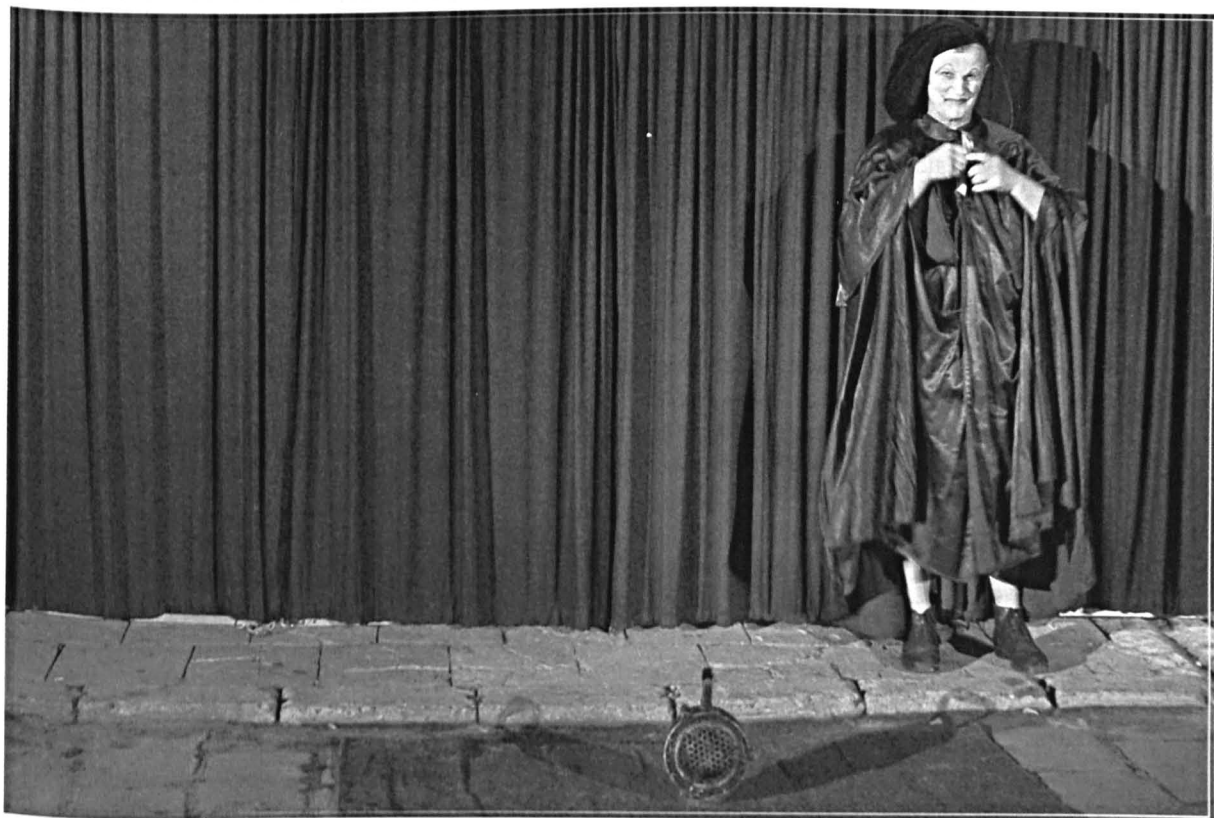
To ludzkie ciało jest w moim najżywszym odczuciu ukoronowaniem wszystkiego co stworzono. W ciele ludzkim, w jego wyrazie jest tyle piękna, że zniekształcać je lub jakoś w coś opakowywać, albo w jakiś sposób deformować to by znaczyło, w moim mniemaniu, czynić krzywdę naturze.

H. Tomaszewski

Aleksander Tairow w znanym tekście pt. *No-tatki reżysera i proklamacje artysty* zaprezentował, bardzo wyraziście, interesujące mnie zagadnienie. Zasugerował on mianowicie, iż w każdej sztuce artysta jako osobowość twórcza, materiał i samo dzieło sztuki, które jest ukoronowaniem procesu twórczego, są od siebie oddzielone. Instrument, materiał i samo dzieło znajdują się na zewnątrz, to jest poza osobowością twórcy. Tylko w sztuce aktora osobowość twórcy i materiał i instrument i samo dzieło sztuki połączone są organicznie w

jednym i tym samym obiekcie i nie są w stanie oderwać się od siebie. To zasadnicze twierdzenie przeprowadza ostrą linię podziału pomiędzy sztuką aktora a każdą inną sztuką.

Celem niniejszego eseju będzie próba określenia roli jaką odgrywa w tak nietypowej sztuce, sztuce aktorskiej element silnie wyzyskiwany - ciało. Skoncentruję moje rozważania nie na sztuce aktorskiej - pojęciu tyleż interesującym co ogólnym - lecz na konkretnym jej szczególe. Sztuce ciała aktora. Co więcej interesować mnie będzie



fenomen jakim jest sztuka ciała tworzona przez mima czy też pantomimosa - aktora pantomimy. Nie znam bowiem artysty bardziej wykorzystujących możliwości, które niesie ze sobą ciało i silniej je eksploatującego niż mim. Zanim przystąpię do rozważań o charakterze bardziej szczegółowym wydaje się zasadne przypomnienie źródłosłowu terminu pantomimos.

W starożytnym Rzymie był to aktor do tego stopnia biegły w swej sztuce, iż był w stanie kreować kilka różnych postaci w ciągu jednego przedstawienia i to wyłącznie przy pomocy gestu i ruchu ciała, bez słów.

Sztuką była nie tyle umiejętność naśladowania – spokrewnionego prawdopodobnie ze słynnym mimesis ale także potencjał kreowania, stwarzania. Także obecnie działanie mima staje się sztuką w momencie, gdy zdobywa on dar wcielania się wzbogacony o umiejętność stwarzania widzialnym tego co niewidzialne. Ciało mima zdaje się mówić: potencjalnie wszyscy i wszystko jesteście we mnie tak jak ja jestem w was.

Znany współcześnie mim – Vladislav Fialka stwierdził: „mim może być wszystkim: królem, tułaczem, ogniem, wiatrem, a także melodią czy ożywczym tchnieniem nadziei”.

Ewentualność takich wirtuozerskich popisów budzi pytanie - jak jest to możliwe? To wyobrażnia aktora czyni niemożliwe możliwym. W sztuce pantomimy wewnętrzne przeżycia człowieka uzewnętrzniają się bezpośrednio poprzez ciało mima. Mim ujawnia koncepcje powstałe w jego umyśle przez ruchy swego ciała. Ciało jest nie tylko gliną, bryłą, płamą barwną. Staje się w grze aktora czymś nadającym kształt wnętrzu. Jednocześnie doskonałość lub niedoskonałość ciała niesie ze sobą bogactwo lub zubożenie środków wyrazu.

Z jednej strony ciało, przynależące do świata biologicznego, naprzeciw przeżycia, doznania duchowe. To zespoleniu z daje mimowi, artyście możliwość osiągnięcia szczytów możliwości. Z tych samych powodów przyczynia się do wielu trudności. Ciało zwykło bowiem przysparzać wielu kłopotów sprawiając, iż granica mię-

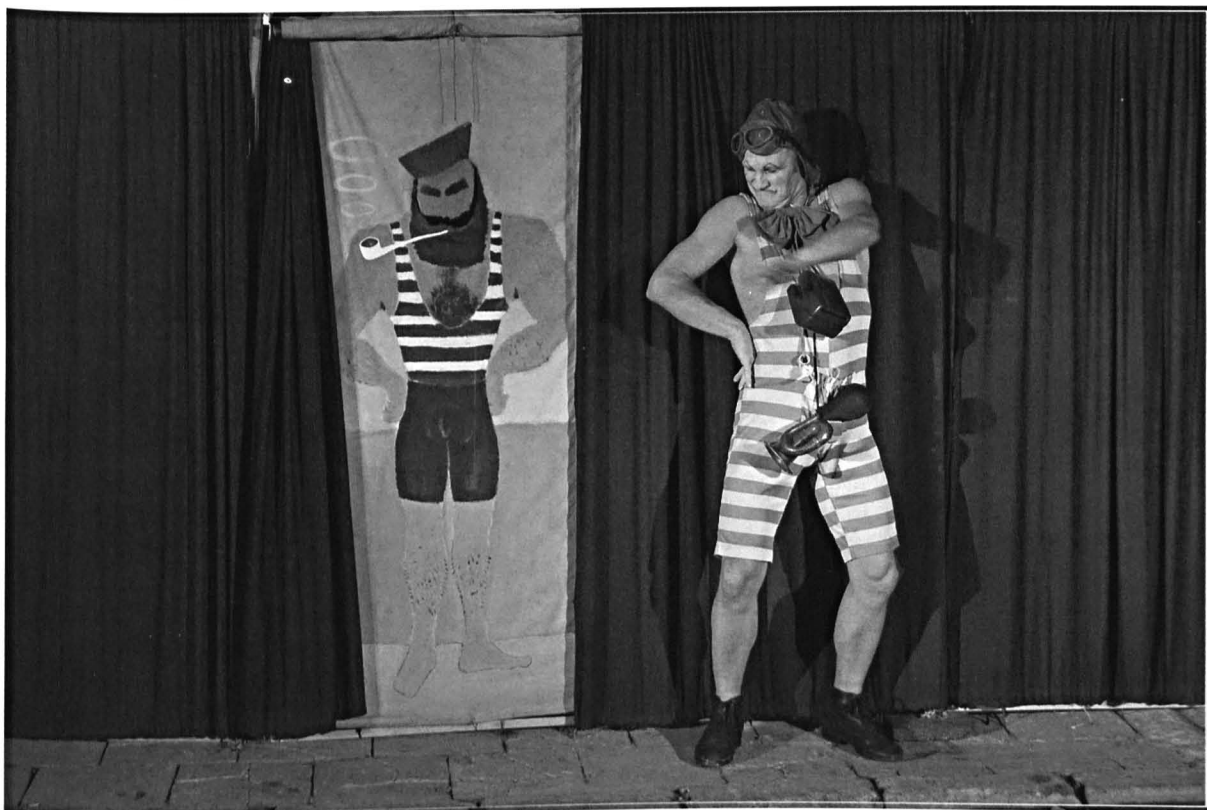
dzy rzemiosłem a sztuką w działaniu aktorskim staje się bardzo nieostra. Żartobliwie dobrze zrealizowane działanie mima można nazwać triumfem ducha nad materią. Mim, podobnie jak inni artyści, ma do dyspozycji naturalne symbole oparte na fizjologii. Wytwarza je ciało ludzkie. Nietypowość przekazu tych symboli wiąże się z ruchem, którego pozbawione są inne dziedziny sztuki (malarstwo, rzeźba). Nie twierdzę, iż kunszt, maestria twórców tych dziedzin nie kreują ekspresji, dynamizmu wynikającego między innymi z doskonałych iluzji ruchu w bryle rzeźby czy też malarskiej kompozycji. Nie jest to jednak ta sama jakość ruchu. Dlatego też uważam, że zespolenie doskonałość ciała i umysłu czyni mima twórcą idealnym. Pantomima wyzyskuje ruch w specyficzny sposób. Sztuka tworzona przez mima bazuje na ogólnych prawach fizycznych. Działanie mima jest jednak pozbawione utylitarnego charakteru.

W przypadku jego gry ruch jest celem samym w sobie. Nie ma w nim żadnego innego celu poza zamiarem zatrzymania, utrwalenia akcji. Cel jest pozamaterialny. Istnieje więc zasadnicza różnica pomiędzy ruchem w życiu codziennym a ruchem użytym w grze mima.

Człowiek podobnie jak zwierzęta używa ruchu w codziennych czynnościach. Wiąże się to z podstawowymi potrzebami żywotnymi. Znajduje on zastosowanie jako środek wyrazu i komunikowania się zarówno wśród zwierząt i ludzi. Co ciekawe: im bardziej jakiś wyrazisty ruch jest pierwotny, tym lepiej jest on rozpoznawalny przez ogół istot żyjących (w ten sposób my rozumiemy zwierzęta a one rozumieją nas).

Podstawowe przekazy zawarte w ruchu są przede wszystkim powiązane z czynnościami biologicznymi i szczególnie łatwo udzielają się innym osobnikom (są to np. czynności kaszlenia, śmiania się, płakania, ziewania, lechtania, drapania się itp.).

Co jednak spowodowało wyodrębnienie się elementów pozapraktycznych ruchu ludzkiego a także przypisanie ich panto-



Mirosław Koczkodaj

mimie? Odpowiedź jest dość banalna: zwierzęta nie utworzyły języka, pisma brak im również twórczej wyobraźni - to unikalne atrybuty rozwoju duchowego człowieka. Tylko on posiada umiejętność abstrakcyjnego myślenia i kierowania swymi działaniami.

Ruch przybiera nową funkcję wraz z pojawieniem się człowieka. Jest nią funkcja wyrażanie treści abstrakcyjnych. Dzięki niemu można wyrazić złożone ekspresywnie treści w sposób bardziej kompleksowy i bezpośredni aniżeli przy pomocy mowy. (Inną sprawą jest fakt, iż bez istnienia ruchów w obrębie ciała ludzkiego powstanie mowy nie byłoby możliwe). Wraz z rozwojem systemu językowego odzwierciedlającego analityczne myślenie (są nimi np. operowanie czasami, metaforami itd.) mowa oddala się od pierwotnego sposobu wyrażania treści połączonego trwale z ruchem. Ruch może zaś stać się osobnym środkiem wyrazu. Potwierdzeniem tego zjawiska jest twórczość pantomimosa. Technika pantomimy sprawia, iż istotny

staje się układ rąk, mięśni każdej partii ciała. Dzięki całemu systemowi: specyficznej gramatyce mowy ciała, kanonowi gestów mim sięga do treści duchowo – symbolicznych. Marcel Marceau, Samy Molco i inni znani pantomimicy swoim kunsztem aktorskim udowadniają, że mim to istota człowieczeństwa, w jednej osobie cały świat. Opanowanie swego ciała, uczynienie z niego giętkiego instrumentu zastępującego wszystkie inne formy przekazu jest sztuką samą w sobie - sztuką ciała. W chaosie współcześnie promowanego nurtu *body art*, który za podstawowy środek przekazu, wypowiedzi również przyjmuje ciało, często deprecjonując jego wartość (wspomnieć tu można choćby głośne operacje twarzy Orlan, czy też działania Z. Warpychowskiego) pantomima proponuje dzieła spełniające wymogi harmonii i estetyki poprzez to integralnie, w moim przekonaniu, związane z pojęciem sztuki.





PAWEŁ HAJDUK

Karta z kalendarza

Zerwę ostatnią kartkę z kalendarza
 wypłynę na ulicę jak pot z czoła
 Przed dom wygnanych książąt
 Zawsze zniekształcony przez ich wybryki
 Dziwadła dadaistów

W samo południe zdam sobie sprawę
 Że jestem zgubiony w
 Mieście które szare jest pełnym
 Rynsztokiem ogołocone z tego
 Co znane mi od dziecka

Nie będę szukał powrotnych dróg
 Tylko przebrnę przez rzekę
 I udam się w pola różnobarwne pełne
 Zbóż nabrzmiałych a drzewa same będą
 Kłaniały się peleryną białego kwiatu
 Włożą mi w usta niebieskie czereśnie
 Róże zaś powiedzą
 Dzień dobry

Tam gdzie motyl zabił pająka
 Zastanę karcznię
 Jankiel roznosi w niej miód
 człekokształtny

W kącie siedzi już kilku
 Szesnastowiecznych kmieci
 Oglądają program informacyjny
 Popijany piwem
 Po ciężkiej pańszczyźnie
 Moment odpoczynku

Okaże się że to moi przodkowie
 A w telewizji mówią właśnie
 Że umarłem

Za chwilę mecz

Przyjacieli

Miewam przyjaciół ze skóry
 Gdy ogień zawieje
 I nozdrza łechce zapach wiosny
 Zbiegają się w krąg myśli
 Lecz zaledwie mrok spowije cień
 Odsuwają się i rozchodzą

Tacy prawdziwi przyjaciele
 To przyjaciele z duszy
 I z nimi tylko mogę
 Rozmawiać
 O sercu

DRAMAT





SIERGIEJ KOWALOW

POWRÓT GŁODOMORA* SZTUKA-FANTASMAGORIA.

przekład Agnieszki Borowiec

*Franzowi Kafce, Tadeuszowi Różewiczowi
i wszystkim wielkim Głodomorom
tego świata dedykuję*

OSOBY:

Erna, dyrektorka zwierzyńca
Nieznajomy
Burmistrz
Dziennikarka
Aleksander, młody nauczyciel
Pyza, dozorca zwierzyńca
Żebraczka
Sanitariusze
Publiczność

AKT PIERWSZY

Scena pierwsza

Na przedmieściach miasteczka N. zatrzymał się wędrowny zwierzyńiec. Koło wejścia widzimy wagon z okienkiem i napisem „Kasa”, obok pustą klatkę z afiszem „Głodomór: 40 dni bez jedzenia”. Zza wagonu wychodzi dozorca, grubas nazywany „Pyzą”, i zaczyna leniwie zamiatać plac, zgarniając kawałki gazet, puszki po piwie i konserwach.

Pyza nuci pod nosem jakąś piosenkę. Co jakiś czas słyszymy także tępy, zwierzęcy ryk i krzyk jakiegoś egzotycznego, drapieżnego ptaka.

Na placu pojawia się stara Żebraczka, z zacięciem patrzy na wagon, klatkę i do zorce.

Żebraczka (karcąco)

Znowu jakieś znajdy diabeł przyniósł. Jedno im tylko w głowie: obedrzeć nas do żywego. *(Podchodzi bliżej do Pyzy, przymilnie).*

Niech będzie pochwalony.

(Wyciąga rękę)

Dajcie biednej kobiecie.

Pyza (nie przerywając pracy)

Bóg da

Żebraczka (błaga)

Choć parę groszy, łaskawco.

Pyza

Idź precz, kobieto. Nie znoszę żebraków i innych lajdaków.

Żebraczka

Pan nasz powiedział, że żebracy posiadają Królestwo Niebieskie.

Pyza (przerywa pracę)

Sz szczególnie nie lubię żebraków, którzy szukają Królestwa Niebieskiego. Żebraków z przekonania, apostołów pychy, proroków końca świata. Uważają się oni za mądrzejszych od innych i żebrzą nie dlatego, że nie mają pracy, a dlatego, że nią gardzą. A to oznacza, że pogardzają też mną, dozorcą Pyzą.

(Do Żebraczki)

Dlaczego ja muszę pracować, a ty nie?

Żebraczka (błaga)

Jestem starą, schorowaną kobietą. Kto da mi pracę?

Pyza.

Ja.

(Oddaje Żebraczce miotłę)

Weź. Będziesz każdego ranka zamiatać plac przed zwierzyńcem i między wagonami, a ja będę dawać ci kilka groszy.

Żebraczka

Dziękuję ci, synu!

(Z nadzieją)

Na długo do nas przyjechaliście? *(Starannie zamiata plac).*

Pyza (siada na schodach wagonu, wymiata

* Pierwodruk pierwszego aktu powstającego utworu.

niedopalki)

Zobaczmy, jak długo się opłaci.

Ż e b r a c z k a

O to niech się Pan nie martwi. Ludzie w naszym miasteczku nie są zbyt bogaci, ale bardzo ciekawscy. Kto do nas nie przyjeżdżał, czego to nie pokazywali! Sodomą i Gomorą!

P y z a (pali)

A widzisz, duża konkurencja. A jeszcze jak miejscowe władze nałożą podatek, to już zbieraj manatki i w drogę.

Pojawia się dyrektorka zwierzyńca Erna i Burmistrz miasteczka. Erna to młoda, piękna kobieta, ubrana służbowo, ale ze smakiem. Burmistrz to mężczyzna pragnący wyglądać elegancko, ale od razu widać, że jest typowym prowincjuszem.

Ż e b r a c z k a

O wilku mowa, a wilk tuż!

P y z a (szepcem)

Koniec pracy na dziś! (*Daje Żebraczce kilka groszy i odbiera miotłę*).

Żebraczka pośpiesznie znika, a Pyza udaje, że starannie zamiata plac.

E r n a

To wszystko, inspekcja skończona. Jest pan naszym pierwszym, honorowym zwiedzającym, panie Burmistrzu.

B u r m i s t r z

Cóż, wasz zwierzyniec robi ogólnie dobre wrażenie. Zwierzęta są zadbane, klatki czyste. Bliska znajomość mieszkańców naszego miasteczka z przedstawicielami świata zwierząt poprawi ich zwyczaje. Jedynie, w trosce o moralność kobiet i dzieci Ten orangutan w trzeciej klatce czym się zajmuje?

E r n a

Nie orangutan, panie Burmistrzu. Samiec szympasa.

B u r m i s t r z

Orangutan, szympans, makak, co za różnica? Ale wasz samiec, przepraszam panią, pani...



Erna
Erna.

Burmistrz
Wasz samiec, pani Erno, się onanizuje.

Erna (*unosi ramiona*)
Naturalne zachowanie samca przy braku samicy.

Burmistrz
Ja rozumiem, że makakak uniwersytetów i akademii nie kończył, ale niech on zajmuje się swoimi naturalnymi potrzebami w miejscu nie tak publicznym.
(*Familiarnie*).

A propos, gdy nie ma moich podwładnych, może Pani nazywać mnie po prostu Arturem.
(*Zauważa pustą klatkę z afiszem: „Głodomór: 40 dni bez jedzenia”*)

A ta klatka dlaczego jest pusta? Przez przypadek czy może w jakimś specjalnym celu?

Erna
Od tej klatki zaczyna się historia naszego zwierzyńca. Dawno temu mieszkał w niej wielki Głodomór – człowiek, który czterdzieści dni mógł przeżyć bez jedzenia. Od pokazów Głodomora mój ojciec rozpoczął karierę impresaria, potem matka zaczęła tańczyć na linie, później powstał zwierzyńiec.

Burmistrz
A co stało się z Głodomorem?
(*Śmieje się*)
Umarł z głodu?

Erna (*unosi ramiona*)
Tego nikt nie wie. Ojciec mówił, że pokazy Głodomora przestały przyciągać publiczność i trzeba go było zwolnić. Matka opowiadała, że mistrz obraził się na tych, którzy nie rozumieli sensu jego głodówki i wyjechał do Tybetu.
(*Uśmiecha się*)
Natomiast nasz dozorca, Pyza, ma swoją, oryginalną wersję.

Pyza przerywa pracę i chętnie włącza się do rozmowy.

Pyza
Pani Erna śmieje się ze mnie, ale to najprawdziwsza prawda. Fakt, że ludzie

przestali się interesować pokazami dziwaka; mówił mi o tym mój poprzednik, stary dozorca. Ale nikt Głodomora nie zwalniał i on donikąd nie wyjeżdżał. Po prostu pewnego razu po czterdziestu dniach specjalnie nie przerwał głodówki. Nieszczęsny głodował dalej, chudł i mizerniał, aż prawie zmniejszył się do mikroskopijnych rozmiarów. Przez jakiś czas można go było jeszcze wypatrzyć w słomie, a teraz można jedynie usłyszeć, jak cichutko śpiewa swoim piskliwym głosikiem.

Burmistrz
O rany! Taką historię można by opowiadać za pieniądze!

Erna
Niech Pan nie wątpi w to, że Pyza właśnie tak robi: naiwnych słuchaczy nie brakuje. Jak by tam nie było, przez szacunek dla świętej pamięci ojca, zostawiłam klatkę Głodomora w zwierzyńcu. To rodzinna pamiątka.

Burmistrz (*z powagą*)
Słusznie: ojca trzeba szanować. Coraz bardziej mi się Pani podoba, Erno. a, nie pożałuje Pani, że zawitała do naszego miasteczka. W dowód mojej sympatii zapraszam Panią na kolację do ratusza.
(*Szeptem*)
W miłej atmosferze, tylko pani i ja.

Erna
Dziękuję, panie Arturze. Ale nie dzisiaj. Jeszcze tyle spraw mam na głowie: załatwić pozwolenie w Sanepidzie, pomyśleć o reklamie, przygotować kampanię prasową.
(*Niepostrzeżenie wręcza Burmistrzowi kopertę*)
To dla pana małejki upominek - na znak naszej miłości do zwierząt.

Burmistrz szybko chowa kopertę do kieszeni, Pyza w tym czasie odwraca się demonstracyjnie.

Burmistrz (*z animuszem*)
Może pani być pewna, że pozwolenie ma już w kieszeni, jeszcze dzisiaj zadzwonię do dyrektora Sanepidu. O reklamę też może się pani nie martwić: postaram się, żeby zwiedzanie pani zwierzyńca było obowiązkowym punktem wszystkich mieszkańców miasteczka. A co do prasy, to zalecam ostrożność...

Pojawia się dziennikarka z dyktafonem w rękach, widząc ją Burmistrz zaczyna się denerwować i pośpiesznie żegnać.

Burmistrz

Zresztą, sama się pani przekona. Miło było panią poznać, pani Erno.

(Cicho)

Niech pani pamięta o naszej kolacji.

Erna *(ze sztucznym uśmiechem na twarzy)*

Dobrze jest trafić do miasta, gdzie jest tak miłe kierownictwo. Zapraszam do naszego zwierzyńca z całą rodziną.

Burmistrz *(przez zęby)*

Już byliśmy.

(Mijając Dziennikarkę)

Zdzira.

Dziennikarka *(przez zęby)*

Ogier!

Burmistrz szybko odchodzi. Dziennikarka podchodzi do Erny i wyciąga do niej rękę.

Dziennikarka *(z poczuciem godności)*

Kasandra. Redaktorka lokalnej gazety.

Erna *(Serdecznie)*

Erna. Dyrektorka zwierzyńca.

Dziennikarka

Cenzura, przekroczenie uprawnień służbowych, propozycje seksualne i, jakby tego było mało, przyjęcie łapówki. Stuprocentowy gentleman, prawda?

Erna *(zdziwiona)*

Słucham?

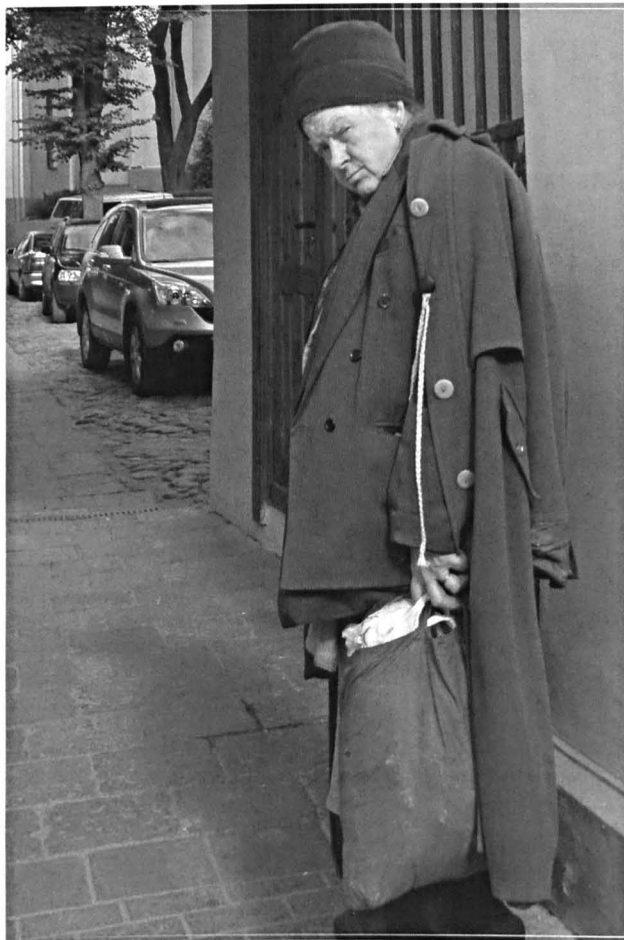
Dziennikarka *(złośliwie uśmiecha się)*

Nic, nic. Czy może mi Pani udzielić wywiadu?

Dozorca Pyza rozkłada przed wagonem z szyldem „Kasa” nieduży składany stolik i dwa rozkładane krzesła. Odchodzi. Erna zaprasza Dziennikarkę, by usiadła, sama przysiadła się również. Dziennikarka kładzie dyktafon na stoliku i naciska guzik.

Erna

Chcę panią od razu uprzedzić: nie będę



Dariusz Hankiewicz

odpowiadać na zbyt osobiste pytania. I na nazbyt ogólne również.

Dziennikarka

Jasne: żadnego seksu, żadnej polityki.

Erna

Tak, tylko reklama.

Dziennikarka

A wierzy pani w reklamę bez seksu i polityki?

Erna *(dyplomatycznie)*

Mam nadzieję, że nasz wywiad zachęci mieszkańców miasteczka do odwiedzenia zwierzyńca.

Dziennikarka

To zależy od oryginalności pani odpowiedzi.

(Przychylnie)

Niech pani postara się spodobać naszym



📷 Tomasz Młynarczyk

czytelnikom. Pani pierwszy raz w tych stronach?

Erna

Tak, ale wiele lat temu przyjeżdżali tu moi rodzice.

(Przychylnie)

Mam wrodzony sentyment do waszego miasteczka.

Dziennikarka

Myśli pani, że ono na to zasługuje?

Erna *(zdezorientowana)*

Nie rozumiem.

Dziennikarka

Dobrze, przejdźmy dalej.

(Prowokacyjnie)

Niech pani powie, jak taka młoda, piękna kobieta jak pani czuje się w roli dyrektorki zwierzyńca?

Erna

Cudownie.

Dziennikarka

A czy zwierzęta, które siedzą w klatkach, odczuwają ulgę, że ich właściciel jest kobietą?

Erna *(zdziwiona)*

A jak ma się to przejawiać?

Dziennikarka

W bardziej humanitarnym stosunku do swoich ofiar. Nie uważa pani, że kobieta w ogóle lepiej kieruje społeczeństwem?

Erna

Szczerze mówiąc, chętnie przekazałabym nasz rodzinny interes bratu, gdybym go miała.

Dziennikarka

Dlaczego nie mężowi? Jak wytłumaczyć to, że taka czarująca, piękna kobieta jest wolna?

(*Nieoczekiwanie*).
Jest pani lesbijką?

Erna
Słucham?

Dziennikarka
Co pani myśli o Paradach Równości?

Erna
Jaki to ma związek z tematem naszej rozmowy?

Dziennikarka
Nigdy nie miała pani problemów z obrońcami praw zwierząt?

Erna
Ależ należę do ich Towarzystwa i regularnie płacę składki z przychodów zwierzyńca.

Dziennikarka
Niech pani powie, jak wykorzystując swoją dyrektorską pozycję walczy pani z dyskryminacją płciową?

Erna (*zdziwiona*)
A jak mogę z nią walczyć? Wieszając tabliczkę „Lwica” na klatce lwa?

Dziennikarka
Ja pytam poważnie. Nie myśli pani, że zwierzyńiec to idealna metafora współczesnego świata?

Erna (*zmęczona*)
Myślę tylko o tym, ile ton pokarmu kupić dla zwierząt, by były najedzone, ile zapłacić robotnikom, by nie odeszli, obliczam, ile kosztuje wynajęcie placu, opłacenie prądu, ile pójdzie na wydatki, w tym na różne nieoficjalne. Nie mam czasu na myślenie o metaforach.

Dziennikarka
Jaki jest pani stosunek do aborcji?

Erna
Nie uważa pani...

Dziennikarka (*przerzywa*)
A do eutanazji?

Erna
Jak te odpowiedzi przyciągną zwiedzających?

Dziennikarka
Nasi czytelnicy mają prawo znać pani poglądy społeczne. A co robi pani z beznadziejnie chorymi zwierzętami?

Erna
Usypiamy je.

Dziennikarka
Czuje się pani wolna w naszym zniewolonym, patriarchalno-męskim społeczeństwie?

Erna
Jestem zmęczona.
(*Nachyla się nad stolikiem i włącza dyktafon*)
Wywiad zakończony. Obawiam się, że nie mam szans, żeby zaskarbić sobie przychyłność waszych czytelników.

Dziennikarka (*niespodziewanie łagodnie*)
Niepotrzebnie się pani denerwuje, Erno. Niech pani nie ma mi za złe, ja mam po prostu taki prowokacyjny styl. A wywiad będzie wspaniały.

Pojawia się Aleksander w towarzystwie Pyzy.
Aleksander trzyma w rękach dyktafon.

Pyza (*rozkłada ręce*)
Pani Erno, jest jeszcze jeden.

Erna (*przestraszona*)
Nie! Żadnych dziennikarzy!

Aleksander
Nie jestem dziennikarzem.

Dziennikarka (*pobłażliwie*)
To prawda.

Aleksander
Jestem nauczycielem. Pracuję w miejscowym gimnazjum, a w czasie wolnym od pracy badam metafizyczną stronę głodu.
(*Do Erny, nieśmiało*)
Możemy porozmawiać?

Erna
Nie! W moim zwierzyńcu zwierzęta nie

głodują!

A l e k s a n d e r

Pani nie zrozumiała. Badam głód wobec kwestii wolności.

E r n a

Wystarczy mi już problemów! Pyza, odprowadź gościa.

A l e k s a n d e r (w rozpacz)

Niech pani zaczeka! To bardzo ważne! Musimy porozmawiać. Ja piszę książkę o Głodomorze.

E r n a (pospiesznie)

Powodzenia!.

(Rozumiejąc, zdziwiona).

O kim pan pisze?

A l e k s a n d e r (zdeenerwowany)

O mistrzu głodówki, który pracował w cyрку pani ojca. Zebrałem wszystkie materiały archiwalne, wszystkie publikacje prasowe o jego życiu, opracowałem liczne naukowe analizy jego działalności i stworzyłem moją własną, oryginalną teorię. Nie chcę być nieskromny, ale wydaje się, że jako pierwszy zrozumiałem sens jego wielkiej misji.

D z i e n n i k a r k a (uśmiecha się)

To nasz miejscowy dziwak.

E r n a (po krótkim wahaniu)

Wciąż nie rozumiem, jak mogłabym panu pomóc. Jeżeli pan chce, niech pan porozmawia z Pyzą, to jego ulubiony temat.

(Do Dziennikarki)

Chodźmy, odprowadzę panią.

D z i e n n i k a r k a

Chciała pani powiedzieć wyprowadzę?

(Uśmiecha się na krześle)

A właśnie, chcę panią uprzedzić: niech pani uważa na naszego Burmistrza.

(Moralizatorsko)

Pod skórą owieczki kryje się wilk.

E r n a (szorstko)

Dziękuję za troskę, ale wychowałam się wśród zwierząt.

Dziennikarka z Erną oddalają się. Aleksander jak zahipnotyzowany patrzy na klatkę

Głodomora. Pyza niecierpliwie tarmosi go za rękaw. Aleksander odwraca się do dozorczy.

P y z a (do Aleksandra)

Młody człowieku! Za niewielką ilość jednostek płatniczych może pan posłuchać nadzwyczaj ciekawej i pouczającej historii, która dawno temu przydarzyła się w naszym zwierzyńcu.

Aleksander machinalnie wyjmuje z kieszeni kilka papierków i wręcza dozorczy. Pyza patrzy na nie z niedowierzaniem.

P y z a

To pieniądze czy bilety na wejście do naszego zwierzyńca? Zresztą, jakich banknotów to ja nie widziałem w swoim życiu?

(Donośnym głosem)

No, niech pan słucha, panie szanowny! W klatce, którą pan widzi przed sobą żył dawno temu Głodomór człowiek, który czterdzieści dni mógł przeżyć bez jedzenia. Ten niezwykle jego talent przyniósł mu wielką sławę, bogactwo i uwielbienie kobiet. Jednym słowem, wszystko to, czego każdy z nas pragnie. Ale Fortuna lubi omamić człowieka wizją szczęścia, by potem wtrącić go do brudnego ścieku rzeczywistości. Szybko ludzie przestali bawić się na pokazach Głodomora. Dawny bohater stał się niepotrzebny i zapomniany, jego kolorowe życie przeistoczyło się w szarą rzeczywistość. I oto kiedyś, po upływie czterdziestu dni, Głodomór specjalnie nie zakończył głodówki. Wychudł i zmarniał, aż prawie wysechł na wiór i zgubił w słomie na dnie klatki. Teraz już go pan nie zobaczy, ale może usłyszysz jego cichą, smętną piosnkę.

A l e k s a n d e r

Ja też czytałem to opowiadanie Kafki (Ironicznie)

Wierzy pan w te bajki, które opowiada?

P y z a (oburzony)

Jaki Kafka? Co za Kafka? Co on, pracował w naszym zwierzyńcu? Mówię ci szczerą prawdę!

A l e k s a n d e r (powątpiewając)

Przepraszam, nie chciałem pana urazić. Pan zapewne po prostu nie wie, że Głodomór opuścił swoją klatkę właśnie podczas występu w naszym miasteczku. Według moich obliczeń było to trzydzieści lat temu.

Pyza

Słuchaj, skąd ty jesteś taki mądry?

(Atakuje Aleksandra)

Może chcesz zająć moje miejsce, co?

(Oburzony)

Gdzie my przyjechaliśmy?! Przyłóż jacyś podejrzeni ludzie, wlepiają lewe pieniądze.

Gdzie tu jest najbliższy bar?

Aleksander *(potulnie)*

Nie wiem.

Pyza

Tfu! Opowiadasz o tym, co wydarzyło się trzydzieści lat temu, a co teraz dzieje się w twoim mieście nie wiesz.

Pyza idzie szukać baru. Aleksander podchodzi do klatki Głodomora i drżącą ręką dotyka jej prętów.

Aleksander

Czyżby tutaj, w tej klatce, żył kiedyś człowiek, który mógł zrewolucjonizować świat?...

Scena druga

Kilka dni później na tym samym placu. Pogodny poranek. Żebraczka zmiata plac przed zwierzyńcem. Z wagonu wychodzi Pyza, ziewa, patrzy na zegarek.

Pyza *(filozoficznie)*

Wszystko się zmienia na tym świecie: ceny chleba i papierosów, nazwy ulic i miast, filozofie i religie. Tylko jedno pozostaje niezmiennie: każdego dnia Pyza wstaje wcześniej rano i karmi zwierzęta. Ciekawe, co by było gdybym choć raz zasnął, czy świat by się zawalił? Głodne zwierzęta powychodziłyby ze swoich klatek i pożarły wszystkich mieszkańców planety, zaczynając od tego sennego miasteczka.

(Do Żebraczki, która przerywała pracę i słucha jego rozważań)

Pracuj, pracuj, babka, ja żartuję.

Żebraczka starannie zmiata dalej i znika za wagonem.

Pyza *(z zadowoleniem)*

Ale miło jest widzieć, że jest ktoś, kto budzi się jeszcze wcześniej, niż ja.

(Robi kilka kroków i niespodziewanie zauważa w klatce Głodomora Nieznajomego)

Co to za gość? Hej, przyjacielu, kim jesteś?

Nieznajomy nie reaguje na słowa dozorczy.

Pyza

Nie słyszysz? Po co wlałeś do klatki, oszołomie?

(Podchodzi bliżej i mierzy wzrokiem Nieznajomego)

Na bezdomnego nie wyglądasz raczej na skacowanego profesora... Przyznaj się, brachu, zahulałeś wczoraj z kolegami i zamiast trafić do ciepłego łóżeczka żoneczki, wlałeś do tej zimnej klatki.

(Z zadumą)

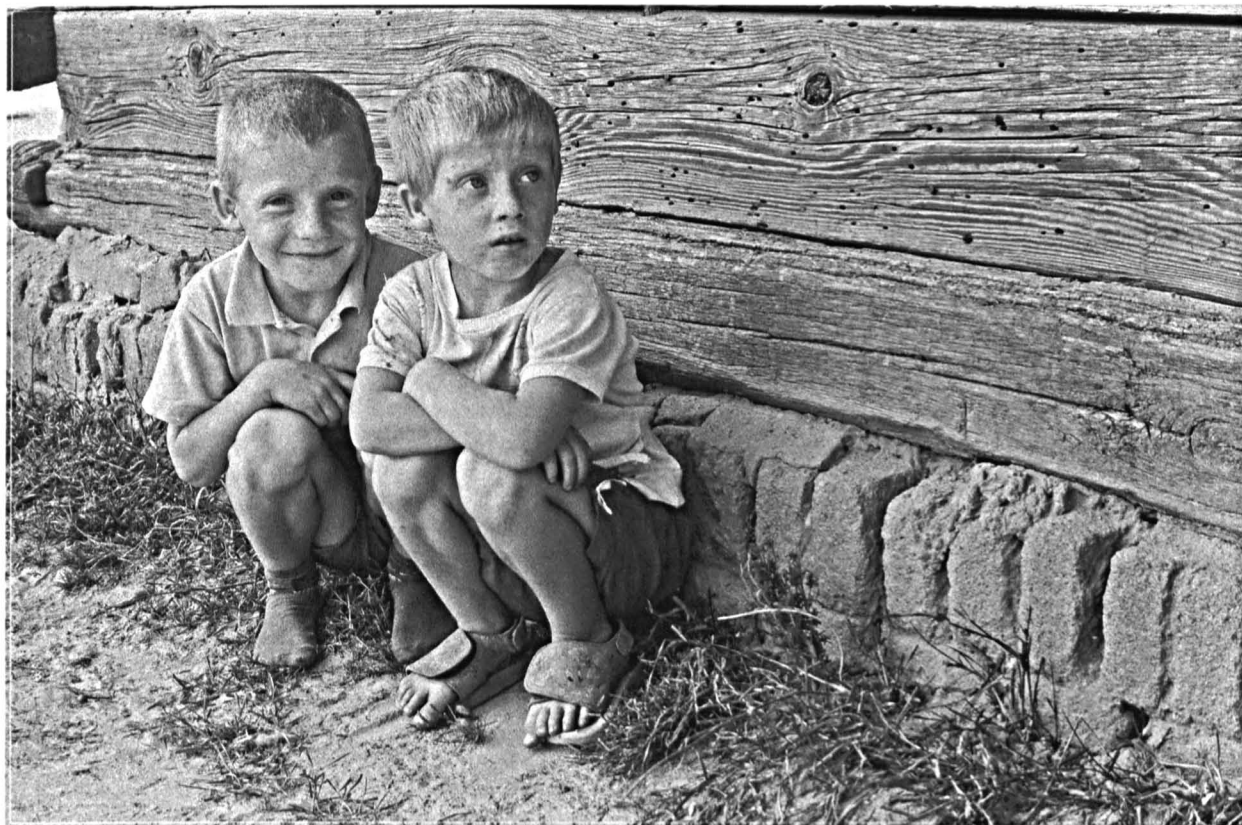
Co prawda, i tam, i tu jesteś w niewoli, ale lepiej idź już do domu.

Nieznajomy nie reaguje. Pyza zaczyna się złościć.

Pyza

Dość już tego. Ja do ciebie jak człowiek, a ty ni be ni me. No, wylaż z klatki, bo cię siłą





📷 Mirosław Koczkodaj

wyciągnę.

(*Grożąc*)

Słyszysz, łachudro? Liczę do trzech. Raz, dwa

Nieznamy mruczy sobie coś pod nosem,
groźby dozorczy najwyraźniej wywołują jego
niepokój.

P y z a

Aaaa, przemówiłeś wreszcie.

(*Otwiera drzwiczki klatki*)

Trzy. Dalej, dalej, wylaż na wolność. Nie
zmuszaj mnie do ostateczności.

Nieznamy zamiast opuścić klatkę,
przestraszony chowa się w najdalszym jej rogu.

P y z a

Taaak. Tracę cierpliwość. Głuchy jesteś?
Niemy? A może wariat, który uciekł z
miejskiego szpitala? Bardzo proszę, jestem za:
niech wszyscy wariaci uciekną ze szpitala, a
bandyci z więzień. Tylko niech nie chowają
się w naszym zwierzyńcu, u nas dla
wszystkich klatek nie wystarczy.

(*Groźnie*)

Wylaż z klatki, psycholu! Do kogo ja mówię?

Zza wagonu na sekundę pojawia się głowa
Żebraczki.

Ż e b r a c z k a

Co to za zamęt, dobrodzieju?

P y z a (*rozdrażniony*)

Sądny dzień, kobieto!

Ż e b r a c z k a

O Chryste Panie!

Obudzona krzykiem pojawia się
zaniepokojona Erna. Dyrektorka ubrana jest w
lekki szlafroczek, narzucony w pośpiechu, ma
zaspaną i niezadowoloną twarz. Na widok
dyrektorki, Żebraczka pośpiesznie chowa się
za wagonem.

E r n a

Co się stało, Pyza? Czemu krzyczysz, jak
oszalały?

Słyszając głos Erny, Nieznamy podnosi głowę.

P y z a

Jak mam nie krzyczeć, pani Erno? Niech pani sama spojrzy.

(Pokazuje klatkę Głodomora).

E r n a

Co to za człowiek?

(Ziewa)

Po co wlaź do klatki?

P y z a

Skąd mam wiedzieć?! Pewnie miejscowy moczymorda. Zaraz ja mu pokażę!

(Zaciska pięści i chce wejść do klatki).

E r n a

Zaczekaj, Pyza. Może wezwiemy policję?

Jesteśmy przecież w obcym mieście.

Nieznamy niespodziewanie wstaje i rzuca się na pręty klatki.

N i e z n a j o m y

Marta!

Erna wzdgrysa się i ze strachem wpatruje w twarz Nieznajomego.

P y z a

Myślałem, że on jest niemy.

N i e z n a j o m y *(niepewnie)*

Marta?

E r n a *(zdezorientowana)*

Czego chce ten człowiek?

N i e z n a j o m y

Entschuldigung! Pomyliłem się.

(Przesuwa się w głąb klatki i siada na podłodze).

P y z a

A nie mówiłem: psychol. Niech pani wezwie policję, pani Erno. Albo od razu psychiatrę.

E r n a

Zaczekaj.

(Podchodzi do klatki i próbuje nawiązać rozmowę z Nieznajomym)

Pan mnie zna? Jak się pan znalazł w tej klatce?

Nieznamy siedzi obojętnie na podłodze.

P y z a

Szkoda czasu, pani Erno. I na wszelki wypadek niech się pani nie zbliża do prętów klatki. On może być niebezpieczny.

E r n a *(do Nieznajomego)*

Dlaczego nazwał mnie pan Martą? Znał ją pan?

N i e z n a j o m y *(podnosi głowę i jeszcze raz uważnie patrzy na Ernę)*

Pani nie jest Martą.

E r n a

A pan kim jest? Czego pan chce?

N i e z n a j o m y *(obojętnie)*

Niech mnie pani zostawi w spokoju.

(Opuszcza głowę).

Erna odchodzi od klatki.

P y z a

Słyszała go pani? Jakie chamstwo!

E r n a *(niepewnie)*

Posłuchaj, Pyza a jeśli to jego klatka?

P y z a *(zdziwiony)*

Co chce pani powiedzieć, pani Erno? Że niby ten psychol może być

Niewiadomo skąd pojawia się poruszony Aleksander, podbiega do klatki i okrągłymi ze zdziwienia oczami patrzy na Nieznajomego.

A l e k s a n d e r

Bo tak jest! Przyjechał zwierzyniec i On powrócił.

(Do Pyzy)

Nie pomyliłem się, wszystko wyliczyłem jak należy. To On!

(Do Erny)

Rozumie pani, co się stało? Rozumie pani, co się teraz stanie? Z nami, z całym światem?

P y z a

No proszę: jeszcze jeden! Miasteczko wariatów!

Pani Erno, po jakie lichy myśmy tu przyjechali.

Scena trzecia

Przy małym, rozkładanym stoliku Erna i Aleksander piją kawę. Nieznajomy siedzi w klatce, nieruchomy, w pełni skoncentrowany na swoich myślach. Na klatce wisi tabliczka, na której widnieje napisana kredą liczba „3”.

Erna

Drżą panu ręce, niech pan nie rozleje kawy. I niech pan nie dzwoni zębami o kubek.

Aleksander

Przepraszam, to z nerwów.

(Ze wzruszeniem)

Wciąż nie mogę uwierzyć Na własne oczy widzę samego Głodomora i uczestniczę w wielkim Misterium zwycięstwa ducha nad materią!

Erna

A ja mam wrażenie, że uczestniczę w taniej farsie.

Aleksander

Pani Erno, jak może pani mówić coś takiego! W jego obecności Po wszystkich moich argumentach i dowodach! Przecież już wczoraj zgodziła się pani ze mną i pozwoliła na przeprowadzenie eksperymentu.

Erna

Zgodziłam się na wystąpienie jakiegoś dziwaka w numerze cyrkowym pod nazwą „40 dni bez jedzenia”, żeby sprawdzić, czy ten staromodny gwóźdź programu przyniesie zysk także dzisiaj. Ale nie dzielam pana mistycznych poglądów. I nie jestem pewna, że człowiek w klatce to prawdziwy Głodomór.

Aleksander *(ze strachem)*

Pani Erno, nie wierzę, że poszła pani na to tylko dla pieniędzy! To nieprawda!

Erna *(niepewnie)*

No, jeszcze przez szacunek dla moich rodziców, którzy kiedyś ten numer robili. A może z czystej, kobiecej ciekawości, żeby zobaczyć, czym to się skończy.

(Cicho)

Pewnie niczym dobrym.

Aleksander

Przecież on już nie je drugi dzień! To prawdziwy Głodomór. Nowy Jezus Chrystus!

Erna

Bywa, że ja też kilka dni nie jem z powodu choroby lub po prostu złego nastroju. Ale nie staję się dzięki temu Marią Magdaleną.

Aleksander

Zobaczmy, co powie pani za miesiąc.

Erna

A co mówi ten pana niby-Głodomór? Chrystus nie tylko czynił cuda, ale też wygasał kazania dla wiernych. Ten milczy albo mamrocze jakieś niezrozumiałe słowa, do tego we wszystkich językach świata jednocześnie.

Aleksander

Starannie zapisuję wszystko, co mówi.

(Wyjmuje z kieszeni nieduży notatnik)

Niektóre frazy udało mi się zrozumieć.

Erna

Na przykład?

Aleksander

“Tere fere kuku strzela baba z łuku ”

Erna

I co to ma znaczyć?

Aleksander *(zmieszany)*

Takie sobie śmieszne powiedzonko chyba z Różewicza.

Erna *(ironicznie)*

To wszystko?

Aleksander

Jeszcze to, bardzo ważne. “Meine Korperschale konnte nicht meine Geistesgut aushalten”.

Erna

Czy to coś znaczy?

Aleksander

Tak. “Żar mego ducha stopił moją ziemską powłokę.” Chyba z Schopenhauera. A może z Kafki. Ostatniego zdania zupełnie nie rozumiem “zły wiatr rozrywa mnie na drobne

kawałki". I jeszcze o jakiejś dziewczynie.

Erna

Coś mi świta. Ale jakie to wszystko może mieć znaczenie? Wystarczy pójść do miejscowego wariatkowa, gdzie jakiś były docent przedstawi takie teorie, za które całe życie możnaby go trzymać w klatce. Chyba ma rację Pyza, który uważa naszego niby-Głodomora za biegłego psychologa. Niepotrzebnie dałam się panu namówić.

Pojawia się Dziennikarka, najpierw podchodzi do klatki Głodomora, potem do stolika, przy którym siedzi Erna i Aleksander.

Dziennikarka

Jakie miłe towarzystwo! Cieszę się, że państwa widzę.

Erna (ze złością)

A ja, szczerze mówiąc, nie bardzo. Po tym, co pani napisała w swojej gazecie, poczuliśmy się w waszym miasteczku nieswojo.
(Bierze ze stolika gazetę i odnajduje wywiad).

Aleksander

Ja lepiej posiedzę koło Głodomora. Może coś jeszcze powie?
(Ustępuje miejsce przy stole Dziennikarce i podchodzi do klatki).

Dziennikarka

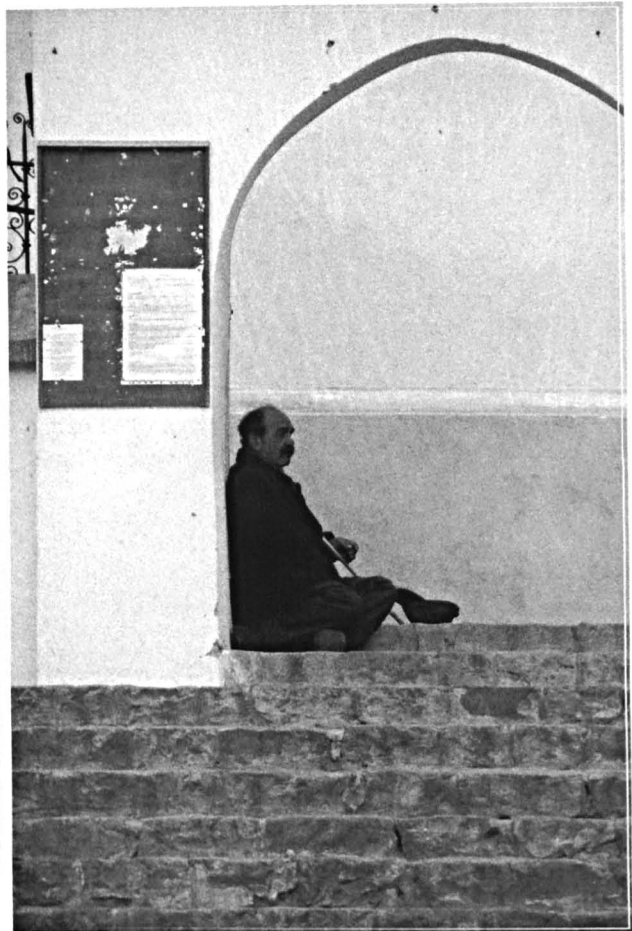
Nie podobał się pani nasz materiał, Erno?
(Siada przy stoliku).

Erna

Nie spodobał się? Jestem nim oburzona! Cóż warty jest chociażby ten fragment:
"Wędrowny zwierzyniec Erny jak w lustrze ukazuje prawdziwe oblicze naszego miasteczka, prawa dżungli, które nim rządzą, atmosferę strachu, brak wolności i swobód obywatelskich. Nie można przejść obojętnie wobec tego modelu totalitarnego społeczeństwa, który w nieszczęśliwych, zaszczytanych, zamkniętych w klatkach zwierzętach pozwala odnaleźć każdego z nas."
(Spogląda na Dziennikarkę)
Miała być jedynie reklama.

Dziennikarka

Niech pani uwierzy, że to bardziej ciekawi naszych czytelników.



 Dariusz Hankiewicz

Erna

A waszego Burmistrza?

Dziennikarka (zaczepnie)

Boi się pani?

Erna

Nie mieszam się do polityki, robię interesy.

Dziennikarka

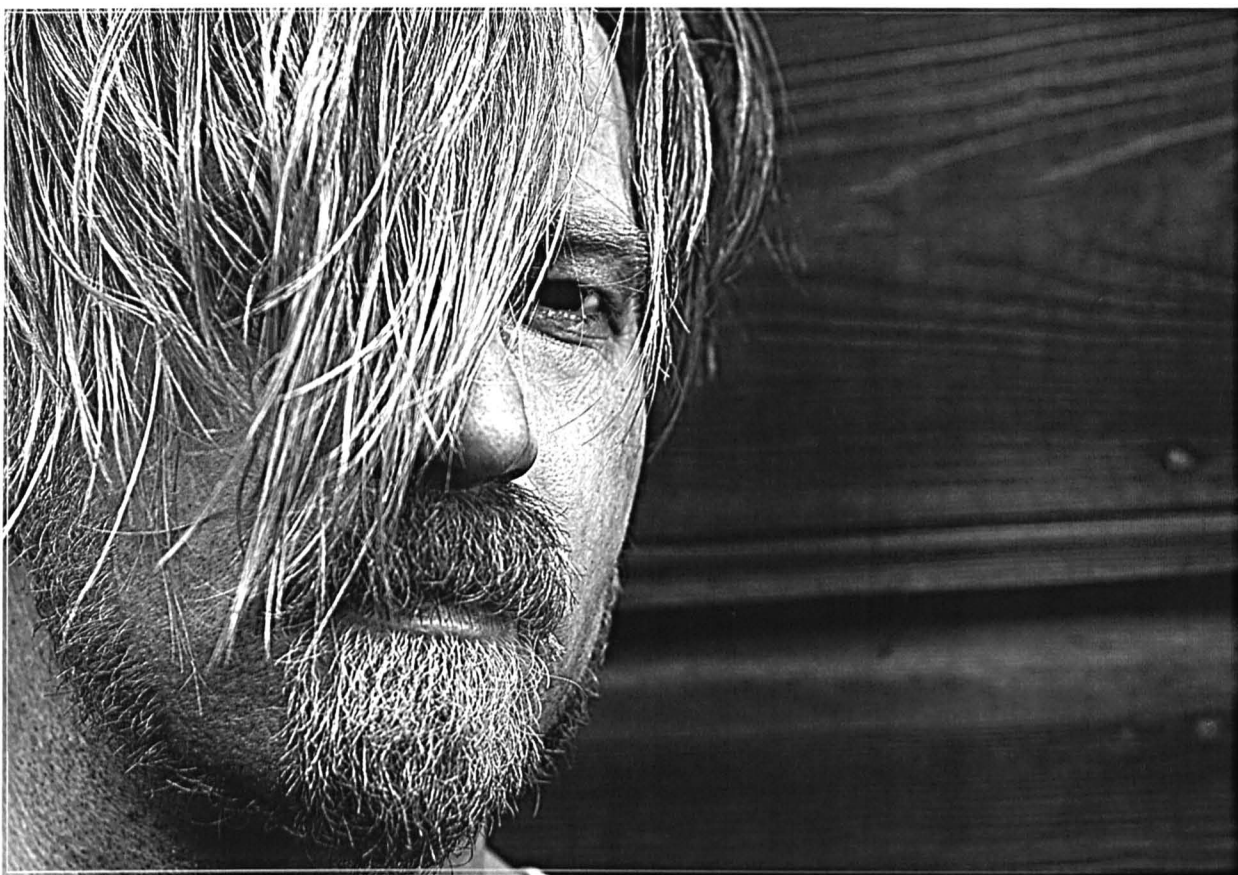
Nie miesza się pani? A akcja protestacyjna, która rozpoczęła się wczoraj w pani zwierzyńcu?

Erna (zdziewiona)

Jaka znowu akcja protestacyjna?

Dziennikarka (wskazuje na klatkę z Nieznajomym)

Przeciwko czemu protestuje ten człowiek?
(Włącza dyktafon)



📷 Marek Jawoszek

Czy jego akcja związana jest z głodówką śmieciarzy?

E r n a (*oburzona*)

Niech pani posłucha, nie chcę zbędnych kłopotów, a pani je stwarza.

(*Nachyla się nad stołem i włącza dyktafon*).

D z i e n n i k a r k a

Ależ on głoduje na znak protestu? Przeciwnie czemu?

E r n a

On nie głoduje przeciw czemukolwiek, głoduje tak po prostu. Przepraszam, nie tak po prostu, a za pieniądze. Głodowanie to jego zawód, jego biznes. Za to mu płacę.

D z i e n n i k a r k a (*rozzarowana*)

Głoduje za pieniądze? Naszym czytelnikom się to nie spodoba.

(*Zamyśla się*)

Tu potrzebna jest wyższa idea, jakieś nośne hasło, żeby przyciągnąć uwagę społeczeństwa. Pomogę, chce pani?

E r n a

Chcę tylko jednego: żeby trzymała się pani jak najdalej od naszego zwierzyńca.

(*Wyskakuje zza stołu*).

D z i e n n i k a r k a. Znowu mnie pani wyprasza? (*Niechętnie wstaje z krzesła*).

W tym samym czasie pojawia się Burmistrz, podchodzi do stolika.

B u r m i s t r z (*puszcza oczko do Erny*)

Już współpracujecie?

(*Do Dziennikarki, przez zęby*)

Dziwka!

D z i e n n i k a r k a (*do Burmistrza, cicho*).

Cham!

E r n a (*zdziewiona*)

Dlaczego zawsze przychodzą państwo w tym samym czasie?

Dziennikarka

Żegnaj pana z przyjemnością.

(Do Erny)

Niech pani zapamięta, Erno: w obecnych czasach nic się nie robi „od tak po prostu”.

Albo - „za”, albo „przeciw”.

Dziennikarka demonstracyjnie wychodzi.

Burmistrz rozsiada się na krześle.

Burmistrz

Ona ma rację.

(Bierze ze stolika gazetę i pokazuje Ernie)

Powinna pani dokonać wyboru. Jak kiedyś powiedział klasyk: „Po czyjej jesteście stronie, mistrzowie kultury?”

Erna

Boże, jaki wybór? Zaraz wszystko panu wytłumaczę, Arturze.

(Poufale)

Napije się pan kawy?

Burmistrz (oficjalnie)

Proszę zwracać się do mnie „panie Burmistrzu”. Do czasu określenia pani pozycji społecznej. A właśnie, Sanepid i tak do pani przyjedzie.

Erna (bezsilnie opada na krzesło)

Nie zajmuję żadnej pozycji. Do waszej społeczności nie należę. Nie znam i nie chcę znać waszych reguł.

Burmistrz

Myli się pani, moja droga.

(Macha gazetą przed twarzą Erny)

Jeżeli przyjechała pani do nas, jeżeli chce pani zarobić na nas pieniądze, musi się pani podporządkować panującym u nas zwyczajom.

Erna (z poczuciem winy)

Przepraszam, ale się pogubiłam. Niech pan powie, co zrobiłam nie tak? I co powinnam zrobić, aby odzyskać pana zaufanie i przychylność?

Burmistrz (lagodnie)

Tak lepiej. Nie obwiniam pani o skandaliczny artykuł w gazecie.

(Rzuca gazetę na stół)

Wiem, że to zasługa Kasandry. Ale co się tu u

was dzieje?

(Wskazuje klatkę z Nieznajomym)

Dlaczego zamknęła pani człowieka w klatce i pokazuje go zwiedzającym? Co pani chce przez to powiedzieć? Co to za aluzja?

Erna

Już panu mówiłam: to znany numer cyrkowy, od którego mój ojciec zaczynał karierę impresaria. Pojawił się chętny, więc postanowiliśmy go powtórzyć, sprawdzić na ile jest opłacalny w naszych czasach.

Burmistrz (z niepokojem)

A skąd on się wziął? To miejscowy?

Erna (niepewnie)

Świetny profesjonalista. Tamten młody uczony napisał o nim całą książkę.

Burmistrz (rzuciwszy pełne pogardy spojrzenie na Aleksandra)

Znalazł się uczony.

Erna (wiarygodnie)

Niech pan uwierzy, nasza głódówka niczemu nie służy. To jedynie akcja komercyjna, bez żadnych podtekstów politycznych.

Burmistrz

To źle, że niczemu nie służy. Każdy może skojarzyć ją z czym tylko zechce. Wie pani, że właśnie ogłosili głódówkę śmieciarze? Miasto tonie w śmieciach.

Erna (unoszą ramiona)

Nie wiem. Plac przed naszym zwierzyńcem jest czysty.

Burmistrz (lustruje plac przed zwierzyńcem, zdziwiony)

Rzeczywiście, czysty.

Erna

Bo plac sprząta nasz dozorca, Pyza, a on nie należy do związku śmieciarezy.

Burmistrz (znowu bierze do ręki gazetę)

No właśnie, nieżyczliwi mogą uznać głódówkę tego profesjonalisty za wyraz poparcia dla głódówki naszych śmieciarezy.

(Zdecydowanie)

Trzeba pani czysto komercyjnej akcji nadać

sens. Potrzebne jest konkretne, niedwuznaczne hasło. Albo niech pani zamyka zwierzyńiec i zmiata z naszego miasteczka!

Erna (*zdezorientowana*)
Ale jakie hasło?

Burmistrz
No, na przykład: "Czystość w naszym mieście!".
(*Szeptem*)
Rozumie pani?

Erna
Ale to znaczy, przeciw...

Burmistrz
Ciiiiii!
(*Łagodnie*)
Do niczego pani nie zmuszam. Mówię: na przykład.

Erna (*stłamszona*)
Mogę się zastanowić?

Burmistrz
Niech się pani zastanowi, moja droga.

(*Podnosi się zza stołu*)
I nad moim zaproszeniem na kolację również.

Erna
Dziękuję, panie Burmistrzu. Ale najpierw uporządkuję swoje sprawy.
(*Wskazuje na klatkę z Nieznajomym*).

Burmistrz (*poważnym głosem*)
I słusznie. Daję pani czas do jutra.
(*Podchodzi razem z Erną do klatki i ogląda Nieznajomego*)
Mówi pani, świetny profesjonalista? ▯ wygląda niepozornie, jak ledwo ciepły.
(*Cicho*)
Trzeba sprawdzić, kto to taki.

Erna
Przecież człowiek głoduje.
(*Żartobliwie*)
Niech pan sam spróbuje, panie Burmistrzu.

Burmistrz
Eee, nie!
(*Kiwa palcem przed twarzą Erny*)
Nie zamknij mnie pani w klatkę!



(Poufale)

A propos, może pani znowu nazywać mnie Arturem.

(Rechocze)

Do czasu kolejnego artykułu w prasie.

Burmistrz żegna się z Erną i odchodzi. Erna wyjmując papierosy i nerwowo pali. Aleksander podchodzi do niej z notatnikiem w rękach.

A l e k s a n d e r *(z rozżaleniem)*

Nic nowego nie powiedział, znowu bełkocze coś o złym wietrze. Widocznie stracił poczucie rzeczywistości, co wprawiło go w nastrój apokaliptyczny.

(Spogląda w oczy Erny jak wierny pies)

Co się stało, pani Erno? Popsuli pani nastrój?

E r n a

Kończymy tę absurdalną komedię. Niech pan wytłumaczy swojemu Jezusowi Chrystusowi, że Burmistrz odwołał Wniebowstąpienie.

A l e k s a n d e r

Niech pani tak nie żartuje, pani Erno.

E r n a

To nie żarty.

(Krzyczy)

Przedstawienie skończone! Niedoszłych aktorów proszę o opuszczenie sceny!

(Ogląda się)

Gdzie Pyza? Niech zabierze tych wariatów! Jednego i drugiego!

Przez jakiś czas panuje krępująca cisza. Erna i Aleksander nieufnie patrzą na siebie.

E r n a

Milczy pan? To dobrze, bo nie zamierzam słuchać pana pseudonaukowych bredni!

A l e k s a n d e r

Wie pani, są ludzie, którzy chcą wyglądać lepiej niż w rzeczywistości. Ale są i tacy, którzy chcieliby wyglądać gorzej. Należy pani do tej drugiej kategorii, pani Erno.

E r n a *(zdziwiona)*

O, niespodziewanie przeszliśmy na tematy osobiste! Nawet mi to pasuje. A pan, jakim pan jest człowiekiem, Aleksandrze?

Porozmawiajmy o panu. Do której kategorii

pan należy?

A l e k s a n d e r

Nie jestem nikim nadzwyczajnym, prosty ze mnie nieudacznik. W każdym razie, tak uważałem do wczoraj.

E r n a *(z pogardą)*

Ma pan rodzinę?

A l e k s a n d e r

Nie.

E r n a

Nie ma pan powodzenia u kobiet?

A l e k s a n d e r

Miałem narzeczoną.

(Zawstydzony)

Nie sądzę, aby to był ciekawy temat do rozmowy.

E r n a *(ze złością)*

Rzuciła pana?

A l e k s a n d e r

Skąd pani wie? Zresztą, nie trudno się domyślić. Tak, powiedziała, że oprócz idei nic mnie w życiu nie interesuje. Że jeśli będę się zajmować kwestią Głodu, to ona będzie musiała głodować naprawdę.

E r n a *(rozumiejąc, że posunęła się za daleko)*

Przepraszam... Nie chciałam pana urazić.

A l e k s a n d e r

Nie ma za co, moja narzeczoną miała rację. Jaki byłby ze mnie mąż? Jaki ojciec?

(Wspomina)

Rozstaliśmy się w parku. Naprzeciw nas szły dzieci z balonikami i Klara spytała, czy chciałbym mieć "Balonik?" - zażartowałem. Ona obraziła się, odwróciła i bez słowa odeszła.

E r n a *(przerzywa)*

Chwileczkę, Aleksandrze! Powiedział pan, dzieci z balonikami?

(Pobudzona)

Że też się od razu nie domyśliłam!

A l e k s a n d e r

Pani Erno

Erna

Te jego słowa o wietrze... Niech mi pan przeczyta jeszcze raz ostatni zapiszek z pana notatnika.

Aleksander

Z przyjemnością.

(*Otwiera notatnik*)

"Zły wiatr mnie rozerwie na drobne kawaki".

Erna

Niech pan posłucha!

(*Śpiewa*).

Różowy balonik dziewczynka trzymała,

Cichutko wesołą piosenkę śpiewała:

Szczęśliwy pielgrzymie, odważny mój brachu,

Polecieć do nieba bym chciała bez strachu!

Aleksander (*uprzejmie*)

Ładnie pani śpiewa.

Erna

Niech pan posłucha dalej!

(*Wstaje z krzesła i podchodzi do klatki z Nieznajomym, śpiewa głośno*).

I żeby wraz z tobą wysoko, wysoko

Wiatr zaniósł mnie wszystkim na zazdrość tu wokół

Za szare te chmury, do ciepła, do słońca,

Tam fruwać bym chciała nieważka, bez końca.

Balonik jej na to tak smutno powiedział:

Dziecino, nie byłem wysoko ja w niebie.

Nim zdążę odlecieć za chmury te miłkie

Zły wiatr mnie rozerwie na drobne kawalki.

Nieznajomy z uwagą słucha piosenki, milczy, ale widać, że jest wyraźnie poruszony.

Erna

Rozumie pani, to piosenka, którą śpiewała mi mama w dzieciństwie! On ją słyszał i zapamiętał! Jestem pewna, że on ją znał!

Aleksander

Nic nie rozumiem. Kogo znał?

(*Z nadzieją*)

Nie przerwie pani eksperymentu, pani Erno?

Erna

Nie. Aż nie przekonam się, że

(*Niespodziewanie*)

Gdy wspomniał pan o spacerze w parku z

narzeczoną, od razu poprawił mi się humor.

Aleksander (*z niezadowolaniem*)

Bardzo mi miło.

Erna

Niech się pan nie gniewa, Aleksandrze.

Przejdźmy się lepiej! Pokaże mi pan wasze

cudowne miasteczko. A potem napijemy się gdzieś szampana i wymyślimy dobre hasło dla naszego Głodomora.

Aleksander

Ale ja wolalbym zostać przy nim i uzupełnić notatki

Erna (*groźnie*)

Mogę się rozgniewać i rozmyślić! Niech pan da człowiekowi odpocząć!

Aleksander (*pospiesznie*)

Oczywiście, chodźmy na spacer.

(*Z poczuciem winy*)

Przepraszam, Erno! Marny ze mnie kawaler.

Erna

Ale mam nadzieję, że dobry przewodnik.

Mówiłam już panu, że darzę sympatią wasze miasteczko?

Erna bierze Aleksandra pod rękę i razem odchodzą. Nieznajomy siedzi, opierając się plecami o klatkę. Przez jakiś czas panuje cisza, ale wkrótce pojawia się pijany Pyza w towarzystwie Żebraczki. Pyza głośno śpiewa nieprzyzwoitą piosenkę.

Żebraczka

Ostrożnie, dobrodzieju!

(*Podpiera Pyzę, który mocno się chwieje*)

Jesteśmy prawie na miejscu.

Pyza

Dziękuję, kobieto. Trochę się zmachałem.

Żebraczka

Trochę...

(*Karcąco*)

Czy taki kulturalny, zagraniczny pan powinien pić na umór, jak jakiś miejscowy siniak? Gdyby nie ja, przeleżałby pan pod płotem do rana.

P y z a

A czy to moja wina, że w waszym miasteczku knajpy są tak daleko? Trudno tam trafić, ale i stamtąd wrócić.

(Krzyczy w stronę klatki z Nieznajomym)

Wstawaj, darmozjadzie!

Ż e b r a c z k a

Ciszej, niech pokutnik jeszcze sobie pości.

P y z a.

Znalazł się pokutnik! Przecież to żul.

Ż e b r a c z k a

Ze szczęścia jeszcze żaden człowiek samowolnie się w klatce nie zamknął.

P y z a

Żal ci go? A on nami pogardza.

Ż e b r a c z k a

Skąd to wiesz, łaskawco? Przecież on cały czas milczy.

P y z a

Widzisz, nawet gadać z nami nie chce. Taki zadufany w sobie.

(Zbliża się do klatki, wyjmując z kieszeni piersiówkę i wyciąga w stronę Nieznajomego)

Napij się z nami, jeżeli nas szanujesz.

Ż e b r a c z k a

Jak może pić, jeśli nie zagryza?

P y z a

Będzie też czym zagryźć

(Wyjmuje z kieszeni kawałek kielbasy i proponuje Nieznajomemu)

Jedz, nikomu nie powiemy. Widzisz, odwraca się od nas.

(Pociąga parę byków i oddaje butelkę Żebraczce)

Masz, ty wypij.

Ż e b r a c z k a

Dziękuję, dobrodzieju

(Pije z butelki)

Ale pan niech więcej nie pije. Jeszcze dyrektorka zobaczy.

P y z a

A, tam... Ona mnie nie zwolni. Kto będzie karmił zwierzęta, czyścił klatki? Może ten

paniczyk?

(Niespodziewanie rzuca w Nieznajomego kielbasą, ale nie trafia)

Oszust!

Ż e b r a c z k a

Za co go pan tak nie lubi?

P y z a *(nagle opada na ziemię i zaczyna płakać)*

U-u-u-u-u! Drań!

Ż e b r a c z k a *(cicho)*

Za słaby jest w uszach. Maże się jak baba.

(Nieżyczliwie)

A nie mówiłam, żeby więcej nie pić?

P y z a

On go zabił. Rozsiadł się na nim swoim kościstym zadkiem. Rozdeptał ciężkimi, ubabranymi butami.

Ż e b r a c z k a *(zdziwiona)*

Kogo?

P y z a *(pochlipuje)*

Mojego biednego Głodomorka

Nieszczęsnego, malutkiego ludzika, który chował się w słomie On tak żałośnie śpiewał swoim piskliwym głosikiem.

Ż e b r a c z k a

O Matko święta!

(Przestraszona żegna się).

P y z a *(zrywa się z ziemi i rzuca na pręty klatki)*

Samozwaniec! Możesz owinąć sobie cały świat wokół palca, ale mnie nie oszukasz! Jeszcze cię zdemaskuję.

Nieznajomy nieruchomo siedzi na środku klatki i smutnym wzrokiem obserwuje otaczający go świat.

Koniec pierwszego aktu





[ZABELA JWAŃCZUK

* * *

całujemy noc
na gwiazdy zarzucamy sieć
jeszcze jeden ruch i oszukamy lunę

Boże oddal od nas gwiazdozbiór dnia

Deszczowa Selene

o boskiej twarzy i krwi
bez słów na palcach idzie
przez krótkim cudem niepojętą noc
a słońce zamiera sklepienie niebios
czuje na barkach jak Atlas
prowadzi przebudzone stado mokrych gwiazd
tak nisko że można dotknąć
oto przykłęka przed znikającym księżycem
przymyka powieki całuje dopóki szepczemy
wróć tu z życiodajnym blaskiem

* * *

noc tutaj krótsza
więc zostawmy wszystko
w podróż na daleki biegun
zabierzmy tylko miłość
gwiazda nas jak mędrców
właściwą drogą poprowadzi
purpurą zórz ogrzejemy sny
chodź roztopimy wszystkie lodowce

może to dzięki nam ocaleje
ślepo płynący jak titanic czas

* * *

zbliżeni do siebie i świata
nie widzimy dna pomarańcza czasu
kotwicą zanurza się u wybrzeża
naszych morskich oczu kołyszymy się
w księżycowym statku być może
pragniemy właśnie tej wielkiej miłości
którą w skrzydłach niosą anioły
którą rodzą wciąż nowe gwiazdy

CHIMERA (WIECZNIE ŻYWA)



Gustave Moreau: Chimera - heliograviura R. Paulusena

SONETY

93

*Przyjdzie pełną drożyną, w biel odziana liliową,
Przyjdzie, kiedy się wdzięczy brzask jutrzenny dąbrowom;
Wróci chabry i maki, by strój lanom barwiły,
Wróci białosc czeremchom u wezglowia mogily.*

*Mirt umai grobowce ukochania nanowo,
Z ląki dmuchnie wiatr kwiecia rozżarzone opyły,
Wokół cierni powoje znówu będą się wily,
Zajrzy osa brzęcząca w konchę małwy różową.*

*Burz majowych strumienie ubalsamią drzew korę,
I krzewinę okoli nimb tęczowych promieni;
Z latorośli wierzbowej pasterz fletnię uleni,*

*Zagra... Echo odpowie tam za borem, za borem...
Hej, przyleci dziewczyna, narwie, narwie złocieni
I ożeni złocisty wian z pasterza kędziorem.*

Jan Lemański.

Teksty pochodzą z "Chimery", 1901, T. 1, z. 1.

SONETY

95

Zaklęte skarby.

*Nagi, smukły, gibki Półmierzch chodzi cicho puszcą senną,
I raz po raz rękę wznosi między starych drzew korony,
I otrząsa lekko nikły pył ciemności w mial stłuczonej,
I pył pada — pada — pada: starą puszcę bierze w lenno.*

*A dudem puszczy, od mchów siwych, od pni starych, jakieś
płyną
Mgły niechwytne — jak przecucia, co o jednym wiedzą dziwie,
Przecudownym a ostrożnym, i podchodzą go lękliwie,
A on wciąż im się wymyka, lecąc w przestrzeń mroczno-siną.*

*Płyną mgły niechwytne, dziwne, przez tajemną, starą puszcę,
Pelzną wiotkie przez zatory pni, co wpoprzek drogi legły,
Przelewają się przez rowy, sączą się przez gęste kuszczę,*

*Lekko, cicho!... Ominęły ślizgich węzów ród przebiegły
I, przypadłszy przed spróchniałym pniem, za rąbek jego kory
Wychyliły się i patrzą w białe, ciche muchomory...*

Bronisławowi Olszewskiemu.

Józef Ruffer.

Rzeźbiarz.

*Mistrz uczul w swojej piersi dech nieskończoności
Potężnej jak ocean, gdy się pianą zwelni,
Chciał wyrzucić z swej głębi moc życiowej pełni,
Której orkan wezbranej potęgi zazdrości.*

*I w głazie dłonie jego młodzienica wykuly,
Który miał ludzi uczyć zwycięstw, dumy, chwały.
Posągu człon drgał każdy, siłą napęczniały,
Wszystkie szaleń nadmiaru grały w nim muskuły.*

*A ten, co pierwszy ujrzał boskość w mistrza tworze,
Padł na twarz zatrwożony, szepcząc ciche modły:
„W proch przed tobą mocarze niech padną najpierwsi!”*

*Mistrz zmarszczył brwi, odtrącił zgiętego w pokorze
I, widząc, jak moc rzuca się w słabości podlej,
Młotem strzaskał posągu granitowe piersi!*

Leopold Staff.

Święte.

*I powstały, jak świetlne wstają meteory,
Z łun pożarnych poczęte i krwawej topieli,
Drogę z tronów krwią znacząc aż do mniszych celi,
Jak ramnych sznur gołębic, lecący w przestwory.*

*I wonieje Chrystusów ogród różnowzory,
Błade kwiaty z śmiertelnej podjęte pościeli,
Cudnych twarzy różaniec oplatkowej bieli,
Słodkimi wonnościami zbyt pełne amfory.*

*I po rajskich kobiercach, po niebieskim łanie
Błądzą dziewy męczenne i koronne panie,
Te wszystkie, co obliczem zwróconem od ziemi*

*W snach widziały aniołów z skrzydłami białymi,
I wierne wciąż czekały, w płomiennej tęsknocie,
Oblubienca swojego w purpurze i złocie.*

Kazimiera Zawistowska.

102

CHIMERA

Jesienią.

*Park drzemie... drzewa, jak schorzone twarze,
Wokół dziwnymi rumienkami świecą.
Z szelestem szklanym liście zwiędłe leżą,
Patrząc na niebo, co umierać każe...*

*O! gdzieś na gwiazdach wichry lka rozpacznie,
Wskrzyszając zmarłe, zapomniane głosy,
Już brzozy płaczki rozpuściły włosy,
Wkrótce się obrzęd pogrzebowy zacznie.*

*Pomiędzy bagna, mętne, zardzewiałe,
Ścieżki, jak widma, przypadły do ziemi,
W pomroku ręce wyciągają białe,*

*Aż w końcu dwoma liniami jasnymi
W krzyża potworne wyrosły ramiona.
Chodźmy stąd... cicho... w tej chwili ktoś kona...*

Henryk Zbierzchowski.





MAREK BRAND

K₂
DRAMAT

Postanowiłam napisać pamiętnik. Będę w nim zapisywać rzeczy, które mnie gnębią, z którymi chcę być sam na sam. Powinnam raczej napisać sama na sama. Postanowiłam napisać ten cholerny pamiętnik, bo ona kiedyś mnie zapyta: „Jak to właściwie z nami było? Jak naprawdę było ze mną? Na imię mam Klementyna. Kiedyś strasznie nie lubiłam tego imienia. Chyba przez koleżanki z podwórka, które przezywały mnie kle-kle. Skąd u licha moi rodzice wpadli na pomysł, żeby mnie tak nazwać. Raz zapytałam się mamy, po kim mam to imię, bo przecież w rodzinie nie było nikogo takiego. Mama zmieszała się i powiedziała: „A wiosną kupimy ci rower”. Z radości nie wypytywałam dalej. Jednak wkrótce zaczęłam podejrzewać, że nadano mi imię ku czci wuja Klemensa. Wuj



Tomasz Młynarczyk

Klemens to chluba naszej rodziny, właściwie to nie wiem, co wuj zrobił takiego ważnego, nawet nie wiem kim był, ale wszyscy mówią o nim z szacunkiem.

„Klemens by tak nie zrobił”, „Klemens by im pokazał”, „Klemens to by wiedział”. Więc musiał być kimś ważnym. Jednak świadomość, że mam imię po mężczyźnie bardzo mnie irytowała. Postanowiłam nie reagować na moje imię, ale po dwóch dniach poddałam się i wywiesiłam białą flagę. W sumie mogłoby być gorzej. Właściwie, to jak do tej pory wszystko układało mi się dobrze. Zaraz po maturze dostałam się na studia, a na trzecim roku zaczęłam pracować. Właśnie w pracy poznałam Klarę. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłam pomyślałam, że jest tak beznadziejna, że poproszę szefa o przeniesienie w teren. I wtedy właśnie zapytała – Lubisz jeździć sto czterdzieści na godzinę, motocyklem przez miasto?

– Nie lubię.

– Ja też i to nas właśnie łączy.

Niespełna dwa lata naszej przyjaźni opisuję właśnie w tym pamiętniku.

21 maja

Poszłam na uczelnię przenieść się na zaoczne.

Weszłam i poczułam się bardzo nie swojo. Ogarnęło mnie uczucie przygnębienia. Miałam wrażenie, że to ponure gmaszysko chce mnie zjeść. Nic takiego nie czułam, kiedy zdawałam egzaminy na wydział dzienny. Klara powiedziała, że to przez podniecenie jakie towarzyszyło mi podczas egzaminu. I że według naukowców takie podniecenie porównywalne jest do podniecenia seksualnego. I, że ona się z tym zgadza.

17 lipca

Pojechaliśmy z Klarą na zakupy. Właściwie to wcale nie chciałam jechać do żadnych hipermarketów. Chciałam trochę odpocząć. W końcu sobota zdarza się raz w tygodniu. Obiecałam sobie, że porządnie się wyśpię, ale w piątek wieczorem przyszła Klara.

– Cześć Klemens - zaczęła jak zwykle.

- Nie mów do mnie Klemens.
- Przepraszam. Co robisz jutro?
- Odpoczywam.
- To się doskonale składa, bo mam wspaniałą propozycję.
- To znaczy - zapytałam ostrożnie, bo, znając Klare, wiem, że potrafi wymyślić lot na księżyc.
- Aktywny odpoczynek, taki intermedialny.
- Ale konkretnie?
- Pojedźmy na szalone zakupy.
- Wiesz, Klaro, chciałam jutro posiedzieć trochę w domu. Wyspać się, poczytać. Mam kilka książek do przeczytania, sesja na karku. Jednak wszystkie moje argumenty Klara skwitowała krótką wypowiedzią:
- No wiesz, Klemens, przestań się zachowywać, jak stara kapryśna baba. Jest mi przykro, że robisz takie rzeczy swojej najlepszej przyjaciółce. Tylko dlatego, że mam parę kilo nadwagi, to już nie mam prawa nigdzie chodzić, co ja ci takiego zrobiłam, że chcesz mnie tak zranić. Czy ty wiesz, na co narażona jest osoba, która sama wybiera się do supermarketu? A jak chciałaś pojechać do Paryża, obejrzeć jakiś tam Luwr, czy coś takiego to oczywiście Klara nie odmówiła. Żeby przerwać tą litanie - zapytałam tylko - O której godzinie?
- O dziewiątej rano.
- Klara, to jest środek nocy.
- Im szybciej tam pojedziemy, tym szybciej wrócimy.

Tłok, kilka tysięcy kilometrów w nogach, wygrana walka o wózek na zakupy i dwie pary majtek, to bilans naprawdę wielkich zakupów. - Wiesz, Klementyno - powiedziała Klara, kiedy spojrzałam na nią jak na zepsutą galaretkę - to nic, że zakupy marne, ale spędziłyśmy razem trochę czasu. Rzeczywiście tylko pięć godzin nas nie było. Straciłam tyle energii, że o ósmej wieczorem spałam jak niemowlę. Powinna być jednak wtedy zwrócić uwagę na ten drobny szczegół... Po raz pierwszy Klara powiedziała - Klementyno - a nie Klemensie, albo Klem. Gdybym wówczas na to zwróciła uwagę...

14 sierpnia

Poszłyśmy z Klarą do kina. Niby komedia a Klara wyszła z filmu zaryczana.

- Czego beczysz? - spytałam.
 - Bo ja też bym tak chciała.
 - O co ci chodzi?
 - Jak oni się kochali i nic im nie było w stanie zniszczyć miłości. Dom się rozwał, mieli długi, nawet jak on usiadł na jeżu, to taka wielka miłość między nimi była. Ja też bym chciała.
 - Usiąść na jeżu?
 - Niechby nawet, ale za taką miłość. Popatrz na nas. Dwie samotne baby siedzą w kawiarni i mają tylko siebie. A gdzie ci mężczyźni - powiedziała i zamówiła szóstą napoleonkę.
 - A, kelner?
 - Co, kelner?
 - Popatrz jaki przystojny.
 - Pewnie ma jakąś dziewczynę.
 - A może nie ma.
 - A widziałas przystojnego kelnera bez dziewczyny?
- Zamknęłam się, bo rzeczywiście nie widziałam.

25 września

Klara uważa, że za parę lat będą sprzedawać substancje genetyczne na różne przypadłości. - Genetyka rozwija się nadzwyczaj szybko - powiedziała - zobaczysz, za parę lat wszystko będzie można kupić w aptece. Nawet pastylki na miłość. To tylko kwestia czasu. A wtedy nie będziemy musiały zabiegać o względy mężczyzn. Miłość to chemia.

- Dlaczego tak uważasz?
- Tak napisał pewien profesor.
- Gdzie napisał?
- W czasopiśmie naukowym. Napisał: „genetyka poradzi sobie z większością naszych problemów”. Klara ma tendencję do przesady. Zresztą, zawsze taka była. A ja muszę zaliczyć biologię. Może Klara ma rację z tymi chłopakami. Miłość. Co to jest ta prawdziwa miłość. Właściwie to czym jest - a nie co to jest. Czy to ważne, przecież i tak nikt nie przeczyta tego pamiętnika oprócz mnie. Podoba mi się wykładowca z chemii. Jest taki przystojny. Jak zwrócić jego uwagę? Wiem....

3 października

Idiotka. Na co ja liczyłam. Ubrałam się jak napalona laska. Siadłam w pierwszym rzędzie i wpatrywałam się w niego cały

czas. Nawet raz puściłam do niego oko. A on nic. Może niedowidzi biedaczek. Albo to taka męska gra. Już oni to potrafią. Żeby zdobyć dziewczynę udają, że niby jej nie zauważają. Pod koniec wykładu zaświeciło słońce. Spojrzał na mnie. Jezu! Zauważył mnie. Nawet się uśmiechnął. Może zaprosi mnie na kolację. Przy świecach, albo w jakim ekskluzywnym lokalu, bez bilardu i automatów do gry. Kiedy wykład się skończył, jak mogłam przedłużałam moment wyjścia. On też. W końcu ruszył w moim kierunku. Stał obok mnie i spytał patrząc trochę w bok.

- Widzę, że bardzo interesuje się Pani chemią. Zrobiłam się czerwona, spuściłam wzrok i nic nie powiedziałam. Widziałam, że będzie dalszy ciąg.
- Gdyby pani zechciała, to mogę bardziej przybliżyć problem polimerów złożonych, o których dziś mówiłem.
- Nieżył bajer, pomyślałam. Na polimery nikt mnie jeszcze nie podrywał.
- Jeżeli to nie sprawi panu problemu - usłyszałam głos za mną - będę bardzo zobowiązana. Za mną siedziała laska, która chodziła do nas jako wolny słuchacz.
- To zapraszam na kawę. A pani też chce się dowiedzieć o polimerach? - Ostatnie pytanie było do mnie.
- Już wiem wszystko. Wysłałam nawet nie oglądając się za siebie.
- I bardzo dobrze - powiedziała Klara - Po co ci taki stary dziad.
- Ale on ma dopiero trzydzieści pięć lat.
- Przejdzie mu.

15 listopada

- Byłyśmy z Klarą na koncercie. - Super było - powiedziałam do Klary.
- Skoro się dobrze bawiłaś.
 - A ty się bawiłaś źle?
 - Jak dla mnie było za głośno i zbyt dużo krzyków na widowni. Brak linii melodycznej, a i do wokalne strony można mieć sporo uwag.
 - Klaro to był koncert rockowy.
 - Muzyka to muzyka. Tam nie było uniesienia.
 - Tak uważasz?
 - Tak.
 - To po cholerę poszłaś ze mną na ten koncert. Przecież wiesz, co to jest rock.
 - Teraz wiem.
 - Czekał, to ty wcześniej nie byłaś na żadnym

koncercie?

- Jeżeli nie liczyć Vivaldiego w filharmonii to nigdy.
- Czy ja znam Klarę? Co ja o niej wiem?
- Wszystko czy nic? Przecież spotykamy się prawie każdego dnia. No może co dwa, albo trzy dni. Kim ona jest? Co ona robi wieczorami, kiedy jest sama?

22 grudnia

- Wigilia i prezenty. Bardzo lubię Wigilię. Jest okazją do spotkania z całą rozległą rodziną. Kiedyś zwierzyłam się Klarze, że chciała-bym namalować ich wszystkich.
- To znaczy kogo? - zapytała.
 - Mamę, brata, ciotkę Wandę z wujkiem Anzelmem, kuzynkę Lizę, wujka Staszka z ciocią Stefą, Krzysztofa z Olą i malutkim Piotrusiem, panią Basię i kota Partacza.
 - Aż tyle? - powiedział Klara z niedowierzaniem.
 - Tak. Jak byłam młodsza nie cierpiałam Wigilii, każdy miał jakąś uwagę, a to, że sukienka zbyt krótka, a to że powinnam się umalować, a to, że nie wolno się garbić i te pytania, a co w szkole? a gdzie jedziesz na wakacje, gdzie będziesz studiować. Raz wujek Anzełm jedząc rybę zapytał - A ile ty masz lat dziecko?
 - Szesnaście - odpowiedziałam.
 - No, to jak za dwa lata pójdziesz do wojska, to cała rodzina przyjedzie na przysięgę - powiedział wujek przegryzając śledziem.
 - Cudownie mieć taką rodzinę i tyle naczyń do zmywania? - powiedziała rozmarzona Klara.

31 grudnia/1 stycznia

- Sylwester. Miał być super. Milenium, kurwa mać. Wszyscy dostali jakiegoś szału. Kiecki, fryzury, wycieczki noworoczne na Bora-Bora.
- Wiesz, powiedziała Klara - może wykupmy taką wycieczkę, dookoła sylwestra. Odrzutowiec będzie nas dostarczał w różne strefy czasowe i tam będziemy mogły zawsze witać Nowy Rok. Chociaż tej jednej nocy mogłybyśmy zatrzymać czas.
 - Ciekawe ile coś takiego kosztuje?
 - Poczekaj - powiedziała Klara wykręcając numer - Halo biuro podróży? Chciałabym się dowiedzieć, czy można u was wynająć odrzutowiec na całą noc? Dlaczego? A co



Joanna Bukowska

jej jest? I nie ma kogoś, kto mógłby być w zamian? Dziękuję. Niestety nie polecimy. Żona pilota rodzi. Patrz, Klementyno, raz w życiu chciałam zaszaleć i co? Cięża rodzinna staje mi na drodze. A gdzie ten kapitalizm. Placisz i nie możesz lecieć.

- Przecież nie stać nas na to?
- Ale oni o tym nie wiedzą.
- Sylwestra spędziłyśmy w wieżowcu na siódmym piętrze.
- Fajny ten nasz nowy kolega z pracy - powiedziała Klara - I leci na Ciebie.
- Skąd wiesz?
- Powiedział mi, kiedy się ze mną całował.
- Ja mu się podobam, a ciebie całował?
- Powiedział, że jest nieśmiały i boi się proponować.
- Dupek!
- Dupek!

11 lutego

Dostałam od Klary sztalugę.

- To na urodziny.
- Mam dopiero w lipcu

- No to co?
- Ale dlaczego sztaluga?
- Chciałaś namalować rodzinę.
- Ja nie umiem malować.
- A kto umie? Najważniejsze, że masz sztalugę. Farby dostaniesz na imieniny.
- A pędzle?
- Nie można bez pędzli? W ostateczności możesz jej używać jako element dekoracyjny, albo suszyć ręczniki. A wiesz co to jest k2.
- Szczyt w Himalajach.
- Nie głuptasie, to my, Klara i Klementyna. Czasami Klara zaskakuje nawet mnie.

14 marca

Przeglądając kolorowe pismo przeczytałam artykuł o szczęściu. Jakaś znana dziunia opisywała swoje życie. Że jest ustawiona z kasą, że ma fajną rodzinę, że może polecieć na Majorkę albo Wyspy Pingwinie. I jest taka szczęśliwa. Zadzwoiłam do Klary.

- Jakie masz marzenia?
- Nie wiem? To znaczy wiem. Jak każdy.



 Dariusz Hankiewicz

- A jakie ma każdy?
- Być szczęśliwym.
- Co to znaczy?
- Wszystko.
- Konkretnie.
- Kochać mocno, żyć pięknie i umrzeć spokojnie.
- A polecieć na Wyspy Pingwinie?
- Nie.
- To gdzie?
- Do Śmiechowa.

26 czerwca

Nie pisałam długo, bo zajęcia i takie tam różne sprawy. Spotykam się od pewnego czasu z miłym chłopakiem. Powiedziałam o tym Klarze.

- Jak ma na imię? - spytała.
- Artur.
- Królewskie imię. Jest dobry dla ciebie?
- Tak.
- Ma być dobry!

- Jest dobry.
- Wiesz, Klemens, chciałabym wyjechać na wieś. Na parę dni. Jestem zmęczona.
- Dokąd?
- Może do Śmiechowa.
- Kiedy?
- Jak będziesz gotowa.

4 lipca

Zadzwoiła Klara. Płakała. Pojechałam do niej.

Przez dwie godziny nie mogłam nawiązać z nią kontaktu. Myślałam że to atak żółtej febry, tylko gdzie by się mogła zarazić. W końcu powiedziała.

- Jaka ja jestem nieszczęśliwa.
- Co znowu?
- Zakochałam się.
- To dobrze.
- Gówno tam, dobrze.
- Jak ma być dobrze, skoro on na mnie nie zwraca uwagi Bydle, ostatnie ścierwo. On też jest ostatnie ścierwo
- Kto?
- Zimny, wyrafinowany drań. Wszyscy oni to szowinistyczne męskie świny. Sama nie wiem kto jeszcze?
- Kto?
- Łajna szalonego kojota, padlina na stepie, Sępy żywiące się ciałami pionierów, zdechłe żaby.
- Przestań krzyżeć i się zapowietrzać, i przestań cytować Karola Maya. Weź głęboki oddech. No, to teraz mów.
- Wiesz, że mam sąsiada?
- Wiem, taki przystojniak, nawet niezły.
- Dwa miesiące tu mieszka. Dwa dni temu zapytał mnie na schodach, czy nie zechciałabym pójść z nim na kolację.
- Nie pochwalilaś się?
- Nie chciałam zapeszyć. Więc ten podchodzi i mówi, że na kolację. Pytam gdzie? On, że u „Majora”.
- Facet musi być przy szmalu. Słyszałam, że u „Majora” frytki kosztują dwie dychy. - Wiesz jak się poczułam. Świece, kelnerzy, owoce morza, kwiaty na stole, Patrzyliśmy sobie w oczy... Potem na długi romantyczny spacer. On tak romantycznie mówił, o ślubie, o gościach o podróży poślubnej... wiesz co faceci mówią w takich sytuacjach? - „Welon będzie długi na 20 metrów, orszak i szpaler złożony z oficerów marynarki, dorożka, przyjęcie na 300 osób”.
- Jakbyś przy tym była. - Ale dlaczego on jest

świnia. Zaprosił cię na kolację. Poszedł z tobą na spacer, mówił o dzieciach, ślubie a potem odprowadził do domu..

- Szliśmy przez park i on spytał: Czy uważasz, że jestem przystojnym facetem? No jasne, że jesteś, powiedziałam. A on - a czy mogłabyś umówić mnie z twoją koleżanką - Tą co tu do ciebie przychodzi? Ona bardzo mi się podoba, ale nie wiem jak się z nią umówić. I potem przez dwie godziny wypytywał mnie o ciebie. Zadzwoń, zapytać czy umówiłam go z tobą. Co mam mu powiedzieć?
- Niech spieprza.
- Dlaczego, taki przystojny
- To dupek. Głupi dupek.

23 sierpnia

- Klara chcesz jeszcze jechać do Śmiechowa? - Tak.
- Pojedziemy w sobotę.
- Z Arturem?
- Bez.
- W soboty też pracuje?
- Nie wiem.
- Jak to nie wiesz?
- Zerwaliśmy.
- Przestał być dobry?
- Przestał.

26 sierpnia

Śmiechów, jakie to cudowne miejsce. Tutaj czas jakby się zatrzymał. Całe przedpołudnie Klara próbowała zaprzyjaźnić się ze stadem kaczek. Miejscowi bardzo się dziwili. Dorosła kobieta na czworakach. Koniecznie trzeba kupić Klarze, jakąś bluzkę bez pleców. Może to ją zmobilizuje, żeby zrzuciła parę kilogramów. No i absolutnie nie zgodzę się na czekoladę. Klara zawsze opycha się czekoladą, a potem ma zgagę. Najlepszy jest wtedy sok z żurawiny, albo herbatka miętowa. Jakie to wszystko dziwne. Klara powiedziała, że w Śmiechowie odzyskała równowagę psychiczną. Ja twierdzę, że pełnia szczęścia nastąpi, gdy tylko odzyskamy stracony bagaż, który Klara nadała do Koszalina. Kiedy zapytałam ją:

- Klar! Gdzie, u diabła, są nasze bagaże?
- W pociągu do Koszalina - odpowiedziała.
- Dlaczego do Koszalina? - Bo też na K - odparła nieprzytomnie. Zaczęłam podejrzewać, że Klara zaangażowała się

uczuciowo. Po dwóch godzinach podróży oświadczyła.

- Gertrudo, zakochałam się w Albinie.
- Kim u licha jest Albin?
- To najsłodszy konduktor na świecie - pisnęła. I rzeczywiście. Klara co dwie minuty latała do Konduktora podtykając mu bilety do sprawdzenia. Doszło do tego, że biedny Albin zabarykadował się w WC. Musiałam Klarze wytłumaczyć, że Albin jest na służbie i musi sprawdzić bilety pozostałym pasażerom.
- Nienawidzę innych pasażerów - powiedziała. Przez całą drogę ze Śmiechowa milczała i zeżarła trzy tabliczki czekolady.

26 września

Znowu kolejny bezsensowny romans.

- Klementyno, czy ty aby nie za dużo wymagasz od mężczyzn. Co ci się nie podobało w Jacku? Tylko dlatego, że nie wiedział, kto to jest Dostojewski, to już musiałaś z nim zerwać?
- Dostojewskiego może bym mu wybaczyła, ale tego, że nie wiedział nic o Mikim, nie mogę.
- O kim? Jakim Mikim? To jakiś muzyk?
- Myszka Miki.
- Aha, no to fakt, głupio nie wiedzieć - powiedziała jakoś nieszczerze Klara.

14 listopada

Klara irytuje mnie coraz bardziej. Cały czas wpatruje się w Albina jak cielę w malowane wrota. Cały czas albo się miedlą, albo dziubdziają. Zaczyna mu matkować - „Albinku, a może konfitur? Załóż pulower, bo chłodno na werandzie. Zaparzyłam Ci kochanie herbatki malinowej”. Patrzę na



nią i nie wierzę, że była kiedyś wulkanem szalonych pomysłów. Klara coraz bardziej przypomina kociół z grochówką... Mam depresję. Zaczęłam malować.

18 grudnia

Stało się. Klara wyjechała z Albinem do Nałęczowa. W jego rodzinne strony. Przed wyjazdem odbyły się zaręczyny. Klara zżarła sześć czekolad.

- To ze szczęścia, Klementyno - powiedziała, kiedy znalazłam ją pod stołem. A potem zapytała:
- Będziesz świadkiem na moim ślubie?
- Kiedy?
- W marcu. - Będę - Super, bądź w tej w tej sukience, którą założyłaś kiedyś dla chemika. - Dobrze.

24 stycznia

Pusto. Jak tu jest cholernie pusto.

Zwariowałabym gdyby nie telefon od Klary.

- Co słyszać?
- Fizyk mi się podoba.
- Przecież ty nie masz fizyki na studiach
- Wybrałam sobie drugi fakultet, chodzę jako wolny słuchacz.

- Malujesz?

- Nie.

- To zacznij.

- Dlaczego?

- Dlatego.

- Nie umiem.

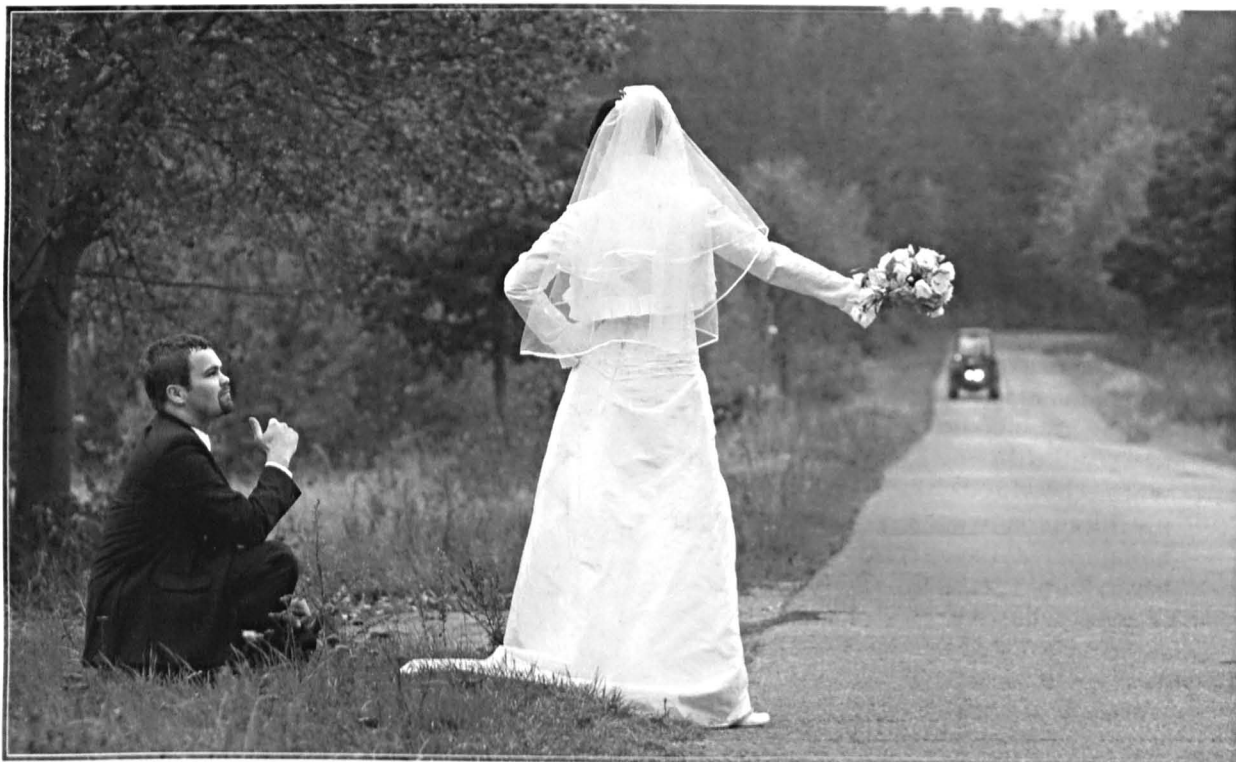
- Nie szkodzi.

16 lutego

Na trzy tygodnie przed ślubem Klara zmarła.

Tak zwyczajnie. Jak to w jej stylu. Nic nikomu nie powiedziała. Lekarze orzekli, że to atak serca. Ale ja swoje wiem. Chodzisz sobie pewnie teraz po rajach i dziwisz się wszystkiemu. No i oczywiście jesz swoją ulubioną czekoladę z orzechami. Co ja mówię, jesz. Obżerasz się, zżerasz dwie albo trzy niebiańskie tabliczki dziennie i masz wszystko gdzieś. Mnie, ten świat, sztalugę, odrzutowiec, a nawet chemika. Nigdy ci tego nie wybaczę, nigdy. Jeszcze ci dorwę. Jak mogłaś zrobić to Albinowi, jak mogłaś mi to zrobić? Jak mogłaś mnie tu zostawić? Jak? Słyszysz, ty suko!?

- Słyszę, słyszę nie jestem głucha.





PAWEŁ KOSIOREK

*** **mojego kota nie lubią**

1. mojego kota nie lubią w okolicy
 obija barkami o szklistość powietrza
 wprawiając w ruch tkanki pustych pomieszczeń
 tak bardzo wsiąkłych w dusze
 ludzi metalowych powiek

2a. pamiętaj emilly
 barwa źrenic zmienia się w zależności
 od tego ile osób przy tobie umarło
 trwałość tchu i kruchość stóp wystarczy
 byś bladą ręką odepchnęła stare życie
 a głowa odpadnie lalce w puste studnie
 byś na suchej skórze odgadła że nie ma wody

2b. boję się zasnąć emilly
 z czarnymi oczami wtulona w polskie koce
 gdy zapaloną świecę atakują ćmy
 jak tęczowa zmory w te same daty
 przychodzą bym nie zapomniała
 jak mocno potrafią drżeć dłonie.

Krajobraz poranny

Pierwsze, co widzę to cienie mebli,
 później wiem, że mam ręce
 głowę i nogi. A włosy
 otulają krtań, napierają na mózg.

i
 ja

mrugam powiekami jak jaszczurka
 - pełzam z lepkiem językiem
 wyczuwam kształty, zamykam okna
 jak obrazy.

zawieszony między ścianami
 między miejscami gdzie na
 każdego czeka życie.

i tam

ludzie gapią się jakby
 byli światem.
 świat rośnie.
 świat bardzo kocha marginesy. świat kocha
 rzeczy wyrzucane ponad brzegi.

Koziorożce tańczą na księżycu

nie wydrapią nas
 nie rozgrzebią
 zanim język ulepi kulki z piasku

skórą rozłożeni na chodnikach
 zlizujemy z ławek nasze imiona
 nasze nazwy
 tam gdzie w kawałkach znajduje się prawda

przyjaźń zahacza nasze karki o sznury
 ciągnie w stronę nieba gdzie

wycinamy z gazet nasze oczy--
 dwa gwoździe wbite w stygmaty



WOJCIECH SZMIGON

ODYSEJA PROWINCJONALNA

*Przyjaciółom tekst ten dedykuję,
wdzięczny za każdą wspólnie przeżytą chwilę.*

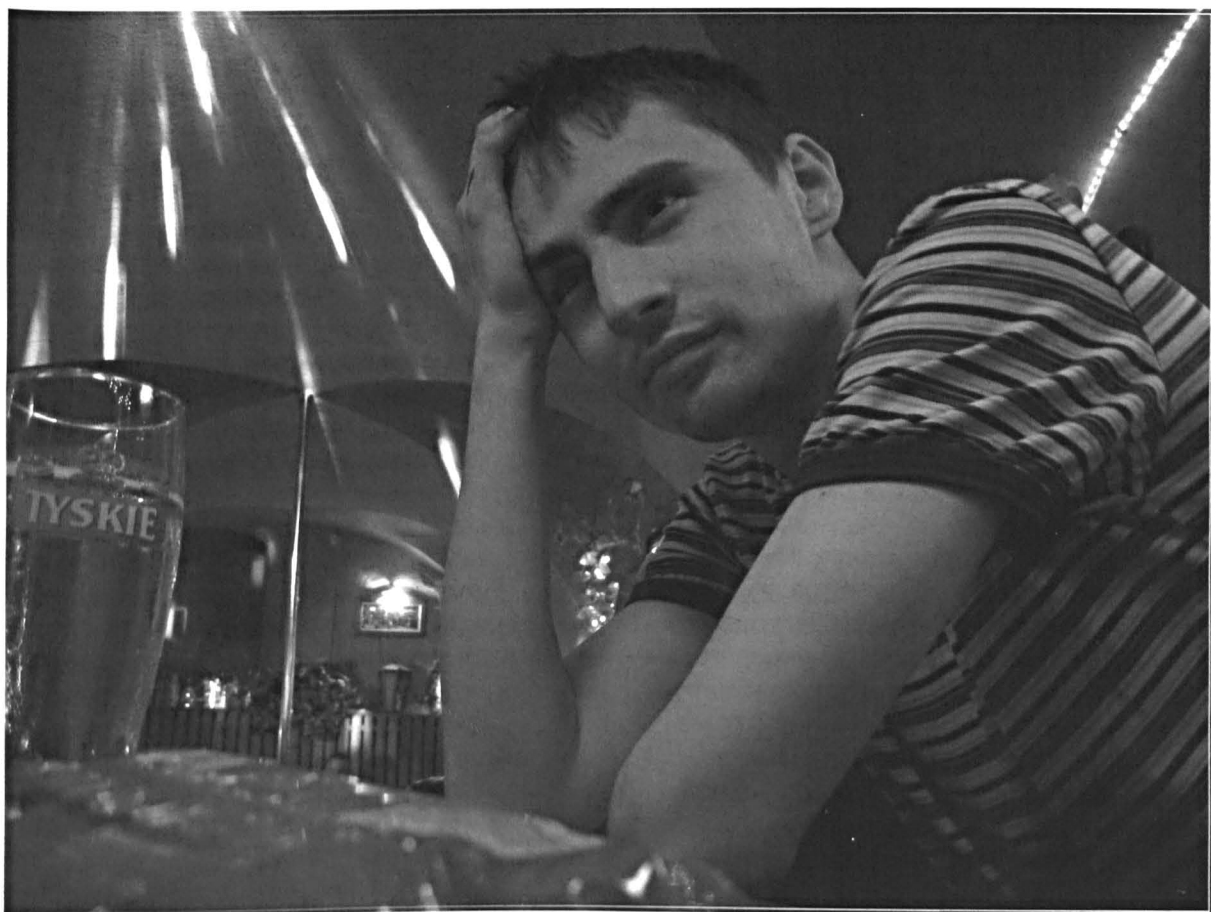
Siedzę przy stoliku z Robertem i Arturem, w kazamatach knajpy, odurzony rzeczywistością cieplej wiosny roku AD 2007. Chiński Rok Świni. Siedlce pogrążone w zakurzonych szybkach małego lokalu, zdają się fantazjować spokojnym, głębokim snem pacjenta, leżącego na stole operacyjnym po udanej narkozie. Miasto jak co roku powraca z ciepłych krain. Wyleguje się potem gdzieś pomiędzy: rzeką Muchawką, wodami Helenki, Zalewem, cmentarzem - przyczajonym przy podstarzałej ulicy Janowskiej, rybnymi stawami oraz poważną dzielnicą przemysłową, zakotwiconą wzdłuż Brzeskiej. Osiedla głęboko oddychają świeżą zielenią. Kamienice gwałtownie zaciągają się ożywym, asfaltowym powietrzem, ukazując jędrną witalność ulic: Pułaskiego, Sienkiewicza, Asłanowicza.

Po naglej i niespodziewanej dezercji małej, karłowatej zimy, ciepłko skwaśniałego słońca przenika do sflaczałych od bezruchu, zimowych opon mózgowych. Wszystkie kawałki przeszłości przylepiają się do siebie matowymi krawędziami. Łączą się w dziwną, fosforyzującą całość w kolorze butelkowej zieleni. Powstaje anemiczna, krótkotrwała piana barowych emocji, dostrzegalna najczęściej w nieczystych kufkach piwa, sączonego przez lata w *Blaszaku*, pożartym w końcu przez osiedlowe rondo klombów. Dworcowe totemy, płaskie refleksje reklam, chodniki wpelzające w kolejne zagubione uliczki. W parku sentymentalnym księżnej Aleksandry Ogińskiej widzę te same, choć bardziej pobudzone gawrony, wykrzykujące obelgi w kierunku zakochanych par i samotnych poetów. Cisza pomiędzy parkowymi ławkami, podkreśla dojrzewanie przesiadujących młodzieńców. Pożądających seksu, krwi, sensu życia oraz zupełnie nieświadomie akceptacji bliźnich. *Żyliśmy bosko, jak ostatnie świnię* - zamruczał mocno już oszo-

łomiony Wiktor Jerofiejew. Przyznałem mu rację, jak kiedyś, pijąc po niedzielnej Mszy wódkę w Piastowskiej.

Plan na życie składał się wtedy przede wszystkim z objawienia, czyli refleksji o braku celu. Podążaliśmy za metafizyką obietnicy elementarnych przypadków. Nie wierzyliśmy w nic, do czego można by się zapisać ołówkiem, atramentem, krwią lub nazwać sukcesem. Wieża obserwatorów zagubiona w labiryncie przemilczanych słów. *Wszyscy jedziemy na tym samym wózku / Od strachu ratuje nas tylko defekt mózgu...* Rzeźił apatycznie głośnik radiomagnetofonu MK-232 firmy Grundig.

Nadeszło lato 1989 roku. Zwinny, chiński Wąż połykał wielkiego Smoka. Cykl Słonecznego Maksimum rujnował nasze młode pola magnetyczne. *It doesn't matter*. Ważne, że Siedlce systematycznie poniewierały nas swoją ekstremalną epickością betonowej tajgi, drenowanej wspomnieniami o korzennym smaku piwa „Mazowieckie”, pod konspiracyjną nazwą „zemsta ciechanowa”. Każdą ryzykowną emanację naszych doświadczeń, odprowadzała na skraj przepaści dziwna ludzka reakcja, nazywana zgrabnie „obojętnością”. Zamglone oczy mijanych znajomków oraz „gości” o liryce twarzy ponurego magazyniera. Wszeghogarniająca depresja ludzkich postaci zwanych mieszczanami lub jakoś tak po zagranicznemu middle class. Nastąpiło wówczas piękne, magiczne słowo „bezrobocie”, w czasach prozaicznej apokalipsy opisywanej jako odzyskiwanie wolności społeczeństwa obywatelskiego (masochistycznego?). Kwitła Solidarność, zdychała komuna albo odwrotnie. Kogo to obchodziło? Na pewno nie nas! Czysty ascetyczny beton sklonowanych osiedli przy ulicach: Rynkowej, Czerwonego Krzyża, 22 Lipca, Sobieskiego. Napiętnowany metafizyką socjalizmu, brakiem odniesień historycznych oraz maniakałnym upośledze-



Paweł Żochowski

niem prawdy. Pożerałem *Ulisesa* i myślałem, to nie Dublin, Panie Leopoldzie, Bóg kaktusów musi mieć kolce, jeżeli chce być taki jak my.

Znajdowaliśmy się już wtedy gdzieś pomiędzy biegunami kastrowanych systemów politycznych, a hormonalnie zdeterminowanymi doświadczeniami seksualno-alkoholowo-wziwczymi. My, czyli: Czarny, Slayer, Pietrucha, Wojtas i Bombardier Yossarian, który nie udawał wariata, żeby uniknąć kontaktu z wojenną rzeczywistością. Właściwie, tak naprawdę, nikt nikomu nie wpięprzał się w indywidualną metafizykę. Egzystencja gdzieś poza czasem i rodziną, a raczej obstrukcja w czasie bolesnego wydalania socjalizmu. Z jednoczesnym lizaniem wyciągu z liści krasnodrzewu pospolitego przez nowonarodzony kapitalizm. Po czasach kolejnej polskiej Golgoty ekstatyczne nawrócenie na nową religię zwaną komercją lub

innym razem „zdrowym” globalizmem - zwierzęcym orgazmem zabieganych materialistów. Sny ostatnich normalnych ludzi, składające się z cuchnących życiem ciemnych przeżyć, odnajdowanych w siedleckich bramach.

Skwerek Kościuszki pojawiający się jako centrum postindustrialnych castingów na punka. Za jedno szybkie owocowe wino można tam było nie tyle zostać punkiem, co wzbogacić duszę o doświadczenie małościasteczkowej anarchii. Pewnego dnia zawitał tam również Pan Rysio Ch. Starszy facet w jasnym garniturze, który zapewniał, że zna wszystkich „ważnych” lokalnych. On był sfrustrowany i dynamicznie agresywny. My dziwiliśmy się jego kompletnej nieznajomości zasad siedleckiej anarchii. Po słowach „*Nadchodzi zwykle świństwo / Kompletne skurwysynstwo / A ty nie możesz czekać / A ty nie możesz zwlekać...*” oraz kilku łykach jabola o dumnej nazwie

„Wino owocowe białe słodkie” zrobiło się znacznie spokojniej. Rysio zniknął, a ekshibicjonista „Jacek” przestał mierzyć w nas złotą kulą zrobioną z oblicza ziemi. Po raz już niewiadomo który, dotarł do nas głęboki sens socjalistycznego hasła sklepów monopolowych: „Alkohol pity z umiarem nie szkodzi nawet w większych ilościach”.

Nie sposób dzisiaj obiektywnie wyrazić tego naszego, beczelnie ostentacyjnego lekceważenia „nowego wspaniałego świata”. Nie pora zapominać ryzykownej deprawacji oraz eksperymentowania na własnym bebechach. Odkrywaliśmy *w co grają ludzie* pomiędzy słowami, promilami i udami naszych młodych kobiet.

Dni zlewały się w jednolite smugi rzeczywistości. Stawały się ulewą, okrywająca wszystko ciepłą, życiodajną energią bezwładu. Po nich nadchodziły nieskończenie długie noce. Obracały się wokół własnych wielowymiarowych osi białych stworzeń. Były zarazem naszym małym kosmosem i nieskończonym wszechświatem uzależniania się od doznań. Kończyły się trywialnym bólem głowy, zmianą przydymionego ubrania, ekstrawagancją lodowatych pryszniców.

Płoneły pierwsze ostre światła, muzyka wyrastała z ciemnych pokoi gęstymi krzakami dźwięków, wrastających głęboko w ciała poruszane hipnotyczną czarną antymaterią międzyludzkich relacji. Potrzebowaliśmy się nawzajem. Na krawędzi świadomości pojawiały się kolejne regionalne piwa o mocy wskrzeszania żywych lub obalania zmarłych. Łazarz zawsze przychodził ostatni. Potem pił i przeklinał, przyczajony gdzieś w kącie pokoju mamrotał coś do siebie. Tak opłakiwał swoją utraconą śmierć.

Ogarnięci płomieniem średnio-procentowych koktajli Vera o smaku marsjańskich owoców, przenikających mózg z elegancją destrukcji „koktajlu mołotowa”, spotykaliśmy się w akademiku przy ul. Żytniej. Tam właśnie często czekał na nas wstawiony Aleks Portnoy. Tylko przy takich okazjach Aleks zbierał od nas szczere i nieustające pozdrowienia dla Małpki. Zapach tamtych undergroundowych pokoi

był zapachem młodych, nazbyt inteligentnych kobiet, które z niezrozumiałych przyczyn pojawiały się w naszych pielgrzymkach do zbawienia poszarżanych komórek. Doświadczenie myślącego płomienia. Kropla za kroplą pękały kolejne kokony wyobraźni. Wzrok przyzwyczajony do ciemności, półcienie przemykające pomiędzy usługowymi meblami, upadłymi książkami, opuszczonymi butelkami, w kierunku ostatecznej przemiany lub kwaśnych torsji. Miłość jako część odwiecznego rytuału, bardziej smakuje doprawiona śmiercią. *Polaki, dla mnie to po prostu zwykłe pierdolenie* - stawia się ten inny Jarofiejew, chłapiąc Stoliczną z Sisinem i rozglądając się za kolejnym zamroczonym sponsorem gorzały.

Tętno kosmosu, puls śmierci wyczuwalny w młodości jest aksjomatem piękna bezwarunkowego. Ktoś odpycha się rękami ode mnie, od ciebie, od ściany. Zaczynamy pogo. Podskakujemy i objamy się w pogo. Zatracamy się w pogo. Dodajemy perspektywę do zewnętrznych symptomów popolitości. Wprowadzamy do naszego małego świata wibracje, mrowienie zaczynające się gdzieś w dolnych partiach kręgosłupa. To skończony wolny świat bez planu. Aura anty-medytacji. Patrzę, gdzie jest Ewa. Moja skala, wzorzec uczuć, punkt odniesienia. To była przez chwilę miłość na wieki. Ewa wkrótce wyjedzie do Danii i nie odezwie się nigdy. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

Przynajmniej przez chwilę chciałbym umrzeć i żyć jednocześnie. Nie mam niczego. Nie mam uczuć. Coraz więcej alkoholu. Widzę siebie jako przetrawiony półprodukt przyrody. Kolejny papieros rozpuszcza się w popielniczce o kształcie szklanej kuli. Któryś tu zablądził, dostajesz piwo. Idź. Doznawaj. Patrz. Złote obręcze. Święta sylaba. Herezja Eteru. Czarny wie jakich używać barw. Jest duchem. Czarny jest wszędzie, mówią stare kobiety i recytują swoje stare wiersze.

Siedzimy pod zegarem bez wskazówek.

Wierzmy w duszę kaflowego pieca. Ruch, energia i brak refleksji są bezbolesne jak pierwsze stadium raka wątroby. Poczucie

bezpieczeństwa przepisuję po stronie tabu. Obecne tu kobiety nigdy nie będą nas kochać, nawet w przebraniu, nawet bez bielizny. Wtedy tego nie wiedziałem. Może nie chciałem wiedzieć. Wtedy było nigdy. Nie budzić się i nie spać. Jeżeli spać, to bez pamięci o początku i końcu bohaterów. Otwieram okno. Alicja kocha nas wszystkich. Czarny i ja uczyliśmy się żyć zadziwiająco szybko. Czarne winogrona wypalonych snów. Pozostały już inne imiona skreślone kredą na drzwiach do łazienek naszych studentek. Impreza trwa. Powietrze za oknem jest innym zwątpieniem. Ciemność nocy miesza się z ciemnością gdzieś w środku akademika. Nawijamy stosunki emocjonalne, intelektualne i seksualne. Ciepła „Żytnia” kończy się nad ranem. Czerwone oczy ładnie komponują się ze szkarłatem wschodu słońca.

Wyrzebałem, gdzieś w kieszeni ostatnią, prawie pustą paczkę Caro. Wychodzimy powoli. *Nie mogę ci wiele dać / Nie mogę ci wiele dać, Bo sam niewiele mam...* Żegna nas monotonnie zawodzący Perfect.

Spotykamy się na ulicy Błonie. Mieszkanie jest prawie puste, trzy materace, ława, pikantny ketchup. Wchodzimy. Jest nas kilku. Agnieszka poprawia platynowe włosy. Agata nigdy nie patrzy mi w oczy. Pijemy za szybko i za dużo. Jest śmieszniej niż wczoraj. Będzie lepiej niż jutro. Czy może znudzić się wolność? Pyta ktoś, kto kroi żółty ser w małe, cienkie sześcianiki. Poprawiamy piwem smak wódki. Zасыпуjemy popiołem z papierosów „Mocne” oraz paranoidalnymi słowami podłogę w kuchni. Uciekam i przechodzę przez wrażliwość ziołowego dymu. Nie mam pochodzenia, historii, przodków, zasad, ani złotych myśli. Mgła determinuje każdą okazję. Krishnamurti odpłynął z ostatnim przeproszającym gestem. Przenosimy jego bezwładne ciało na materac z morskiej trawy. Nikt nie ma tutaj własnego, właściwego czasu. Nikt nie ma dzisiaj właściwego miejsca. Sterylność sąsiadów wśluchujących się we własną uprzejmość. *W głębi siebie jak w las / ja własne zesłanie* nagle wykrzykuje pijany Andriej Wozniesiński. Myję dłonie prawie zimną wodą. Poje-



📷 Dariusz Hankiewicz

dnanie z samym sobą. Muzyka już bez znaczenia, ogarniając zanika. Powtarzanie kolejnych uderzeń. Rytm dostosuj do melodii najprostszej. Tu ci nie pomoże myślenie o upokorzeniach i własnych traumach. Dzisiaj Mistrzu nie obowiązuje Twój rozwój duchowy. Wszystko odbywa się za kurtyną mechanicznie pobudzanego światła. To ostatnie nasze pogo w Siedlcach. Pomyślałem, że życie tu, na ziemi jest jeszcze piękniejsze niż jego powtarzanie się w wieczności. Ludzie mijają się hałaśliwie, tańczą, wirują i dużo mówią. Szkło potępieńcom rozdają anioły. Majaczenia. Zapominanie. Jak się poznaje dogłębnie własną, pokręconą fizjologię?

Ostatni odpoczynek na parapecie grzesznika. Zamierzam podziwiać to miasto oświetlane nieśmiertelną konstelacją światel. *Zawsze jest dobrze, tylko czasami lepiej,* mawiał Pietrucha, gdy grzeszył. Śmiał się,

gdy mówił o przyszłości. Poważniał, patrząc na plakat towarzysza Lenina z postawionym „irokezem”. Parapety zawsze dodają coś od siebie. Śmieszne oskarżenia o niedojrzałość. Już lepiej nie będzie. Będzie starzej, będzie chorzej, będzie odpowiedzialniej, ale nie będzie lepiej, Bracie. Mieszkanie rozdyma się od bezmiaru materii. Bezrefleksyjność. Anachronizm cywilizacyjnych skojarzeń. Bez argumentów na tak. Ludzkie zwierzę siedzi skulone na parapecie. Już tylko przeznaczenie określi jego dalszą możliwość trawienia lub chwilową przerwę w odbywaniu wyroku używanych wcieleń. Czarny chwytą mnie za ramię i wciąga do środka. Czyżby uratował mi ósme życie? Wracam do zgiełku. Uśmiechniętych kobiecych ust i osiemnastoletnich biustów. Rozciągniętych pomiędzy równinami pokoi. Byłem tak blisko i

jednocześnie tak daleko. Jutro nie będzie o czym mówić. Nie będzie nawet o czym słuchać.

Wychodzimy Panowie! Odczarował mnie swoim stanowczym falsetem dziwnie wychudły barman. Ogromne, stalowe kolumny zawieszone pod sufitem ostatni raz wiodą moje zmysły w kierunku *Summertime*. Śpiewa moja Janis Joplin. *Summertime, time / Child, the living's easy. / Fish are jumping out / And the cotton, Lord, ...* Janis, kiedy umrę, chcę być w Twoim niebie, błagam. Zbieram notatki. Dopijamy żywca. Za dużo cholesterolu, za mało życia, Panowie. Wychodzimy wprost pod niespiesznie nadjeżdżającą siedlecką osobową noc. Dogasają ostatnie ognie na dzikich polach, na n a s z y c h dzikich polach.



JOANNA RZODKIEWICZ

Opłukiwanie truskawek

Rozpaczliwie szukają ocalenia
jedna wspięła się już
na śliską krawędź
inne krążą chaotycznie
po słodkich policzkach truskawek

W obliczu nagłej katastrofy
jakie modły wznosisz
mała mrówcza istota
zagubiona w kobiałce wszechświata?

Pod ciężarem kropli wody
rozgrywa się dramat istnienia

Zbyt silny strumień
chwila nieuwagi
może kaprys
boskiej ręki
spłucze cię
w kosmiczny niebyt

Prośba

Kiedy wypiję
łyk ostatni
a włosom zabraknie
aksamitu

zamień mnie
w zielone trwanie
w kroplę
MALACHITU

Nauka

Jedyny sposób
aby poznać
tajniki rzemiosła
to zmaganie
z mistrzem

Walczysz z tymi
których kochasz
mocujesz się
ze sobą
na lekcjach
pokory

I rośniesz



JERZY REUTER

FERMENTACJA

Staję osłabiony upałem i mruczę pod nosem zaklęcie: „Sezamie, otwórz się”. Jestem jak Ali Baba. Szklane tafle rozsuwają się bezszelestnie i uderzają ze środka klimatyzowanym, chłodnym powietrzem. Zezowaty menel patrzy z nadzieją prosto w moje oczy, ale poznaje chyba swojego, bo opuszcza smętnie wzrok i odsuwa się robiąc mi miejsce w wejściu. Sezam wieje chłodem i parzy w oczy kolorami opakowań. To wszystko może być moje i częściowo kolegi menela, ale to takie założenie, które nikomu nie szkodzi, a mnie pomaga dochodzić do następnego dnia. Moje rutynowe obchody zaczynają się zawsze od stoiska monopolowego. Sprawdzam napisy na etykietach. Przyglądam się bacznie, czy komuś tam u góry nie zaszkodził upał i nie podniósł ceny na moją ulubioną nalewkę wieloowocową. Różnie bywa, czyż nie?

Zostawiam kolegę menela i jego bratnią duszę przed marketem, niech tam trwa. Wózek zawsze biorę taki duży i opasły, że ledwie pcham tę kupę drutów. Niech wszyscy widzą, jakie mam zamiary. Smirnoff, Gorbaczow, Dębowa... To nie moje klimaty. Wolę swojskość i praśność, tylko „owoc”. Przechodzę z obojętną miną obok wielobarwnych butelek i udaję, że mam to gdzieś, że mnie to wszystko nie dotyczy. Może pomyślą ludzie, ot przyszedł po karmę dla dzieci, rodzinę ma na sumieniu? Albo kobieta – och...! Kobieta! – Czekaj na zakupy. Gapi się w pusty stół i liczy minuty, kiedy nadejdzie z siatami ciężkimi, przy nadziei. Potem ona do niego się uśmiechnie i stworzy artystyczne dzieło – obiad. Nic z tego! Nie ma tak dobrze pod niebem ciężkim, jak moja dola. Pod niebem ołowianym, jak śpiewał pewien miłośnik nalewek owocowych. Dobrze mu tak.

Mój dom jest pusty jak ten wózek. Pcham go z całą chłopską determinacją, a on rozjeżdża się na malutkich kółkach i ucieka na wszystkie możliwe strony, ale co by sobie

ludzie pomyśleli, gdybym z takim malutkim plastykiem pod rękę paradował po krętych uliczkach Sezamu? – Bida! – Tak by mówili! – Niech idzie sobie precz, gdzieś do kiosku małego jak ten koszyk. Niech nas zostawi w spokoju i nie drażni swoją pryszczatą mordą. Kij mu w oko! – może nawet – Chuj mu w dupę! – Jeszcze by, który, popchnął na piramidę puszek z fasolą czerwoną, a potem ochrona i kopa bym zarobił, i do menela, kolegi mojego, na wartę. Mój dom, więc, jest pusty, bez duszy, duszeńki. Bez tego ciepłego, miękkiego i kobiecego, jak rzekł poeta. – Dzień dobry – słyszę gdzieś z boku cienki, żeński głos.

- Dzień dobry – odpowiadam szczęśliwy, że są jeszcze pocziwcy na świecie – Dzień dobry! Jakże dobry! – Dyskretnie chowam do lewej kieszeni kostki rosółowe, drobiowe, bo wołowych nie lubię, zaciemniają kolor zupy. – Bardzo mi miło! – Sos cygański do drugiej. Obiad już prawie mam!
- Dzień dobry pani – inny, kobiecy głos się wplątał i zaburzył moją radość. – Zakupy, zakupy?
- Wszystko już mam, droga pani, już obiad mam prawie, tylko listka bobkowego zabrakło.

Szlag mnie za chwilę trafi, więc odjeżdżam w stronę warzyw. – Kozich bobków sobie kup! – mruczę pod nosem. Po co taka przyłazi i humor wysysa? Kto ją tutaj prosił? Przez chwilę byłem na styku obojętności z wiarą w człowieka, a tu masz! Idę po ziemniaki, po wypełniacz.

Jedna marchewka do woreczka i na wagę. Druga w rękawie. Waga zmyślna, bo cenę drukuje. Przylepiam na woreczku równe piętnaście groszy i ukradkiem marchew z rękawa dokładam. To samo robię z ziemniakami. Winogrona konsumuję na miejscu. Niby dotykam, głaszczę soczyste kule, a co chwilę któraś wpada w więzienie moich ust. Gryzę delikatnie, bo ochroniarz czuwa. Czuj duch! Ja też czuвам. Jemu za

to płacą, a mi nikt nie płaci. Nikt mi za to nic nie daje. Nawet rentę moją, ciężko zdobytą kosztem zdrowia, zabrali. Teraz opieka społeczna – taka ich mać – bladź – czasami coś mi kapnie, za to, że tamci już mi nie płacą. Namiastka sprawiedliwości równa się pięćset złotych miesięcznie, czyli renta socjalna. Bieda-renta, jak bieda-szyb górnika, jak afrykański smutek żyrafy na gołym stepie. Do ziemi za daleko, a górą tylko powietrze.

- Przepraszam pana – wrywa mnie z zadumy filozoficznej miły głos. – Które lepsze? Czerwone czy zielone?
- Czerwone – odpowiadam zaskoczony. – Jeżeli już, to tylko czerwone, miła pani. Ja tylko takie degustuję. Proszę spróbować, ale powoli, bo mundurowy gdzieś tu krąży.
- Ostatnio przyłapał mnie na cukierkach, taki z niego lis. Powiem panu, że nie mam wstępu na cukierniczy, tak mnie załatwił.
- Ja, moja droga pani, na słodycze mam już od

roku zakaz, ale mam inne miejsca, równie pożywne.

Dyskretnie robię klasyczną zasłonę ciałem i przyglądam się mojej rozmówczyni-wspólniczce. Białe spodnie i biała bluzka, a na szyi czerwona apaszka. Coś pięknego! Mała główka przykryta słomkowym kapeluszem, a na plecach, spod kapelusza, wije się blond warkocz. Czuję miękkość w kolanach. – Leon – kładę rękę na jej szczupłym ramieniu. – Jestem Leon.

- Zenobia – nie broni się, nie strąca mojej dłoni i odwraca się frontem do mnie. – Winogron mam już dość, panie Leonie. Miły z pana człowiek.
- Mili ludzie, pani Zenobio, przyciągają się, czyż nie?

Ona uśmiecha się słodko, a ja rozbieram ją mentalnie. Odgaduję wszystkie zagłębienia i wypukłości ukryte pod ubraniem. Jesteśmy oboje w wieku tak zwanym nierozbieralnym, czyli w takim, gdzie rozbieranie przed sobą grozi kosmicznym



 Paweł Żochowski

- smutkiem i atakiem meteorytów, ale, od czego są marzenia? – Miłych ludzi przyciągają winogrona, panie Leonie. To święte owoce, przystające w całej krasie bogom.
- I boginiom, miła pani Zenobio. – Wtrącam zalotnie i patrzę jej tak głęboko w oczy, że kamienie miękną. – Zapraszam na dalszą degustację, w inną część Sezamu.
- To ja odstawię swój wózek. Pojedziemy sobie jednym. Czy mogę wziąć pana pod rękę?
- Ależ, pani Zenobio... – jest w tym zdaniu zaproszenie i radość. „Toś już prawie moja, pani Zenobio”. – Myślę podniecony i szczęśliwy.
- Pchamy wspólnie drucianą klatkę na kółkach, a ja podnoszę głowę i rzucam dumne spojrzenia. Niech widzą opasłe baby i skapciani wodzowie rodzeni. Oni mają portfele, a ja panią Zenobię. Z manifestowaną odrazą mijamy stoisko mięsne.
- Mięś nie jadam. – Wrywa mi się i czuję jak mi łza do oka podpływa. Robi mi się nieprzyjemnie i wstyd. Tak, nie jadam, ale nie dodaję, że mnie nie stać. Jakże mi przykro!
- Tośmy się spotkali! Ja też z jaroszków! – mówi to z entuzjazmem, ale ja widzę, że nie jest jej radośnie. – Czasami jajeczko zjem, ale jedno – dodaje z uśmiechem.
- Jajeczko... Mogę śmiało powiedzieć, że to moja dieta, nawet ulubiona. Zdarza się, że zjadam kilka dziennie – i znowu ta podpływająca łza. Przecież kilka zjadam na miesiąc. Boli mnie okłamywanie takiego piękna. Pani Zenobia uśmiecha się skromnie, a ja już wiem, że ona wszystko rozumie. Zatrzymujemy się przy stoisku z chrupkami, płatkami i tymi wszystkimi patentami śniadaniowymi. Pani Zenobia robi zasłonę, a ja wywiercam palcem dziurę w opakowaniu. Wyjmuję kilka miodowych kulek.
- Proszę się częstować.
- Dobrze, pierwszorzędny pomysł na śniadanko.
- Robię to często, ale musimy uważać. Ochrona nie śpi. Mogą nawet pobić boleśnie, do krwi, pani Zenobio.
- Chamstwo, panie Leonie. Zupełne zdziczenie.
- Raz mnie złapali na serach. Degustowałem nowość pleśniową. Jak oni mnie zbili! Tak walili pięściami po plecach, jakby sprawiedliwości nie było, a we mnie dudniła wielka pustka. – Taką pustkę przeżyłam, gdy mnie złapali z przecierem pomidorowym. Na środku sklepu rewidowali... Tylko łyzy i łyzy... Jakże ja pana rozumiem, biedny panie Leonie.
- Powoli zbliżamy się do wyjścia. Po drodze, jeszcze raz stoisko monopolowe i stróżujący przy wyjściu menel. Pani Zenobia ustawia się w kolejce.
- Coś dla ducha – uśmiecha się do mnie i mruga zalotnie okiem. – Wielowocowego!
- Pani Zenobio – oświadczam uroczyście. – Jeżeli nie pogardzisz skromnym obiadem i degustacją dobrej nalewki, to ja panią zapraszam – słowa usztywniły mnie i poczułem, jak dziwna, gorąca fala zalewa mi twarz. – No, chyba, że ma pani już wyznaczony cel. Może ktoś czeka? Spragniony siedzi w oknie i wygląda za panią? Drżą mu ręce, słowa wymówić nie może? Przecież ja znam objawy nagłego odstawienia naleweczki, po intensywnej konsumpcji.
- Ależ drogi panie Leonie! Nie odmawiam! Przyznam, że moim zamiarem była samotność, wsparta łykiem czegoś szlachetnego, ale... Skoro pan zaprasza, to ja z przyjemnością. Równie dobrze mogę nadużyć w pańskim towarzystwie.
- Pakuję do obszernego worka zakupy. Dwie nalewki, marchewki, kilka ziemniaków. Z dziennego przydziału pozostało równe dwadzieścia groszy, będzie dla menela. Pani Zenobia, tajemnicza i pociągająca, tumaniąca grubym warkoczem, uśmiecha się... Boże! Ona uśmiecha się do mnie!
- Sezam rozsuwa lśniące szyby. W wyjściu stoi mój menel i wyciąga rękę. Nawet nie spojrzał na moją towarzyszkę, gapi się prosto w moje oczy. Bez słowa wkładam mu w dłoń malutką monetę. Masz Cerberze swój okup, na szczęście.
- Czy to jakiś pański kolega? – przystaje moja pani Zenobia i widzę jak rozszerzają się jej oczy. Może jest zaskoczona? Zdegustowa-

na? Przez chwilę zastanawiam się, szukam jakiegoś słowa – wyjaśnienia. Co mam powiedzieć? – Odwal się! – ktoś za naszymi plecami podnosi głos. – To jest mój promotor! Spieprzaj! Odwracamy się, a tam mój menel własnym ciałem zasłania drogę innemu menelowi. On broni dostępu do nas.

– Już wiem – uśmiecha się do mnie, słodka Zenobia. – Pan jest tutaj znany!

*

Praktyczność mojego obiadu polega na tym, że tuczy tylko w połowie, bo w połowie jest kradziony. Przysłowia są prawdą objawioną, czego dowodem jesteśmy my – ja i pani Zenobia. Wyglądamy jak dwa wysuszone jesiony z konarami wysuszonych kończyn. Nie puchniemy od ciągłych „degustacji” w Sezamie, ale sytość nie jest nam obca.

Dzisiaj, kuchnia serwuje ziemniaki polane cygańskim sosem, pod bulion z marchewkową wkładką. Dwa dania jak dwa kartony nalewki wieloowocowej. Dwanaście procent, pani Zenobia i ja.

– Mieszkanie moje, pani Zenobio, jest przykładem skromności i artystycznego rozgardiaszu – staram się tuszować ordynarny bałagan. Mieszkam w jednym pokoju, więc wszystko jest poskładane na jedną kupę. Mój dom jest jak piramida. Pełno tu tajemnych ścieżek i tylko znajomość ruchów konika szachowego pomaga cokolwiek odnaleźć. – Ja się już w tym nie mieszczę – dodaję tragicznym głosem. – Przestrzeń ściska mnie jak imadło.

– To może ja obiorę ziemniaki, a pan troszkę posprząta, panie Leonie. Może powiększy się gabaryt pańskiej przestrzeni?

– Oczywiście, ale niewiele mogę, niewiele. Tutaj każdy przedmiot ma swoje miejsce. To są organa mojej egzystencji, wszystko tu współgra, pani Zenobio.

– Bardzo proszę... – Zrobię, co w mojej mocy. Pani Zenobia wychodzi do kuchni, a ja nogą, jak kijem hokejowym upycham, przesuwam i ugniatam wszystko, co na drodze. Zdzieram pościel z wersalki i wynoszę na balkon, potem składam moją spalnię w

fotel, co zwykle czynię raz w roku, gdy ksiądz przychodzi z kołędą. Książki zostawiam. Te małe piramidy, które tworzą tę wielką, jedną i stanowiącą enigmatyczność mojego mieszkania, są jak wizytówka. Tołstoj na Woroszyłskim. Jesienin, przytulony do Sylwii Plath. Biblia, centralnie na stole. W niej, pomiędzy kartkami, leżą powtykane dziesiątaki, nabierają świętości, a w jednym, specjalnym miejscu – Pieśń nad pieśniami – leży całe sto złotych. Każdy z nas czeka na swoją „czarną godzinę”.

– Sosik już zrobiony, a ziemniaczki przyjemnie bulgoczą! – pani Zenobia siada za stołem. – To może po jednym?

– Oczywiście! To będzie jak aperitif.

Szklanki? Literatki, lampki? Ale skąd? Moja kuchnia jest jednoosobowa i kończy się na fajansowym kubku z jakiejś promocji, jednym kieliszku i kilku plastikowych szklaneczkach.

– Chyba pójde do sąsiada po szkło! – mówię i znowu czuję podpływającą pod powiekę łzę. – Ja tutaj sam jestem, pani Zenobio, jak mustang samotnik, jak biedny artysta. Chyba, że nie pogardzi pani kubeczkami z tworzywa sztucznego, bo tylko takie mam.

– Pan mnie nie docenia – uśmiecha się tajemniczo, a moje serce skacze, jak durne, do gardła. – Ja zawsze mam szklaneczkę przy sobie, że tak powiem, piję ze swego naczynia.

– Absolutnie mnie to nie dziwi. Gdy byłem jeszcze młodym junakiem i bywałem w różnych radosnych miejscach, też swoje szkiełko posiadałem. Nie tylko dla higieny, ale dla zwykłej ludzkiej wygody. To było jak niezbędnik wzorowego żołnierza.. Z tak zwanego gwintu, owszem, wypiję, ale z damą nigdy. Fason nie ten. – I za to, panie Leonie, już pana lubię! Proszę o napelnienie naczyń, a ja zerknę na dzieła sztuki, wiszące na ścianie. – Wyciąga z torebki mały pakunek, odwija chusteczkę i stawia na stole szklanę, malowaną w zielone kwiatki. – Widzę szkołę flamandzką, to przecież Portret rybaka van Gogha. Świetna reprodukcja!

– Dla mniej obytych ze sztuką – wyjaśniam – to portret mojego przodka. Wszystkie

obrazy to reprodukcje, ale malowane olejem. – Jest pan niewątpliwie wrażliwym człowiekiem. Wypijmy pod sztukę.

- Wypijmy... Do dna!
- Tylko do dna! Nalewki inaczej nie piję.
- Nalewka, pani Zenobio, pita małymi łyżkami, ma tendencje powracania do szklanki. Więc do dna!

Po czwartej kolejce, okraszanej przyjemnymi dialogami, ziemniaki „doszły”. Pani Zenobia zajęła się podaniem dania na stół, a ja sztukami. Tutaj napotkałem na mały problem. Mam w domu, ukryty głęboko, zabytkowy komplet, ale tylko dla jednej osoby. Wyjmuję ten mój srebrny skarb, a może tylko posrebrzany i układam na miejscu gościa. Sobie podaję tradycyjny, aluminiowy. Alkohol powoli miesza się z krwią i jak mówią kiperzy spod Sezamu – wchodzi.

- Smacznego pani.
- Smacznego panu.

Jemy powoli i z dystynkcją. Moja Zenobia łokcie przylepiła do boków i operuje tylko nadgarstkami. Staram się naśladować jej ruchy, ale kapituluję po chwili. Odwykłem!

- Proszę się nie kłopotić. Mnie tato tak nauczył – Odgaduje powód mojego zażenowania. – Pomiędzy łokcie a ciało wkładał mi monety. Gdy pieniądze wypadły, kończyło się jedzenie, gdy nie, były moje. Mój tato, panie Leonie, był oficerem. – To nie jest moje nieobycie, to samotność! – Tłumaczę się zawstydzony. – To brak serca przy sercu i wspólnego ciepła. Od tego zimna reumatyzm duszy więzi mnie swoim bólem. Napijmy się! Proszę.

Wypijamy po szklaneczce i ze zgrozą widzę, jak pani Zenobia przygląda się sztukom. Jeszcze tego brakowało!

- Ciekawie grawerowane – stwierdza. – A cóż to?
- Swastyka! – krztuszę się z wrażenia. – Historyczna i zabytkowa cecha. Niemiecka secesja, droga pani. Lata trzydzieste, monachijska manufaktura. – Rozumiem, to przecież bez znaczenia. Pańskie, z jakiej epoki, bo widzę, że też mają



📷 Grażyna Hankiewicz

grawerowanie?

- Moje sztuce to klasyczny socrealizm, miła Zenobio, widelec ma wryty symbol „Orbis”, a nóż „Społem”. To też sztuka. Zaliczam się do ludzi bywałych w świecie i niejedno dzieło zostało mi na pamiątkę. Obiad zjedzony w miłej atmosferze, a wypita nalewka tworzy klimat. Zająłem się w rewanżu za kucharzenie sprzątaniem. Właściwie nie sprzątaniem, a odniesieniem naczyń do kuchni. – Może jakąś muzykę? – pytam radosny i syty. – Mam kasety magnetofon i kilka taśm.
- Bardzo proszę! Może nawet zatańczymy? Rozglądam się na boki i szukam miejsca do tańca. Może jakiś przytulany i w bezruchu, bo miejsca do tanga brak. Wkładam kasety „Enigmy”, to ma klimat odpowiednio romantyczny. Stoimy w miejscu, udając jakiś dziwny taniec. Bujamy się lekko na boki i dociskamy z całych sił do siebie. Moja lewa noga wsparta na piramidzie z Woroszylskim. Jej prawa noga uniesiona do góry, wsparta na Jesiennie. Jestem umiejscowiony pomiędzy nogami pani Zenobii. Co chwilę, by nie stracić równowagi, ujmuję delikatnie jej pośladki i dociskam do siebie. Wszystko we mnie śpiewa! – Panie Leonie! – dyszy mi gorącym swego oddechu do ucha. – Ja coś muszę powiedzieć! Mam pewne dziwactwo!

- Na naszym poziomie, pani Zenobio, dziwactwa nie istnieją.
- Ale ja muszę to powiedzieć!
- Nie lepiej to zrobić? Bez uprzedzenia?
- Jezus! Kiedy ja muszę!
- Zrobię wszystko, dla pani, wszystko!
- Ja muszę... Muszę, inaczej nie potrafię... Panie Leonie!
- Proszę mówić – całuję jej uszy i mocno dociskam do siebie. – Ja wszystko dla pani! Boże!
- Nie będzie się pan śmiać? Proszę dać słowo!
- Słowo!
- Ja... Tak już mam... Nie usnę przy ścianie!

*

Najżałośniejszą częścią dnia człowieka w moim wieku są poranki. Budzę się wtulony w zimną ścianę i nie otwierając oczu przypominam sobie wczorajszy dzień. Obmacuję swoje ciało i z przerażeniem stwierdzam, że jestem nagi. Wyciągam rękę na drugą stronę wersalki i niczego nie znajduję. Tylko puste i zimne miejsce. Zwała! Nie! Słyszę szum wody w łazience. Po chwili otwierają się drzwi i jej miły głos oznajmia, że już dzień, że należy wstać i powitać, może nawet ucałować, na dzień dobry.

- Panie Leonie! – woła. – Pora!
- Nie śpię! – odpowiadam.
- Wchodzi do pokoju, parująca po kąpieli. Czyta jak spowiedź, piękna jak modlitwa. Włosy luźno rozpuszczone sięgają do pasa. Ubrana w moją koszulę, filuternie rozpiętą od dołu, pokazując zgrabne nogi.
- Wstajemy, wstajemy, panie Leonie.
- Poproszę, w takim razie, podać mi moją gacie, wiszą na balkonie.
- Nie jest źle. Zostało nam po szklaneczce nalewki, tak na apetyt, na chęć do życia. Siedzimy przy stole i wpatrujemy się w siebie jak w jakieś magiczne lustro. Pani Zenobia kipiąca kobiecością, ja nieco zmęczony. Obserwuję jak zaplata warkocz i czuję w sobie rosnące pokłady męskości. – Pani jest piękna – mówię cicho i czuję, że znowu ta moja łza podpływa mi pod powiekę.
- Czy można, tylko proszę o szczerłość, czy można zakochać się po pierwszym, a

właściwie po jednym razie?

- Można, kochany panie Leonie, można nawet po wspólnym zjedzeniu jednej kulki winogrona.
- Potem łapiemy się za ręce, potykamy o sterty książek, upadamy, podnosimy się nawzajem, rozrywamy koszule na sobie, aż guziki szybują pod sufit. – Zenobio! Kocham panią!

*

- Moja pani Zenobia kończy zaplatać warkocz, piękny, konopiasty i gruby. Ja skreślam liczby w multilotka. Jeden zakład, który jest częścią mojego planu. Następnie wyciągam ze świętej księgi sto złotych i przepisuję w rogu banknotu liczby.
- Pani Zenobio, dzisiaj świętujemy – oznajmiam. – To będzie wielki dzień. Pani pójdzie z tym banknotem do sklepu i zrobi małe zakupy. Nic na obiad, bo zapraszam panią do baru. Jakiś pasztecik i chleb, może maselko. Ja, kochana, udam się wysłać ten oto zakład i spotkamy się pod sklepem. Tylko nie do Sezamu! Tam pójdziemy potem. Proszę iść do tego małego sklepiku z różową wystawą. Czy ma pani dwa pięćdziesiąt drobnymi?
- Mam, panie Leonie.
- Proszę mi dać. To na zakład.
- Wychodzimy z domu i każde idzie w swoją stronę. Szybko załatwiam multilotka i zjawiam się pod sklepem. Pani Zenobia już po zakupach.
- Proszę teraz iść do domu – wręczam jej klucze. – Za piętnaście minut będę.
- Dobrze, umyję naczynia.
- Ustawiam się w kolejce, czwarty do lady. Ekspedientka młoda i wystraszona. Szefa ma drania i rzeźnika. Mówią na niego Ludojad. Podobno, po pracy rewiduje dziełczyny, wkładając im rękę do majtek. Tym razem nie moja sprawa.
- Co dla pana?
- Cztery parówki, te długie i dwadzieścia deko sera edamskiego.
- Osiem i czterdzieści trzy grosze – pakuje mi to w małą foliową torebkę.
- Kładę z obojętną miną dziesięć złotych w banknocie na ladę. Dziewczyna wydaje resztę i kieruje wzrok na następnego

klienta. Stoję i czekam, nie biorę zakupów z lady. Przyglądam się towarom na półkach.

- Coś jeszcze?
 - Nie, to wszystko, dziękuję... Ale czekam na resztę.
 - Reszta leży przed panem!
 - Przepraszam bardzo! – zaczyna się heca. – Ta reszta nie jest dla mnie! Dałem pani stówę!
 - Jaką stówę? Jaką? – zaczyna się denerwować, co jest oznaką niepewności. – Dyszkę mi pan dałeś! Co pan mi tutaj?
 - Tym razem pani się to nie uda! – triumfującym wzrokiem zataczam wokół. – Kierownika! Wołać kierownika!
- Z zaplecza wytacza się Ludojad. Idzie posapując. Jeszcze nie wie, co się stało, ale gęba mu szczerwieniała i zacisnął pięści.
- Czego! – pochylił się w moją stronę przez ladę. – No, czego, pytam się jaśnie pana!
 - Zaszła mała pomyłka, którą natychmiast możemy wyjaśnić. Zapłaciłem tej pani banknotem stułotowym, a pani, przez pomyłkę wydała mi z dziesięciu.

Wystarczy wydać jak należy i po sprawie.

- Kasia! – docisnął ekspedientkę brzuchem do lady. – Jak było?
 - Dał dychę!
 - Dałem stówę!
 - Dychę dałeś, stary bucu!
 - Proszę bardzo! Mogę to udowodnić! Jestem hazardzistą i namiennie grywam w multi-lotka. Wczoraj w nocy naszło mnie natchnienie na pewne liczby. Żeby ich nie zapomnieć, zapisałem sobie na stówce, którą akurat miałem pod ręką. Proszę bardzo, tutaj jest kupon wysłany na te liczby. Proszę zbadać wszystkie stowy w kasie. Jeżeli będzie jakaś z tymi numerami, to mam rację. Zgoda? Kupon wysłałem przed przyjściem do sklepu. Tam jest godzina.
 - Dupa Jaś! - Ludojad gapi się na mnie i powoli zaskakuje. – Kaśka zamknij sklep. Jak nie znajdę tego banknotu to masz w dziób! – A jak znajdziesz? To co?
 - To te zakupy masz gratis.
- Nie trwało to długo. Moja stowa z daleka



drażniła szeregiem zapisanych cyfr.
Ludojad długo wpatrywał się we mnie.
Uśmiechał się i kłął na przemian. W końcu
oddał banknot i oczywiście, dyszkę z
zakupami.

W domu pachniało mydłem i Zenobią.

Kuchnia świeciła czystością, a na półeczce
stały dwie nowe szklaneczki, malowane w
zielone kwiatki.

– Pani Zenobio – przytuliłem ją do siebie. –

Dzisiaj idziemy na pierogi z jagodami... Do
baru „Przysmak”

– Dobrze, z przyjemnością, ale coś po drodze
musimy załatwić.

– Bardzo chętnie.

– Damy naszemu menelowi całe dziesięć
złotych. Stać nas na to, czyż nie?



Z. MAREK PIECHOCKI

i tą jedną co od lat

(Z cyklu *Epitafia dla Przyjaciół*)

1.

W ferworze tamtych dni
znaczonych Jego chorobą
umieraniem
pożegnaniem
rozmowy tylko
jak to się stało
i rozpacz ta pierwsza
w krwioobiegu
natrętna
i to pytanie
DLACZEGO ?

Dopiero dzisiaj wiem
jak Go brakuje
w dni powszednie znaczone pracą
i w te „od święta”

- pod kościołem spotkania
albo w Moczydło
Nim rozradowanym nie pulsują
i już nigdy nie powie: „Marek my
jednolatki” ...

2.

Jesiennie
coraz bardziej jesiennie

Ja
jeszcze z opalenizną lata
przyjaźniami od wiosny
i tą jedną
co od lat
w te dni przedostatnie przerwana

Nie zdążyli
zesupłać lekarze
nitek rozerwanych
z miłości do nas uwitych
(dotąd nad podziw
rozciągliwych)

I tak to
z krain niebieskich
czuwa teraz nade mną
nad nami
Artur M.

3.

Do tej pory
a przecież to już pięć lat
odkąd Ciebie nie ma
nie mogę zapomnieć słów:
„Marek my jednolatki”
tak więc
miałbyś teraz pięćdziesiąt osiem

Inne teraz czasy Arturze
inne
pracy już dla mnie nie ma
i wikt nader skromny

Pan listonosz
przedemerytalne świadczenie wręczając
co miesiąc to samo powiedzonko powtarza:
„Za mało by żyć, za dużo by umrzeć”

A lato takie piękne tego roku



TOMASZ DRŻAZGOWSKI

O MIŁOŚCI W POCIĄGACH

Świt zastał go przy stole w pokoju. Nie wiedział, co go obudziło - Słońce, które przed chwilą musiało ukazać się między blokami, czy raczej jego własna głowa osuwając się, jak nie raz w pociągu, z dłoni, na której ją oparł. Kiedy ostatni raz patrzył na zegarek, było parę minut po czwartej; teraz wskazywał wpół do szóstej. Miał jeszcze czas. Wyciągnął z paczki papierosa. Ostatni. Zapalił go w kuchni w otwartym oknie, patrząc na białe bloki naprzeciw. W porannym Słońcu wyglądały jak szkielety wielkich ryb, dawno temu wyciągniętych na brzeg morza.

Woda zaczynała gotować się w czajniku. Odruchowo wyciągnął z szafki dwa kubki. Dopiero po chwili się zreflektował i odstawił jeden z nich na półkę. Zdjął z czajnika gwizdek i przez dłuższy czas wpatrywał się w buchającą parę. Potem zdecydowanym ruchem wyłączył gaz i nalał wrzątek do kubka.

Pił powoli, drobnymi łykami. Nawet kiedy podnosił kubek z kawą do ust, trzymając go w obu dłoniach, nie przestawał się w nią wpatrywać. Leżąc w łóżku niepraktycznie ustawionym wezglowiem do ściany i niemal przez to wypełniającym cały pokój. Ich jedyny pokój. W jej rude włosy, których nie przestała farbować, rozrzucone na poduszce. W dłonie o długich palcach. W czerwone na ich końcach paznokcie.

Wychodząc z domu spoglądał na nią raz jeszcze, stając na chwilę w drzwiach pokoju.

*

Zbiegł szybko po cementowych schodach. Po wyjściu z klatki uderzyło go zimne i przenikliwe powietrze przedwiośnia. Na chwilę przystanął i zamknął oczy. A potem otworzył, pozwalając, by obmył je wiatr, by chłód wnikał głęboko pod powieki. Zapiął kurtkę i włożył ręce do kieszeni.

Powoli szedł przez puste osiedle. Nie było

jeszcze krzyków dzieci i rozmów matek na placu zabaw. Nie było jeszcze szumu odpalanych samochodów, które stały teraz zaparkowane wzdłuż chodników. Również na zielonych ławkach bez oparcia nikt nie siedział. Bloki były jak flanki lub raczej ogromne ekrany niepozwalające wnikać na osiedle odgłosem z Puławskiej, Wałbrzyskiej i Doliny. Cisza. Przerywana tylko, a raczej podkreślana miarowym trzaskiem puszek po piwie gnecionych nogą przez menela w śmietniku. Minał najpierw jego, a potem przewrócony i szerniały od ognia kontener na plastikowe butelki i poszedł dalej. Stary asfalt alejki był miękki i szary. Tłumił jego kroki jak dywan. Zostawił za sobą szpalery równo przyciętych drzewek, na których lada dzień miały pojawić się pąki. Przez przejście w bloku wyszedł na Bacha, a po chwili był już na Wałbrzyskiej.

Mijał handlarzy w samochodach o egzotycznych, skierniewickich i radomskich rejestracjach. Jego wzrok przyciągały jedynie przebłyski kropel wilgoci na matowej skórze szarych renet i mekinto-szy. Bez spoglądania przeszedł obok menela na schodach Mokpolu. Zatrzymało go dopiero czerwone światło. Skrzyżowanie, choć przecinane już o tej porze przez jadące od strony Piaseczna samochody, podmiejskie ikarusy i pekaesy, było jednak pustą przestrzenią, w której jego wzrok błądził. Oparcie znalazł dopiero w szarej grani wieżowców na rogu Lotników. Zapaliło się zielone i przeszedł na drugą stronę.

- Czerwone elemy - jego własny, ochrypły głos, brzmiał obco, jakby dobiegał ze studni. Rozwijając powoli folię z pudełka wpatrywał się bezwiednie w płamę na chodniku. Dopiero gdy wkładał papierosa do ust, w ciemnym kształcie rozpoznał zakrzepłą krew. Zapalił i zaciągnął się. Zamglone Słońce było już wyżej, nad blokami. Właściwie powinien cofnąć się na przystanek i złapać tramwaj. Po chwili



📷 Krzysztof anin Kuzko

wahania ruszył jednak w przeciwną stronę. Szedł Puławską w szpalerze jesionów. Światło w ich półmroku było zielonkawe, odbijało się od śliskiej, połyskliwej kory. Szedł pomiędzy nimi jak w wąwozie. Nad głową miał przyklejone na gałęziach ogromne paki, już gotowe do obudzenia się. Jak granaty z opóźnionym zapłonem.

*

To było o tej samej porze roku. Ile lat temu? Nie pamiętał. Nigdy nie mógł sobie przypomnieć, tak jak nigdy nie potrafił przypomnieć sobie jej twarzy, gdy była daleko. Już od dłuższej chwili słychać było dzwonek na przejeździe, czerwone światła ostrzegawcze migały monotonnie. Dawno przejechał pospieszny do Terespoła, podobnie niebiesko-żółty ekspres kijowski jak zawsze ciągnący za sobą smugę smrodu z kibla. Pociągu jednak nie było. Ludzie na peronie robili się już trochę niecierpliwi, ale bez przesady. W końcu to dopiero pięć minut. Krążyli tylko trochę szybciej między krawędzią peronu a płotem całym brązowym od rdzawego nalotu z torów. Wychylić się w lewo, sprawdzić, czy nie widać świateł pociągu, wychylić się w prawo, dla równowagi, w stronę majaczącego na horyzoncie wiaduktu w Rembertowie. Potem oprzeć się o płot, na chwilę popatrzeć na samochody pędzące okuniewską szosą. I z powrotem do krawędzi peronu. Jemu się nie spieszyło. Nie spieszyło mu się wcześniej, gdy z chłopakami z wojskowego osiedla dojeżdżał do

szkoły skierniewickim pociągiem parę minut po siódmej. Nie było różnicy, czy stali na peronie, czy siedzieli na rozkładanych siedzeniach w ostatnim przedziale drugiej jednostki elektrycznej. Razem z pijącymi puszkowe Królewskie facetami dojeżdżającymi do pracy na Grochów i Żerań, z podobnymi do nich samych koleśkami z Mińska, Sulejówka i Halinowa. Razem z grubymi babami, które ściskając kraciaste torby chyba wierzyły, że to naprawdę przedział dla podróżnych z większym bagażem ręcznym. Poza tym, że w pociągu mniej wiało, to nie było różnicy, bo i tak gadali o tym samym. I tak samo oglądali się za siebie, czy w pobliżu nie ma sąsiadki, gdy sięgali po Marsa lighta, którym częstował ten, kto akurat miał pieniądze. Jazda pociągiem była tym samym, co stanie na peronie rano i siedzenie na ławce wieczorem. Więc nie było się dokąd spieszyć. Czas zaczynał się dłużyć dopiero wtedy, gdy rozstawali się w podziemiu Wschodniej, rozchodząc się do autobusów i tramwajów, które miały ich rozwieźć do techników, zawodówek i liceów. Nie spieszyło mu się także teraz, kiedy od trzech lat dojeżdżał na studia. Sam. Stał więc oparty o płot i przyglądał się ulicy po drugiej stronie torów. Dzieciakom idącym do szkoły. Dostawczym samochodom zjeżdżającym z bocznych uliczek w Głowackiego. Kobietom na czerwonych albo niebieskich składakach, którymi jechały pewnie do Delikatesów w Zielonej. Dziesięć minut spóźnienia. Wahadłowe ruchy na peronie nabierały tempa. Nie patrzył na nich. Nie patrzył też jednak na szare przedwiosenne niebo, na którym wisiał jeszcze blady, okragły Księżyc. Palił papierosa. Pociąg jak zwykle pojawił się nagle, jakby znienacka. Z krótkim szumem, który przeszedł w jęk hamulców. Najpierw żółty, ciepły odbłask reflektorów po lewej stronie, zaraz potem pomarańczowoczerwona masa, która kształt zatraciła dawno temu w kurzu i graffiti. Twarze na tej samej wysokości po obu stronach ciemnej linii szyb. Rzucony papieros odbił się od tarczy koła, a potem spadł na tory.

W pociągu stanął jak zwykle na pomoście. Od

kiedy jeździł sam, nie wsiadał już do ostatniego przedziału. Nie było po co. Na pomoście nikt nie stał. Kiedy drzwi zamknęły się ze świstem i pociąg ruszył z nagłym szarpnięciem, zobaczył, że w obu skrzydłach po jego stronie nie było szyb. Został jednak, odsunął się tylko. Ale gdy pociąg przyspieszył, zimny wilgotny wiatr stał się nie do wytrzymania. Szarpnął drzwi przedziału. Jeszcze zanim wszedł, uderzyło go ciepło stłoczonych ludzkich ciał pomieszane z elektrycznym ogrzewaniem. Idąc przez środek nawet nie rzucił okiem w stronę wolnego miejsca pod oknem, między trzema kobietami wyglądającymi na nauczycielki. Poszedł dalej, w stronę przeciwnych drzwi. Ten pomost nie był pusty, za to szyby w drzwiach miał całe. Trzech kolesi grało na stojąco w karty. Pod kibelem rozmawiało dwóch facetów z wytartymi, wyblakłymi reklamówkami w rękach. Po drugiej stronie chłopak czytał gazetę o komputerach. Stał naprzeciw niego. Zaczynał padać deszcz zostawiając na szybie długie ukośne smugi kropel. Za oknem nie było widać nic poza cienkimi nitkami brzoź w zagajniku przy torach, jasnymi i ciemnymi plamami samochodów jadących szosą równoległą do pociągu. Odwrócił wzrok. Przez szybę w drzwiach spojrzał w głąb przedziału. I wtedy ją zobaczył.

*

Do tramwaju wsiadł na Niedźwiedziej, jeden przystanek od jego własnego. Pasowała mu czwórka albo dziewiętnastka. Czekając na tramwaj patrzył na kałużę, która jak zawsze po deszczu zalewała cały chodnik. Zeschłe liście i brązowa, zeszłoroczna trawa pod powierzchnią wody nabierały życia. Ich kontury były niezwykle ostre i wyraźne. Widać było każdą żyłkę na blaszkach liści, które znieruchomiełe przypominały wiecznie młode ciała topielców. Albo złote monety, angielskie gwineę i francuskie luidory w otwartych kufrach w ładowniach zatopionych statków. Kiedy przyjechała rozklekotana czwórka, stanął na końcu drugiego wagonu. Przed oczami

umykała mu szeroka ulica Puławska.

*

Razem z koleżanką i jakimś kolesiem w dresach stała w przejściu tej części przedziału, gdzie ławki są tylko z jednej strony, a z drugiej ściana od kibla. Być może ściągnęła jego wzrok sposobem, w jaki odrzucała głowę, gdy się śmiała, a śmiech ten wydawał się dobiegać wyraźnie poprzez gwar rozmów, poprzez szum pociągu i zamknięte drzwi. Jej gesty były przy tym obszerne, trochę zbyt obszerne. Nie znał jej. Nigdy jej nie widział w tym pociągu ani w żadnym innym. Może niedawno się przeprowadziła? Ale ludzi, z którymi jechała, też nie znał. Więc może była z Mińska. Popatrzył w okno. W górze mignęła niebieska plama wiaduktu linii wołomińskiej. Pociąg był jeszcze rozpędzony, ale już za chwilę, na wysokości wykładanego kocimi łbami kręgu pętli autobusowej i tablicy "Warszawa" zaczął gwałtownie zwalniać. Znów na nią spojrzał. Była wysoka, dużo wyższa od swojej koleżanki. Podkreślały to jeszcze jej włosy. Długie i proste farbowane (chyba) na rudo. Wypuściła je związane z tyłu spod białej czapki adidas z granatowym daszkiem. Jakiego koloru ma oczy, nie mógł dostrzec, ale widział, że są ciemne. Jej usta i w ogóle rysy twarzy były ostre, niemal wulgarne. Ale nie wulgarne, bo łągodziła je biel miękko zarysowanych policzków. Wlokący się przez Rembertów pociąg mijał ceglane, piętrowe domy, kolejne rozjazdy i semafony, opuszczoną nastawnię z wybitymi szybami i wylupionym reflektorem, a on przesunął po niej wzrok. Od włosów koloru rdzy, wzdłuż jej ciała w błękitnej ortalionowej kurtce, do ud w granatowych dżinsach. I z powrotem. W górę. Pociąg przejechał obok pomnika z orłem wzbijającym się do lotu na rogu Cyrulików i Wiczorkiewicza, po czym wolno, jakby ostatnim wysiłkiem, wtoczył się na peron. Drzwi rozsunęły się z sykiem. Do wnętrza wpadło deszczowe powietrze wraz z miarowym odgłosem dzwonka na przejeździe. Takiego samego

jak u nich w Wesolej. Do przedziału, w którym stała, wsiedli ludzie i wówczas z otwartych drzwi dobiegł go rozbawiony głos " ...no i wtedy wyszliśmy z Promenady i poszliśmy kładką...". Nie wiedział jednak, czy należał do niej, bo zasłoniły ją plecy wchodzących. Wyrzwał przez otwarte drzwi. Z drugiej strony peronu odjeżdżał pociąg w przeciwnym kierunku. Kolesie stojący w otwartych drzwiach gdzieś w jego połowie opluli faceta idącego wzdłuż peronu. Potem pokazali mu fuck off. Ich twarze były jak surowe ciasto, wzrok prześlizgiwał się po nich nie znajdując punktu zaczepienia. Syk zamykanych drzwi i szarpnięcie ruszającego pociągu. Asfalt na przejeździe był mokry od deszczu.

Obie ręce miał w kieszeniach. Patrzył na obrazy przesuwające się za zachłapanym oknem. Puste bocznice dziesiątkami równoległych linii sięgały aż po las, w który wrzynały się niczym zatoka morza. Potem gdzieś w górze przesunął się wiadukt Żołnierskiej. I zaraz po nim handel żwirem na hałdzie. Gdzieś daleko przed nimi białymi i czerwonymi pasami majaczył komin Kawęczyna, a pociąg jechał już w tym miejscu równym, jednostajnym tempem. Z lekkim szumem elektrycznych silników. Z cichym stukotem kół, w który wkradały się strzępy rozmów. Człowiek się starał, zapierdalał dzień i noc, na pierwszą, drugą zmianę, po każdej nocce zostawał jeszcze, mył maszynę... I co, jak podziękowali? Taa, Wują rzuca cztery damy i grzeb teraz, he,he. Jakbyś dalej chciał ten telefon, to przyjdź po szkole, dzisiaj najlepiej. Mnie to tylko raz pochwalił, ale nie ten. Ten drugi. Stał nade mną jak pasowałem kolory. Myślał, że będę papier marnował. A tu chuj - jeden arkusz puściłem, popatrzyłem na pasery, poprawka i lecimy. Skurwiel cały czas mi się na ręce gapił. Ale potem powiedział, że ja jeden się tam do czegoś nadaję. A masz go jeszcze? Nie, ale mam inne. Ci kolesie mojego brata, czaizs ich, z Miłosnej, dali, żeby opchnąć. Radia też mam. Nie miał wyjścia, musiał powiedzieć, jak dobrze robieś. Dobra, teraz królem jedziemy. Co, kurwa, musiał? Jego drukarnia, to nic nie musiał, może se robić, co chce. I gadać. Twój brat coś już nie je-

zdzi do Dębego na dyskoteki po tamtym razie. Tak Włodek, ale jak tak można, jak ze mną zrobili? Raz człowieka złapali pijanego i od razu z roboty na mordę wyrzucić? Wiesz, tam teraz jest nowa ochrona, nie ci sami kolesie. Stał z rękami w kieszeniach, a doskonale znane, tyle razy już widziane obrazy odkładały się kolejno na siatkówce oka, potem gdzieś z tyłu głowy. Czarny - wąski i mokry pas ulicy Strażackiej, która zbliżała się ku torom od jakiegoś czasu i teraz biegła już równolegle do pociągu. Potem skrzyżowanie z Chełmżyńską, gdzie stał dom z czerwonej cegły, szarego cementu i mozaiki ułożonej z kolorowej kostki, o którym zawsze myśleli, że to zrujnowany zamek, a potem nazywali Cygańskim Domem. Dopóki nie przyjechali tu któregoś dnia w podstawówce i na gapę. Na zamkniętym przejeździe czekało 145 do Ząbek. Żółć i czerwień blach Ikarusa przegrywały z deszczową pogodą, przybladłe w szarym i ciężkim powietrzu. Zaraz za złomem Strażacka przeszła w błotnistą drogę. Samochody widać tu było rzadko, jeśli już to jadące powoli w dużych odstępach tylko w stronę Pragi. Karawana, która musi przejść przez ruchome piaski, by dotrzeć na względnie stały grunt na Utracie. Ostrożnie omijały dziury pełne wody, kawały cementu, rozprute czarne i niebieskie worki ze śmieciami, gruz, zardzewiałe pralki, lodówki i krzesła bez oparć, opony, wdzierające się na drogę chaszcze. Z dwójga możliwych, na rozjeździe pociąg wybrał tory biegnące dołem. Za oknem po drugiej stronie widać już było kobiece więzienie na Olszynie opasane kolczastymi drutami i kłbowiskiem krzyżujących się szyn. Dalej trzy białe bloki, o których mówiło się, że mieszkają tu tylko gliniarze i menele. Wciśnięte tak samo jak pierdel między nasypy torów i lokomotywnię, z widokiem na ogródki działkowe, na których nikt już nic nie uprawiał, zwłaszcza od czasu, jak znaleźli tu cztery trupy praktycznie bez głów i siekierę obok. W górze powoli sunął ekspres krakowski albo poznański wracający na Olszynkę. Stał z rękami w kieszeniach, jak zwykle. Tylko trzewia miał jakieś inne, zastygłe i

znieruchomiało. Odczuwał je jako obce. Może ścisnęło je to samo, co kazało mu w regularnych odstępach odwracać wzrok od okna w drzwiach i spoglądać na nią, stojącą w głębi przedziału. Za każdym razem trwało to ułamek sekundy. Za każdym razem była w innej pozie. Seria fotografii robionych w błyskach flesza. Wąskie brwi zakreślone łagodnymi łukowatymi liniami. Wisiorek ze sztuczną perłą w półokrągłym wycięciu bluzki. Długi, głęboko żłobiony szew biegnący przez całą długość granatowych dżinsów. Ruch, jakim poprawiała kosmyk włosów opadających na policzek, tak, by zakrywały krótką, ale wyraźną bliznę na wysokości ucha. Już dawno minęli Utratę i rozjazd na wysokości Podskarbińskiej. Pociąg jechał teraz szerokim łukiem, by po chwili wjechać na ostatnią prostą. Coraz intensywniejsze ruchy ludzi wstających z siedzeń, zbierających z półek torby, podnoszących parasolki. Ogromny blok przy Alei Tysiąclecia pojawił się najpierw frontem do nich, potem został z boku. Po chwili już było je widać. Długie perony Wschodniej.

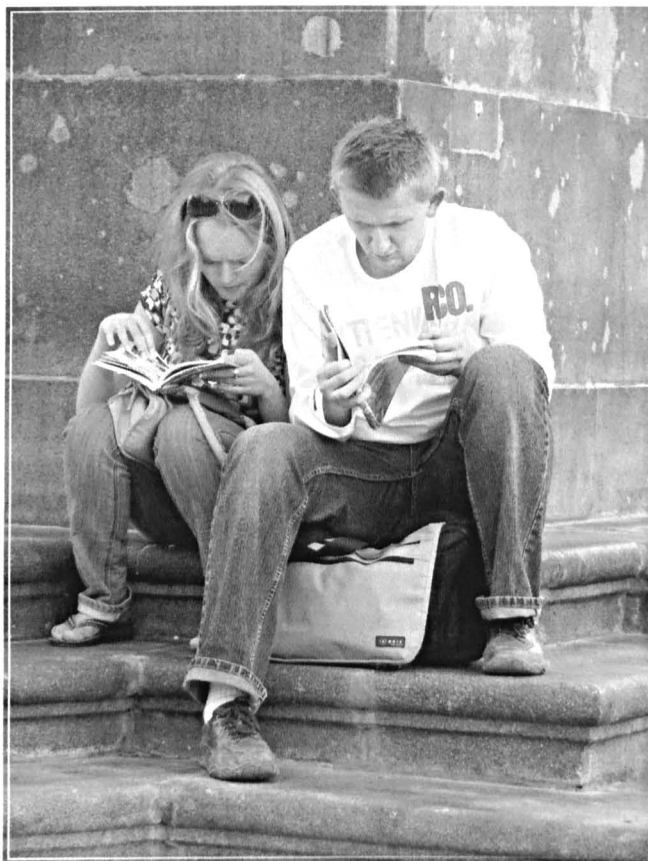
Niewielu ludzi tu wchodziło do pociągu, sporo za to wysiadało. Został sam na pomoście. Stał po drugiej stronie i wyjrzał przez otwarte drzwi. Deszcz już nie padał, ale peron był mokry. Woda zbierała się w zagłębieniach asfaltu, spływała z dachów wiat i budek dyżurnych ruchu. Kobiety z parasolkami rozłożonymi na wszelki wypadek, mężczyźni z saszetkami, reklamówkami i teczkami, dziewczyny przyciskające łokciami torebki do ciała, chłopaki z plecakami na jednym ramieniu, z rękami w kieszeniach dresów i spodni o niskim kroku. Figurki przesuwane się na tle pociągu do Siedlec, który właśnie wjeżdżał na sąsiedni peron. A potem znikali kolejno w zejściu do tunelu. Na odległych peronach po drugiej stronie czekały już gotowe do odjazdu ekspresy zaprężone w brązowe i zielone elektrowozy. Na razie jednak żadnego ruchu. Jedynie popiół strzepywany z okien przez maszynistów. Tylko nieruchomy siedlecki pociąg z czarnymi prostokątami otwar-



 Krzysztof anin Kuzko

tych drzwi i czarnymi kwadratami zamkniętych okien. Ludzie w nim wyglądali, jakby jechali już całą noc i właśnie zbliżali się do celu. Tylko facet na ławce podnoszący do ust butelkę Królewskiego. Tylko śmiech kolejarzy palących papierosy przy zejściu do podziemi. Trwało to wszystko chwilę. Dłuższą lub krótszą. Równo z dźwiękiem sygnału do odjazdu do pociągu wpadł facet ręką przytrzymujący sobie na głowie kraciasty kapelusz. "Przez Ochotę jedzie?" Nie chciało mu się odpowiadać nawet skinieniem. Ale tamten chyba na żadną odpowiedź nie czekał, bo zanim jeszcze wybrzmiały jego słowa, już był w kiblu głośno zatraskując za sobą drzwi.

Teraz już jej nie widział. Zwłaszcza, że zaraz zrobił się tłok przesłaniający wszystko, gdy na Stadionie wsiadły kobiety objuczone wielkimi torbami w kratę, z którymi miały rozjechać się na handel po całej Warszawie. Najpierw jednak wjechali na wiadukt, pod którym błyszczała ulica Targowa - żółtymi światłami samochodów stojących w korku na Pragę, błękitnymi iskrami spod pantografów tramwajów, czerwonymi światłami samochodów stojących w korku na Grochów. Na chwilę jeszcze, bardziej w wyobraźni niż naprawdę, zapachniało Wedlem, na chwilę jeszcze pojawił się teatr i cała ta feeria zgasła. Jechali teraz pośród kamienic bez tynku rozrzuconych na tyłach Zamoyskiego i Sokolej. Spomiędzy krzaków za oknem i ludzi na pomoście mętnie przeblyskiwały kolejne odnogi



📷 Grażyna Hankiewicz

portu. A potem był Stadion. Wietnamczycy ładowali kartony do citroenów i polonezów stojących wprost na peronie. Potem korona tonąca w morzu kolorowej blachy falistej. Pociąg nie jechał wcale szybko, na pewno nie przyspieszał. A jednak takie miał wrażenie. Z szumu rozmów nie dało się już wyodrębnić zdań ani wyrazów. Drzewa i krzaki po obu stronach stały się dwiema ścianami zielonego tunelu. Co chwila widok za oknem znikał rozmazywany brudną smugą pociągu z przeciwnika. Bez słowa podał bilet grubemu, rudemu, a właściwie łysemu kanarowi w skórce, z identyfikatorem Renomy na szyi. Ten oddał mu go również bez słowa. Gwar zdawał się narastać, zielone gęste krzaki przeszły w żółto-brązowe, suche i rzadkie. Z przeciwnika przemknął kolejny pociąg i wyjechali na otwartą przestrzeń. Jakby z czegoś się uwolnili, od czegoś oderwali. Stukot kół na metalowym moście zagłuszył wszystko. Przed nimi było Śródmieście, którego stare i nowe wieżowce sta-

piały się z płaskim, szarym niebem. Na mostach po obu stronach samochody stały nieruchomo, na Poniatowskim przesuwały się połyskujące pantografy tramwajów. Patrzył w dół, na rzekę. Jej woda w kolorze mętnej, jasnej zieleni nie przypominała wody w żadnej innej rzece. Raczej w morzu - pomyślał. Drugi brzeg. Most przeszedł w wiadukt nad nitkami Wisłostrady. Faceci w pasiastych piżamach i kapciach mimo zimna i deszczu palili papierosy na balkonie szpitala na Solcu. Wiadukt coraz bardziej zbliżał się do Poniatowskiego. Jak zwierające się nożyce. Już dało się odczytać numery tramwajów jadących z Grochowa do Śródmieścia i dalej. Już spośród zielonych, choć jeszcze pozbawionych liści drzew widać było wiaty nad peronami Dworca Powiśle. Rozpostarte skrzydła potwornego motyla. Albo żebra ogromnego zwierzęcia. Kątem oka zobaczył ją pośród ludzi od pewnego czasu tłoczących się na pomoście.

Być może dzisiaj chciałby myśleć, że byli sobie przeznaczeni, że kochał ją przynajmniej od tego momentu gdzieś w Rembertowie. Wiedział jednak, że to nie byłyby prawda. Podobnie jak nie mógłby zaprzeczyć, że gdy wchodziła schodami na Aleje, patrzył się głównie na jej tyłek.

Od tej pory spotykał ją w porannych pociągach. Być może widział ją już wcześniej, dopiero teraz jednak zaczął zauważać. Rano stawał na peronie tak, by wsiąść do tej jednostki, w której jechała wtedy - drugiej od czoła pociągu. Czasem to skutkowało, częściej nie. Może nie przywiązywała wagi do miejsca w pociągu, który od Miłosnej i tak był pełny. Może jeździła o różnych porach. On jednak powtarzał swój rytuał stawania na peronie, wsiadania i rozglądania się podczas każdej jazdy do Warszawy. Kiedy ich spojrzenia się krzyżowały, odwracał wzrok. I zapomniał o niej, gdy tylko wychodził z dworca na powierzchnię. Szedł dalej prosto Alejami, a ona skręcała w stronę parku. Przez myśl mu nie przeszło, by spróbować spotkać ją w popołudniowym, powrotnym pociągu. Czasem tylko, kiedy po północy wracał do domu na wpół pijany piwem przez cały wieczór pitym na ławce,

wracała mu przed oczy jej blizna i ruch, którym próbowała ją zasłonić.

Sam więc nie wiedział, dlaczego to zrobił. Być może wrażenia z porannych pociągów skumulowały się wreszcie na tyle, by przekroczyć próg. A może czarę przepelnił tamten dzień? Nagle odwróciła się na schodach, jakby wyczuwając jego spojrzenie, a raczej wszystkie spojrzenia tyłu tygodni. Przez ułamek sekundy, gdy patrzył jej w oczy, zdołał dostrzec, że są brązowe. Potem odwróciła wzrok z wahaniem, w którym było coś z oczekiwania. Pewnego sobotniego popołudnia kilka dni później wskoczył do pociągu w stronę Mińska. Kolejnego, który przejechał obok nich, od kiedy siedzieli na peronie. Nie zastanawiał się, dokąd jedzie. Więc nie skłamał, gdy tylko wzruszył ramionami odpowiadając Grubemu, który krzyknął "Student, kurwa, co robisz?" Jeszcze tylko "Pojebany!" wypowiedziane zrezygnowanym głosem i drzwi się zamknęły.

Nie pojechał daleko, zaledwie do Miłosnej. Na peronie było zimno, chyba jeszcze zimniej niż w Wesolej. Zapalił papierosa. W butelce miał jeszcze trochę piwa. Dopił je i poszedł w stronę przejścia pod torami. Wtedy zobaczył, a raczej wyczuł, że ktoś mu się przygląda. Dwóch kolesi stało opartych o płot. Byli niewyraźni. Pospolite rysy wyglądzane jeszcze alkoholem. Ubrania nosili jak uniformy czy czapki-niewidki - skulone, przycażone sylwetki rozpuszczały się w nich i ginęły nie pozwalając wzrokowi wyodrębnić ich z tła. Niższy trochę się wyróżniał rudymi, krótko przyszytymi włosami i twarzą, w której było jakieś tchórzliwe okrucieństwo. Przyglądali mu się w ciszy zamilkłych rozmów. Peron był pusty. Szedł powoli, cały czas zwalniając kroku. Patrzył na nich. Kolejno. Gdy już prawie stanął w miejscu, opuścili wzrok, podejmując na nowo rozmowę nerwowo i bez sensu. Zszedł do tunelu.

Stał niezdeterminowany, w którą stronę pójść. Nie znał ani Sulejówka, ani doklejonej do niego Miłosnej. Nigdy tu nie jeździł, o nikim takim też nie słyszał. Mimo że to było tylko parę kilometrów i pięć minut pociągiem. Jeździło się do Warszawy, poza

tym do Rembertowa. W drugą stronę do Mińska. Nawet do Okuniewa i na glinianki do Kawęczyna. Ale do Sulejówka? Chyba że po buty. Ale to raczej dziewczyny. Teraz jednak tu przyjechał. Być może coś mu podpowiadał instynkt człowieka z pociągu. Poszedł w lewo, ulicą pośród karłowatych domków. Było pusto. Nawet bar przy stacji miał na drzwiach kartkę "Jestem w sklepie obok". Ulica uskokiem zbliżyła się do torów, by za moment definitywnie się od nich oddalić. Bazar też był pusty. Tylko rozdeptane błoto po niedawnych deszczach. Kilku maruderów wkładających skrzynki do żuka. A przy bramie stało jeszcze kilka zardzewiałych składaków z przyczepionymi koszami. Szedł teraz polną drogą starając się omijać kałuże mętnej brązowej wody. Po lewej ręce miał domy, po prawej ni to las, ni to park. Między drzewami migały koszulki facetów grających w piłkę na stadionie. Zrywające się co jakiś czas okrzyki mieszały się z głuchymi odgłosami kopnięć. Las nie miał poszycia, drzewa wyrastały wprost z gołej ziemi. Szedł powoli, omijając pozostałe po zimie psie gówna. Nie spotkał nikogo ani na tej ulicy, ani na następnej, ani na kolejnych. Co jakiś czas dochodził do szosy okuniewskiej, po której w równym tempie jechały samochody w stronę Węgrowa i Stanisławowa. Odbijał się od niej jak od muru i znów wracał na błotniste ulice, gdzie zza płotów niewykończonych domów dobiegał gwar rozmów toczonych po ukraińsku. Niekiedy spotykał swoje własne ślady. Dochodził aż do torów i zawracał, by za jakiś czas znów napotykać szosę. Po pewnym czasie zniosło go w lepsze okolice, gdzie domy były już zbudowane i otoczone wysokimi murami, a ulice wyłożone miękkim asfaltem albo kostką. Tu nie było słychać ukraińskiej mowy, lecz ujadanie psów. Po chodnikach spacerowały pary dźwigające torby zakupów z Delikatesów. Wciąż jednak był w kleszczach między torami a szosą.

Poszedł w stronę stacji. Naprzeciw niego szybkim krokiem, pojedynczo albo parami szli ludzie z pociągu, który słychać było jakiś czas temu. Nawet mu się specjalnie

nie przyglądali. Im bliżej było stacji, tym bardziej pod butami chrzęściło potłuczone szkło. Doszedł do torów i skręcił. W sklepie kupił piwo - jeszcze ze starą etykietą ze sfinksem, po dwa złote plus butelka. Usiadł na ławce. Za plecami miał pusty pawilon meblowy, przed sobą wyjście z tunelu pod torami. Piwo otworzyło się z cichym sykiem. Pierwsze łyki zmyły suchy smak papierosów. Przywróciły pamięć alkoholu pitego wcześniej, jeszcze z chłopakami na peronie. Kolejne łyki uderzały w ściany pustego żołądka, jak pompa wypychając krew do góry. Do serca i głowy. Wracała mu świadomość. Jak świt ustawiający sprzęty w pokoju z powrotem na swoich miejscach. Nie wiedział, czego szuka, więc niczego nie znalazł. Albo nikogo. Właściwie powinien iść na stację i jechać do domu. Na pewno nawet. Każdy łyk tę pewność pogłębiał. A jednak po ostatnim poszedł do sklepu po następną butelkę. Potem zapalił papierosa i szedł do tunelu, by zanurzyć się w labiryncie ulic po drugiej stronie.

Kilka godzin później szedł w ciemności wzdłuż torów do Halinowa. Zaczynał padać deszcz.

*

Trzask zapalki uderzającej o draskę. Główka rozżarzyła się powoli i po chwili zapaliła się z cichym sykiem. Podniósł ją do twarzy osłaniając palcami, chociaż nie było wiatru. Słońce świeciło zza grubej warstwy szarych chmur. W takim świetle płomień zapalki nie różnił się wiele od przykurzonego asfaltu. Zapalił papierosa. Kolejnego od czasu, gdy wysiadł z tramwaju na Placu Zbawiciela i poszedł Marszałkowską obok Luny. A potem szedł schodami na Trasę Łazienkowską. Zgasił zapalkę i rzucił ją na ziemię. Spalona czarna część rozpadła się na trzy kawałki uderzając o asfalt. Wypuścił kłęb dymu. Samochody po drugiej stronie ulicy stały w korku. Rzeka czerwonych świateł stopu. Te bliżej niego jechały szybko - wynurzały się z tunelu i pędziły w stronę mostu. Między nimi autobusy jak wielkie ociężałe zwierzęta z sapaniem zajeżdżające na przystanek. Plastikowe

neoplany i ikarusy, których grube blachy pokryte były warstwą kurzu pomieszanego ze smarem. To dawało im realność, cielesność, której chwytął się jak brzytwy. Jak dymu z papierosa. Palił powoli, patrząc na kolejne autobusy zatrzymujące się naprzeciwko. 138, 520, 187, 182 i znów 520. 408 ciągle nie było. W ręce miał już prawie sam filtr.

*

Rozpoznał ją z daleka. Tak jak było umówione, stała pośród drzew obok samotnego grobu. Niebo ciągle było pokryte chmurami. Na razie jednak spokój i tylko kołyszące się korony drzew zapowiadały konfrontację i rychłe rozstrzygnięcie. Starcie między wiosennym Słońcem a zimowymi jeszcze deszczami, które od tygodni nasączały ziemię kwaśną wodą. Na razie spokój. W cienkim płaszczu przewiązanym szerokim paskiem była podobna do siostry, chociaż nie nosiła trwałej ondulacji, lecz długie siwe włosy związane w kok. Stała tyłem do niego z opuszczoną głową. Może patrzyła na kwiaty położone na grobie. Może na krzyż w miejscu, gdzie powinna być tabliczka z nazwiskiem. A może miała zamknięte oczy, pozwalając, by pod powieki sączyło się blade światło Słońca. Idąc umyślnie nadeptywał patyki na ścieżce. Żeby jej nie przestraszyć. Mimo to odwróciła głowę dopiero, gdy był już bardzo blisko. Jej jasnoszare tęczówki były niemal nie do odróżnienia od białek oczu. Wpatrywała się w niego bez słowa przez dłuższą chwilę. To on przerwał milczenie:

- Siostra pani powiedziała, że...

- Tak, wiem - przerwała mu gwałtownie. Jej szare oczy nie zmieniły przy tym wyrazu. Otoczone były siatką delikatnych zmarszczek, o jakich się mówi, że mają je tylko ludzie, którzy przez całe życie często się śmiali. Te jednak wyglądały, jakby kiedyś były dużo głębsze, ostrzejsze, jakby coś wyżyłobiło je dawno temu, jeszcze we wczesnej młodości. I tylko kilkadziesiąt kolejnych lat je wygładziło. Sprawilo, że złagodniały.

- Mam to dla pana - Z kieszeni wyjęła niewielki przedmiot. - Proszę, niech pan

weźmie - dodała widząc, że on wciąż patrzy jej w oczy. Wtedy spojrzał w dół. Na wyciągniętej dłoni trzymała okrągłe pudełko. Białe, bez żadnych napisów, tylko ze złotym, choć już prawie startym paskiem wokół pokrywki. Wziął je od niej nieśmiało i przez jakiś czas obracał w dłoni.

- Czy to działa? - spytał w końcu. Przez twarz staruszki przebiegł skurcz, trwający okamgnienie grymas smutku. Odwróciła wzrok. Nie uciekając, lecz próbując jeszcze raz zebrać te myśli, które zdawały się być już na dobre poukładane, a teraz rozlewały się strumieniami. Milczała więc. W oddali odezwał się ptak. Potem zawył pociąg. Pierwszy raz cicho, gdzieś daleko, po chwili drugi raz, bliżej i głośniejsze. Kiedy przejechał z łoskotem, kiedy umilkł ciągnięty przez niego szum, ptaka nie było już słychać.

- Pan mówi o tym grobie - powiedziała cicho wciąż patrząc w bok. Po chwili zaczęła mówić dalej. - To nie jest mój mąż. Znalazłam go dawno temu, zaraz po tym, jak się tu przeprowadziłam ze Szczecina. A może to Jadzia mi go pokazała? Już nie pamiętam. W każdym razie przychodzi tu czasem, kiedy nikogo nie ma. Zresztą poza mną chyba nikt tu nie przychodzi.

Pokiwał głową na znak, że rozumie. Ona jednak mówiła dalej, teraz patrząc mu już prosto w oczy:

- Może nawet ma pan rację, może wyobrażam sobie, że to jest jego grób - zmrużyła oczy, żeby uczynić wyraźniejszymi obrazy, które do niej wracały - bo tamtego nigdy nie odnalazłam. Widzi pan, wtedy, w grudniu siedemdziesiątego roku, grzebali ich po kryjomu. W cudzych grobach, pod fałszywymi nazwiskami. Nawet datę śmierci wpisywali nieprawdźliwą. A on, ten, dla którego dawno temu kupiłam tę maść od radzieckiej turystki, nie był nawet moim mężem.

Odruchowo spojrzał na jej prawą dłoń. Nie miała obrączki, tylko srebrny, wygładzony dotykem pierścioneń z szarym kamieniem. Ukucnęła i zaczęła zbierać z grobu mokre od ciągłych deszczów zeszłoroczne liście. Jej głos był teraz spokojny,



📷 Paweł Zochowski

już wszystko wróciło na swoje miejsca.

- Mielśmy wziąć ślub w marcu. Więc nawet nie wpuścili mnie na tę salę, gdzie rodziny identyfikowały zwłoki.

W ręce wciąż ścisnął pudełko, które od niej dostał. Plastik zrobił się już ciepły i lekko wilgotny od potu. Drugą rękę trzymał w kieszeni kurtki. W palcach obracał wyciągniętego z paczki ostatniego papierosa. Bardzo chciało mu się go zapalić. Staruszka porządkowała grób i jakby zapomniała o jego obecności. Gdzieś za torami bawili się dzieci. Nawoływali się menele, szczekał pies. Chciał odejść, ale nie wiedział jak.

- Ma pan może zapalaki? - wstała otrzępując dłoń z piasku. - Chyba zostawiłam w domu.

Pomógł jej zapalić znicz. Stali przez chwilę patrząc na ogień i dym biegnący czarną linią pionowo w górę. Wtedy zapytała:

- A pańska - zawahała się. - Czy nie ma już żadnej nadziei?

Podniósł wzrok i długo na nią patrzył.

*

Autobus na pętli stał pusty. Oprócz niego i kierowcy nie było w nim nikogo. Co jakiś czas przykładł skroń do szyby. Była zimna. Inaczej niż białe okrągłe pudełko. Ścisnął je w dłoni dokładnie tak, jak wcześniej musiała to robić staruszka. Nie odpowiedział jej nic. Odszedł szybko, jakby coś ukradł. Bo co mógł jej odpowiedzieć? Że nigdy nie było nadziei. Dla niej tak samo, jak dla niego? Że umarła dawno temu? Umarła prawdziwie, bo przecież wtedy,

gdy wrócił z Sulejówka po bezskutecznym jej poszukiwaniu, przestała dla niego istnieć. Jakby wyleczył się z choroby, po której nie zostaje żaden ślad. Żadna blizna. Tylko mgliste wspomnienie majaków w gorączce. I nie przyszła mu na myśl ani razu przez te wszystkie lata, gdy zajął się drobną krzątaniem i miał wiele kobiet. Skończył studia i wyprowadził się do Warszawy. Przestał jeździć pociągami. Umarła. A potem zmartwychwstała. Szedł środkowym peronem na Śródmieściu. Przypadkiem. Cekał na kumpla, który miał przyjechać pociągiem z Błonia. Oglądał książki po złotówce wyłożone na stoliku przy kiosku. Nagle usłyszał głos za plecami:

– Gubisz...

Odruchowo spojrzął pod nogi, czy coś nie wypadło mu z plecaka. Często zapominał go zapiąć.

– Gubisz mnie.

Odwrócił się. To była ona. Zmartwychwstała.

A on wraz z nią. Wynajęli mieszkanie.

Kupili do niego tylko stół. No i to ogromne łóżko wypełniające cały pokój.

Spieszyli się, jakby wiedzieli. Ale nie wiedzieli. Nikt nie wiedział. Dziś w nocy umarła. Po raz drugi.

Kierowca zapalił silnik i zgłosił radio. Za ostatni grosz kupię dziś chociaż cień tamtych dni. Autobus przetoczył się dookoła ronda. Żołnierze na wartowni przy bramie mieli twarze rozmazane deszczem. Za ostatni grosz wino z zielonych lat chcę znów pić. Na kolejnych przystankach wsiadali ludzie coraz bardziej przemoczeni. Krople wody na ich twarzach i włosach przyciągały jego spojrzenie jak magnes. Włożył pudełko do kieszeni i w tym momencie jakby zaczął się oddalać. Todas las promesas de mi amor se iran contigo, me olvidaras, me olvidaras. Junto a la estacion yo llorar igual que un nino, porque te vas, porque te vas. Na Wieczorkiewiczza, która wtedy nazywała się już Chrusciela, jeszcze dochodziły go głosy gnojaków wracających z liceum, ale gdy autobus skręcił w Strażacką, na dobre dopadł go sen. Ten sam, który opuścił go, gdy wszystko się zaczęło, dając w zamian krótkie odrętwienia. A i to z rzadka. W

tym śnie krople deszczu za oknem stapały się w wielką wodę. Jezioro szare i monotonne. Białą piasek. Szyszki spadające z sosen. Autobus wspinał się na wiadukt nad torami otwoczkimi. Przytuleni, zamysleni, zakochani idą brzegiem - ku jesieni.

*

Było już ciemno. Nie wiedział, od jak dawna siedzi u wezgowia łóżka, ale to musiało trwać już dość długo. Kiedy wrócił do domu, było jeszcze jasno. Widać było jej bliznę na policzku pod kosmykiem włosów. Skóra na dłoni, gdy ją brał w swoje ręce, była zaróżowiona i wcale nie zimna. Tylko usta miała jeszcze bledsze niż zwykle. Wiedział, co ma robić. Na nocnej szafce stało białe pudełko. Otwarte. Wypełniała je żółtawa tłusta maść. Obok leżał nóż do krojenia chleba. Pod łóżkiem czekała miednica. Staruszka, którą podsłuchiwał w tramwaju, mówiła wyraźnie. Maść ma stuprocentową gwarancję, w końcu wykradzono ją z mauzoleum Lenina. Ciało się zachowa, trzeba je tylko dokładnie posmarować. No i pilnować, żeby najpierw wypłynęła cała krew. Wiedział, co ma robić. Kiedy jasne stało się już, że nie ma ratunku, zaznaczył w atlasie wszystkie kościoły, do których można dojechać czwórką. Staruszki nie lubią się przesiadać. Potem spisał wszystkie msze. Stał na mrozie i w odwilży po kolejnymi kościołami. Stawiał krzyżyki. Nie złościła się, że całe niedziele nie było go w domu. Chociaż pewnie wolałaby, żeby był przy niej. Chociaż pod koniec bardzo ją bolało. Wiedziała jednak, że nie mogłby utracić jej drugi raz. Że nie przeżyłby. Staruszka pojawiła się wreszcie w kościele na Dolnej. Był gotów klęknąć przed nią albo przyłożyć nóż do gardła. Wystarczyło, że spojrzął jej w oczy. Zgodziła się mu powiedzieć, jak spotkać jej siostrę z Rembertowa. A teraz siedział od kilku godzin u wezgowia łóżka i nie mógł się zdecydować. Zapalił świecę. Od kiedy umarła, nie używał elektrycznego światła. Płomyk oświetlił jej zamknięte powieki. Drgając zatańczył na policzku. W lewą rękę ujął jej dłoń. Przyłożył ostrze do zgięcia między kciukiem a palcem wskazu-

jącym. W momencie, gdy stał dotknęła jej skóry, wiedział już, że tego nie zrobi. Nie tylko dlatego, że nie mógłby jej zranić, nawet teraz. Zwłaszcza teraz. Nie mógł tego zrobić przede wszystkim dlatego, że to nie byłaby prawda. Nie mógłby żyć bez niej. Ale nie mógłby żyć wiedząc, że już nigdy nie zmruży oczu próbując dostrzec coś w oddali. Już nigdy nie ściągnie śmiechem spojrzeń wszystkich ludzi w tramwaju. Już nigdy nie spróbuje tym niezdarnym gestem ukryć blizny na policzku.

To przyszło nie jako olśnienie, iluminacja, lecz jako fala ogromnego cielesnego zmęczenia i ciemności przed oczami. Ale trwało tylko chwilę. Potem wiedział już, co robić. Potem wiedział już wszystko. Nie podniósł noża, który wypadł mu z ręki. Nałożył kurtkę. Wychodząc pocałował ją w usta.

– Zaraz wrócę.

Na szafce zostało otwarte pudełko z maścią i zapalona świeca.

★

Szybko zbiegł po schodach. Musiał dostać się na Grójecką, do Maksymiliana. Dziwnego człowieka, który zawsze wyglądał jak clown, bo zawsze nosił spodnie w kratę i kraciastą koszulę jednocześnie. Rzadko się odzywał, kiedy pakowali razem gazety na Kłobuckiej, a potem wracali pierwszym porannym 192 przez uśpiony Służewiec. Kiedy już mówił, to o jeziorach w swojej okolicy. O tym, ile woda może mieć odcieni szarości. Maksymilian pochodził z jakiegoś małego miasta na północy. Którejś nocy wracał z wujkiem samochodem ze Stanisławowa. Jeździli tam po konserwy czy po coś. Gdzieś o drugiej nad ranem wjechali do Warszawy. Zaraz za tablicą była pętla autobusowa. Mały krąg wyklądany kostką brukową. Była pusta. Tylko na ławce pod dachem siedział człowiek. Pił piwo. Maksymilian rozpoznał w nim kumpla, który zniknął kilka lat wcześniej. Nie zrobił nic. Przejechali przez Warszawę, a potem jeszcze kilka setek kilometrów do domu. Może myślał, że to sen? Przydrożny majak. Jednak kilka dni później pociągiem



Joanna Bukowska

z trzema przesiadkami przyjechał do Warszawy. Odnalazł Rembertów i pętlę. Siedział tam kilka godzin. Następne kilka chodził po ulicach. Nie spotkał go. Pod wieczór pojechał na Centralny. Wysiadł z tramwaju i poszedł do hali. Ale nie kupił biletu. Minął tylko kasy i wyszedł drugim wyjściem. Potem zniknął, w którejś z ulic, Emilii Plater albo Nowogrodzkiej. Nie wrócił już na północ.

Pojechał tramwajem i na Odyńca złapał ostatnie 172. Wysiadł przy Hali Banacha i poszedł pieszo. Maksymilian już spał. Chyba nie sam. Otworzył mu bez okularów, w piżamie. W kratę.

– Wejdz, stary.

– Pożycz mi samochód.

– Przecież ty nie masz prawa jazdy

– Pożycz.

Maksymilian spojrzał mu w oczy i poszedł do kuchni. Po chwili przyniósł kluczyki.

– Stoi na Radomskiej.

★

Położył ją na tylnym siedzeniu i przykrył kocem. Pod głowę dał jej jaską, tego, bez którego nie umiała zasnąć. Z Wałbrzyskiej skręcił w Puławską, potem Łazienkowską do Wisłostrady. Dalej na północ w stronę Gdańska. W Płońsku odbił na Bydgoszcz. Nie wiedział, dokąd jedzie, znał tylko kierunek - północny zachód. Była noc, więc nie mógł nawet kierować się Słońcem. Drogi wybierał instynktownie. Na


 Joanna Bukowska

początku oślepiały go ciężarówki, potem samochodów było już coraz mniej. W końcu pozostał tylko monotonny ruch wycieraczek. Minął Toruń i pojechał znów na Gdańsk aż do Świecia, gdzie skręcił na Chojnice.

*

Świtało już, gdy zatrzymał auto na poboczu wąskiej drogi. Po deszczu nie było ani śladu. W dole, przez drzewa pozbawione liści, przebłyskiwała woda. Wziął ją na ręce i zaczął iść leśną drogą. Nad jezioro. Pod nogami szurały brązowe liście buków, drzewa nad nim miały już pąki. Zszedł na plażę. Zdziwiło go, że woda wcale nie szumi, jest nieruchoma. Szedł przez biały piasek, później przez wodę. Sięgała po kostki, potem po kolana i dalej. Jej długa biała sukienka oblepiała mu nogi.



MARCIN BALICKI

* * *

Pasuje do nas letni wieczór
poza mną tyle samo stopni
co w tobie

dopasowanie dojrzeje poza
zgodną relację marynarek
do ulubionych fioletowych dodatków

dojrzeje w praniu
suszeniu
i gotowaniu

* * *

chwila mocno napięta
zanim
odejdiesz w tło

na drugim planie
zasłoni cię drzewo i scenka rodzajowa,
na pierwszym
czas

Film drogi

Idziemy wzdłuż siebie
po dwóch stronach lustra,
zostawiamy w szparach karteczki
albo puszczaemy samoloty
czasem suflujemy drugiemu
na migi
lustro
bywa weneckie



ROBERT KONCA

PRZYRODA

Trudno, co robić, ale tę opowieść musi rozpocząć idylliczny obrazek przedstawiający psy kopulujące na trawniku w popołudniowym blasku słońca. Właśnie obserwowałem z pewnym roztargnieniem dzielne zwierzaki, pijąc piwo Smadny Mnich w ogródku Baru bez Nazwy w Starym Smokovcu, nieopodal dworca autobusowego, gdy usłyszałem wesoły okrzyk:

– Przyroda!

Podniosłem głowę. Nade mną stał, a raczej majestatycznie się chwiał z ręką wskazującą na psy, jak konferansjer na gwiazdy sceny, wysoki, chudy facet z plecakiem. Z wyraźnym upodobaniem ukazywał w szczerym uśmiechu dziurawy garnitur uzębienia. Powiedzieć, że z jego twarzą życie nie obeszło się łaskawie, to byłby krzywdzący banał. Nieogolone, acz sympatyczne oblicze nosiło, oprócz naturalnych śladów zmagania z wieloma nałogami, także kilka blizn po różnych ostrych narzędziach. Na lewym, żylastym bicepsie widniał okrągły ślad, najpewniej po kuli.

– Mogę się przysiąc, kolego? Jestem Frantisek.

– Jasne – odpowiedziałem. – Robert – uścisnęliśmy sobie dłonie.

Franek spoważniał i obserwował mnie uważnie. Z niedowierzaniem pokiwał głową.

– To niesamowite! Ale jesteś do niego podobny.

– Do kogo?

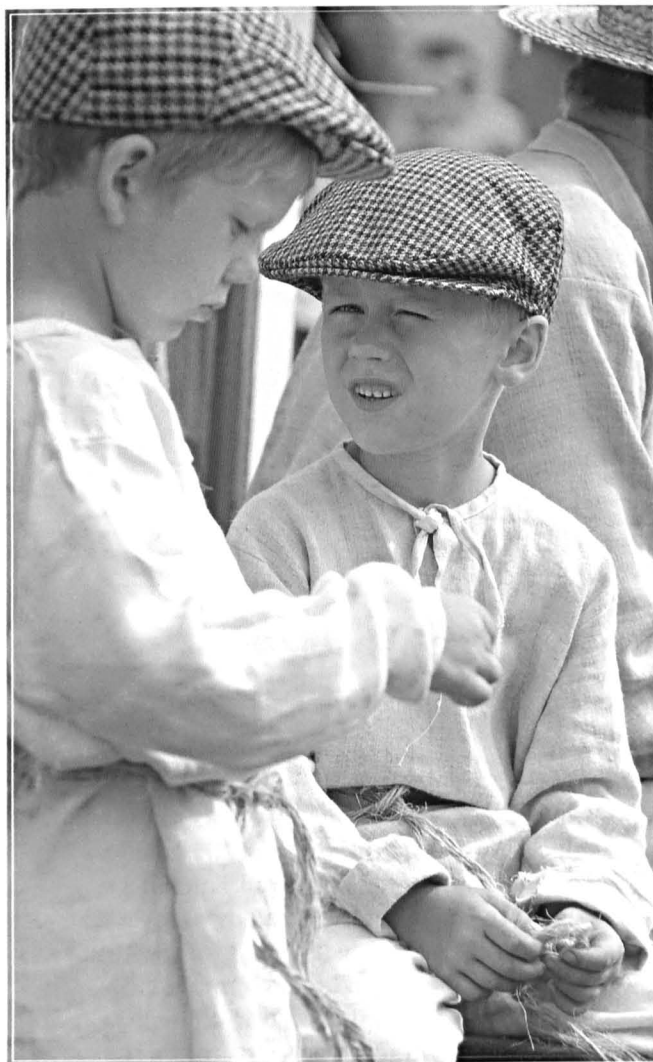
– Do mojego przyjaciela, Robert miał na imię, jak ty. Masz trochę czasu? Musimy się napić – wysupłał z kieszeni jakieś drobne, może z piętnaście koron.

– Daj spokój – powstrzymałem jego gest. – Skoro jestem podobny do twojego kumpla, to ja stawiam, akurat mam wolną stówę – wyciągnąłem czerwony banknot. – On na pewno podzieliłby się z tobą. – Po chwili wahania wziął pieniądze, pochylając głowę, jakby chciał coś ukryć. Może wzruszenie?

Po paru minutach Franek wrócił z baru z dwoma butelkami piwa w lewej dłoni i cztere-

ma kieliszkami borowiczki umieszczonymi zgrabnie między palcami prawej. Szedł pewnie i prosto, jakby nagle całkiem wytrzeźwiał. Z ciekawością zapisywacza zdarzeń obserwowałem, czy się potknie i coś wyleje, ale nie uрониł ani jednej, drogocennej kropli, choć barman nalał po brzegi, a Franek do naszego stolika miał pod górkę. Usiadł naprzeciwko mnie i wyciągnął z kieszeni zmiażdżoną paczkę papierosów. Zapaliliśmy.

– Roberta poznałem jeszcze w szkole podstawowej, tu niedaleko, w Popradzie – pokazał ręką na południe, gdzie doskonale widoczne rozciągało się w dole o kilkanaście kilometrów stąd wspomniane miasto. – Ja byłem wtedy najsłabszy w klasie, on najsilniejszy. Obaj byliśmy zamknięci w sobie, trzymaliśmy się raczej na uboczu, na marginesie szkolnego życia towarzyskiego. O ile jego nikt nie ruszał, bo się go bali, to na mnie się wyżywali. Sam wiesz: dzieci bywają okrutne. Miałem wtedy nie więcej niż dwanaście lat, gdy któregoś dnia po szkole, na boisku otoczyło mnie kilku chłopaków i zaczęli wyzywać od paralityków, bo chudy byłem strasznie, a potem przeszli na rzekome złe prowadzenie się mojej matki. Ponieważ nie reagowałem, bo w takich wypadkach nauczyłem się milczeć i myśleć o czymś przyjemnym, a w tamtym czasie myślałem głównie o dziewczynach ze starszych klas, oni wkurzyli się na całego. W sumie to im się nawet nie dziwiło, no bo wyobraź sobie taką sytuację, że wyzywanie gościa od najgorszych, a on się tylko głupio uśmiecha i patrzy gdzieś w dal maślanym wzrokiem, zamiast podjąć dialog, wejść do gry i odszczekiwać się swoim prześladowcom. Moje zachowanie było po prostu bezczelne. Zaczęły się poszturchiwania, uderzenia, aż wreszcie mnie przewrócili, a ja chyba nadal się uśmiechałem, chociaż wiedziałem, że zaraz zacznie się gnanie. Ale się nie zaczęło. Zorientowałem się, że całe towarzystwo, a było ich czterech, leżało



📷 Tomasz Młynarczyk

wokół mnie klnąc i pojękując. Jeden, ten największy, nawet pochlipywał żałośnie. Usłyszałem: „Wstań” i zobaczyłem wyciągniętą rękę Roberta, która momentalnie wydzwignęła mnie do góry. Jak to zrobiłeś? – zapytałem go, patrząc na z trudem zbierających się z ziemi chłopaków. Robert uśmiechnął się lekko i odpowiedział znanym cytatem z „Wejścia Smoka”: Trenowało się. A i ty też możesz, Franek. No i następnego dnia zaprowadził mnie do Spiskiego Klubu Karate. To był początek lat osiemdziesiątych, była moda na wschodnie sztuki walki. Zacząłem ostro trenować i okazało się, że mam do tego smykałkę, zwłaszcza, że szybko rosłem i w piętnastym roku życia miałem ponad

metr osiemdziesiąt wzrostu i długi zasięg rąk i nóg. W liceum, a razem z Robertem poszliśmy do klasy humanistycznej, już nikt mi nie podskoczył, a we dwóch z Robertem byliśmy praktycznie nie do ruszenia. No, ale napijmy się. Twoje zdrowie... Od liceum większość czasu spędzaliśmy razem. Walczyliśmy z tym samym cieniem, jakby powiedział Robert. Zdarzało się, że adorowaliśmy te same dziewczyny, ale jakoś nie było zazdrości. No, może czasem na sparingach jeden drugiego mocniej uderzył czy zablokował, ale tak po przyjacielsku, bez złej krwi, jeśli wiesz, o czym ja mówię...

- Sparringi z przyjaciółmi nie są mi obce – odparłem i patrzyłem, jak promienie słońca ślizgają się po kryształowym kieliszku, powodując wzajemne oddziaływanie rozszczepionego światła i mojego umysłu. Przez chwilę zdawało mi się, że otwiera się tam brama do czasu przeszłego albo do innego świata, do życia Roberta, i że to wszystko jest mi niepokojąco bliskie.
- Ale preferuję raczej sztukę walki bez walki, Franku.
- On też to mówił! Cholera, nawet gadasz jak on.
- Tak mówił Bruce. Wszyscy to powtarzamy, jak mantrę. To paradoks: ćwiczyć całe życie po to, aby móc w pełni świadomie unikać walki. A kiedy już trzeba się bić, to walka odbywa się na innym poziomie istnienia, poza kimonem materii, w świecie subatomowym; jest tańcem derwisza, medytacją. A tu, w tak zwanej rzeczywistości, możemy jedynie zobaczyć rezultat tej walki: własne, pokiereszowane ciało leżące na ziemi, albo nieruchome ciało przeciwnika u naszych stóp. Tak samo jest z poezją, z każdą ze sztuk; widzimy tylko dzieło, a proces tworzenia jest tajemnicą nawet dla twórcy...
- Robert mógł o tym opowiadać bez przerwy – Franek coraz bardziej kiwał głową ze zdumienia i nerwowo zapalił papierosa. – Robert, ty naprawdę jesteś Robertem! – zawołał, jakby właśnie odkrył nowe prawo fizyki.
- Tak – rzekłem zamysłony. – Robert jest Robertem, a w każdym razie powinien

nim być. Ale przecież wiesz, że to tylko przypadkowa zbieżność imion, wyglądu zewnętrznego i niektórych cech czy upodobań. To jak z płatkami śniegu. Przyroda, po prostu.

– No tak – posmutniał Franek. – Ale płatki śniegu nie używają tych samych zdań. Ale co ty, do diabła, z tym śniegiem w środku lata? To zresztą też macie wspólne: nieoczekiwane skojarzenia. Zdrowie Roberta... Ja walczyłem wiele razy, ale nigdy nie doświadczyłem tego, o czym mówiliście, tych innych poziomów. A ty, miałeś taką walkę?

– Tylko raz, parę lat temu, tu u was zresztą, na Słowacji. Walczyłem z jakimś Lubą, w formule K 1, można powiedzieć. On był kickbokserem, chwalił się, że jednym z lepszych w kraju. Rzeczywiście, był szybki, świetna technika użytkowa, trochę niższy ode mnie, ale ja wtedy miałem przerwę w treningach, piłem, podróżowałem.

– Słyszałem o nim – powiedział Franek. – Dobrze się zapowiadał, ale potem został gangsterem i podobno ktoś go odstrzelił. Ale jak było, wygrałeś?

– Wygrałem. Ale czy to byłem ja? Nie wiem. To był mat w trzech ruchach, w trzech uderzeniach, które najpierw się objawiły z tak fatalnym skutkiem dla Luby, a dopiero później o nich pomyślałem. Skutek nastąpił, zanim pojawił się zamysł; wyprzedził przyczynę. Miałem wrażenie, jakby dla mnie czas się zatrzymał, a nawet wykonał skok w przeszłość. Szybki Luba był dla mnie za wolny; nie potrafił wyprzedzić czasu, rozpaczliwie trzymał się teraźniejszości; jak to się mówi: chciał być na czasie. A ja miałem przeświadczenie, że mógłbym w międzyczasie wypić kufel piwa, napisać sonet, a tam, na naszym prowizorycznym ringu, nie minęłaby nawet sekunda. Z zewnątrz wyglądało to pewnie zwyczajnie: ot, jeden jest o ułamek sekundy szybszy od drugiego szybkiego. Być może właśnie ten jeden raz dotknąłem tajemnicy sztuki walki. A twój kolega też miał pewnie takie doświadczenia?

– Tak, widziałem zresztą jego walkę. Byliśmy wtedy w Jugosławii, chyba w Mostarze albo w innej Banja Luce. Nie pamiętam,

dużo się piło wtedy, teraz zresztą też. Po liceum nie chciało nam się studiować. Komuna się skończyła, a my szukaliśmy wrażeń. Poszliśmy do wojska, do komandosów. Robert szybko został instruktorem sztuk walki w naszej jednostce. Jak wybuchła wojna w Jugosławii, od razu zgłosiliśmy się do sił rozjemczych. Tam była zbieranina z całego świata, wasi z Polski też. Często byliśmy między młotem a kowadłem, między Chorwatami a Serbami; strzelali nie tylko nad naszymi głowami z dwóch stron. Raz na patrolu mnie postrzelili – pokazał bliznę na ramieniu. – Pewnie by mnie załatwili na amen, gdyby Robert nie osłonił mnie własnym ciałem. Kule waliły tuż obok, ale jego nie trafili. Robert zawsze miał szczęście. Raz, po pijaku, spacerował ponoć aleją snajperów w Sarajewie i nikt go nawet nie drasnął. Był jakby niewidzialny, przezroczysty. No, ale miałem mówić o tej walce. Niedaleko z nas stacjonowali Rosjanie i jak się dowiedzieli, że u nas jest taki kozak, czyli Robert, to zaraz postanowili wystawić swojego najlepszego przeciwko naszemu. Któregoś wieczoru przy większej rakiji strony wspólnie ustaliły zasady walki, to znaczy, że nie będzie żadnych zasad. Termin pojedynku wyznaczono na następny dzień, a raczej noc. W świetle wojskowych reflektorów stanęli naprzeciwko siebie Robert i ten Ruski. Robert to nie był ułamek, ponad metr osiemdziesiąt, jak ty, ale ten Rusek miał prawie dwa metry wzrostu i mięśnie jak ten wasz Pudzian. Był mistrzem sambo. Patrzyłem na Roberta, czy nie zwątpił, ale on tylko taksował wzrokiem przeciwnika i kiwał głową z szacunkiem. Odśpiewano hymny i nasz dowódca, kapitan Ivanec, nieco podchmielony, w wielkiej zielonej czapicy z czasów drugiej wojny światowej (pewnie zwędził ją z jakiegoś tutejszego muzeum trafionego przez bombę), dał sygnał do walki, uderzając bagnetem w pustą butelkę. Ruski od razu wyprowadził potężną, szybką obrotówkę, ale za wysoko mierzył, jego stopa o centymetry minęła głowę Roberta, bo ten skłonił się lekko jak aktor przed spektaklem, albo po. Ruski postanowił więc poszukać szczęścia le-



📷 Paweł Żochowski

wym prostym, ale nie zdążył, bo wcześniej potworny low kick w wykroczną nogę, którego Robert nauczył się od jednego znajomego Taja, sprawił, że mistrz sambo zachwiał się jak chochoł na wietrze, a wtedy otrzymał w darze precyzyjne jak matematyka kopnięcie w okolice ucha, w błędnik, padł i było po walce. Podobno długo jeszcze nie mógł odzyskać równowagi, i to nie tylko w sensie dosłownym. Kiedy spytałem Roberta, jak to zrobił, odpowiedział: Nie wiem. Jak ta wasza Szymborska, gdy odbierała Literacką Nagrodę Nobla.

– No widzisz, Franku, sztuka to sztuka. Sztuka walki też zasługuje na swój Parnas. Twoje zdrowie!

Wypiliśmy po kielichu. I wtedy usłyszeliśmy głos, a monsturalny cień kobiety rzucił się na nasz stolik:

– Frantisek! Znowu pijesz! Trzy dni już chodzi pijany – zwróciła się do mnie, jakby biorąc mnie sobie na świadka. – Chodź, łajzo, do

domu. Pomieszkać trochę ze mną, ty włóczykiju!

– Przecież to Robert, Marto, nie widzisz? – powiedział cicho Franek.

– W imię Matki i Syna... – dziwnymi ruchami przeżegnała się Marta, wytrzeszczając na mnie swoje piękne, czarne oczy. – Rzeczywiście... Myślałam, Robert, że... – otarła pot z czoła i spojrzała na południe. – Franek, lepiej wracaj do domu – odwróciła się, żeby mnie nie widzieć. – Mówię ci, wracaj, kupię po drodze wino i parę piw, ale wracaj.

– Idź, kochanie, do domu. Ja niedługo przyjdę. – odrzekł cicho Franek. Marta poszła.

– Żona?

– Nie. Przyjaciółka, fraierka po słowacku. Dobra kobieta, chociaż cyganka. – Franek pociągnął ostatni łyk piwa. – Miałem kiedyś żonę. Rok wytrzymała. Jak byłem w Jugosławii, odeszła do innego. Do sąsiada, znaczy się. Bardzo porządny człowiek

zresztą, kolejarz. Co robić, przyroda. Mnie przecież nie było. A kobita swoje potrzeby ma. Jak się dowiedziałem, miałem żal. Piłem trzy dni w lesie pod Lendakiem i myślałem, co zrobić temu sąsiadowi. Wyświetlałem sobie w głowie obrazy jak na DVD, takie filmy, jak masakruję gościa długo i dokładnie. Ściskając w rękę butelkę wyobrażałem sobie mordercze dźwignie, które zakładałem biednemu kolejarzowi na rękę i nogi. Następnego dnia wróciłem do domu, wytrzeźwiałem i odświeżyłem. Wychodzę na podwórko, żeby zrobić porządek z sąsiadem, a tu przy furtce stoi Robert, jakby na mnie czekał. Pyta z niewinną miną: Dokąd to, Franku? Idę wykończyć tego skurwysyna, co mi żonę zbajerował, jak byliśmy w Jugosławii. A słyszałeś o miłości? – zapytał Robert. Ja ją kocham! – krzyknąłem. Ją, czy siebie – zapytał. – Bo jeżeli ją, to dlaczego nie pozwalasz jej robić tego, co uważa za słuszne. Ona przecież nie musi cię kochać, nie po to przyszła na ten świat. Może ona kocha tego twojego sąsiada i dlatego z nim jest. Tak naprawdę

kochasz siebie, Franku, siebie i relacje, które sobie wyobraziłeś, relacje łączące ciebie i żonę tak długo, jak tobie się będzie podobało... Zrozumiałem, że miał rację. Kupiłem kwiaty, flaszkę i poszedłem do sąsiada. Pogadaliśmy serdecznie, wyjaśniliśmy wszystko. Poczułem ulgę. A po roku ten kolejarz przychodzi do mnie zapłakany, z litrem borowiczki i mówi: Odeszła ode mnie! A ja mu na to: Co robić, bracie, przyroda...

– No dobrze, Franek, ale co z twoim kumplem? Chętnie bym go poznał. Może wpadniemy do niego na kielicha?

Franek popatrzył na mnie w milczeniu. Wreszcie sięgnął do starego, wojskowego plecaka i wyciągnął butelkę wina owocowego marki WTF (Wiosna Teatrów Fantazji, a może What The Fuck?).

– Po Jugosławii - zaczął, zdejmując nakrętkę z butelki niczym zawleczkę granatu przeciwpancerneho - już nie nadawałem się do wojska. Po postrzale miałem niedowład ręki i wojsko przyznało mi rentę. Żona odeszła do tego kolejarza, potem



odeszła od niego, gdzieś wyjechała i straciłem ją z oczu. Zacząłem cenić spokój, już mnie nie ciągnęło w świat. Trochę piłem, na wino zawsze starczy. Siedziałem całymi godzinami w lesie i patrzyłem na zwierzęta, drzewa, góry i czasem odczuwałem chyba coś na kształt szczęścia. A Robert jak zwykle miał farta. Dali mu awans, szkolili najlepsze jednostki wojska i policji w tej swojej sztuce walki bez walki. Rządziej się widywaliśmy, ale jak już przyszedł, to było jak dawniej: piliśmy, on pokazywał mi nowe uderzenia i dźwignie, poparte przetrutkami z wierszy, które czasami pisywał. Po 11 września coraz częściej i na dłużej wyjeżdżał, Irak, Afganistan, Syria, tego typu wycieczki krajoznawcze. Dwa lata temu przysłał mi esemesa: „Wylatuje dziś z Bagdadu ze zmianą naszego kontyngentu. Wracam na dobre. Szukaj boro-wiczkę i owczy ser. I zamelduj kapitanowi Ivanec, że mam dla niego przepiękną czapicę, zdobyczną, od taliba”. Następnego dnia właśnie kończyłem przygotowywać przyjęcie, a nie żałowałem renty, możesz mi wierzyć, gdy przez radio podano wiadomość, że samolot z naszym kontyngentem wracającym z Iraku, z niewyjaśnionych przyczyn runął na ziemię na północy Węgier. Wszyscy zginęli. Do naszego lotniska w Koszycach mieli niecałe czterdzieści kilometrów... – Franek umilkł i pociągnął łyk wina z butelki.

- Napij się – powiedział – jeżeli się mnie nie brzydzisz.
- No co ty – wziąłem butelkę. – Pewnie, że się nie brzydzę. Przyroda...

Obaj uśmiechnęliśmy się, ale przez łzy.

- Tydzień później odwiedził mnie kapitan Ivanec. Byłem, Franku – mówi – na miejscu katastrofy. Tylko to po Robercie zostało – pokazał na wspaniałą, olbrzymią czapicę, która, zupełnie nie naruszona, była na kapitana za duża i spadała mu na oczy. Talib musiał być słusznej postury i miał łeb jak sklep dyskontowy. I jeszcze coś znalazłem – mówi kapitan, wychylając duszkiem szklankę boro. – Wisiorek, on go nosił, weź go na pamiątkę – Franek wyciągnął spod koszulki srebrny wisiorek OM.

– Noszę taki sam – powiedziałem czując, że święty znak OM płonie w okolicach mego serca. Przypomni mi się powracający sen, w którym przez okno spadającego samolotu widzę w dali góry południowej Słowacji, zielone wzgórza wulkanicznego Zemplinu, a potem już tylko cichą ciemność.

Robert, co z tobą? Gdzie znowu znikasz...

*

Gdybym ja to wiedział, Franku... Jak każdy – pojawia się niespodzianie i tak samo znikam, w świecie, gdzie wszystko przemija; ludzie spotykają się, przyjaźnią, kochają i walczą, by nagle doświadczyć nieuchronnego poczucia straty. Jak sam mówisz: przyroda. Ale zdążę jeszcze zobaczyć, jak odchodzisz przygarbiony i smutny, popijając wino, które z trudem przedostaje się przez ściśnięte gardło. I nie usłyszysz wierszy pocieszenia, choć kiedyś pewnie do ciebie przyjdą, przemienione w dobry sen, w tchnienie bezkresnej przestrzeni albo dziwnie intensywne wspomnienie o przyjacielu. I znowu na chwilę twój świat pojaśnieje.

Na stole, w pustych kryształowych kieliszkach, tańczyły promienie słońca. Pod laserowym spojrzeniem demiurga powstawały tam i znikwały całe wszechświaty. Wzajemne relacje między istotami bujnie rozkwitały, by w jednej nanosekundzie zmienić się w proch.

*

Wstań i walcz, mój bohaterze, mój pijany mistrzu! – powiedziała niskim, zmysłowym głosem Cyganka Marta, pochylając się nad nim z obnażonymi piersiami, jak Wielka Bogini nad Młodym Bogiem.

– Przyroda... – wymamrotał Franek i uśmiech rozjaśnił jego pokrytą bliznami twarz.





JAN PIOSKOWIK

Grafomańska Piosnka Ponurej Cyklistki

Powiem w tajemnicy, tylko nic nikomu,
miałam jeździć na koniu, ponurym wierzchowcu
o spojrzeniu jak kwiat ostu, (albo krew)
Ale (i teraz ciii...) Pan Bóg pozwolił mi na rower, z przerzutkami,
zamiast płonącego rydwanu, czy sań z reniferami.

ref.

Kręci się koło, koło,
Z rowerem Śmierci wesoło, wesoło,
Wiatr gra między piszczelami,
do was jadę kochani! Hej!

Kiedys tańczyłam z ludźmi co „Dance Macabre” wołali,
ja hyc! za ręce a oni smęty, litości! litości! litości! (bo skonom)
krzyk, lament, zupełnie chachy nie kumali,
a w kole zrobił się zamęt. (o żesz to! Buraki!)

ref.

Kręci się koło, koło,
Z rowerem Śmierci wesoło, wesoło,
Wiatr gra między piszczelami,
do was jadę kochani! Hej!

Mam jeszcze jedną tajemnicę, (tu też proszę o dyskrecję)
żył (heh) raz chłopaczek z włosami w kolorze lukrecji,
oczy miał czekoladowe, a z budzi pyza.
Gdym go wiozła na bagażniku, -patrz – mówi - tutaj w ryzach,
mama mnie trzymała, a teraz dorosła płacze?
Tajemnica? Zmarły śmierć widzi inaczej. Hej!

ref.

Kręci się koło, koło,
Z rowerem Śmierci wesoło, wesoło,
Wiatr gra między piszczelami,
do was jadę kochani! Hej!

Odkąd Bóg sprawił mi rower (z przerzutkami)
w pracy jest mi łatwiej. Jeżdżę, tu i tam godzinami,
Jeden tylko feler jak woda, co z kranu kapie,
Ta zardzewiała kosa mnie po karku drapie.



OSKAR SZWABOWSKI

BIURO WSPIERANIA PISARZY

M. Z. wstał jak zwykle koło południa. Kiedy już głód nie dawał przedłużyć tymczasowej niebytności w świecie. Obudził się, jak wiele dni wcześniej, bez entuzjazmu. Chwilę stał opierając się o otwarte drzwi lodówki. Kostka sera i dwa jajka. Chleba chyba jest. Jedno jajko na śniadanie, drugie na obiad a ser, z chlebem może, na kolację. Jutro się pomyśli, co nieco zostało grosza jeszcze, może sprzeda książkę. Nie swoją, o nie, nowe wydanie Hegla co kiedyś dostał w prezencie. Hegel powinien załatwić z dwa obiady. Przeżuwać wolno sadzone jajko wpatrywał się w migoczący ekran komputera. Tekst, ten jeden tekst, modlił się, tekst daj mi, Panie, jeden marny tekst, co się sprzedaje, i da nadzieję na możliwość napisania kolejnego. Tekst daj mi, Panie, co lodówkę napęlni. Ten jeden tekst daj mi, kochanie... Delikatnie musnął klawiatury. Nic. Biała strona, migoczący kursor. Codzienność. Popił jajko przegotowaną wodą. Na razie nie jest tak źle, pomyślał wbrew sobie. Przecież to nie jest tak, że nie mam nic do powiedzenia. Przecież to nie jest tak, że nie mam talentu. Pani od polskiego w szkole zawsze mnie chwaliła. Znała się przecież. A że teraz wszystko co napisałem, zapełnia jedynie szufladę

Może mój czas jeszcze nie nadszedł. Może Pukanie do drzwi wyrwało M. Z. z krainy spekulacji. Poprawiając wymiętą podkoszulkę przeszedł przez zagracony pokój. Nie spodziewał się nikogo. Od dawna towarzystwa dotrzymywał my jedynie cień i odbicie w lustrze. Przez wizjer dostrzegł przypominającego komornika mężczyznę w średnim wieku, w garniturku urzędnika średniego stopnia i frajerską fryzurką człowieka nie pogodzonego ze starzeniem. Za szczupłym, niskim przedstawicielem paragrafów i ustaw stało dwóch rośłych facetów, takich co to są wprawni w łamaniu palców, rąk, nóg, za kilka złotych podbijają oko i wyjaśniają co i jak przy pomocy dłoni jak młoty. Doskonale uzupełnienie sił urzędniczych. Za paragrafem idzie interpretacja. W tym przypadku karki nie dzierżyły kijów, a dźwigały na barkach czarny, spory worek, wypełniony czymś co raczej lekkim nie było.

- Panie M. Z. proszę odtworzyć. Wiem, że pan tam jest - urzędnik miał głos typowego formalisty. M. Z. zastanowił się czy zapłacić wszystkie rachunki. Poza telefonią komórkową był czysty. Nie chciał tracić wody, prądu, ani tym bardziej dachu nad głową. Póki posiadał te dobroci cywilizacji, mógł mieć nadzieję. Nie było tak źle, mogło być zawsze gorzej. Może wałnął się w papierach gdzieś, może
- Proszę się nie obawiać, jesteśmy tu by panu pomóc - dobiegło zza drzwi. Jesteśmy z Biura Wspierania Pisarzy.
- Że coo...?!

M. Z. otworzył drzwi. Urzędnik uśmiechnął się zawodowo. Mechanicznie wyciągnięta dłoń. I już pakuje się do środka, a za nim dwóch sapiących drabów dźwigających wielki, czarny worek. – Trochę się spóźnieliśmy. Wszystko przez te korki. Czasami mam wrażenie, że szybciej by się przeszło na piechotę. No ale cóż, stało się. Połóżcie to na razie na ziemi, tak jak jest - zwrócił



📷 Grażyna Hankiewicz

- się do karków. - Nie wiem czy pan słyszał, o nowym planie rządu. Otóż w ramach rachunku sumienia, nowa koalicja, postanowiła zająć się ciężkim losem rodzimych twórców. - Zaproponowałbym coś państwu do picia, ale poza przegotowaną wodą nie mam nic.
- Nie szkodzi. Nie pijemy na służbie. Poza tym musimy wypełnić plan na dziś, jeszcze dwa mieszkania trzeba odwiedzić. A wracając, to władza dostrzegła, że wielu rodzimych twórców nie radzi sobie z wymogami wolnego rynku, są zagubieni niczym dzieci. Zbyt szybko nastąpiło wrzucenie ich, w tym pana, na głębokie i ciepłe wody konkurencji. Nie byliśmy przygotowani, pan nie był przygotowany... Więc widząc w jaką nędzę wielu młodych, a obiecujących twórców wpadło, rząd postanowił ulżyć trochę ich doli. Nagiać zasady i pomóc swoim. W końcu pan też płaci podatki. Z. M. spojrzał na czarny worek w którym mógłby się zmieścić dorosły człowiek. Nerwowo potarł czoło. - To miło ze strony... hm, rządu, że zrozumiał moją trudną sytuację - nie mógł znaleźć słów. Wody konkurencji, głębokie otchłanie wolnego rynku, są może i miłe, dla tych, co pływać potrafią, co posiadają jachty, statki, co nie toną, a nie kłodę drewna. To, wie pan, jest jak z biedą. Szlachetnie wygląda na stronach dzieł, gdy się jej doświadcza... to nic w niej poezji nie ma. Jedynie majaczenia, gdy głód za długo doskwiera.
- Urzędnik poprawił nerwowo marynarkę.
- Nasz rząd jest postępowy. Nie prowadzi za rączkę, ale daje inspirację. Nie możemy państwa trzymać w brodziku, jak dzieci, bo to źle służy rozwojowi osobowości. Ogranicza pana wolność, a nasz rząd, jak pan wie, kocha wolność. Bez wolności nie ma nic. Dobrze, ja będę szedł. Trochę się spóźniliśmy, mieliśmy włamać się jak pan spał. Wszystko przez korki. Wypakujcie i idziemy.
- Osilki rozpięły czarny worek. Z. M. pomyślał, że może wreszcie się naje. Cokolwiek wolałby żywą gotówkę, ale co tam. Nie będzie marudził. Z czarnego worka wysunęło się bezwładne ciało. Jeden z karków spokojnie zwił czarny worek, podczas gdy drugi poprawiał dłoń leżącego na ziemi mężczyzny.
- Co... co to, do... do cholery?
- Trup - mruknął jeden z tragarzy.
- Jak to trup?! Po co mi trup?! Mam go zjeść?
- Nie robiłbym tego - odezwał się urzędnik. - Nie jesteście pewni świeżości denata. Wprawdzie nie śmierdzi, ale ja nie wiem, jaki jest termin spożycia martwego ciała ludzkiego. - Ale... ale... - Bez trupa ani rusz. Trup jest dobrym początkiem każdej opowieści. Opowieść, gdzie występuje trup, może się sprzedać.
- Żartujecie?
- Przy trupie? Nigdy - odparł jeden z osilków.
- Nie czas na żarty, gdy człek martwy - dodał drugi. - Jesteśmy dodatkiem, bonusem, w przypadku spóźnienia czy innej awarii. Proszę zapamiętać nasze powiedzonka, gdyż według badań mają sporą szansę stać się zwrotami obiegowymi, jak na przykład: Jeszcze tu wrócę. To z Terminatora.
- Bonusem?
- Dwóch osilków ubrało czarne meloniki i wymachując laseczką zaczęło recytować:
- Nie masz pomysłu, akcji nie czaisz? Nie martw się ziomek, my ci akcję damy.
- Brak ci polotu, chwytliwych tekstów?
- Wysłuchaj się w głos nasz, w nasze zwroty.
- Już z czytelnikami nie będziesz się stresował. Z. M. przetarł nerwowo twarz dłonią.
- Chyba, chyba... coś nieświeżego zjadłem. Przepraszam, ale zabierajcie to... tego denata, trupa i... i zostawcie mnie w spokoju. - Heh, co wy słowolepcy wiecie o trupach.
- Nie czaisz ziomek zasad. Wasza pisanina marna, bo ani akcji, ani seksu, ani trupa. To ci trupa dajemy. Bieź go i całuj nas w dłoń, a nie marudź.
- Tak, marudny naród...
- Zdjęli meloniki i schowali laseczki. Na ich obliczach malowało się zniesmaczenie.
- Proszę się nie stresować. Wiem, trochę zawaliliśmy sprawę - urzędnik objął M. Z. - Miał pan zobaczyć trupa zaraz po przebudzeniu. Wywołałoby to u pana impuls twórczy, a że trup ten impuls wyzwoliłby, to dzieło byłoby spod jego znaku. Znaczy możliwe, że by się sprzedało. Na tym pole-

ga rządowy program. Jesteśmy inspiracją ukierunkowaną rynkowo. Z. M. opadł na łóżko. Tępo wpatrywał się w denata. – Wiem, to szok. Za chwilę pan wszystko zrozumie. Życzymy powodzenia i mam nadzieję, że pan nas nie zawiedzie. Nie wie pan, ile kosztuje taka impreza. – To też mam zapamiętać?

Nikt jednak nie odpowiedział. Został sam. Nie licząc trupa. No tak, pomyślał, nauka pływania. Popłyniemy na denacie, przez morza i oceany, do ziemi obiecanej. Szkoda, że nie zapakowali cię do lodówki - mruknął wstając.



TADEUSZ JIRA-ŚLIWA

Relatywizm

- Czas
rozrywa

Nasze
krwinki

(Tak zwany
czas

Takie sobie
podarki)

Na obłoku

Życie
po życiu

plus konto
minus

wszystko
wypłynie

Bezokoliczniki

Nie zabierać
głosu -

Notować
na boku

Nie dać się

wciągnąć

Nic nie ginie

Twoje szkoły
życia konto

- Na błękitnej
stronie

Internetu
Boga

Wolność

Rozluźnij kołnierzyk wiersza
nie bój się długich wersów
- życie składa się z treści
(nawet forma ma serce)

Akcja i reakcja

- Niech żyje
wolność!
- Wolno...
wolniej
- Dlaczego?
- Wietrzymy
pokój

REPORTAŻ





JOANNA POCIASK-KARTECZKA

POD SKRZYDŁAMI BIAŁEGO ANIOŁA*

Jest jeszcze dość wcześnie: na trawie i świerkach sporo wilgoci, kolor nieba pospiesza, aby podjąć jakieś decyzje: podróż z Banff do Jasper uświadamia ogrom obszaru, z którego trzeba coś wybrać, by zaspokoić głód poznania. Przychodzi czas w życiu człowieka, że jest wiadomo, co kocha najbardziej i gdzie czuje się najlepiej. Mimo to trudna do zdefiniowania siła kieruje kroki na coraz to nowe ścieżki. Czy na pewno głód poznania popycha człowieka w coraz to inne rejony Ziemi? Być może to archaiczny zew migrowania z miejsca na miejsca, zew poszukiwania czegoś, co trudno sprecyzować i czego się nawet nie uświadamia? A może to zwyczajna próżność...

Wiele opisów miejsc wartych zobaczenia w Parku Narodowym Jasper, którego powierzchnia jest zbliżona do 1/3 powierzchni Polski, zawiera określenia zaczynające się od „naj”: najciekawsza, najpiękniejsza, najgłębsza, najszersza... Intuicja podpowiada jednak, by wybrać się w miejsce bardzo nieodległe od Jasper, miejsce, którego nazwa sugeruje spotkanie nie tylko z krajobrazem, ale także spotkanie z człowiekiem. Prowadzi tam dość stara, kilkunastokilometrowa o lichej nawierzchni droga biegnąca w górę doliny rzeki Astoria. Droga kończy się niewielkim parkingiem położonym na wysokości ok. 1765 m n.p.m. u stóp Mt. Edith Cavell (3363 m n.p.m.). Samochód ułatwia szybkie dotarcie i znalezienie się w strefie granicznej między dolnym i górnym piętrzem subalpejskim (lower subalpine zone, upper subalpine zone). Piętro subalpejskie dolne to bardzo gęsty las, w skład którego wchodzi przede wszystkim świerk, sosna, jodła i osika, natomiast w piętrze subalpejskim górnym las jest dużo rzadszy i zdominowany przez świerk i jodłę. Sporo tu kęp karłowatych zarośli.

Mt. Edith Cavell to góra, która wznosi się nad Jasper od strony południowej. Już w XIX wieku stanowiła dla handlarzy futer i innych podróżujących w górę doliny Athabasca River znak, iż zbliżają się szczyty i przełęcze, za którymi rzeki płyną w kierunku Pacyfiku. Nazywano ją wówczas *La Montagne de la Grande Traverse* (co odpowiada pojęciu „góry wielkiego przejścia”). Kiedy w 1872 r. zobaczył ją pierwszy Europejczyk George Grant, określił ją, jako „wielką górę, tak białą od śniegu, że wygląda jak prześcieradło zwisające z niebios” (*a great mountain, so white with snow that it looked like a sheet suspended from the heavens*). Indianie zamieszkujący te tereny nazywali ją White Ghost (*white* – j. ang. biały; *ghost* – duch). Śnieżną bielą wyróżnia się spośród okolicznych szczytów także w czasach współczesnych. Mt. Edith Cavell jest niższa zaledwie o niecałe sześćset metrów od najwyższej góry Kanady, jaką jest Mt. Robson (3953 m n.p.m.). Obie zbudowane są z kwarcytów – najbardziej odpornych skał w Górach Skalistych. Warstwy kwarcytów budujących Mt. Edith Cavell mają upad południowo-zachodni, co wiąże się z deformacjami wywołanymi siłą nacisku płyt Pacyficznej na Północnoamerykańską. Przeciwnie strona doliny zbudowana jest z piaskowców, łupków i mułowców, które szybko wietrzeją i podlegają erozji, toteż tempo denudacji tej części doliny jest znaczne i partie szczytowe ramion doliny są dużo niższe. Obecną nazwę nadano górze dopiero w 1916 r. na cześć Edith Louise Cavell – brytyjskiej pielęgniarki, która podczas I wojny światowej pomagała żołnierzom armii zarówno alianckiej jak i niemieckiej. Staranne wykształcenie zdobyła w Londynie, skąd wyemigrowała do Belgii, gdzie rozpoczęła pracę w szpitalu, który podczas I wojny światowej funkcjonował pod

* Tekst, ukazał się w letnim numerze kwartalnika „Tatry” wydawanego przez Tatrzański Park Narodowy.



patronatem Czerwonego Krzyża. Nadzwyczajna odwaga Edith wyrażała się głównie w akcjach pomocy przy ucieczkach żołnierzy alianckich z okupowanej Belgii. W 1915 r. została aresztowana i skazana na śmierć poprzez rozstrzelanie przez pluton egzekucyjny. Przez dwa ostatnie tygodnie trzymano ją w odosobnieniu. Egzekucja odbyła się 12 X. Edith podchodząc do ściany śmierci, potknęła się i upadła. Mimo, iż pluton był przygotowany, niemiecki oficer, który towarzyszył egzekucji, zastrzelił Edith nim ta podniosła się z upadku. Zastanawiające, iż ówczesni dyplomaci – zarówno amerykańscy jak i brytyjscy – nic nie zrobili w sprawie Edith, która przecież ratowała życie każdemu żołnierzowi – bez względu na narodowość i wyznanie. Sama była żarliwą chrześcijanką: w ostatnią noc przed śmiercią, po przyjęciu Komunii Świętej wyznała kapłanowi, iż „patriotyzm nie wystarczy, nie powinno się nienawidzić ani żywić do nikogo urazy”

(patriotism is not enough, I must have no hatred or bitterness towards anyone). Słowa te są wyryte na jej pomniku stojącym na Placu św. Marcina w pobliżu Trafalgar Square w Londynie. Edith Cavell przeszła szybko do historii jako bohaterka i męczennica; dla Brytyjczyków stała się symbolem bezgranicznego oddania swojej ojczyźnie, zaś międzynarodowa opinia przyjęła skazanie Edith jako przejaw barbarzyństwa i moralnej deprawacji Niemców.

Pierwszymi Europejczykami, którzy wspięli się na szczyt Mt. Edith Cavell byli A. J. Gilmour i Edward Holway i nastąpiło to 5 sierpnia 1915 r. W tym samym czasie, Edith – po drugiej stronie kuli ziemskiej – od dwóch dni przebywała w więzieniu. Na pierwsze zimowe wejście góra czekała aż 9 lat, kiedy to w lutym 1924 r. dotarli tam Ernie Neiderer – szwajcarski przewodnik oraz Morris Taylor. W tym samym roku w sierpniu, przewodnik Conrad Kain – przewodnik oraz Joseph Hickson osiągnęli

na szczyt granią wschodnią. Ale wejścia na szczyt północną ścianą (*North Face*) dokonał dopiero w 1961 r. Fred Becker. Choć wejście na szczyt wschodnią lub zachodnią granią nie jest zaliczane do trudnych, zdarzają się tam jednak wypadki. Jeden z nich miał miejsce 28 czerwca 1998 r. i spowodowany był zbyt pochopną decyzją skrócenia sobie drogi w dół stromym żlebem. Podczas powrotu ze szczytu, alpinści skierowali się do żlebu, nie przypuszczając, iż wierzchnia warstwa śniegu wypełniającego żleb jest mobilna. Pierwszego z nich lawina zniosła ponad 300 metrów niżej. Drugiemu udało się uratować, lecz gdy dotarł na dół, odnalazł ciało martwego już kolegi.

Są ludzie, którzy pragną śmierci w górach. Góra łatwa, może stać się ostatnią górą życia, a ta trudna, może dać początek innym górcom. Zdobywanie szczytów to

nie tylko sprawność, trening, kondycja, sprzęt, warunki meteo... Nawet, jeśli to wszystko jest doskonałe, można łatwo przegrać, jeśli brakuje pokory. Wydawałoby się, iż zestawienie jednej z najwyższych gór kanadyjskich z tragiczną historią nieprzeciętnej osoby, jaką była Edith Cavell wystarczy, by uczynić z tego miejsca obiekt godny poznania i obejrzenia. Jest jednak jeszcze coś, co uzupełnia ten obraz i czyni to miejsce wyjątkowym, wręcz mistycznym. Wystarczy przejść dnem doliny około jeden kilometr i spojrzeć w górę a zobaczy się zarys tułowia postaci z rozpostartymi, białymi skrzydłami: to Angel Glacier (*angel* – j. ang. anioł; *glacier* – lodowiec), zawieszony lodowiec cyrkowy, który stracił już kontakt z dnem doliny i jego jęzor w formie lodo spadu zwisa na ryglu skalnym. Lepiej się tam nie zbliżać, bowiem w każdej chwili



od lodospadu może oderwać się potężny serak. Spód jezora lodowcowego wypływa potok i ześlizguje się po kwarcytowej ścianie, tworząc połyskujący srebrem wodospad. Skrzydła „aniola” są asymetryczne: to przylutone do ściany południowej jest dłuższe i sięga wyżej, bowiem jest ono osłonięte od promieni słonecznych. Natomiast to przylegające do ściany północnej jest eksponowane na promieniowanie słoneczne, zatem i ablację, stąd jest ono krótsze i niższe. Rozpiętość białych „skrzydeł” wynosi ok. 600 m. Cisza w dolinie i szum wodospadu tworzą duet, który przywołuje myśli o przeszłości: dlaczego, po co, czy warto było... Edith знаła odpowiedzi i nie miała wątpliwości co czynić, jak postąpić. Jak to jest, że w małych sprawach tak łatwo stracić z oczu granice dobra i zła albo je przesuwać w zależności od otoczenia, humoru czy nawet biometu?

Ścieżka w obrębie moreny dennej wiedzie ku Cavell Pond (pond – j. ang. staw), w którym gromadzą się wody ablacyjne z lodowca. Docierają tutaj niewidoczną drogą, bowiem wodospad wnika do szczeliny między ścianą skalną i firnem i sobie tylko znanym szlakiem – dociera do stawu. Tafla wody ma barwę zielono-turkusowo-mleczną (jak większość wód lodowcowych) i jest częściowo pokryta rozległym płatem firnu i lodu, z wyraźnie zaznaczającymi się ciemnymi smugami oddzielającymi warstwy śniegu zdeponowane podczas kolejnych sezonów zimowych. Te granice są jak kolejne kreski w zegarze; oddzielają od siebie historie rok po roku, być może te najgłębsze warstwy pamiętają czasy, kiedy Edith ratowała rannych żołnierzy. To lodowo-firnowe ciało to resztki lodowca Cavell Glacier. Staw jest cichy, majestatyczny, nieruchomy. Nieruchome są też icebergi, w których tkwi ciało góry wyrwane przez siłę erozyjną lodowca. Te kawałki lodu niosą też rumosz skalny, który odpadł z prawie tysięczmetrowej ściany Mt. Edith Cavell i stoków Sorrow Peak (*sorrow* – j. ang. smutek, żal; *peak* – szczyt) – północnego ramienia masywu. Być może najdrobniejszy materiał, który

jest na tyle lekki, że może być uniesiony przez niewielki potok wypływający z jeziora – ma szansę dotrzeć do Zat. Hudsona i osiąść w dnie Morza Arktycznego. Takie jest życie rzek i obszarów, które one odwadniają: nawet wielkie odległości można pokonać, gdy uzna się czas za sprzymierzeńca. Niecierpliwość zniewala i paraliżuje.

Lekkiemu wietrzykowi nie udało się zmarszczyć powierzchni stawu. Spokój pochłania ciało i myśli; rodzi się pragnienie powrotu w miejsce, które już zadomowiło się w sercu człowieka na stałe. Coraz konkretniejszego znaczenia nabierają słowa Marcela Prousta: „prawdziwe odkrywanie nie polega na poszukiwaniu nowych krajobrazów, lecz umiejętności patrzenia nowymi oczami” (*the real voyage of discovery consists of not in seeking new landscapes but in having new eyes*).

Trudno ruszyć się z miejsca i iść dalej, przed nami reszta doliny, niegdyś – podczas Małej Epoki Lodowej – wypełniona lodowcem dolinnym Cavell Glacier, którego siła erozyjna była ogromna. Świadczy o tym bardzo gruby i wyniosły wał moreny bocznej, który przylega do zbocza o ekspozycji południowej. Angel Glacier łączył się z głównym strumieniem lodu i razem z Cavell Glacier poruszały się w kierunku doliny rzeki Astoria. W tej dolinie lodowiec także gościł, ale było to kilkanaście tysięcy lat temu, podczas tzw. zlodowacenia Wisconsin, odpowiadającemu zlodowaceniowi bałtyckiemu. Ocieplenie klimatu podczas ostatnich 150 lat spowodowało, iż Cavell Glacier zaczął się wycofywać aż do prawie zupełnego zaniku, zaś Angel Glacier gwałtownie kurczył. Jeszcze w 1922 r. lodospad Angel Glacier dosigał dna doliny i łączył się z Cavell Glacier. Powstało spore przegłębienie, które w 1963 r. wypełniło się wodą i dało początek Cavell Pond. Obecnie grubość Angel Glacier wynosi zaledwie ok. 50 m. Tempo ablacji lodowców jest oszałamiające nie tylko tutaj, ale w całych Górach Skalistych. Na przykład Athabasca Glacier wypływający z Columbia Icefield – największego pola lodowego w Górach

Skalistych liczącego prawie około 250 km² powierzchni, w czasie ostatnich 125 lat zmniejszył o połowę swoją objętość, zaś jezior cofnął się o 1,5 km.

Angel Glacier zawdzięcza swoje istnienie przede wszystkim położeniu: cyrk lodowcowy leży na wysokości ok. 2,3 tys. m n.p.m., jest eksponowany na północny-wschód i osłonięty od południa, zachodu i północy wysokimi ścianami skalnymi. Śnieg gromadzi się nie tylko bezpośrednio z opadów, ale także z lawin i nawiewania. Choć góry inne, szerokość i długość geograficzna inne, myśli biegają ku górom najbliższemu sercu: tak mógł kiedyś wyglądać lodowiec wypełniający cyrk Czarne Stawu pod Rysami. Zawieszony w stosunku do doliny głównej, podobnie eksponowany – i być może z podobnymi białymi, anielskimi „skrzydłami”. To zaledwie 12-13 tys. lat temu jezior tego lodowca mógł także wisieć na granitowym ryglu skalnym ponad uwalniającą się od lodu obecną doliną Rybiego Potoku. Jest prawdopodobne, iż „skrzydła” tego anioła były także asymetryczne, bowiem część lodowca, która przylegała do ścian doliny od strony Mięguszwieckiego Kotła była zacieniona i śnieg z opadów, nawiewania i lawin mógł tam zalegać dłużej niż po stronie północno-wschodniej, która była eksponowana na promieniowanie słoneczne. Lodowiec w cyrku pod Rysami posiadał potężną moc erozyjną, skoro przegłębienie doliny osiągnęło prawie 80 m. Białą kolos musiał długo pozostawać w kotle, nim lód z najgłębszych partii cyrku wytopił się zupełnie. Skrzydlata, biała postać żyje tu teraz tylko w wyobraźni człowieka.

Myśli wracają do „tu” i „teraz”. To potrzebne, by chłonąć atomy krajobrazu, usłyszeć odgłosy skał, wody i wszystkiego, co wokół istnieje. Uwagę wzroku przykuwa szczególnie na północnej ścianie góry: do skał na wysokości około 2,7 tys. m n.p.m. przylega dość miękki płat lodu. Widoczna szczelina brzeżna potęguje wrażenie utrzymywania się tej masy lodu wbrew prawu grawitacji, co zadziwia wielu glaciologów. Temu przedziwnemu lodowcowi nadano nazwę Ghost Glacier (*ghost* – j. ang. duch),

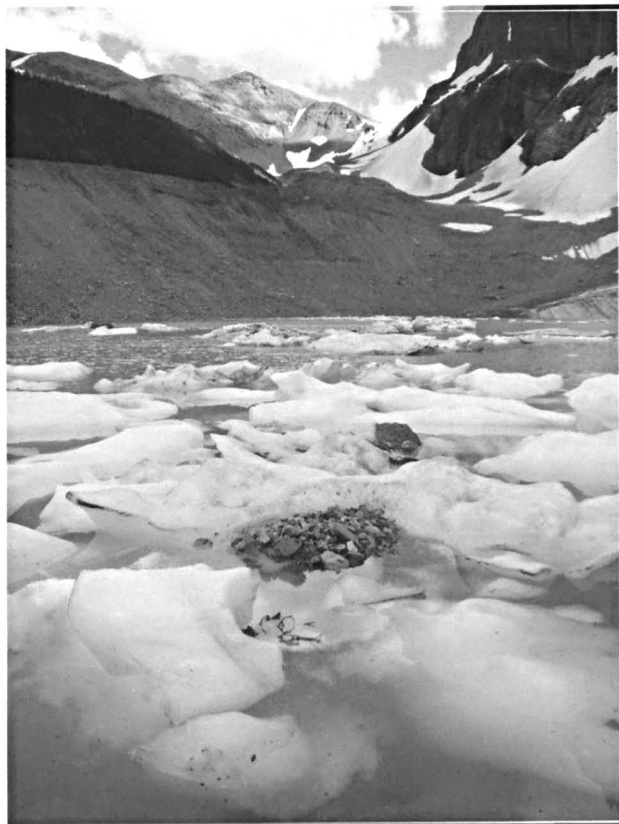
co potęguje magię tego miejsca. Przebywanie w dnie doliny z rozpostartymi nad głową białymi skrzydłami Angel Glacier jest zdominowane poczuciem bezpieczeństwa i niechęcią do jakiegokolwiek ruchu. A przecież wokół tyle ścieżek... Jedne wiją się po szarej powierzchni moreny dennej, inne wznoszą się na wały moren bocznych, a jeszcze inne pną się wysoko, w kierunku łąk i hal. Jedną z nich przyciąga bardziej: to ścieżka wiodąca na Cavell Meadows (*meadow* – j. ang. łąka) położoną w piętrze alpejskim. Trzeba wybrać szlak biegnący na wschód – to zaledwie ułamek z 1200 kilometrów szlaków, jakie znajdują się w Parku Narodowym Jasper. Początkowy odcinek trasy pozawala zauważyć początkowe etapy sukcesji roślinnej: na świeżym materiale skalnym pojawiają się pojedyncze krzaczki dębika, lepnicy bezłodygowej, wierzbowki i mchów, a na wilgotnych siedliskach – turzycy. Potem trzeba przebrnąć przez morenę boczną Cavell Glacier i dotrzeć do górnej granicy lasu, która w tej części gór leży na wysokości ok. 2 150 m n.p.m., czyli dużo wyżej niż w Tatrach. Średnia roczna temperatura powietrza wynosi tutaj -4 °C. Łatwo tutaj spotkać świstaki, z którymi spotkanie może pozostawić niezapomniane wrażenie, zwłaszcza spotkanie „oko w oko”. Nietrudno w takiej chwili o poczucie winy bycia intruzem w świecie, który jest naturalnym domem tego gatunku. Od czasu do czasu z zielonych mszarników i traw wyłaniają się sympatyczne główki susłów północnych zwanych tutaj kolumbijskimi wiewiórkami ziemnymi (*Columbian ground squirrel*) – żywiących się korzonkami, liśćmi, nasionami, jagodami oraz ale i insektami. Wędrując po kolorowych Cavell Meadows można usłyszeć śpiew górniczka – ptaka z rodziny skowronków, który jest jedynym śpiewającym ptakiem w piętrze alpejskim. Potocznie nazywa się go skowronkiem rogatym (*horned lark*), bowiem nad uszami posiada czarne kłębuszki piór w formie rogów. Sporo niepokoju wśród ssaków wprowadza pojawienie się na niebie kruków, które zwykle poszukują padliny lub niedojedzo-

nych resztek ofiar grizzly.

Robi się coraz chłodniej, nie ma już drzew, trafiają się tylko pojedyncze kępki krzaczastych świerków i ogromne polacie wrzosowisk, miejscami gołoborza. W skalistych kryjówkach mają swoje siedziby małe, lecz przeraźliwie głośno piszczące szczekuszki amerykańskie zwane tutaj pika albo górskim królikiem. Te szare, niewielkie, lecz o ogromnych, okrągłych uszach „króliczki” przemykają odważnie między głazami szykując korytarze na zimę. W przeciwieństwie do innych ssaków tego piętra – zimą są one aktywne. Alpejskim łąkom kolorytu dodają różnobarwne i powszechnie występujące w Górach Skalistych „indiańskie pędzle” (Indian paintbrush; *Castilleja linariaefolia*). Tu, w piętrze alpejskim mają zwykle barwę purpurową i kremową, niżej – czerwoną, pomarańczową a nawet żółtą. Uroku dodają także kępki karłowatych dereni. Patrzenie na Angel Glacier z daleka, z kolorowych łąk i łagodnego zbocza na świat, gdzie króluje tylko lód i skała, ukazuje jeszcze jedną cechę tego krajobrazu: piękno kontrastu, którego autorem jest sama Natura. Różne światy, rządzące się różnymi prawami, różnym porządkiem, mogą istnieć obok siebie, a niekiedy nawet się przenikać.

Trasa biegnie już tak wysoko, że można patrzeć na Angel Glacier z góry: to widok, prawie płaskiej powierzchni lodowca, która utwierdza w przekonaniu o ujemnym bilansie jego masy i stopniowym zanikaniu. Można by snuć rozmyślenia o tym, jak będzie wyglądać dolina, gdy „biały anioł” opuści dolinę... Zapewne pojawi się tam wypełnione czystą, oligotroficzną wodą jezioro, którego brzegi będzie kolejno zasiedlać roślinność wysokogórska.

Słońce, które przesunęło się już nad Sorrow Peak sygnalizuje, że dzień rychło się skończy, a przecież z łąk i hal warto wspiąć się jeszcze wyżej, tam, gdzie roślinności już nie ma i grunt jest przemarznięty prawie przez cały rok. Wilgotność powietrza jest na tyle duża, że zwietrzelina z łupków i



mułowców staje się bardzo śliska. Na wysokości prawie 2,5 tys. m n.p.m. zaczyna sypać śnieg. Na szczęście spore płyty topią się na rozgrzanym przez lato gruncie, tworząc jednak nieprzyjemną, utrudniającą marszrutę plastyczną maź. Te zbocza muszą jeszcze poczekać na śnieg, który przetrwa przez kilka kolejnych miesięcy. To przecież dopiero koniec lipca – czas, kiedy w dorzeczu górnej Athabasca rzeki prowadzą sporo wód z topniejących lodowców i płatów śniegu uprzążając doliny przed nastaniem kolejnej zimy. Mt. Edith Cavell już nie jest widoczna; poranne, pojedyncze obłoki rozmnożyły się w kłębiaste, rozwichrzone chmurzyska, które schodzą coraz niżej i zaciągają się także nad powierzchnią Angel Glacier. Widać tylko jego dolny fragment – lodospad i choć skrzydła nie są widoczne, świadomość obecności białego anioła wystarcza. Śnieg dalej sypie i powietrze staje się białe opóźniając nadejście zmroku.

 Joanna Pociask - Karteczka





WŁADYSŁAW RYS

Tamten Kraków

U stóp Kopca Kościuszki
pulsuje wielkanocny Kraków.
Błonia, stadion Wisły, park Jordana.
Rozbiegane białe osiedla
nadeptują na wątłe skwery.

Wyłuskuję z pejzażu wieniec plant,
Mariacką i Ratuszową wieżę, i
rozbawioną grupą spływamy
przez tramwajowe szyny
od Collegium Maius
do akademika na Ziaji.

Kolegów jak kromek chleba
w stołówce akademickiej.
Samopoczucie strzela w żdźbło,
kłoszą się przyjaźnie.
Bławatem, makiem polnym,
czasem kąkołem zakwitają
pierwsze studenckie...

O przyjaźni

wujek Franciszek nie dbał o życie
odkąd poumierali jego koledzy

ubywa mi przyjaciół
pisać przestają
leśnik z Ojcowa dostał udaru
nim kwestię honoru wyłuszczył
filatelistę zza Olzy jego żona
skleroza usprawiedliwia
zostało tylko paru

za to jakich
imiennik ksiądz rektor
mego ojca jeszcze pamięta a matkę
jak przez mgłę
przeprasza za nierówne pismo
liniuszek mu się zawieruszył

czasem odezwie się ten i ów
poeta
czytelnik
redaktorka co kocha rymy i rytmy

może więc
również z Lublina nie o mnie mówił
poł wieku przyjaźni się ze sobą

O przyjaźni w biedzie

Zamożność można taśmą zmierzyć,
bogactwo da się opowiedzieć.
Na słowo *bieda* włos się jeży,
lecz tylko tym, co żyli w biedzie.

W sąsiedku dłonią po dnie skrobiesz,
w sakiewce grosza szukasz darmo.
Wiosną potrzebne krowy obie,
bo jednej nie zaprzęgniesz w jarmo.

Tniesz resztki słomy, parzysz plewy,
witki z pąkami ścinasz z drzewa.
Nie wstanie już na nogi zadnie...

Został nam łeb i żeber parę,
zaś resztę wziął za długie stare.
Z Bogiem. Daj znać, gdy druga padnie.

Krzep się

Tysiące istnień, kruchych jak twoje.
Jedno przylgnęło. Żebro i glina.
Odtąd na zawsze jest was już dwoje,
a potem więcej - cała rodzina.

W okolicznościach nieprzewidzianych,
podobne naszym rodzinne stadła
nas spotykają; my spotykamy.
Gdy są nam miłe - klamka zapadła.

Cieszysz się, widząc szczerze ich twarze,
o dzieci pytasz, czy matka zdrowa;
pożartujecie w znanej wam gwarze...
Rodzi się przyjaźń - ponadczasowa.

Mijają lata. Los swoje czyni,
goni po świecie, w zaułki gna.
Jakaż to radość, dla gospodyni,
witać przyjaciół, co wiek ich zna!

O wnuki pytasz, o stare dzieje,
porównujecie urodę żon...
On jak asceta, ty się starzejesz.
Obu wam bije wieczorny dzwon.

A gdy któregoś z was wywołają,
gdzieś w inne światy (czy lepsze?),
to drugi powie, grudkę rzucając:
- Mijaj się ta pyknie. I krzep się.

POWIEŚĆ



ANDRZEJ WIELECKI

PRZECIWKO WSZYSTKIM (4)

IV

Na początku października 1543 roku, do zamku w Gieranojnach zawitał wreszcie wielki książę litewski Zygmunt August. Głównym celem jego wizyty było odebranie wszystkich kosztowności po zmarłym przed dziesięcioma miesiącami, wojewodzie trockim Stanisławie Gasztołdzie. Wojewodzina trocka przywitała Augusta nad wyraz wystawnie, a i on sam nie żałował pieniędzy na dostarczanie coraz to nowych wrażeń, tak sobie, jak i wojewodzinie. Po odebraniu należnych mu kosztowności, które uzupełniły widoczne już braki w jego skarbczyku, na nowo począł beztrwosko trwonić pieniądze.

- W piękne niedzielne popołudnie August spacerował w towarzystwie wojewodziny po zamkowym parku w Gieranojnach.
- Powiadacie pani, żeście nas zapamiętali, gdyśmy tu przebywali dwa roky temu?
 - Tak panie.
 - A my jako na spowiedzi wam powiemy, żeśmy was nie zapamiętali.
 - To nie dziwota panie, skoro was tyle niewiast otacza - rzekła wprost Barbara. August zaskoczony taką odpowiedzią nieco się zmieszał. Zaraz jednak odzyskał rezon i odparł.
 - Dawne to były czasy. Teraz te sprawy inaczej się mają - tłumaczył, ale Barbara milczała. Wobec tego postanowił zmienić temat. - Widzimy, że wiele złych rzeczy się dzieje na Litwie i chcemy to ukrócić.
 - Stąd się to bierze, że pan nasz miłościwy Zygmunt nie często tu przybywa i jeno na kilka niedziel. A wtedy wielcy panowie litewscy czynią tutaj co chcą.
 - A skądże pani o tym wiecie? Czyżbyście zamyślali o rządach niczym nasza pani matka? - zażartował z niej.
 - O rządach nie zamyślam. A to, że się źle na Litwie dzieje, to każdy widzi, a i wy panie niedawnoście to sami rzekli - mówiła z powagą. August zaś szybko pojmował, że wojewodzina trocka, to nie Diana di

Cordona, która na niczym się prawie nie znała.

- Potośmy tu przybyli, aby nowe porządki tu ustanowić... i tak też się stanie - dokończył stanowczo.
- Dziękować wam panie będziemy, jeśli to nastąpi. - August tylko się uśmiechnął na jej niedowierzanie.
- Zdziwiacie nas pani i dlatego radziłyśmy was bliżej poznać.
- Cały czas czynimy wszystko, byście byli panie zadowoleni. - Noce pani coraz dłuższe - zaczął znacząco - i już nudzić się poczynamy. - Wojewodzina trocka od razu odgadła jego intencje i rozejrzała się nerwowo.
- Dziwne to, bo w Wilnie powiadali - zaczęła bez związku i zamilkła.
- Cóż takiego usłyszeliście pani w Wilnie? - podjął August.
- Nie godzi mi się tego mówić - rzekła zmieszana, nie wiedząc jak teraz wybrnąć z tego.
- Tedy ja wam rozkazuję, abyście dokończyli, coście napoczęli - nakazał stanowczo. Barbara wahała się przez chwilę, aż w końcu spuściła głowę i z zażenowaniem zaczęła mówić.
- W Wilnie powiadali, że nasza królowa, a matka waszej księżęcej mości, wysłała wam panie kilka kołasek z pannami dla wesołości. - August od razu zmarszczył brwi, ale po chwili się uspokoił.
- Wszystkie je dawno odesłaliśmy, bo i bez ich towarzystwa obejść się potrafimy.
- Pragnę wam oznajmić panie, że powtórzyłam jeno to co ludzie pletli w Wilnie. - Usprawiedliwiała się Barbara, ale August postanowił jej się teraz zrewanżować.
- My też powiemy wam pani, co mówią o was w Polsce. Powiadają, że litewskie niewiasty żyją w lubieżności i rozpucie, tak, że wystarczy tu jeno przyjechać, a wiele przyjemności czeka tu na człeka.
- Skoro tak mówią w Polsce, nie będę się sprzeciwiać. Jeno dodam, że moja pani


 Joanna Bukowska

matka z Polski pochodzi i obyczaje mam polskie - tu z triumfem dokończyła - nie zaś litewskie!

– Siła rzeczy powiadają i o was pani - nie dawał za wygraną August.

– Rada bym panie wysłuchać tego co o mnie mówią w Polsce. Zapewne jednak nic dobrego, skoro tak tam opowiadają o Litewkach.

Ale August wbrew pierwotnemu zamiarowi i ku jej zaskoczeniu odrzekł.

– Pragniemy wam pani oznajmić, że nie dajemy wiary temu, co się o was w Polsce prawi. Bośmy tutaj do innych doszli konkluzji.

– Miła to rzecz słyszeć to z ust waszej księżęj mości - i uśmiechnęła się do niego. Tyle tylko, że wielki książę szybko zapomniał o tym co przed chwilą powiedział.

– Jeno, że doszły nas wieści, że jeszcze za życia wojewody Gasztolda nie wzbraniałicie pani przystępu do siebie licznym

młodzieńcom. - Barbara opuściła tylko głowę na dół i milczała. August zaś znowu przeczył temu co dopiero powiedział.

– Bynajmniej tak nie myślimy i zapewne nie jest to prawdą, bo inaczej żeśmy wyrozumieli, będąc tu w Gieranojnach. - Barbara jednak w dalszym ciągu milczała i jakby posmutniała. Szli tak jakiś czas, aż w końcu wielki książę chcąc ją rozweselić rzekł.

– Przyznamy się wam pani, żeśmy radzi wielce was oglądać. - I zastąpił jej drogę, po czym spoglądając jej w oczy oznajmił. - Bardziej, niżeli naszą umiłowana małżonkę.

Doprawdy, niezwykle to miłowanie. - Jednak wielki książę nie zważał nawet, że zabrzmiało to śmiesznie i chcąc wykorzystać nastrój chwili wyznał jej to, o czym myślał już od kilkunastu minut.

– Pragniemy wam pani oznajmić, żeśmy nie widzieli piękniejszej niewiasty od was. - Barbara speszyła się nieco, ale taktownie



📷 Paweł Żochowski

odpowiedziała.

- Niezwykła to rzecz usłyszeć takowe komplementa z ust waszej książęcej mości - i wdzięcznie się pokłoniła. Oboje milczeli, nie wiedząc co mówić dalej. Wreszcie August przemówił pierwszy.
- Obiecaliście pani, że niedługo zdejmiecie wdowie szaty. Radzi byśmy was ujrzeć w innych barwach.
- Łada dzień się to stanie - obiecała.
- Wielką nam tym sprawicie radość, pani - i zadowolony krzyknął na podążającego za nimi dworzanina. - Lasota! Zbliź się do nas.
- Tamten natychmiast stanął przed kniazem, trzymając w ręce małą, misternie rzeźbioną skrzyneczkę. August wziął ją od niego, otworzył i wyjął przepiękne perły. - Możesz już odejść - nakazał Lasocie i trzymając w ręce sznur pereł zwrócił się do Barbary. - Pragniemy wam pani to ofiarować. - Barbara wręcz oniemiała, zaraz jednak skromnie odparła.
- Nie godzi mi się tego przyjmować.
- Sprawcie nam pani wielką przyjemność, jeśli to przyjmiecie - i zaraz jeszcze dodał. - Nie

znamy pani inszej osoby, do której by te perły mogły należeć. Piękno winno należeć do piękna.

- Dziękuję niezmiernie waszej książęcej mości - i jeszcze raz się pokłoniła, tym razem z wdzięczności.
- Wierzajcie nam, pani, że nie mamy zwyczaju obdarzać niewiast takimi prezentami, bośmy sobie bardzo upodobali perły. Jenó, że wam, pani, bardzo chcemy tę rzecz ofiarować - i zapiał jej owe perły na szyi.
- Jeszcze raz wam panie dziękuję.
- Myśleliśmy, że będziemy się nudzić na Litwie, ale widzimy, żeśmy byli w błędzie, jako, że niełatwo znaleźć takie towarzystwo, jakieśmy tutaj znaleźli. - I popatrzył jej w oczy.
- Wasza książęca mość wielce miły dla mnie - rzekła niezmiernie zadowolona.
- Pojutrze umysłiliśmy wielkie polowanie, jakiego dawno na Litwie nie było. Jenó, że wy pani chyba nie lubujecie się w polowaniach?
- Jeśli dobry myśliwy i obfite trofea, to i polowanie może być przyjemne.
- Zechciejcie pani przyjąć tę zwierzynę, którą pojutrze myślimy upolować. - Wojewodzina myślała przez chwilę zażartować, że nie dzieli się skóry na niedźwiedziu, lecz szybko tego poniechała.
- Jeszczek nikt dla mnie nie polował, a co dopiero wasza książęca mość. Wielka to będzie łaska dla mnie.
- Wszystko co ubijemy będzie wasze pani. Będą lisy rudawe, jako i wasz brat - zażartował na koniec i oboje się roześmiali.
- Obiecujemy też, że i niedźwiedzie futro będzie u waszego pani łoża.
- Mówi się, że wasza książęca mość to wielki myśliwy, zatem nie wątpię, że tak się stanie.
- Czas was pani pożegnać, bo niedługo pora na wieczrę i na spoczynek. Jenó was prosimy, abyście te perły, któreście raczyli przyjąć, założyli za trzy dni, kiedy to chcemy wyprawić wielką zabawę na waszą cześć.
- Prawdziwe to szczęście, że obdarzacie panie nasz dom takimi łaskami i tak hojnie mnie obdarzacie. - Tu uśmiechnęła się do niego tak słodko, że zapragnął ją pocałować. Już się przymierzył, gdy dostrzegł czekającego

- na niego Lasotę.
- Zatem, pani, do wieczerzy. - I podążył w stronę swego zaufanego dworzanina, na którego w duchu, bardzo się rozłościł.
- Barbara natomiast udała się do swojej komnaty, aby przygotować się do wieczerzy. Gdy tylko otworzyła drzwi, ujrzała swoją siostrę Annę, która stała przy oknie i obserwowała jej spacer z wielkim księciem.
- Wielki książę znowu ci coś ofiarował? - zapytała z widoczną zawiścią.
 - Doprawdy wielka jest hojność naszego księcia - odparła niewinnie Barbara i usiadła przed lustrem, aby się zobaczyć w perłach.
 - Zachodzę w głowę, jak to się mogło stać, skoro to mnie wielki książę pierwszą prowadził do tańca? - zastanawiała się głośno Anna. Barbara jednak milczała zachwycając się tym co niedawno otrzymała od Augusta. Zirytowana tym starsza Radziwiłłówna powiedziała. - Co, nic nie rzekniesz?
 - Ładnie mi? - i obróciła się do siostry.
 - Powiem ci siostro, że jak na wielkiego kniazia to mógł ci ofiarować kosztowniejsze - odparła lekceważąco Anna. - Mogę ci dać za nie swoje, są znacznie ładniejsze.
 - Może siostro masz i ładniejsze, ale te są od samego kniazia - rzekła nie zrażona.
 - Mówi się siostro, że wielki książę po to odesłał swoje nałożnice, abyś ty zajęła ich miejsce. - Nasz książę ledwie co ożeniony i nie potrzeba mu nałożnic.
 - Każdy wielki książę zawsze miał jakąś nałożnicę, a nasz młody pan to już z pewnością.
 - To może ty, siostro, zechcesz nią ostać, skoro książę ciebie pierwszą prowadził do tańca? - Zaproponowała i nieco nerwowym ruchem zdjęła perły i trzymając je w ręce mówiła dalej. - Bracia powiadają, że mnie niedługo przyjdzie być żoną wojewody nowogródzkiego. A ty siostro, jako wolna panna, będziesz mogła pocieszać naszego kniazia. Jenó, że wojewoda nowogródzki udaje się ponoć w poselstwo do Moskwy. Widocznie nie spieszo mu żenić się z tobą - docięła jej złośliwie.

- Jeszcze żałoba nie wyszła, tak że się nie ma co z ożenkiem spieszyć. - Wtedy Anna zbliżyła się do Barbary i z triumfem w oczach oznajmiła jej.
- A to ci powiem, że wielki książę ofiarował mi wczoraj srebrny puchar. I cóż ty na to siostro? - Następnie uśmiechając się drwiąco sięgnęła po puchar i poczęła pić z niego wodę.
- Pragnę ci oznajmić, iż puchar z którego pijesz wodę, otrzymałam przedwczoraj od naszego kniazia. - Anna omal się nie zakrtusiła. - A i dzisiaj podobny puchar otrzymała nasza pani matka.
- Wielki książę za bardzo jest hojny - rzekła ze złością Anna.
- Nie dziwuj się siostro, bo książę po przyjeździe do nas, przejął po moim mężu wiele złota i kosztowności. Ale z tego co widzę, nie zadowolili się tym, tylko chce jeszcze więcej. - I spoglądając na perły pomyślała o Augustie, który ostatnio zaczął się jej bardzo podobać. On zaś miał teraz tylko jeden cel, uwieść Barbarę z Radziwiłłów Gasztoldową.

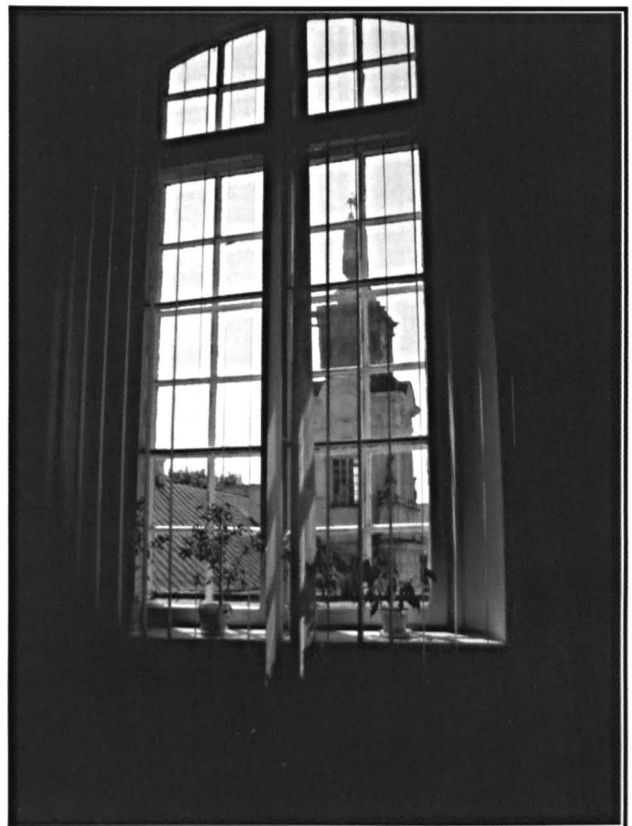
V

Nadeszła połowa pięknego października, a młody książę litewski wciąż bawił w Gieranojnach. Tak jak obiecał właścicielce tych dóbr, Barbarze z Radziwiłłów, ubił znacznej wielkości niedźwiedzia. W polowaniu wzięli też udział obaj Radziwiłłowie, którzy ostatnio bardzo zbliżyli się do kniazia. Oni również upolowali owego pięknego dnia wiele znacznych sztuk dzikiego zwierza. Ponadto wielki książę upodobał sobie miejscowego myśliwego, olbrzymiego Jurgielisa, który odtąd będzie mu stale towarzyszył w polowaniach. Po udanych łowach przyszła pora na zabawę. Jagiellon, za znaczne pieniądze przygotował ucztę, jakiej od śmierci Gasztolda w Gieranojnach nie było. W najobszerniejszej sali zamku zebrało się wiele osób z otoczenia Radziwiłłów, którzy przybyli z całą swoją świtą. Pojawiło się też kilka znaczących osób z Wilna. Opłacono nawet niezbyt okazałą kapelę grajków, aby swoją

- obecnością uświetnili ową ucztę.
- Widzę, bracie stryjeczny, że usilnie dbacie o swoje interesa. - Zagadnął Czarnego stojący w znacznej odległości od Augusta, Mikołaj Rudy Radziwiłł.
 - Dbam nie tylko o swoje interesa, ale i o cały dom Radziwiłłów, któremu splendoru jako dawniej potrzeba, kiedy to żeśmy tytuł książęcy mieli.
 - Dobrze to były czasy, jeno, że dawne - westchnął Rudy.
 - Jeszcze lepsze nastaną... wierząc mi panie bracie, bo - tu popatrzył uważnie na Rudego - jest ku temu okazja. Trzeba ją jeno wykorzystać. Mniemam, że siostra Barbara nam w tym pomoże.
 - Cóż zamysławiacie? - zaciekawił się Rudy.
 - Widzisz panie bracie jak książę za nią chodzi? Jako duchowny za sakiewką. Trzeba to wykorzystać, aby jakoweś wakansy otrzymać - tłumaczył.
 - Powiadają, że w Krakowie młody książę niewiele o tym mówi i do żadnych spraw nie śmie się mieszać, tak się boi swojej matki, królowej Bony - rzekł z powątpiewaniem Rudy.
 - My też baliśmy się naszych rodzicieli, a teraz co? Rządzimy! Tak też trzeba podburzyć naszego księcia przeciwko jego matce, która jako sam wiesz, wiele złego czyni na Litwie. - Teraz Czarny rozejrzał się wokół, upewniając się, czy nikt go nie słyszy i mówił dalej.
 - Trzeba go wyrwać z tych szponów królowej Bony, a po tym go otoczyć i ciągnąć dla siebie, ile się jeno da. Młody on, to i głupi. A wasza panie bracie, jako i po części moja, siostra Barbara, musi nam w tym pomóc.
 - Dalibóg! Mieliśmy ją przecie wydać za wojewodę Ościkiewicza, a to przecie dobra partia - przypomniał Rudy.
 - Wojewody nowogródzkiego, póki co, to nie ma, bo u Moskwianów siedzi. A Barbara jeszcze jest w żałobie, żeniaczka jej nie ucieknie, wierząc mi - przekonywał Czarny. W tym momencie spostrzegł, że August zasiadł już do stołu, więc pospiesznie rzekł. - Czas iść do księcia! - i już miał odejść, gdy coś sobie przypominał. - Wiecie panie bracie, że marszałek Daniłowicz wyzionął ducha?
 - Słyszałem panie bracie, że to wy macie ostać się marszałkiem litewskim.
 - Jam też słyszał, ale jak tu wybadać księcia. Może byście się zapytali, czy to prawda? - Zwrócił się do Rudego, który szybko odparł.
 - Jam za mało odważny... A może by tak nasza siostra Barbara zapytała o to księcia?
 - Widzicie tam w rogu niedźwiedzia? - Zdziwiony Rudy popatrzył w tamto miejsce, po czym spojrzał na Czarnego i odparł.
 - Nie widzę.
 - Tedy ci powiadam, że pierwiej tam obaczmy niedźwiedzia, niżli Barbara zapyta księcia o marszałkostwo. - I nieco zirytowany podążył do stołu, gdzie siedział August wraz z Lasotą i Gabrielem Tarło.
 - Ejże! Panie Mikołaju, gdzie są ci nowi dworzanie? - zapytał od razu książę.
 - Widać się stroją panie, bo chcą się wam przypodobać - odparł dowcipnie Czarny.
 - A to oni niewiasty, czy co? - Zażartował August, ku radości siedzących przy nim dworzan.
 - Pójdę panie po nich, bo jużem ich poznał - zaofiarował się Lasota i wyszedł.
- Zabawa dopiero się rozpoczynała i zebrane przy trzech krótkich stołach towarzystwo gwarzyło ze sobą niezbyt głośno. Grajkowie zaś przygrywali nieco smętnie, aby umilić gościom czas. August rozejrzał się po sali i aby ożywić atmosferę uniósł swój kielich do góry i zawołał.
- Zdrowie wszystkich przybyłych tu do nas gości! - i wychylił do dna, a po sali zaraz rozległ się jeden wielki okrzyk.
 - Vivat wielki książę!
 - Panowie Radziwiłły - zwrócił się do nich książę. - Gdzież to wasza siostra, pani wojewodzina?
 - Zaraz tu panie będzie... - zaczął Rudy, ale Czarny mu przerwał. - Zapewne podziwiał jeszcze trofea, któreście wczoraj panie upolowali...
 - Wiedzieliśmy, że wasza książęca mość jest dobrym myśliwym, jeno nikt nie wiedział, że aż tak wybornym - przerwał Czarnemu Rudy. August widząc jak Radziwiłłowie popatrzyli na siebie złowrogo, przerwał te

- licytacje i rzekł z uznaniem.
- Przyznajemy, że i waszmościowie dokazali wielkiej odwagi, że można jeno głową kiwać. - Po chwili zaś mówił już o sprawach wagi państwowej. - Doniesiono nam niedawno, że marszałek litewski wyzionał ducha, a dziś nam doniesiono, że i podczaszy zamknął oczy. Wypijmy tedy za ich dusze. Zmieszane otoczenie Augusta, które po raz pierwszy spotkało się z takim toastem, posłusznie wychyliło kielichy za wielkim kniazem. Najszybciej zreflektował się Mikołaj Czarny, który chcąc rozbawić otoczenie, a przede wszystkim przypodobać się kniazowi zawołał.
 - Oby im tam w Bożym świecie, nie brakowało nigdy wina! Wówczas wszyscy radośnie podnieśli puchary i wypili do dna. Czarny zaś korzystając z okazji zaczął niepewnie.
 - Powiadają panie - i zamilkł, bo zabrakło mu odwagi. - Słuchamy was panie Mikołaju - oznajmił wesoło August.
 - Pytam jeno waszą książęcą mość, bo ludzie plotą, że mam ostać marszałkiem...
 - Nie turbuj się waszmość, bo czego to ludzie nie naplotą - oznajmił ku radości otoczenia August. Natomiast Mikołaj Czarny przybrał od razu czerwone barwy na twarzy, jako że się jawnie ośmieszył. Szczęśliwie dla niego stanął przed Augustem Lasota, przyciągając uwagę zebranych przy stole.
 - Wasza książęcą mość, oto oni. - I wskazał na dwóch młodych, bogato odzianych mężczyzn. - Stanisław Dowojno. - Przedstawił pierwszego Lasota i tamten zaraz pokłonił się tak nisko jak tylko mógł. - Stanisław Kieżgajło - wskazał na drugiego.
 - Doprawdy, jeden i drugi Stanisław. Czy wy tutaj na Litwie nosicie jeno imię Stanisław i Mikołaj? - Obaj Radziwiłłowie spojrzeli teraz radośnie po sobie.
 - Pan nasz miłościwy wielkim jest wesółkiem. Zatem będzie wesoło na całej Litwie - błyskotliwie zauważył Dowojno.
 - Radzi jesteście was poznać panowie, a skoro jesteście już naszymi dworzanami, zatem siadajcie przy naszym stole - zaprosił kniaź.

- Panie Mikołaju, kimże są nasi nowi dworzanie?
- Pierwszy Stanisław, ten wyżsiejczy, to nasz kuzyn panie. A ten drugi, niski, to nasz daleki powinowaty.
- Zatem sami wasi krewni, ale to i dobrze, bo...
- Lecz nie dokończył, bo oto przed nim stanęła sama Barbara. August był wyraźnie zaskoczony, jako, że jego nowa sympatia była w bieli, wreszcie w bieli.
- Uczyniłam jakoście chcieli panie. - Tu kłaniając się z wdziękiem, spoglądała zalotnie na wielkiego księcia, który patrzył na nią z niemym zachwytem. - Wydawało nam się, żeśmy już wszystko widzieli, ale pojmujemy, żeśmy żyli w błędzie. Jako, że takiego cudu jeszcześmy nie oglądali. - I patrzył na wojewodzinę, która wyglądała po prostu olśniewająco. Jej nadzwyczaj regularne rysy, alabastrowa cera i bujne kasztanowe włosy nadawały jej olbrzymiego uroku. Zaś biała suknia i perły dopełniały wszystkiego. W tej chwili była dla Augusta niczym anioł, wydała mu



się zupełnie inną od jego dotychczasowych nałożnic.

- Ejże! Grajkowie! - krzyknął z werwą. - Czyńcie to za co wam zapłacono, bośmy wielce radzi potańcować!

Rozpoczęły się więc tańce. Jedni się zachwycali, inni zazdrościli. Jedno było tylko pewne, piękniejszej pary na tej sali nie było.

- To wam pani jeno rzekniemy - rzekł oczarowany wojewodziną trocką książę - że nadzwyczaj wam ładnie w tej bieli, jako mało komu - i aż pokiwał głową.
- Cieszę się wielce, że wam panie sprawiłam radość - odparła skromnie Barbara.
- Nie wiecie nawet jaką. Nie pojmujemy czym żeśmy na to zasłużyli, że tak nam umilacie pobyt tu w Gieranojnach. - Ja też wielce dziękuję panie za dary jakimi mnie stale obdarowujecie, jako i za ostatni podarek - i dotknęła swych pereł.

W tym samym czasie rozmowę prowadzili także Radziwiłłowie.

- A czemuż to do tańca nie idziesz, panie bracie?
- Bóg miłościwy poskąpił mi tych zdolności i do innych rzeczy powołał. - Oznajmił z powagą Czarny, po czym co raz spoglądał na wielkiego księcia i uśmiechał się do niego. Szybko jednak dał sobie z tym spokój, gdyż August całkowicie zaabsorbowany Barbarą, nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. - Doprawdy, urody to Pan Bóg naszej siostrze nie poskąpił - rzekł z uznaniem.
- Mojej siostrze, bracie stryjeczny - poprawił go natychmiast Rudy.
- A z jakiego pochodzi rodu?
- Z Radziwiłłów przecie - odparł rzeczowo.
- Widzisz tedy, że Radziwiłłówna, zatem to nasza wspólna siostra. - Wytłumaczył trochę wolniej myślącemu krewnemu Czarny i to tak jasno, że ten już nie zaprzeczał. Obaj teraz przyglądali się na zmianę to jej, to książęciu, który podbił już serca zebranych na ucztach panien litewskich. - Miły bracie, kiedy tak patrzę na nią, to mi się zdaje, że mogłaby śmiało ostać wielką księżną, no i królową.
- Chyba was panie bracie głowa rozbolała, bo głupoty gadacie.

- Wszakóż Sofka z Holszańskich ostała wielką księżną i królową - bronił się Czarny.
- Raz, że było to dawno, a dwa, że Holszańscy byli zacnym rodem na Litwie.
- Nie uważam ja, że ród Radziwiłłów jest podlejszego stanu, bo i od samego cesarza tytuł księcia żeśmy otrzymali - przypomniał Czarny. - Jeno, że oni już nie żyją, a tytuł był jeno dla nich samych, nie zaś dla całego naszego rodu. - Wyjaśnił Rudy. Wówczas Czarny zmienił temat.
- Tak patrzę na naszego kniazia i dziwuję się skąd on ma tyle sił do tańcowania i całej tej zabawy.
- A ja się nie dziwuję nic a nic. Bo jak książę całymi dniami gania za zwierzyną, to cóż przy tym znaczy trochę pochodzić po sali i czasem się pokłonić. - Tutaj Mikołaj Rudy miał dużo racji, gdyż tańce w owym czasie na tym mniej więcej polegały.

W końcu taniec się skończył i August powrócił za stół. Zaraz też pojawili się przy nim kolorowi brodacze z rodu Radziwiłłów. Rudy zaniepokojony nieobecnością siostry przy stole, zapytał nieśmiało Augusta.

- Czemuż to siostra nasza opuściła was panie?
- Nie frasuj się waszmość, bo lada chwila powróci.
- Wina panie? - zaproponował Czarny.
- Nie pijamy dużo, dlatego nalejcie nam miodu. To też zacny trunek. - I gdy ten nalewał mu miód, August przysunął się do niego i z cicha zapytał.
- Powiedzieliście, że wojewodzina trocka bardzo lubi kwiaty?
- Czasami to mi się zdaje, że woli te chwasty bardziej, niżeli złoto.
- To dobrze. - i spojrzał teraz na Lasotę. - Uczyniłeś com ci kazał?
- Tak panie, chociaż wielki to był kłopot, bo październik idzie ku końcowi... Myślę jednak, że będziecie panie zadowoleni.
- Jak już wojewodzina powróci, wyjdiesz i uczynisz co potrzeba.
- Wedle życzenia panie. - Przytaknął Lasota i pijąc wino, czekał aż pojawi się ponownie Barbara. - Pytaliście się panie Mikołaju o urząd marszałka litewskiego? - Zwrócił się ponownie do Czarnego książę i nieco zniżył głos. - To wam powiem, że ludzie

- śluszenie się domyślają, że to wam chcę ten urząd oddać.
- Nie pojmuję panie, boście przecie... - Zaczął zaskoczony, lecz August nie dał mu dokończyć.
 - Tak trzeba było, bo w Wilnie głośno szemrają, że się Radziwiłłami otoczył. Dlategoż nie chcę rozpowiadać, że szykuje ten urząd dla was.
 - Jesteście panie sprytnym władcą jakiego Litwa jeszcze nie miała - kadził rozpromieniony nowiną Czarny.
 - Pamiętajcie, że za wierna służbę umiem się odplacić. A póki co, to będzie lepiej jeśli na kilka dni pojedziecie do Wilna, aby uciszyć gadanie. A potem po was posłę panie Mikołaju, bo będziecie mi niedługo potrzebni.
 - Tak się też stanie, bo mądre to zamysły - znów kadził zadowolony.
- Przez następne godziny ucztę August poświęcał swój czas już tylko Barbarze. Robił wszystko, aby jej się przypodobać, rozbawić, a czasem nawet jej usługiwał. Czas mijał niepostrzeżenie, dawno już wybiła północ i zmęczeni zabawą biesiadnicy zaczęli niepostrzeżenie znikać zza stołów. Zmęczenie ogarnęło wreszcie i samego księcia. Powstał więc zza stołu z zamiarem opuszczenia sali. Razem z nim wyszła Barbara, którą August postanowił dziś, po raz pierwszy odprowadzić do jej komnaty. Szli w milczeniu długim korytarzem, aż w końcu nieco pijany książę powiedział.
- To wam powiem, że mamy ostatnio jedno pragnienie.
 - Jakie? - zapytała wesoło.
 - Chciałbym... abyście zdjęli te szaty.
 - Niedawno prosiliście panie, abym zdjęła wdowie szaty i dziś to dla was uczyniłam.
 - Cieszymy się z tego, żeście to uczynili, ale radziśmy was obaczyć pani bez najmniejszej szatki. Taką jaką was stworzono - oznajmił uśmiechnięty. - Niczego tak nie pragnę, jako tego - podkreślił. I oparł się o drzwi prowadzące do sypialni wojewodziny.
 - Ja też panie wiele rzeczy pragnę i coś z tego? - Tu roześmiała się widząc niepokieszoną minę Augusta.

- Powiedzcie czego chcecie, a wszystko się tak stanie, jako wasze życzenie.
- Wierzę panie, że moje zamysły się niedługo spełnią, przynajmniej te niektóre - odparła tajemniczo.
- Dajcie nam chociaż nadzieję, że lada dzień dostąpię tego, aby was taką właśnie ujrzeć - nalegał książę.
- A prawiliście panie, że tak mi ładnie w bieli.
- Prawda to, bo bardzo wam ładnie, jeno że jesteśmy wielce ciekawi, co ta biel kryje.
- Może się i tak stanie, bądźcie panie cierpliwi.
- Zatem dobrze, jeno że spać nie będziemy mogli, jako, że dumać będziemy o was pani. - Rzekł rozmarzony, ale Barbara tylko wzruszyła ramionami. - Tedy obaczmy was dopiero na obiadowaniu? - pytał z nadzieją w głosie.
- Zapewne tak.
- Śpijcie więc pani dobrze.
- Jako i wy panie - i pokłoniwszy się mu, otworzyła drzwi do swojej sypialni. Widok jaki ukazał się jej oczom był niezwykle. Cała komnata przybrana była najróżniejszymi kwiatami. Najwięcej zaś było dzikich róż, gdyż pora była taka, że przeważnie tylko te kwiaty się dochowały. Barbara ogarnęła wzrokiem wnętrze swojej sypialni i aż jęknęła z zachwyty, nigdy bowiem czegoś takiego nie widziała.
- Boże kochany! Toż to raj - zawołała radośnie. August zaś stał obok niej i podziwiał dzieło Lasoty i jego pomocników. Musiał przyznać, że pomysł był znakomity, ale i wykonanie przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Niespodziewanie Barbara odwróciła się do wielkiego księcia Litwy i po chwili jej usta, na moment zaledwie, dotknęły jego ust. Wojewodzina jednak zaraz przywołała siebie do porządku.
- Dziękuję panie i życzę dobrej nocy - i powoli zamknęła drzwi. August zaś będąc z siebie niezwykle zadowolonym, szedł powoli do przygotowanej dla niego sypialni.
- Czyżby to miłowanie? - pytał sam siebie. - Nie może to być, przecie królem i książęciem jestem! - Po czym otworzył drzwi i wszedł do swojej komnaty, gdzie już czekał jego pokojowiec Juraszek, gdyż Jerzyczka zmoęła zabawa.





MARIA KRYŃSKA-SZOSTAK

"A może to obecność próbuje się przedostać
z niewidzialnego w widzialne."
(Robert Konca, *Pocztówka dla Marii*)

Obraz we mgle

Obraz jest zamglony jakby oczy gwiazd
zaczęły przed chwilą oddawać go ziemi,
takim jakim był przed miliardami lat.

A może to zamysł Boga niedokończony.

W tej bieli jak w pustce gest wydłuża się
i skraca nieobliczalnie: nie-podstawialny
do wzoru na przestrzeń i czas, jak
para-możliwość, para-wyzwanie.

Odbicie sygnału jest jego absorpcją
i jednoczesnym oddaniem fotonu.

W jaskini Platona trwa dyskurs:
Czym jest świat?
A nasze cienie utrwalone? Pamięcią o rajach
Jego utraceniem?

W wyobraźni poetów błądzi sen przeczuwanie.
Stój. Kim jesteś? Zdradź mi swoje imię.
Nazwę cię, dokończę. Resztkami sił wydobędę
z tej mgły przeklętej i błogosławionej.

Szkic

Arturowi Rogalskiemu

Taka niedokończona stoję jeszcze w bieli
Pomijam pewność że jestem jedynie kopią
Jakiegoś szkicu w bieliznie czy jakiejś idei
Kaprysu mistrza czy treningu ręki

Wyginam swoje ciało, przeginam się wytrwale
By schwytać kochanka lub pochwycić cień
Tej pikowej damy co ukrył się w bukszpanie
Nagle moja suknia w namiętym rozgięciu

Zahacza swoim rąbkiem dłuto rzemieślnika
Trwamy tak ciągle jeszcze nie mając pomysłu
Na kolor, kreskę, kształt pewniejszy o krok
W odpowiednią stronę, melodia nie gra jeszcze

Nic nie jest pewne prócz tej nocy
Prócz oczu gwiazd filuternie bijących z fontanny
Płótna i tej dłoni, i twojej refleksji nadającej im treść
Odrzucisz więc czy zachowasz szkic

MINIATURE





GRZEGORZ ŻAK

Wopista Czesław i dni, których nie zna

- Takich dni żaden szanujący się Wopista Czesław nie zna. I tylko takie dni są ważne – wybełkotał Wopista Czesław, zaciekle, z pianą na ustach walcząc o nienaganną dykcję. Potem odstavil butelkę. Nie na zawsze. Raczej na chwilę.
- Za oknem szalała śnieżycą. Najprawdopodobniej. Jak ująłby to klasyczny radiowy sprawozdawca sportowy: „szkoda, że państwo tego nie widzą”. Kilka dni temu do przytulnego domu Wopisty (którego lokalizacja pozostawała tajemnicą nawet dla Poliszynela) wpadła wiewiórka. Przez okno. Wpadła bez zapowiedzi i bez otwierania wspomnianego okna. Potem przez chwilę piszczała*, otrzepując się z resztek szkła na dywanie i wyciągając łapki, wreszcie odeszła bez pożegnania**. Dlatego w oknie Wopisty Czesława od kilku dni zamiast szyby czerniał kawałek płyty pilśniowej, co znacznie ograniczało wopistowski światopogląd i bardzo dobrze wpływało na pomroczną niejasność umysłu i na humor. Ten czarny, zwany też



Marek Jawoszek

WOPISTA CZESŁAW

wisielczym. Szyba czekała na wstawienie w piwnicy, ale ostatnimi czasy Wopista wołał wstawiać się sam. Sam za sobą. Bez kitu. Taki stan fachowcy (a przecież wszyscy nimi jesteśmy) nazywają, zależnie od stopnia rozpoetyzowania: schizą, deprechą, dołkiem, nostalgią, albo jesienną zadumą. Dopada z tak zwanego nienacka, a najbardziej znane lekarstwo dostępne jest w większości polskich miast i miasteczek przez 24 godziny na dobę nawet w niedzielę i święta. Zwłaszcza w niedzielę i święta, zważywszy na niezbyt jasne, acz bezbłędnie działające prawa podaży i popytu. Szkopuł w tym, że Izerbejdżan zawsze rządził się własnymi prawami, a do sklepu było naprawdę daleko. Wopista spojrzał z rozrzewnieniem na ostatnie krople lekarstwa.

- Lato – mruknął zupełnie nie a'propos – Ech lato... Lato tego roku było w środę. Kiepsko, bo przegapiłem. W Gryfowie byłem na szkoleniu...

Potem był sen. Głęboki i pełen kolorowych wizji. A także samooczyszczającej świadomości, że pokazanie słabości quasi-literackiego bohatera dodaje jego postaci realizmu i ostrości, zwłaszcza w chwilach, gdy on sam jest mocno niewyraźny. To były dni, których naprawdę żaden szanujący się Wopista Czesław znać nie powinien. Ba, żaden człowiek nie miał obowiązku zaliczyć ich jako przedmiotu obowiązkowego w wielkim egzaminie z życia. Ale Wopista Czesław nigdy nie szedł na łatwiznę, uwielbiał zadania z gwiazdką, zwłaszcza te bez odpowiedzi na końcu. Słowa „nie powinien” bynajmniej go nie odstraszały, a poza tym, last but not least, Wopista Czesław nie należał bynajmniej do „się szanujących”.

Potem było powstanie. Jedno z niewielu zwycięskich w historii narodów środkowej Europy. Jego sukces opierał się, parado-

* Tak naprawdę pisk ów oznaczał w przestępczym wiewiórczym slangu: „oddawaj wszystkie orzechy frajerze, bo w zęby”.

** Nieprawda. „Phwiiiwk” to w przestępczym wiewiórczym slangu „nara frajerze, bo w zęby”.

ksalnie, na braku amunicji. Co prawda Wopista cierpiąc niewątpliwe katusze pragnął bezmyślnie zepsuć wszystko, co osiągnął, i strzelić sobie jednego, ale status quo uniemożliwiał mu to skutecznie.

Potem było otwarcie na świat. Przez pustą przestrzeń między belkami framugi wpadły promienie zimowego słońca. Ból głowy mijał powoli, oczy jeszcze wolniej przyzwyczajały się do nadmiaru jasności. Zbawienna wilgoć studziennej wody napelniała wysuszone zbyt dużą ilością innych napojów komórki ciała.

Wieczorem Wopista wstawił szybę. Spojrzał na migający nad grudniowym Izerbejdżanem Gwiazdodziór Niepowtarzalny i ugryzł kanapkę z serem. Po raz pierwszy od wielu dni bez większego obrzydzenia. Otworzył okno.

– Jestem zdrowy!!! – krzyknął w noc.

A echo, nauczone doświadczeniami ostatnich dni, odpowiedziało z przyzwyczajenia:

– Mać... mać... mać...

Wopista Czesław i patrol metafizyczny

Są takie rzeczy na niebie, na ziemi i mniej więcej pomiędzy – w Izerbejdżanie, o których nie śniło się filozofom, operatorom wózków widłowych ani nawet Zygmuntowi Freudowi. Bywa, że magia przelewa się przez szczeliny w wymiarach i przenika do codziennej rzeczywistości. W dni robocze, niedziele i święta. W soboty do czternastej.

*

– Tu jest magicznie – powiedziała Turystka wkładając w tę wypowiedź taką porcję egzaltacji, jaka tylko może zmieścić się pomiędzy czarno-trwałą fryzurą a czerwonymi botkami na obcasie.

– I zimno trochę – dodał Turysta dolewając chłodną kropelkę trzeźwości do ogarniającej jego towarzyszkę Nieodpartej Poezji. Kropelka nie wystarczyła, by ugasić ogarniającą czarną głowę pożogę.

– Ale jak magicznie! I czarodziejsko.

Powszechnie wiadomo, iż Nieodparta Poezja jest zaraźliwa i objawia się Nieco Nieadekwatnym Zachwytem:

– To prawda, magicznie – pokiwał głową Turysta i poprawił marynarkę. Już na pierwszy rzut oka widać było, że był bardziej odporny na Nieodpartą Poezję, co nie znaczy, że nie ulegał jej działaniu. Na to nie ma mocnych. Zwłaszcza, gdy w porannym czerwcowym Izerbejdżanie trwała wojna mgły ze słońcem – o panowanie tego dnia w formie pogody. Po stronie słońca opowiedział się wiatr, przeganiając smugi mgły w tę, ewentualnie w tę, a czasami z powrotem. Mgła nie ustępowała, mając mgliste pojęcie o traktatach pokojowych (nie mówiąc już o traktatach kuchennych, o których mało kto wie cokolwiek) czy o tak zwanym kompromisie. Póki co trwała chwiejna równowaga, cios oddawał cios, gwałt się gwałtem odciskał i o poddaniu się nie było mowy.

– Magicznie – powtórzyła Turystka i nabrała w płuca kilka garści niezwykle świeżego, choć mglistego, powietrza. Takie powietrze przy ataku Nieodpartej Poezji działa na niewinne ciało jak środek z grubsza rzecz biorąc niewskazany przez AA czy Monar. – Dzień dobry! – odezwał się Głos, wybrawszy najbardziej znackowy moment. Głos idealnie wpasowywał się w panującą wokół atmosferę ogólnej ulotności – Bileciki metafizyczne do kontroli!

– Dzień dobry – odpowiedziała Turystka, pobijając nieoficjalny rekord świata w naegzaltowaniu powitania. – Co do kontroli? – odpowiedział Turysta nie pobijając żadnego rekordu.

– Bileciki metafizyczne – powtórzył uprzejmie Głos dobiegając powoli spod drzew.

Turyści spojrzeli w tamtym kierunku. W silującej się z wiatrem mgłę stała postać opatulona zieloną peleryną. Twarz była spowita zielonym kapturem, a całość wyglądała tak wiarygodnie, jak wygląda dowolny obiekt w pulsującym magią krajobrazie. Na przykład żyrafa.

– Znaczy, że metafizyczne? – upewnił się Turysta – No to my nie mamy.

– Cztery pięćdziesiąt – odezwał się Głos, trochę bardziej metalicznie, acz nie mniej

rzeczowo niż poprzednio.

- Mamy dziesięć złotych – przy ataku Nieodpartej Poezji podawanie banknotu może wyglądać jak balet. I tak wyglądało teraz. Prawie. – Też może być – powiedział Głos, wyciągnął rękę i schował pieniądze do kieszeni peleryny. – No a reszta...? A bilety...? – Turysta miał pewne wątpliwości. – Bilety są metafizyczne – rozwiął je Głos – A reszta? Reszta jest milczeniem... Do widzenia.

*

Wopista Czesław odwiązał przymocowany do wewnętrznej strony obfitego kaptura blaszany kubek.

- Wynalazek – mruknął, potem przyłożył kubek do ust i powtórzył Głosem – Wynalazek... To się powinno nazywać emaliowaniem przekazu werbalnego
- Rozejrzał się po lesie, poklepał po kieszeni i zagaił teatralnie:
- A teraz w sposób fizyczny udam się na metę do Babci Wiewiórkowej i nabędę pewną pojemność baśniowości. No to na miejsca, gotowi, start i byle do mety.

*

- Tu jest magicznie – Turystka z zapartym tchem obserwowała mgłę przeciskającą się między pniami świerków. – Metafizycznie – dodał Turysta.

Wopista Czesław i trzecie ucho Melchiora

Melchior pił wszystko – dlatego, że wszystko piło Melchiora. To był prosty i wyjątkowo sprawiedliwy (zwłaszcza na pierwszy rzut oka) układ zależności pomiędzy jednostką a światem, a także odwrotnie. Dziś Melchior wędrował – w sposób zupełnie niecodzienny, gdyż na własnych nogach, a nie, jak zwykle, gdy odbywało się to na skrzydłach wyobraźni, z napędem w postaci wysokooktanowego paliwa*. Polana Izerska była skąpana w słońcu.

Melchior też. Nawet mu się podobało. Z tym, że mocno parował, tym razem nie tylko z głowy, co przypomniało mu o silnie ludzkiej potrzebie uzupełniania płynów. „W taki upał to nawet asfalt wchodzi” – pomyślał Melchior z rozrzwieniem, po czym dokończył myśl rozsądnie i zwracając uwagę na aspekty zdrowotne – „Oczywiście po lekkim rozcieńczeniu”. Piły go buty, koszula pod pachami i beret trochę wyżej. „Zemsta” – uśmiechnął się Melchior i wyciągnął niewielką buteleczkę. Odkręcił. W powietrzu zapachniały brzozy. – Ciekawe dlaczego nie ma wody świerkowej, albo wody topolnej, albo palmowej – zastanawiał się Melchior na głos patrząc na etykietę szlachetnego trunku. To było jego małe zupełnie nieszkodliwe przyzwyczajenie – zawsze oglądał etykiety po spożyciu – do momentu, w którym wszechświat zaczynał zlewać się w jedną całość. Potem wyrzucał butelkę w kierunku zlewającej się całości podświadomie badając jej konsystencję. Tak było i teraz. Butelka pofrunęła na trawę.

- Podnieś! – zabrzmiał nagle głos w formie bardzo wyraźnej sugestii. Dobiegał Skąds. Z całości.

„No, nieźle dzisiaj kopie, wiedziałem, że nie ma to jak górskie powietrze. Warto było się tu tarabanić” – zdążył pomyśleć Melchior i uśmiechnął się do wszechświata. Coś zaświszczało w powietrzu. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Potem Melchior poczuł ukłucie w ucho. Złapał się za nie, poczuł lepką wilgoć. „Wszechświat zlewa się w jedną całość” – pomyślał bardzo powoli i jakby z oddali (widział kiedyś takie myślenie w jakimś filmie o narkomanach, spodobało mu się i się nauczył). Po chwili sam przyłączył się do ogólnego zlewania się w całość. Zaczął od pobliskiego świerka. Zjednoczył się z nim niemal zupełnie. Zbratał się. Nawet pozwolił sobie, choć bez wcześniejszych ustaleń, zmieszać krew z jego żywicą. „No nie, zabiłem go!” – pomyślał Wopista Czesław, patrząc na zalanego krwią Melchiora obejmującego dorodny świerk. Wopista odrzucił łuk i spr-

* To klasyczny przykład życiowej metafory, porażającej swą dosłownością. No i kosztami zwłaszcza przy ostatnio mocno zwyższających cenach ropy naftowej.

wdził puls. Potem bez namysłu zarzucił sobie pachnącego wodą brzozową delikwenta na plecy i ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku stolicy Izerbejdżanu – Chatki Górzystów.

*

Babcia Wiewiórkowa i Wielka Księżna Izerska nie zadawały zbędnych pytań. Tylko te niezbędne:

- Coś ty zrobił, Czesiu?!
- Skąd on tu się wziął ?!
- Jak ty wyglądasz?
- Idź ręce umyć!

Z wyraźną przyjemnością pokrzykując na skulonego Wopistę jednocześnie z wielką wprawą przygotowywały się do skomplikowanej operacji. Wielka Księżna nawlekała nitkę, a Babcia Wiewiórkowa próbowała po kolei różnych nalewek ze swojej podręcznej torby. – Tha będzie dohbra – mruknęła nieco bełkotliwie – Do dezynsfenkji. Powiec Czesiu, so się stało?

- No, rzucił tę butelczynę na ziemię, to go chciałem nastraszyć trochę – powiedział cicho Wopista Czesław – Strzeliłem raz ostrzegawczo w powietrze, potem drugi raz, a wreszcie chciałem tak blisko koło ucha... no i strzeliłem.
- Bardzo blisko nawet – pokiwała głową z niejakim uznaniem Babcia Wiewiórkowa. – Z łuku strzały ostrzegawcze oddałeś Czesiu? – zdziwiła się Księżna Izerska z zupełnie niewyczuwalną ironią.
- Regulaminowo – zsalutował Wopista ciut niezgrabnie, zupełnie nie wyczuwając ironii. Babcia w dalszym ciągu badała buteleczki rozsiewając wokół woń przeróżnych ziółek na zupełnie takim samym czeskim spirytusie.
- Mogłaby babcia opisać te buteleczki wreszcie – w głosie Wielkiej Księżny było upomnienie.
- E – zbyła ją Babcia samogłoską – Do roboty. Melchior leżał na ławie w świetlicy i pachniał brzozami tudzież świerkiem. Naderwane ucho nie przestawało krwawić. Babcia Wiewiórkowa wzięła do ręki igłę i pewnym ruchem wbiła ją w skórę na policzku. Melchior ocknął się nagle.
- Co tu sze dzieje? So ja tu robię?

Babcia Wiewiórkowa nie zamierzała owijać w

niemalowane:

- Ucho ci przyszywamy, pijaku jeden ty! – wrzasnęła znieczulająco.
- Ucho? – zmarszczył czoło Melchior – A na chu... mi trzecie ucho?

*

Nowa izerska legenda głosi, że na życzenie Melchiora przyszyto mu w żądanym miejscu ucho. Było to stare ucho igielne, przez które swego czasu próbował przechodzić pewien zaczytany w Biblii wielbłąd. Przynajmniej taką wersję podał do wiadomości Melchiora Wielki Książę Izerski, do końca wypowiedzi zachowując poważny wyraz twarzy. Od tego czasu Melchior wyraźnie czuł, że ma w pewnym miejscu relikwię. A sikając, tajemniczo i jednocześnie podniosłe, pogrążony w religijnej ekstazie, patrząc w kierunku Nieskończoności wypowiadał jedno słowo dobrze korespondujące z rozbełtanym białkiem jego oczu. Tylko jedno słowo. „Słyszę”.

Legenda mówi, że naprawdę słyszał.





SZYMON KANTORSKI

Rozdroże

zakodowane osiedle wyduszk
z betonu implanty trawy puste wózki
na balkonach oczekują przyplwów

zanim meble odgonią echo od ścian
i żyłki bezgłośnie pękają pod tynkiem
minie jakiś czas uspokoisz krew

w równe miesięczne cykle jeszcze
nie czas na dym po spalonych mostach
dzwony dzwonki o pełnych godzinach

najbliższy kościół masz za pętlą
tramwajową najbliższy sklep nawet nocą
można uciec stąd jeszcze jest czas

masz swój zapach osobny krwioobieg
a wszystkie rzeczy obrócone w nieład
kiedyś wrócisz i wolno pozbierasz

Aury

- Adamowi

żołnierze rozkopują rzekę tym razem
wzdłuż nie wszęsz szpadle uderzają i fale
potu na plecach stają się coraz bardziej hardzi
lepiej tu niż w anzlu można ukradkiem zapalić
zagryzając dym

a rosjanek w hotelach robotniczych malują usta
potem idą wiankiem środkiem ulicy każda
z nich ma imię którego nie zapomnisz
choć w tym kraju prosto się zapomina takie
rzeczy

pijemy za szybko bo wolniej się nie da zapomnieć
pistolet przy głowie cyganie znów krzyczą na ulicy
tamte drobne kobiety ciężą jak bilon w kieszeni
wąż zwinięty w ogrodzie i jest ewa a jabłka opadają
kręgami wokół drzew

ta mała dziewczynka urośnie ci w rękach będzie
malowała paznokcie i biła się z chłopakami na pięści
skaza krwi odcinki specjalne serce to start nigdy meta
więc jakiś banal co prawda to prawda a prawda jest
prawdziwa. prawda?

Felipe calls Cristo

za(nim) zdołasz zaparkować
zgodnie z zasadami feng shui
dzieci wydrapią oczy kotom
w pierwszej klasie

poranna dekompresja
krew w winę

nie ma z kim nawet na allegro
pod ypres puszczają obłoki speedu
opłatek o smaku placebo
przyjmujesz jeszcze jakieś

komunika(n)ty?



MARIUSZ KARGUL

BZYKU. HOOYKOO

Bzyku

Na poloninach zostało już naprawdę niewiele czasu. Pazerni cinkciarze upychają go spiesznie do słoików po dżemie. A ja stoję tu sam, niczym kutas w poziomkach, i mieszam w szarej substancji.

Nie mam pojęcia o: pisaniu, komputerach, pieniądzach, miłości, szczerości, zaufaniu, przyjaźni. I im dłużej żyję, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że to wszystko jest chorału warte.

Ja sztukę czuję wątpiami. Z jelit zrobiłem harfę i trącam w jej gruzelki. Ku waszej satysfakcji! Ku swojej wpycham ociekające wazeliną paluchy do gardeł krytyków i czekam odzewu zwrotnego a że leję na to wszystko, krzyczę, niech mocz będzie z wami!

Niepocieszony, zaszczuty, skopany owijam się w całun mych partytur i idę do Muzeum, zalec pod Stainwayem. Może i mnie, kiedyś, naprawią...

Hooykoo

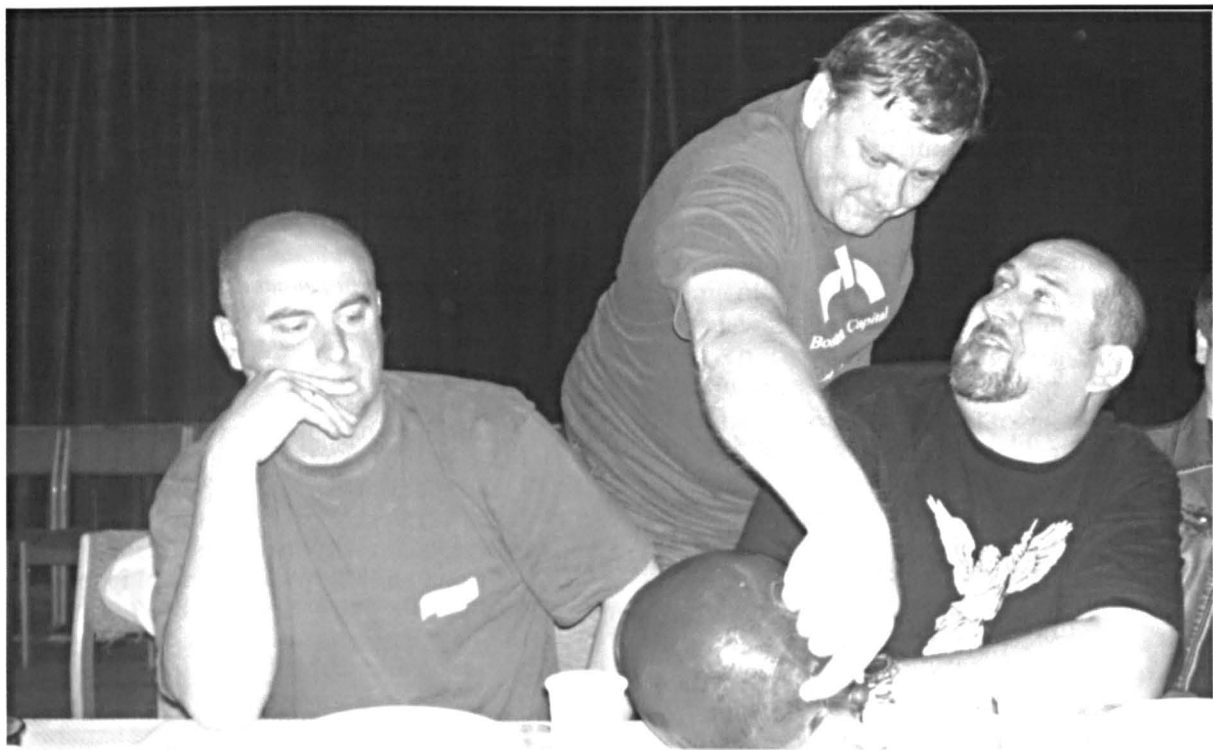
Nie wiedzieć czemu, zawsze kiedy ciocia krzyczała do mych sióstr:

- Dziewczynki, wstawać! Idźcie się myć.

Jako pierwszy podrywałem się z łóżka...

A potem były już „Chmielaki” - chmiel, rock, piwo, rozstania, powroty i szalet moralny. Całkiem jak ten w parku, przy którym rośnie owo „tajemnicze” drzewo numer 44. A wiecie, czemu ono zawdzięcza swój nietypowy kształt? Pokoleniom tych wszystkich, którzy właśnie w trakcie „Chmielaków” doświadczali alkoholowej inicjacji i wsparci o jego pień, powtarzali po wielokroć znaną mantrę: O kurwa, już nigdy nie będę!

Za rok robiło się oczywiście to samo, tylko gdzie indziej. Pod mostem, na Jezuickiej, w fontannie, na schodach ratusza...





WOJCIECH SZMIĄG

Od czasu do czasu

od czasu do czasu
odwiedź mnie
bez zobowiązań
męża, dzieci i zdrowej diety

zadaj się ze mną
wyrafinowaniem szpilek Blahnik'a
pończochami na poręczy krzesła

gdy zechcesz odejść
wyjdź szybko i dyskretnie
bez przytulenia

na granicy parkingu

na granicy parkingu długiego postoju
spotkasz młode kobiety idące od zachodu
ofiarują ci opowieść o zbawieniu w zamian
za taktowną kontemplację myśli Boga

będą szeptać na przemian miękkimi
pełnymi
wargami kurtyzan słowa Jehowy zastępów
zapropnują odpowiedź na każde pytanie
nikt nie śmie wątpić w Pismo

śmiało przemilczą ostatnie manifestacje
mniejszości
historię Darwina i wizję świata po
barbituranach
nie dojrzeje nic oprócz tęsknot

zabłąkany szczerze oznajmisz że spotkały
demona
spojrzeniem powiedziesz ich zmysły na
pokuszenie
w bezgraniczną niezależność wypieranych
pragnień
przez żądze ból tęsknotę i samotność

odejdą skalane zbliżeniem z brudem siły
nieczystej
zasną zaspokojone i brzemiennie

Odzyskując kamienne mosty

Wschodnie zakątki prowincji przydają
nowożytnym kolonom obaw
W mulistym dnie nikczemnych osadów
urzekają kamienne mosty
Pozostawione przez zapomniane duchy w
krajobrazach serdecznych

*Matkę przewożę dwa razy do roku z miasta do
rodzinnej wsi
Na groby bliskich pominiętych przy społecznych
przemianach
Od tak dawna jest w drodze do niezaoranego
obszaru nieba*

Otulony wilgocią dymu porannych mgieł
trzciniak głosem ruczaju
Zaprasza na cichość pośród rozlewisk w
głęb gęstych trzcinowisk
W płataninie strug i przesmyków ucieczka
zadumą wyczekiwania

*Dziadek odszedł nie mając okazji być
okaleczonym w wojnie
Milczał chłopom zamiejscowym utrwalaczom
władzy ludowej
Żniwując nie zakłócał spokoju obcych klasowo
puszczyków*

Nie opisze nic zapachu tataraku
zatopionego ciszą sierpniowego słońca
Za zielononózką wydziobującą z sumienia
ziarna mieszczańskiej kultury
Rozkładałam ramiona do lotu ponad
mostem tęsknym kamiennymi łukami



KRYSTYNA KARWAT

TRYPTYK Z PŁACZĄCĄ GITARĄ

1. Płacząca gitara

Tarcza słoneczna triumfalnie jaśnieje na niebie, sypiąc złotymi strużkami światła. Z Ratusza spływa na miasto hejnał. Głos trąbki przenika mury kościoła Św. Ducha, by w modlitewnym tonie przykłęknąć przed Ukrzyżowanym. Dźwięki hejnału radośnie spadają na Bramę Krakowską, biegną między kamieniczkami Starego Miasta, wyrwają się, by dotknąć rozległej bryły Zamku na wzgórzu. Po chwili wracają ze zwielokrotnioną mocą, by spacerkiem, pod rękę z przechodniami iść Krakowskim Przedmieściem, wmieszać się w gwarny świat.

Zasłuchana w południową mowę miasta podążam niespiesznie przed siebie. Nagle słyszę dźwięki gitary, powietrze napęnia się tenorowym śpiewem, który przenika do dna mojej duszy. Dźwięczny, liryczny głos, wrażliwy jak harfa eolska, budzi w sercu dziwne drżenia, jakąś rzewną tęsknicę. Jakby pozdrawiał mnie śpiewem niespodziewany potomek celtyckich bardów, mistrzów ballady. Ach, uliczny śpiewak czaruje ukraińskimi dumkami!

Słucham z bijącym sercem. Zda się, jestem czarnobrewą, ciemnoooką dziewczyną. Biegnę witać wiosnę u stóp strojnej w zieleń kaliny... Czekam na swego miłego. Dlaczego nie zjawia się? Podarować serce chciałam. „Oj, ne ma, oj, ne ma, oj ne bude”...

Rzewliwy śpiew... Brzemie smutku... Znow dążę, gdzie gąszcz kaliny, zakwitającej słodką wonią kwiatów. „A miłoho ne ma”... Powędrował w daleką drogę. „Praszczaj sielo”... Tęskni za synem „nezdradliwa” macierzyńska, łaskawa miłość. Skarży się: „Ja tiebie czekała”... Może przemierzasz bezkresny, dziki step? Suchy wiatr stepowy owiewa młodą twarz Kozaka, Kozaczénka...

Melodia snuje się jak błędny ognik po stepie...

Ej, Wołodia, czarodzieju z Żytomierza!...

Pieśniarzu kresowy o smagłej twarzy matejkowskiego Anioła grającego na cytrze, śpiewaj na przekór ułomnościom tego świata.

Melodią – owianą tchnieniem odwiecznych prawd o człowieku – prowadź przez życia rubieże – nutą tęsknoty, nadziei i miłości.

Graj, graj, „płakucza gitaro!”...

2. Wyśpiewać życie

Miękki, przejmujący głos Wołodii niesie się echem po ulicach Lublina. Zapada w ciemne bramy, pieści mury kamienic, wznosi się do uchylonych połyskujących w słońcu okien, tu i ówdzie wdzierając się do wnętrza domów, napęnia je wzruszeniem. Łka gitara, to znów wybucha nutą melancholijnej radości.

Dokąd biegiesz, żytomierski bardziej? Gdzie wiedzie cię ukraińska dumka?

Wyśpiewujesz swoje życie...

Oto wesoły, skłonny do zadumy chłopiec biegnie nad rzeką Teterew. Brodzisz jej pływając, rozpryskujesz srebrzyste krople wody, śmiejesz się albo pochylony nad lustrem rzeki wypatrujesz swojej złotej rybki. Może śnisz o niezwykłych podróżach, dalekich krajach, cudach świata? A może przemierzasz szeroki step z bujną roślinnością, wdychasz słodko-gorzki zapach stepowych ziół...

Ech, dusza w tobie śpiewna!... W cytrynowo-żółtych ścianach i białej dekoracji architektonicznej soboru pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego w środku Żytomierza słyszysz muzyczne echa dramatycznych scen – oto runęła dzwonnica, zniszczony sobór. W kilkanaście lat potem zabrzmią triumfalne dźwięki towarzyszące odbudowie – słyszysz je... Wyśpiewujesz historię Żytomierza, Rusi Kijowskiej i śladów polskości na tej ziemi z kościołem pod wezwaniem św. Jana z Dukli, klasztorem Bernardynów, starą katedrą. Patetyczny koncert grają ci, żytomierski bardziej...

Nieś go w świat!

3. Europejskim szlakiem

Są ptaki wędrowne – przelotne, powrotne...

Wędrują ryby do miejsc, gdzie rodzą
szczęśliwie swoje potomstwo. Planety
szukają dla siebie nowych przestrzeni w
kosmosie. Nawet kurhany, zaspy i wydmy
ulegają pokusom wiatru, by przesuwać się
miejscami na miejsce. W człowieku drzemie
natura pielgrzymia. Od wieków trwa nasze
pielgrzymowanie.

Pieśniarzu żytomierski, jesteś jak ptak gotowy
do lotu. Co cię tak gna? Jakie szlaki ci
grają? Jaką pieśnią je witasz? Dziś Lublin,
jutro miasto Kopernika, a wkrótce
królewski Kraków... Płacze twoja gitara,

śpiewasz światu pieśni swej duszy targanej
niepokojem własnego narodu,
niepewnością jutra, nade wszystko jednak
odkrywasz urodę i bogactwo człowieczej
natury.

Graj gitaro, śpiewaj, Wołodia, ludziom na
radość, sobie na chwałę. Miejsca dość
wszędzie dla ulicznych bardów.

Wędrowne szlaki Europy przed tobą. Dom
może stać tu i tam, jeśli w nim wielkie
serca, prawda, mądrość i przyjaźń.

Pieśniarzu żytomierski, wysłanniku piękna,
nieś swoją pieśń. Niech brzmi gitara, niech
twój śpiew płynie po wędrownych
szlakach. Niech zadrzą serca, a dusze
przepełni radość istnienia, życia.



PRZEMYSŁAW KULIŃSKI

Limeryk

Wracamy z pól gorzkiej Troi,
zdrapawszy naskórek z omszałej dłoni.
Pytamy: któż wiedział,
że spartański ideał
to mit zmarłych? Nam ran nie zgoi.

Gwiazda

Bądź mi
jak purpurowa gwiazda Chrystusa
rzucona na niebo apostołów.

Bądź mi
na śmierć wymyślną
i zaklinaj na świt
kiedy przyjdzie po trzykroć zaprzeć się
ciebie jak serca przebitego włócznią.

Krzyżuj
za każdy dzień jak ropniak
co przeżera ciało
w pięcioramienną gwiazdę ran.

"Kto kocha, ten jest z drugiej strony"

Rozcięty naskórek powietrza
wypełniam Twoim posmakiem.

Więc czuję - ciało to jest
oddech jak puls
w nadgarstku.

Więc odgaduję -
to za szybą
to jest czarna dziura
odrywa powietrze
jak opatrunek z rany.

Broczysz miesięczną
krwią.

Znaczy: ból.

Znaczy: jesteś.

Wobec Ciebie się sprawdzam.

Znaczy: miłość
jak ciepła krew.



JOANNA ZAKRZEWSKA

AUTOPORTRET. TAKA PIĘKNA EROTYKA

Autoportret

Stoję przy jasnooświetlonym oknie, unosząc wysoko w dłoni swoje zdjęcie. Swoje prawdziwe zdjęcie... Tak wyglądam naprawdę.

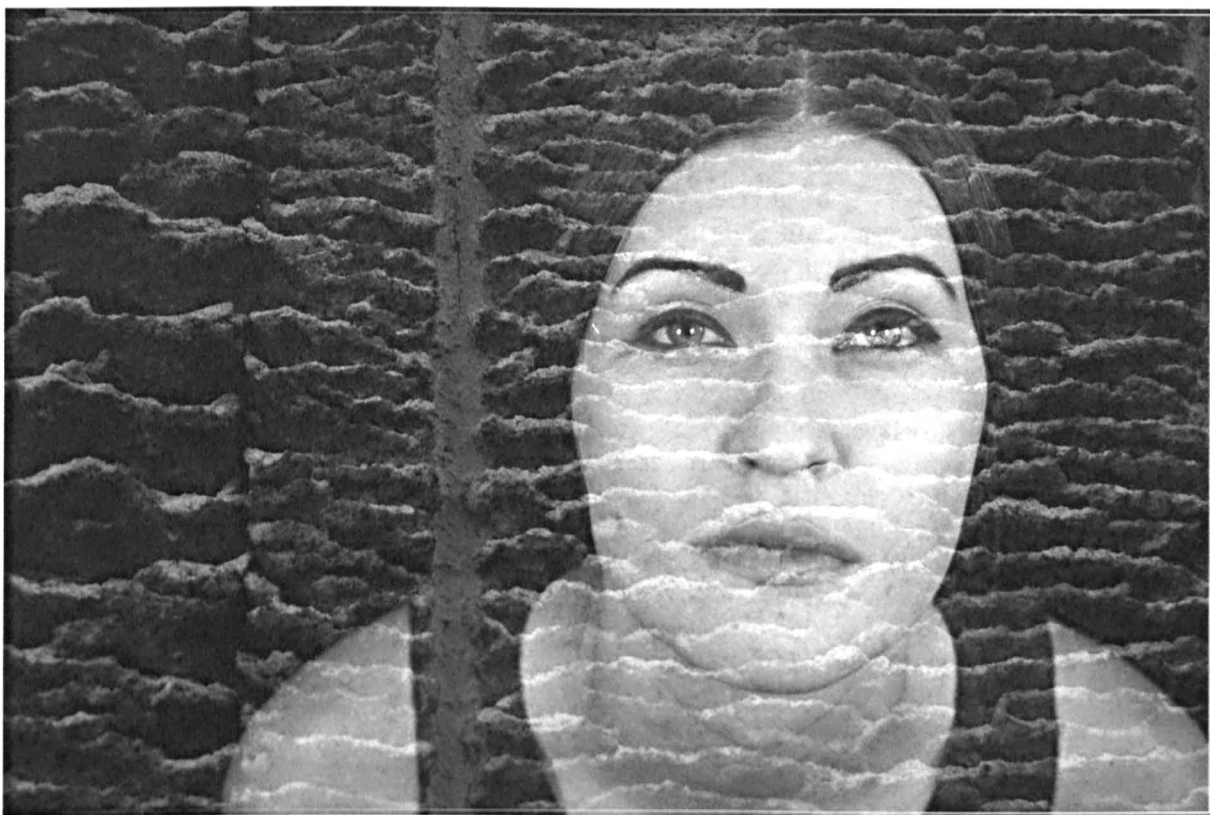
Bo to, że mam oczy niebieskie i gładką skórę tak naprawdę wcale nie ma znaczenia.

Mówi się, że każdy człowiek jest niezwykle, niepowtarzalny, bo taki właśnie jest układ jego rysów czy wykrój ust. Dlatego dumnie obnosimy tą swoją fałszywą twarz, w którą jednak beczelnie śmieje się nam natura. Bo tak naprawdę wszyscy jesteśmy bardzo do siebie podobni, dla niewprawnego oka niemal nierozróżnialni.

I to właśnie uświadamia mi moje ostatnie zdjęcie portretowe. Bardzo wyraźnie i chłodno mówi mi, że kiedyś zniknie to, co teraz odróżnia mnie od innych. Moje

niebieskie oczy, które teraz z radością obserwują wiosenną, żółtozieloną poświatę wokół drzew, zapomną kiedyś tak o tym widoku, jak i o milionach innych. Rozpłyną się, zgniją... Moja skóra na trwale przyschnie do policzków, zniknie delikatna mięsistość i czerwień warg. Mózg, który jest mi przyjacielem i dumą, który wraz ze mną intensywnie przeżywa każdą chwilę i pomaga mi teraz zapisywać te słowa, stanie się kiedyś bezkształtną mazią.

Zdjęcie daje mi przedsmak mojej wieczności, którą, w swojej arogancji, odsuwam w nigdy nie mający nadejść dla mnie czas. Podobno zdjęcie Roentgena to tylko zatrzymane w ruchu elektrony... Paradoks. Te niewyobrażalnie małe części atomu pomagają nam zobaczyć to, co po nas zostanie...



Spoglądałam na swój prawdziwy portret.
 Złowieszcze, puste, lecz jak wymowne
 oczodoły, dramatycznie rozwarłe szczęki
 i... krzywa przegroda nosowa, której na
 mojej żyjącej twarzy tak naprawdę nie
 widać...

Taka piękna erotyka

- Pozwól mi - prosił przyciszonym głosem.
 Pozwól...
- Światło małej świeczki nienachalnie wydobywało z mroku jej drobną twarz, cieniuąc każde wgłębienie i każdy, nawet najmniejszy grymas. Poddawał się więc jeszcze bliżej i, zamknawszy oczy, delikatnie przyłożył palce do jej głowy. Nie cofnęła jej, a przeciwnie, poddała się nieco na przód tak, aby opuszki jego palców mogły zwiedzić, milimetr po milimetrze, owal jej twarzy. Potem przechyliła głowę na bok tak, aby mogli razem odkryć istnienie tej przedziwnej linii, biegnącej od małego wgłębienia za płatką ucha, aż po obojczyk. Linia życia, bo pulsująca krwią, obietnicą, życiem właśnie.
- Pozwól... - zaszeptał znów i, czując ciągle napięcie jej mięśni, mocno przytulił ją do siebie. Jesteś piękna. Taka piękna...
- Śluchała jego słów ze ściągniętymi brwiami i wypisaną na twarzy jakąś dziwną walką. Nierówną walką, gdyż ciało zaczynało już brać górę nad rozsądkiem, nad strachem i nad wstydem. Zaczynało brać górę nad tym wszystkim, z czym walczyła od lat, od momentu, w którym pierwszy raz, boleśnie, uświadomiła sobie swoje ciało.
- Może byłoby lepiej, gdyby nigdy nie rozwinęły się jej piersi, gdyby to magiczne miejsce w samym dole brzucha nie zaczęło żyć własnym, wymagającym życiem. To słodko i zarazem niepokojąco pulsujące centrum jej ciała, przypominało się coraz natarczywiej, coraz częściej...
- Chcę patrzeć... - w jej myśli wdarł się jego głos. Chcę na ciebie patrzeć, słyszysz? Pozwól mi...
- Tyle było prośby w jego wzroku, tyle miłości, że podsunęła się znów bliżej ku niemu, usiłując przełamać swój strach przed prawdą, przed prawdą, która za chwilę stać

- się też miała jego udziałem. Pozwoli rozpuściła włosy, a potem uniosła ramiona do góry, pomagając mu zdjąć z siebie oliwkowy sweter. Włosy opadły na jej półnagie ciało, nieświadomie obdarzając ją obiecującą pieśczęcią, do której dołączyły się, jeszcze nieśmiało lecz wiedzione już instynktem, męskie dłonie. Wyrysowywał ją teraz przed sobą oczami i wylawiał rozmyte świecą kontury jej ciała opuszkami palców. Wizualizował tę chwilę tysiące razy, ale dopiero teraz stała się ona najprawdziwszą treścią. Delikatne żebra, doskonałe, drobne piersi i to miejsce, którego do tej pory nie umiał sobie wyobrazić. Miejsce, w którym przewężenie talii szybowoła łagodnym łukiem ku idealnej krzywiźnie prawego biodra...
- Potem drugą dłonią szukał takiego samego miękkiego miejsca po drugiej stronie, ale tym razem jego palce nie zagłębiły się w ciepłej delikatności ciała, nie znalazły owej rozkosznej krągłości drugiego biodra. Natrafiły tylko na jakiś dziwny fragment skóry, to gładki, to poprzecinany łykowatymi ścięgnami. Jego palce na moment zamarły, a ona spięła się do granic możliwości i zwinęła w ciasny kłębuszek, kryjąc się pod oplatającymi ją włosami. Nie rozluźniała się nawet wtedy, gdy jego palce znów podjęły przerwana wędrówkę po jej okaleczonym i świadomym swej ułomności ciele.
- Przecież ja to wszystko wiem. Od dawna wiem... - powiedział tylko z prostotą, nie usiłując jej niczego tłumaczyć ani o nic nie pytać.
- A potem, gdy leżała już przy nim całkiem naga, przytulił twarz do jej okaleczonego, pozbawionego kobiecości biodra i do tego posiatkowanego pajęczyną blizn, nienaturalnie chudego uda i powiedział:
- Jesteś doskonała...





SPRAWOZDANIE

Siedlce 25 VII 2008

Około połowy 2008 roku, a dokładniej w maju (pod koniec maja), część członków Clubu Hulia Cortazara ładowała akumulatory twórcze w Tatrach, za słowacką granicą. Piknie było, burze mózgów wywoływały wyładowania atmosferyczne, wieczorami snuły się mgły i metafory (zwracam uwagę na dodatkowy walor tego zdania - można je czytać także od końca). Duchy: Luby, mistrza Protektoratu Czech i Moraw, w wadze lekkiej, jego sparring - partnera Mirka, chłopca w *zeleniej voienskej czapicy* (?czetnickiej?) którego *zhipnotyzowało pekne slovacke dievce*, Palo Rympala (wzrost: 189 cm, waga: 100 kg, budowa: atletyczna, oczy: niebieskie, wyszedł z zakładu karnego /pewnie po papierosy/ i niestety nie wrócił /?zabłądził?amnezja?amnestia?/, ktokolwiek widział niech da znać na najbliższą komendę policji (słowacką) lub Svetanovi Lisiakovi, stroskanemu dyrektorowi Zakładu Karnego nr 4 w Słowa-

ckim Popradzie), Ezry Pounda i wielu, wielu innych polatywały nad Muraniem, Hawranem i barem *Proteška*.

Panom prezesom Koziny i czytelnikom meldujemy: zadanie wykonane, natchnienie zawekowane. Do sprawozdania załączamy kilka obrazków i zwrotek.

Podpisano: A.R., starszy grafoman.

R. K., sekretarz poetycki.

P.S. Zamówienie na absynt zrealizowaliśmy, ale nie możemy przedstawić dowodu, bo ktoś go wypił w nocy, w pociągu kiedyśmy spali (tylko butelki zostały). W związku z powyższym złożymy zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa, a pieniądze będą zwrócone jak złapią i osądzą nieznanych nam (na razie) sprawców. Chamstwo z całego świata złazi się teraz do tego Orient Expressu. W przedziale restauracyjnym kasza niedogotowana.





ROBERT KONCA

dla A. R.

Czekając na światło

ten pejzaż wart jest fotografii
takie Karpackie *Pod wulkanem*
przestrzeń jest jednak niewyraźna
wicher wertuje Księgę Blasku...
siadamy więc na poloninie
wcielenia tymczasowych kształtów
w obliczu grani niemal wiecznych
czekamy na właściwe światło

tu się oddycha, marzy, śni
czas zacząć dialog poetycki
kto wierszy lepiej słucha niż
prastare te dwutysięczniki
tu się nauczyć można jak
oswoić, nazwać niewidzialne
z doliny się podnosi mgła
czekamy więc na światło

rozmowa schodzi wnet na sztukę
w tym sztukę walki oraz film
są tu mistrzowie pędzla, pióra
no i Bareja, Jarmusch, Lynch...
krążą cytaty, drżą obrazy
wersy przechodzą w prolog burzy
wznosimy toast z Bruce'em Lee
powolnym ruchem jak w tai chi

łazą się do nas duchy, psy
zza chmur pozdrawiają zmarli
gdy patrzę na nas jakby z zewnątrz
wiem że ktoś jeszcze na nas patrzy...
niedawno zeszła tu lawina
mówił gospodarz grzejąc grog
czytamy *Pieśni* Ezry Pounda
czekając na światło...

ożyły dawne mitologie
Necronomicon, Crowley, Poe
i nawet nie zauważyliśmy
jak zaczął nas spowijać mrok
lecz pejzaż który tak zachwycał
był w nas przeniknął przez migawkę
i tak bezwiednie wchłonęliśmy świat
kiedy czekaliśmy na światło



ARTUR ROGALSKI

dla R. K.

Pasma

Białe miasteczko
w dolinie

słońce już prawie za szczytami

patrz
kościółek
czerwone dachy domów
sągi drewna ułożone w równe stosy
przy umarłym kinie

tylko niebo
na wywołanym później zdjęciu
mroczne
beskresna otchłań skłębionych chmur

a w dole
wyrwane pnie drzew
potworne oblicza skał
przysłoniła
łagodna maska letniego wieczoru

to łatwe
nakładajmy na świat
maski
każdego dnia
od świtu do zmierzchu
a potem wrócimy do snów
w refleksach
światła z okien domów
słupów
wież





ARTUR ROGALSKI

Marii Kryńskiej-Szostak

W odpowiedzi

Nawet nie zamysłem
szkicu

jesteśmy tylko farbami
zbiorem pstrokatych plam
na palecie Mistrza

używanymi
bez końca
do jego jedyne arcydzieła
z każdego będzie pożytek
nie mylili się prorocy

zwęglone ciała templariuszy
i Joanny
to czern na skrzydła aniołów nocy
lub pyski gargulców

karmin kobiecych warg
i krew
w purpurę królewskich szat
wtopione

a słowa marzenia strach
mieszanina czerni i bieli
idealne na obraz pod tytułem
szare pokoje
ze smużką pajęczyny

w oczekiwaniu
na wybór odcieni
niektórzy
samotni
jak kolory podstawowe
inni zespoleni
w barwy pochodne

to tylko minerały kosmosu
które roztarto na drobinki
spojone odrobiną wilgoci
uczuć

z prochu jesteś w proch się obrócisz
ze światła przybyłaś
w otchłań blasku wrócisz
zastygniesz stwardniałą plamką
na płótnie

białym szorstkim gruncie
wszechrzeczy



ROBERT KONCA

Martwa natura

na Twoim balkonie
uznanym za najpiękniejszy w mieście
postanowił umrzeć wróbel

leżał nieruchomo jak przedmiot
na błękitnej posadzce
pośród doniczek z kwiatami
kwintesencja martwej natury
z płócien starych mistrzów

gdy brałem go do ręki
wyobraziłem sobie
że czuję bicie jego serca
że znowu żyje
i za chwilę odfrunie
jakby właśnie zbudził się o świcie

później wyszedłem na podwórze
by oddać wróbla na pożarcie ziemi
sypiąc mu na skrzydła płatki kwiatów
niczym szczyptę egzotycznych
przypraw



Artur Rogalski

PREZENTACJE



WYCIĄGNIĘTE Z KOTŁA

Krakowska Galeria „Kocioł Artystyczny” (www.kociolartystyczny.pl) mieści się przy ulicy Sławkowskiej 14, na I piętrze, 100 metrów od Rynku Głównego. Skupia około 60 artystów krakowskich i kilku malarzy z poza granic Polski. W Kotle jest wszystko, ze sztukami pięknymi na miejscu pierwszym; można kupić znakomity obraz, rzeźbę, biżuterię etiopską, fotografię, poezję, katalogi malarskie... i „Kozirynek”. W Kotle sprzedaje się sztukę szczególnego rodzaju - ciepłą, miłą sercu i oku, taką, z jaką się przyjemnie mieszka.

Niezależnie od sygnatury mistrza czy też tego artysty, który niebawem nim zostanie.

Galerię Kocioł Artystyczny prowadzi Lidia Żukowska - poetka, scenograf i reżyser, wiceprezes krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich, osoba bardzo w Krakowie znana i dla tego miasta zasłużona.

Specjalnie dla „Koziegorynku” Pani Lidia prezentuje najciekawszych twórców, których prace zdobią Galerię Kocioł Artystyczny.

BRONISŁAW CHROMY

Rzeźbiarz, medalier, rysownik, profesor ASP w Krakowie, członek Polskiej Akademii Umiejętności, uczeń Xawerego Dunikowskiego. Po ukończeniu Liceum Sztuk Pięknych rozpoczął studia na krakowskiej ASP. Dyplom uzyskał w 1956 roku. W latach 1961-2001: 79 wystaw indywidualnych, 16 realizacji rzeźbiarskich, otrzymał 32 nagrody, odznaczenia i wyróżnienia. Jako rzeźbiarz zrealizował między innymi *Piętę Oświęcimską*, *Smoka Wawelskiego*, *Pomnik Żołnierzy Polskich*, *Papieża Jana Pawła II*, monumentalne drzwi kościelne poświęcone życiu Maksymiliana Kolbe w Tarnowie, dwa pomniki w Londynie. Powstało kilka filmów o artyście. Prace jego znajdują

się między innymi w muzeach europejskich i w prywatnych zbiorach.

„Poszukiwania twórcze Bronisława Chromego jego wrażliwość i wyobraźnia - pisze K. Olejnik-Drejos - są szeroko otwarte na doznania zewnętrzne, na postrzegany świat. We wszystkich dziełach odnajdujemy cechy jego osobowości: bezpośredniość, prostotę, szczerość”.

Prywatnie mieszka na obrzeżach Krakowa, posiada własną galerię na Woli Justowskiej, a drugą we własnym ogrodzie, którego cerberem jest piękny pies.

Zapytałam Jerzego Madeyskiego jak to było naprawdę z Chromym, podobno pani profesor Hanna Rudzka chciała z niego „zrobić” malarza? Kiedyś bowiem, a działo się to jeszcze podczas studiów na ASP w Krakowie jego obrazy oglądała sławna profesor Hanna Rudzka-Cybisowa, po czym podeszła do Chromego i rzekła: „Przydałby mi się taki kolorysta jak Pan. Niech Pan przyjdzie do mojej pracowni”. „Eee, nie pójdę” - pomyślał Chromy - „Takie wielkie i silne chłopisko jak ja z leciutkim pędzelkiem w ręce, jakby to wyglądało i co by ludzie o mnie pomyśleli?”. I nie poszedł. A jednak maluje. Malarstwo upomniało się o niego, choć dopiero wiele lat później. Kiedyś, na urlop Chromy zabrał blejtram, pędzle i farby swej córce, studentce ASP i tak powstał pierwszy obraz, po nim



przyszły inne, coraz lepsze, coraz łżejsze, coraz bardziej rozmalowane, coraz bardziej świetliste i przestrzenne, tak właśnie, jakby Chromy chciał w ich ulotności zrekompensować sobie konkretny ciężar kamieni i brązów swych rzeźb. No, a poza tym Chromy maluje to, co lubi, i co oddaje również w swoich rzeźbach, a mianowicie radość życia i optymizm. Jego optymizm wywarł swe piętno również na „narodzinach pegazów” - ulatujących w otwarty, błękitny przestwór, w którym gdzieś daleko mającą zamglone wierzchołki gór.

Samego Parnasu może?

- *Co sądzisz Bronisławie o miłości, o pięknie?*
- *Cale moje życie to miłość do przyrody i calej natury, a w naturze mieszczą się też kobiety, a jeżeli chodzi o piękno, to do tego piękna należą kobiety, konie, pantery. Było to we Włoszech, szedłem do zoo, zobaczyłem panterę - jej gibkość - to szczyt zwinności, finezji, to jest to, co natura może darować.*
- *Co sądzisz o rozwodach?*
- *Ja się nie rozwiodłem ze względu na teściową, która była moim aniołem. Nad grobem teściowej powiedziałem żegnając ją: „Jakże piękną istotą jest człowiek, jeśli jest człowiekiem”.*

rozmawiała Lidia Żukowska

BARBARA GOSHU

Absolwentka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych i ASP w Krakowie, Wydział Malarstwa i Grafiki, dyplom w 1967 roku u profesora Czesława Rzepińskiego. Ponad 30 lat temu wyjechała do Etiopii, mieszka w Addis-Abebie. Realizuje fantastyczne sny swojego dzieciństwa - maluje dużo, złościsto, szaro, szarobłękitnie, w brązach i pomarańczach. Jej styl to kontynuacja tradycyjnej sztuki etiopskiej, ale jej święci i aniołowie nie są symbolami pozaziemskich uniesień, dzięki jej interpretacji są bliżsi człowiekowi naszego stulecia, spragnionego ciepła i miłości. Te twarze i oczy etiopskich świętych wyrażają ziemskie uczucia. Vittorio Fiocca powiedział: „Z obrazów Barbary Goshu patrzą na nas wielkimi, etiopskimi oczami anioły o polskich sercach”. Jej ikony malowane na desce znane są na całym świecie.



- *Przyjeżdżasz do nas przynajmniej raz do roku, urodą swoich dzieci i swoimi obrazami propagujesz przyjaźń polsko-etiopską!*
- *Utrzymuję stałą więź z rodzinnym krajem, tutaj mam syna Marcina, wnuka, drugi mój syn Jakub z małżeństwa z Worku Goshu, skończył studia w Krakowskiej Politechnice na wydziale Architektury, tutaj ożenił się z Polką! Nasze role się powtórzyły. A tak w ogóle, w moim życiowym tyglu wciąż dzieją się różne rzeczy. Na przykład, zabrałam z Polski moją bardzo chorą matkę do Etiopii i tam teraz z nami żyje, czuje się potrzebna i chyba szczęśliwa.*
- *Czy kontynuujesz tradycyjną sztukę etiopską?*
- *Po pierwszym upojeniu tym malarstwem przyszły refleksje. Odnoszę się do etiopskich dzieł z respektem i podziwem, ale kształtuję swój własny styl, który można nazwać kontynuacją tradycji.*
- *Twoje obrazy znane są dzisiaj w wielu krajach świata.*
- *Rzeczywiście, wciąż dostaję zaproszenia. Czasem mam wrażenie, że pełnię rolę etiopskiego ambasadora sztuki. Zafascynowana jestem krajem i jego starą kulturą, malarstwem kościelnym, starymi księgami pisanymi i malowanymi ręcznie na pergaminie i skórze.*
- *Gdzie można kupić w Addis Abebie twoje dzieła?*



- *Mamy z Worku swoją galerię. Tutaj spotykają się z nami przedstawiciele różnych narodów, dostojnicy państwowi, artyści i ludzie prości, wszyscy kochający sztukę.*

rozmawiała Lidia Żukowska

GRAŻYNA KORPAL

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie - Wydział Archeologia Śródziemnomorska, Uniwersytet Sienneński, Krakowska ASP Wydział Malarstwa - specjalizacja: Konserwacja Dzieł Sztuki. Z dziada pradziada krakowianka, profesor krakowskiej ASP. 21 wystaw indywidualnych oraz udział w 69 wystawach zbiorowych. Posiada wiele nagród i wyróżnień a jej obrazy znajdują się w muzeach i kolekcjach prywatnych w wielu krajach.

- *Shczęście?*
- *Jestem człowiekiem szczęśliwym, robię to, co kocham - maluję. Od dziecka wiedziałam, co będę robić, np. Wydział Konserwacji Dzieł Sztuki był szczęśliwym wyborem - studiując czułam się uczennicą starych mistrzów, poznając ich warsztat i tajemnice zawarte w ich dziełach. Czuje się równie szczęśliwą, że chodzę własnymi drogami i jest mi obojętne, co jest w*



sztuce modne i lansowane. W świat moich obrazów wkrada się oczarowanie antykiem... to taka moja najstarsza miłość, stąd w moim życiorysie archeologia śródziemnomorska.

- *Twoje magiczne miejsca?*
- *Naturalnie Kraków, Siena jedyna, niepowtarzalna z całą tokańską oprawą. Światło, zapachy, smaki. Piazza Mangia, Palio, Brunello di Montalcino... Ja o Sienie mogę bez końca, miałam tam pierwszą poważną wystawę indywidualną w Fortecy Medycejskiej - jest tam Enoteca ta jedyna w swoim rodzaju świątynia wina, wprowadziła mnie w tajemniczą dziedzinę sztuki degustacji tego szlachetnego trunku.*
- *A twoja przygoda malarska?*
- *To też Włochy! Byłam stypendystką Uniwersytetu Siennieńskiego (jako obywatelka PRL-u nie byłam krezurem), dostałam zamówienie (dar niebios!) na namalowanie obrazu! Miał to być dzik w biegu. Miejsce jego powieszenia - szacowna rezydencja myśliwska w sercu Moremmy toskkańskiej. Dzik nie był dla mnie zwierzęciem egzotycznym (uczestniczyłam z ojcem w polowaniu na karpackie dziki w Bieszczadach), ale to co innego widzieć a co innego namalować go w biegu, a we Włoszech jedynym moim modelem był prosiak z rożna! Odniosłam sukces!*
- *Zaczęłyśmy rozmowę od Włoch, a przecież twoje wędrówki po świecie nie ograniczają się tylko do Italii.*
- *Zair - było gorąco, parno i leniwie. Błyskawiczne zachody słońca topiącego się w rzece Tongo, niezmierzone wody unoszące kołnierze hiacyntów, słodki zapach rozkładających się orzeszków ziemnych, wędzonej szarańczy, a poranek budził mnie zapachem ananasów przynoszonych na głowach czarnych, gibkich piękności! Malowałam tam mało i oszczędnie. Fascynacja egzotyką i tropikalną roślinnością w połączeniu z absolutnym spowolnieniem rytmu, prowokowała do ascetycznych prawie abstrakcyjnych obrazów. Nigdy już wróciłam do tego rodzaju malarstwa.*
- *Gdzie podziały się te obrazy?*
- *Niestety, pozostały w rękach „znarkotyzowanych” Kongiem Belgów. Uciekłam z Kinszasy, wróciłam, ale już widziałam otaczającą mnie rzeczywistość przez pryzmat murzyńskiej wioski, leprozorium czy heroicznej pracy misjonarzy. Jest jednak jeden zarejestrowany w pamięci,*



było to lotnisko w Lagos, nowoczesność, aluminium, heban i środek nocy. Przerwa w locie, puste lotnisko, na srebrnym tle ściany wyjęta prosto z buszu w pełnym rynsztunku z długą włócznią, półnaga, postać buszmena zastygła w oczekiwaniu.

- *Co dają artyście takie podróże?*
- *Włochy dały mi blask światła i pewność, że można pokochać i przeżyć artystycznie nawet najbardziej „dziki” temat. Zderzenie z afrykańską rzeczywistością, sprawiło, że wkradł się niepokój i świadomość, że wciąż jestem na początku moich artystycznych poszukiwań.*

rozmawiała Lidia Żukowska

MARIUSZ RUTKOWSKI

Dyplom z wyróżnieniem w pracowni grafiki
prof. Jerzego Jędrysiaka. (Instytut Sztuki)

Wystawy:

1993 wystawa w galerii Atelier, Kraków

1998 wystawa grafiki na Zamku w Nidzicy

2003 wystawa *Co nam w duszy gra* Galeria

Kocioł Artystyczny, Kraków

2005 wystawa z cyklu *Jednego Działa* Galeria

Kocioł Artystyczny, Kraków

2006 wystawa *Taki pejzaż* Galeria Kocioł

Artystyczny, Kraków

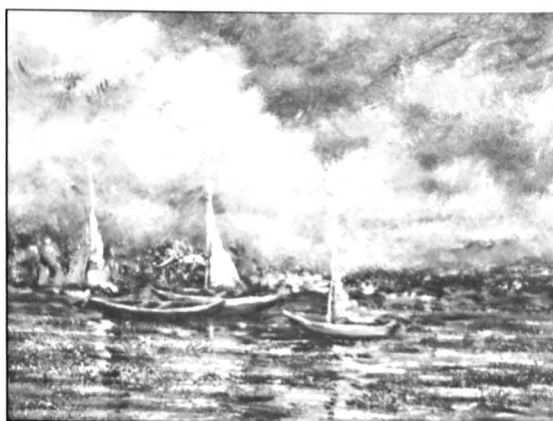
Prace w zbiorach prywatnych w wielu krajach:

Niemcy, Wielka Brytania, Włochy, Francja,

Stany Zjednoczone, Kanada, Austria.

*„...Kreatywność, różnorodność i nie powtarzanie
samego siebie to najważniejsze dla mnie elementy
zawodu plastyka. Odkrywanie na nowo, w nowych
interpretacjach, w nowych środkach wyrazu tych
samy tematów zajmuje istotne miejsce w moim
malarstwie.*

*Obok malarstwa zajmuję się również sztuką
użytkową - grafiką komputerową. Te dwie
dyscypliny wpływają na siebie, inspirując i*

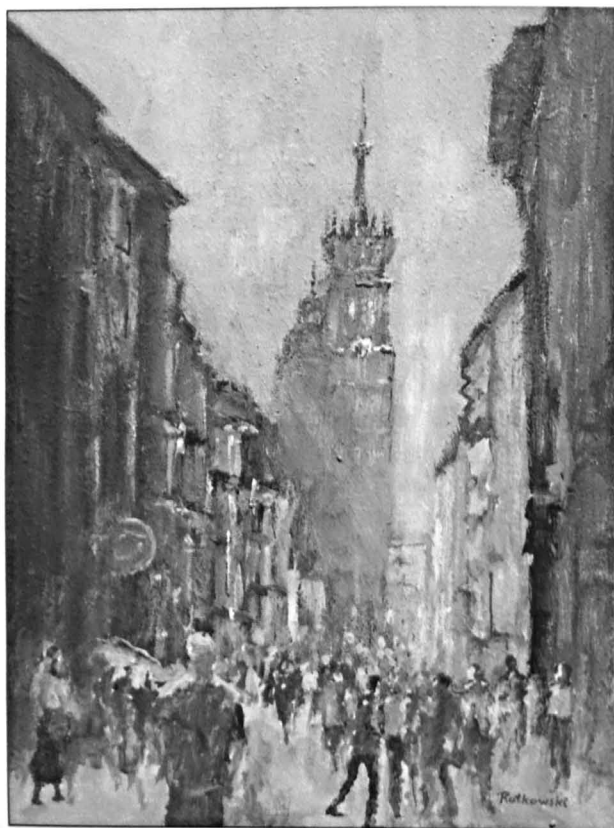


*podpowiadając sobie wzajemnie. W ten sposób
eksploatuję różne pomysły i rozwiązania przypisane
do jednej, bądź drugiej dziedziny tworząc nową
całość tak na polu malarstwa jak i grafiki
komputerowej. Powstające w ten sposób prace nie są
może do końca jednorodne ale za to za każdym
razem nowe, eliminujące powtarzalność samego
siebie.*

*Inspiracją dla mnie jest nie tylko natura, ale
również sztuczna, wirtualna rzeczywistość
stworzona przez człowieka, wykreowana przez jego
wyobraźnię.*

*Cenię harmonię, ale również pewien rodzaj
łamigłówki kształtu układającej się w bogaty i lekko
zagmatwany wzór. Ważnym elementem we
własnych pracach plastycznych jest również ruch,
żywiolowość, nastroj i zmysłowość”.*

opracowała Lidia Żukowska



ALEKSANDER ŻYWIECKI

Urodził się w 1962 roku. Jest absolwentem Wydziału Grafiki ASP w Krakowie (filia w Katowicach). Swoje prace wystawia od 1985 roku. Jego obrazy znajdują się w kolekcjach i zbiorach prywatnych w Polsce, Niemczech, Szwajcarii, Francji, Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, w siedzibach firm i instytucji, a także w kilku polskich placówkach dyplomatycznych za granicą. Ma na koncie kilka wystaw zagranicznych w tym najważniejszą w Houston (USA), która odbyła się jesienią 2001 roku. Swoją sztukę prezentował także w Belgii - Europalia 2001. Aleksander Żywiecki uprawia ten rodzaj twórczości, która nie sili się na programowe nowatorstwo, a przeciwnie, ostentacyjnie nawiązuje do malarstwa



- *Mieszka Pan na Śląsku, ale nie ma go w pańskiej twórczości.*
- *Mieszkam tam, ale maluję pejzaż taki bez smogu i zadymienia. W tamtym roku "zachorowałem" na Kazimierz nad Wisłą. To miejsce zmusza do tworzenia. Po prostu tam chce się śpiewać, pisać wiersze, malować. Ten urok tego miasteczka oraz piękno rozciągających się wokół niego plenerów. To istny raj dla artystów. Każdy skrawek tej ziemi urzeka prostotą, urodą pól pachnących sianem i świeżo żętyym zbożem. Kobaltowe niebo i płynące na jego tle zwaliste chmury czy zwiewne obłoczki, to wszystko, w połączeniu ze srebrną nitką wijącej się Wisły, tworzy ów niepowtarzalny pejzaż Polski.*
- *Dlaczego wybrał Pan pejzaż nawiązując do malarstwa Młodej Polski?*
- *Bo to jest pejzaż nastrojów, które zna każdy, nie ma człowieka, by nie uległ urokowi nostalgicznego zmierzchu, obserwował w zadumie zachody słońca, przyglądał się płynącym po niebie obłokom. Każdy chyba zna uczucie nieokreślonego lęku na widok skłębionych chmur i dziwne poczucie bezpieczeństwa płynące z ciepłej, pachnącej łąki. To piękno wciąż nas jeszcze otacza, ale jest go coraz mniej, za to coraz więcej betonu, na szczęście są jeszcze dzikie pejzaże na Podlasiu, Mazowszu, terenach nadbiebrzańskich. Na moich obrazach bohaterem jest niebo i snujące się po nim chmury i ten teatr, jaki potrafią stworzyć, gdy przegania je wiatr - to mnie fascynuje.*
- *Bardzo poetycko i malarsko przedstawił Pan kawałek polskiej ziemi. Gdy byłam na Litwie, często kłaniałam się chmurom mówiąc - dzień dobry panie Aleksandrze.*
- *Dziękuję - to dla mnie duży komplement.*

rozmawiała Lidia Żukowska



PP JAK PORTAL PISARSKI

Czytasz właśnie pierwsze, proste zdanie.

Drugie zdanie, które czytasz teraz, jest konstrukcją trudniejszą, bo to zdanie wielokrotnie złożone. Jeżeli zrozumiałeś pierwsze zdanie - umiesz czytać. Jeżeli zrozumiałeś drugie zdanie - umiesz też pisać. Gratuluje.

Jeśli czytasz mnie do tej pory, dobitnie dowodzisz, że bardzo lubisz słowo pisane.

Dla takich ludzi jak Ty, już prawie trzy lata temu na świat przyszedł www.portal-pisarski.pl. Początki jego istnienia były jak Twoje zdjęcia z dzieciństwa - słodkie i śmieszne. Swoje wierszyki i opowiadania, najczęściej z przygodą z wakacji, mógł publikować u nas każdy, kto potrafił włączyć komputer, a potem wklepać na klawiaturze zdanie proste (wykładałem o nich na początku). Dziś, kiedy serwis urosł, wyprostował się i wszystko nabrało rozpędu, jest tak samo. Wciąż może pisać każdy, chociaż... kłamstwem nie jest, że wielu z nas umie już pisać zdania złożone, z nich składać zgrabne akapity, a z tych - z kolei - całe opowiadania. I nie tylko opowiadania. Notorycznie powstają także eseje, erotyki, felietony, reportaże, recenzje, tłumaczenia, a nawet książki. Tak, to wszystko potrafią wyczarować nasi amatorscy prozaicy.

Nie mniej - co ciekawe - potrafią ludzie, którzy mało wiedzą o budowaniu akapitów i zdań z przecinkami. Mowa teraz o naszych poetach. Wyobraź sobie jak mocno musieli oni przeć, w związku z powyższym, aby w trzy lata spłodzić dwa tysiące osiemdziesiąt trzy wiersze. A kilkaset z

nich to poezja nie była jaka. Utwory nagradzane w ogólnopolskich konkursach znajdziesz łatwo, wielkie dzieła także i kto wie, czy nie wiekopomne nawet. O tym ostatnim nie Ty, a tym bardziej nie ja, ale czas będzie decydować. Pozwólmy mu na to.

Nie ma obowiązku czytania wszystkiego. Ba, nawet tych nowych nie trzeba!

Możesz spokojnie przejść obok tego całego zgiełku i tylko kątem oka rzucić na nasze fotografie, tudzież rysunki, albo poczytać sobie na forum, jak się wymądrzamy. Możesz nas tam pochwalić za te mądrości i dobrą robotę, albo ponabijać się do rozpuku. Śmiech to ponoć zdrowie.

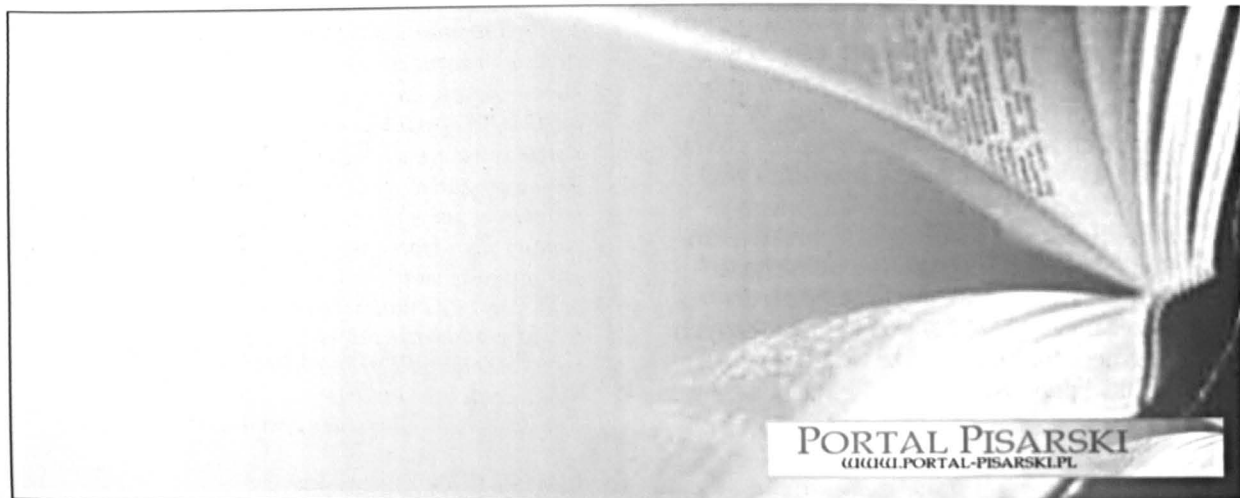
Ostatecznie możesz pokazać nam swoje własne prace i liczyć na to, że nikt Cię nie skopie. Zachował się bowiem na naszym portalu - cudem zapewne - pewien staroświecki zwyczaj, który według założyciela i patrona strony, Sagitariusa, mówi, że nowych się nie bije. I, wierz mi na słowo pisane, które tak bardzo lubisz, że u nas to działa!

„Gość w dom, Bóg w dom”, czy coś...

Pozdrawiam w imieniu całej redakcji portalu
i zapraszam na stronę.

Valdens

Już w tym numerze "Kozirynku" znajdziesz teksty twórców z portalu-pisarskiego, jako że zawiązała się między obiema redakcjami dobrze rokująca współpraca.



OWSCH

<http://olsztynwschodni.blogspot.com/>

Wszystko zaczęło się dawno temu, podczas pierwszych zbliżeń. Wspólne sesje poprawkowe i wieczorki z piwem, antykwariat i książki. Krzysiek pił po Sieniewiczu i idea rosła aż wreszcie przyszedł czas, żeby nadać jej kształt. Nie dało się inaczej i dłużej ukrywać. Nazwaliśmy to Olsztynem Wschodnim. Taka była kolej rzeczy i tak wyszło.

* Grupa daje możliwości i pomysły. Łatwiej zdobywać miasto i wychodzić dalej, poza jego ostatnie rogatki. Żeby pokazać ludziom, że żyją blisko sztuki i żyć na pograniczu wszystkiego, przechylając się od czasu do czasu poza krawędź.

* Olsztyn Wschodni ma wiele twarzy i w zależności od tego, na którą patrzysz, może cię zafascynować lub złościć. Chodzi o to, żeby wywoływać emocje, skłaniać do działania i nietypowych akcji. Zagonimy do sztuki tych, którzy na co dzień jej nie widzą i pokażemy to całemu światu.

* Nie mamy stanowisk, nie mamy programu. Mamy kominy, dym, tory i poezję. W sercach smutek i ubytki. I tak się spotykamy gdzieś po środku i tworzymy nowe wizje. Będziemy śpiewać, puszczać muzykę i zadawać pytania. Będziemy wypowiadać się na tematy, których inni nie zauważają i tworzyć tematy, o których reszta będzie mówić.

* Blog jest matką. Bazą, wokół której powstanie życie. Będzie co czytać, będzie na co patrzeć, będzie nad czym się zastanawiać. Będziemy was informować o wszystkim i wszystkich, również o nas w drastycznie intymny sposób. Każdy mówi tu co chce i kiedy chce i niczemu nie należy się dziwić.

* Nie jest tak, że nie mamy planu. Najpierw działamy, potem myślimy, a potem działamy jeszcze bardziej. Nic bardziej nie wprowadza nas w pole.

* Zaczęliśmy w zapomnianej części miasta i

zobaczyliśmy stąd jego najciekawsze punkty. Złamiemy podział na kulturę niską i wysoką i stworzymy coś zupełnie nowego. Im głębiej wejdiesz w naszą strukturę, tym trudniej będzie ci wstać następnego dnia do pracy.

* Będziemy się pojawiać i angażować. Będziemy pisać i tworzyć. Nasze pomysły dotrą w najciemniejsze zakamarki i przyniosą efekty. Będą z tego wiersze, książki i filmy.

* Mamy prozaików, magazynierów, dramatopisarki i laureatów. Trzymamy poezję za słowo. Studiujemy literaturę i wnętrza, szukamy fanek, fanów i środków. Wszyscy jesteśmy wszechstronnie bezrobotni, młodzi i niewyżyci. Łączymy różnice i różniemy podobieństwa. Myślimy o śmierci i piszemy o życiu.

* Będziemy robić slamy w pociągach, dyskoteki w kawalerkach, wystawy na ulicy, imprezy w bibliotekach, wieczory na przystankach, ogólnie wszystko, co nie zmieści się w głowie.

* Przysyłajcie nam wiersze na konkurs Janion, przysyłajcie nam książki i pisma do recenzji, kontaktujcie się z nami i współpracujcie. Konkurujcie, krytykujcie, podziwiajcie.

* Jest takie miejsce, które nazwano Olsztynem Wschodnim. To stacja przeładunkowa. Punkt, w którym wszystko się zmienia i miesza, traci właściwości i zyskuje nowe. Miejsce, w którym percepcja gubi horyzonty, a dym przesłania oczy. Wokół stoi miasto, a wszystko dzieje się w środku. Tory biegną stąd we wszystkie strony - żadna z nich nie jest pewna swojego końca.

Piotr Binkowski, teoretyk z Olsztyna Wschodniego



Olsztyn Wschodni tworzą:

Michał Krawiel, 84. Prozaik, kiedyś dziennikarz, śmieciarz, magazynier, inspektor jakości, operator maszyny ciężkiej, pomocnik magazyniera. Generalnie wszechstronnie bezrobotny. Mieszka w miasteczku, gdzie koncentruje się całe zło. Pomyka też po Olsztynie Wschodnim. Publikował papierowo i

elektronicznie.

Michalina Janyszek, 85. poetka dramatopisarka ze Wschodniego Olsztyna nie jeździ na rowerze z zasady odpoczywa na oddziale wciąż debiutuje oczywiście wszechstronnie bezrobotna.

Piotr Binkowski, 85. Wszechstronnie bezrobotny. Pisuje i krytykuje. Publikował. Kończy studiować literaturę. Píše kryminał i bada szaleństwo w poezji. Żyje wciąż w Olsztynie Wschodnim.

Marta Chyła, 84. Pisarka, działaczka formami wizualnymi. Publikacje, wystawy. Ma styl i każdy ze środowiska kiedyś się w niej kochał.

Maciej Janicki, 85. Kiedyś kelner, niedoszły absolwent szkoły gastronomicznej. Zajmuje się kręceniem, pisanem, zdjęciowaniem i obserwowaniem. Rodowity obywatel Zatorza.

Krystian Kujawa, 82. prawie naukowiec, prawie reżyser, prawie pedagog, lekko upośledzony umysłowo frustrat i nieudacznik.

Adrian Kocot, 87. Studiował zarządzanie, studiuje reklamę i komunikację marketingową. Obecnie bezrobotny emigrant na chmurnym Albionie. Uchodzi za dewianta, ekscytuje się typografią, reklamą, marketingiem, pieniędzmi. Powoli traci zainteresowanie przyszłością i jej uciążliwymi aspektami.

Reszta czeka na odpowiedni moment, żeby wstać i wyjść.





MARIUSZ SOKOŁOWSKI

ARYST 2

Nie przestaję się dziwić.
Upływającym latom.
Śmierci w locie.
Zwielokrotnionej
Tysiąckrotnie śmierci.

Nie przestaję pytać.
Ustami tej trzydziestej piątej
Ziemskiej zimy.

Mam nadzieję,
Że to tylko wzruszenie.
Słońce zrozumienia.

Droga.
Którą prowadzę.

X X X

Cała moja siła polega na tym,
Że nie wiem kim jestem.

Stąd moje szukanie.
Moja podróż do Wnętrza Jaźni.

„Jesteś tym, czego szukasz”.

Jestem poszukiwaczem Sensów.
Jestem wędrowcem ścigającym Piękno.

PATRZE

W czerwcowym słońcu obserwuję
swoją Ciągłość.

Pokrzywy są niby te same.
Parzą, choć czy tak samo jak wtedy, nie
wiem.
Lecz ile kilometrów świadomości
Dzieli mnie od Tamtego.
I czy ta odległość warta jest wiersza ?
Może Milczenia ?

Pomiędzy być a nie być
Rozpościera się Łąka.
Taka jak w dzieciństwie,
Z obfitością stokrotek.
Z jarzębiną w tle.

Dzieciństwo to wolność.
Przynajmniej od Świadomości.

Jestem teraz w domu matki, który był
kiedyś moim domem.
Patrzę na książki, które gromadziłem tu
od lat.
I ta bezlitosna świadomość, że nic nie
mogą.

Mariusz Sokołowski

urodzony: 2 lutego 1968 r. w Biłgoraju
Absolwent socjologii, organizacji pomocy społecznej oraz
bibliotekoznawstwa i informacji naukowo-technicznej na
UMCS w Lublinie.
W latach 1989-1994 redaktor Studenckiego Kwartalnika
Literackiego PRÓBA (wydawanego na Wydziale
Humanistycznym UMCS Lublin).
Otrzymał I nagrodę w konkursie SPP na tom poetycki (Lublin
1996).

Wydał tom poezji ZEMSTA RĘKI ŚMIERTELNEJ (1996).
Publikował w kilku antologiach (m. in. SŁOWO W
MILCZENIU DOJRZEWA, Lublin 1999;
NAPISAC SWÓJ ŚWIAT, Zamość 1993).
Robi w glebie pomocy. Społecznej. Miejski Ośrodek Pomocy
Rodzinie w Lublinie, Dział analiz i sprawozdawczości. Jego
praca polega głównie na dodawaniu cyfr i wypełnianiu tymi
cyframi tabel. Ma żonę Ewę, córkę Kaję i łysą czaszkę.
Za swój główny cel życiowy uważa poszukiwanie odpowiedzi
na pytanie: kim jest. Poezja jest dla niego jednym ze środków,
za pomocą których realizuje te poszukiwania.

ŻYŁEM

W tysiącu aktywności poszukując
odpowiedzi
Na pytanie o własną tożsamość

Bojąc się poczucia winy, cierpienia i
poniżenia
Lękając się wstydu

Doskonaląc swój oddech i zakłęcia
Które miały mnie utrzymać na
powierzchni życia

Bez złudzeń- wolność przydarza się
Tylko największym z nas

A ja tak bardzo byłem
Z krwi, spermy i potu

Próbując zmieścić swoje życie
Pomiędzy brakiem a przesytom

Naprawdę- nie wiedząc kim jestem

ANANKASTIA

wyprowadzam siebie
na spacer
między śwędzącą wysypkę traw
w nocy spadła wiosna

smakuję brzęczącą wolność
pierwszy raz od trzech dni

wyprowadzam siebie
na łańcuchu
własnej tożsamości
jestem kim jestem
i nikim innym:
posłuszny - fizjologii wiersza
posłuszny - rytmowi narodzin i śmierci

BEZ PRZYMIOOTNIKA

Tyle już lat uczę się żyć
Na ziemi - od ziemi.

H 1013

Jestem starcem.
28- letnim starcem.
Równieśnikiem Szymborskiej, Miłosza
Oraz ich wierszy.
Mówiąc to, nie wiem nawet
W którym miejscu zbiega się
Moja kreacja z rzeczywistością.
Ale, chaos mi świadkiem,
Coraz mniej we mnie kreacji.
Coraz mniej!
(1996)

JAK

Jak wpleść w codzienną krzątanie
Żywot człowieka mistycznego?
Gdy życie - sztuką godzenia się ze stratami.

LIPCOWY WIECZÓR

Chłopcy biegający za piłką.
Dziewczęta uwodzące księżyc.
Letni dzień, który kona.

X X X

Biłgorajska śmierć odchodzi w niebyt.
Z kilkoma kolegami wspominam przy
piwie dawne czasy.
Zwyczajne niebo nad moją głową.

X X X

Wieje przeze mnie wiatr.
Tchnienie nicości.
Oddech Boga.

X X X

Jaka cisza !
To noc do siebie strzela!

X X X

Idąc krawędzią.
Pomiędzy rozpaczą a zachwytem.

Trochę jasności, trochę trwogi.
Trochę ciemności, trochę odwagi.

Tych kilka centymetrów
W tę czy w tamtą- czasami waży.

X X X

Tyle już z Tobą rozmów
przeprowadziłem
W ciągu moich dwudziestu dziewięciu
lat.

Tyle już z Tobą rozmów
przeprowadziłem
Głosami filozofów, poetów, teologów.

Tyle poznałem Twoich wcielen
A wszystkie były urojeniem moim
Albo chorobą innych.

Tyle już lat z Tobą walczę
Przekrzykując geny, wychowanie i
księdza.

Tyle już lat z Tobą walczę
Będąc powolny słowom Buddy:
"Jeśli spotkasz Budę, to go zabij!"

Tyle już lat z Tobą walczę

Bo odkryłem, że gdy stawiam Ci opór
Jestem najbliżej Ciebie.
(1997)

X X X

Coraz krótsze dni.
Coraz krótsze wiersze.
Stoję nad brzegiem Tajemnicy.
Nad brzegiem Milczenia.

X X X

Boże pagórków pod Gorajem.
Boże Czerwonej Straży Pożarnej
Wojaczka.
Boże czystych poranków.
Boże dziecięcego serca.

Taki Boże.
Zbaw mnie od pisania wierszy
Dyktowanych przez ego.
Żeby nie musiał
Oślepiłym sercem
Szukać słowa.

X X X

Moja młodość.
Płonąca młodość.
W małym miasteczku.
Żądała biblijnego
"Tak - nie".

Nie chciała
Przyjąć
Że zawsze i wszędzie
Rządzi nami
Kompromis.



NATALIA JULIA NOWAK

(META) FIZYKA KONTROWERSYJNOŚCI

Prawo wartości artystycznej

Jeżeli siła wyrazu danego twórcy nie działa na żadne ciało (emocje odbiorców pozostają w spoczynku), to wartość artystyczna jego dzieł jest równa 0.

$$\text{Wyr.} = 0 \Leftrightarrow \text{Em.} = 0$$

(Siła wyrazu danego twórcy jest równa zero wtedy i tylko wtedy, gdy emocje odbiorców = 0).

I zasada kontrowersyjności

Jeżeli natężenie emocji zwolenników ma większą wartość, niż natężenie emocji przeciwników, to dany artysta uchodzi za popularnego.

(Artysta należy do popularnych wtedy i tylko wtedy, gdy emocje zwolenników są większe, niż emocje przeciwników).

II zasada kontrowersyjności

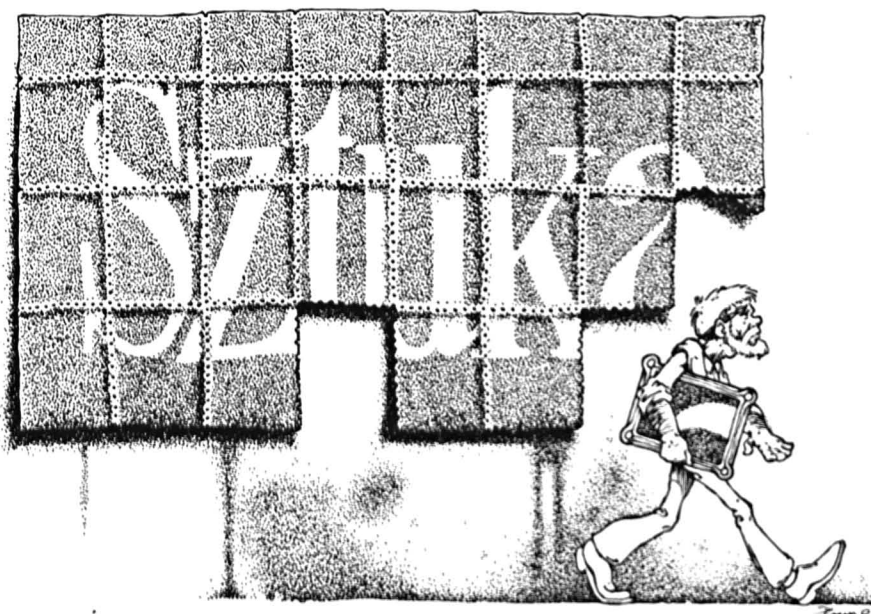
Jeżeli natężenie emocji przeciwników ma większą wartość, niż natężenie emocji zwolenników, to dany artysta uchodzi za skandalistę.

(Artysta należy do skandalistów wtedy i tylko wtedy, gdy emocje przeciwników są większe, niż emocje zwolenników).

III zasada kontrowersyjności

Jeżeli siły emocji zwolenników i przeciwników się równoważą, to dany artysta należy do kontrowersyjnych.

(Artysta należy do kontrowersyjnych wtedy i tylko wtedy, gdy emocje zwolenników są równe emocjom przeciwników).



NADESŁANE:

książki

- Wojciech Boros, *Złe zamiary*, Gdańsk 2008.
- Gilbert K. Chesterton, *Kula i krzyż*, Warszawa 2008.
- Maja Rodziewicz-Szynicka, *Anioły nie mokną*, Bydgoszcz 2007
- Maja Rodziewicz-Szynicka, *Nie w twoich dłoniach rozkwitam*, Bydgoszcz 2005
- Lidia Żukowska, *Nieujarzmiona Jesień. Idalia i Bonfiliusz*, Kraków 2007.

czasopisma

- „Pegaz Lubuski”, nr 1 (30), Gorzów Wielkopolski 2008.
 - „Exit. Nowa sztuka w Polsce”, nr 2 (74), Warszawa 2008.
 - „Portret”, nr 1 (26), Olsztyn 2008.
 - „Przegląd Filozoficzno-Literacki”, nr 1 (19), Warszawa 2008.
-



* Cena numeru upamiętnia rok 1000. Bolesław I doskonale wykorzystuje śmierć misjonarza Wojciecha, by uniezależnić młody polski Kościół od Magdeburga i Pragi. Cesarz Otton III podczas pielgrzymki do grobu męczennika ogłasza wolę Rzymu o erygowaniu arcybiskupstwa w Gnieźnie. Przyjacielska wymiana relikwii między cesarzem a synem Mieszka I staje się symbolem równorzędności Polski pośród państw chrześcijańskiej Europy. Przyszłość wydaje się rysować pomysłnie. Jednakże nagła śmierć Ottona III przywraca stosunkom polsko-niemieckim ich zwyczajowy charakter.

Zrealizowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



oraz
Powiatu Radzyńskiego

